





MARYAN GAWALEWICZ.



MECHESY

POWIEŚĆ.

I.



WARSZAWA.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1894.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, дня 29 Мая 1894 года.

Warszawa—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedm. Nr. 66.

I.

— Od Łanieckich, który tam?...—zawołał z bramy kamienicznéj wygolony lokaj, w granatowéj liberyi ze srebrnemi guzikami bez herbów, ku trzem stangretom na ulicy, siedzącym sztywno na swoich kozłach.

— A to pewnie ten ostatni, z remizy,—odezwał się pierwszy, niedbałym ruchem bata wskazując poza siebie — bo my to nie.

Lokaj zmrużył oczy i lekceważąco spojrzał na wynajętą karetę, którą jacyś Łanieccy do jego państwa z wizytą przyjechali.

Znać było po skrzywionéj minie, że ta remiza obniżyła nagle ich wartość w opinii fagasa, przyzwyczajonego otwierać drzwiczki tylko własnych powozów.

— No, to dawajcie!...—jazda!... bo już schodzą, — zawołał prawie rozkazująco podniesionym głosem, zasłaniając sobie oczy od słońca, które w zimowe, mroźne nieco południe świeciło jaskrawym blas-

kiem z nieba, pokrytego białemi, jak wata, obłokami.

O bruk uderzyły kopyta śmigniętych batem gniadoszów, zaturkotały koła i kareta z remizy zatoczyła się przed bramę.

W téj samé chwili otulona futrzaną rotondą, zbiegała ze schodów marmurowych, suknem wysłanych, młoda osoba w eleganckim kapelusiku dżetami krytym, a w pewnéj odległości za nią, sprowadzał z poważną, nachmurzoną nieco miną mężczyzna lat średnich otyłą damę, pozostawiającą za sobą szelest sukien i silny zapach Peau d'Espagne.

— Tola, Tola! nie tak prędko,—upominał przyciszony głos mężczyzny,—nie uciekaj, bo nikt nie goni.

— *Folle, comme toujours,* — szeptała dama z odcieniem irytacyi.— *Tola lentement!*

Gwałtowne szarpnięcie drzwi w przedsionku było odpowiedzią młodéj osoby i znakiem, że dobiegła już do końca schodów.

Nie zatrzymując się ani chwili, wskoczyła pierwsza do karety, wcisnęła się w sam kąt i otuliwszy się jeszcze bardziéj szerokim futrem, połowę twarzyczki schowała w tumakowy kołnierz z minką widocznie nadąsaną i z jakimś surowym, gniewnym niemal wyrazem w dużych, czarnych, roziskrzonych oczach.

Przy wpół otwartych drzwiczkach stał lokaj i z niezadowoleniem spoglądał w bramę, z któréj wyjść mieli państwo Łanieccy, myśląc zapewne, że goście, którzy na pierwszą wizytę przyjeżdża-

ją wynajętą karetą, mogliby też pośpieszyć się nieco, i nie trzymać go zbyt długo z gołą głową na mrozie.

Pan Łaniecki wsadził żonę do powozu, stangretowi rzucił krótko dwa wyrazy: „do domu,“ i nie spojrzawszy nawet na lokaja, usadowił się na przedniém siedzeniu naprzeciw żony i panny Toli.

Zanim jeszcze konie ruszyły, otyła dama zwróciła się do swojéj młodéj towarzyszki i rzekła:

— Powiem ci, moja droga, że jesteś nieznośna!... Przecież ci korona z głowy nie spadła, żeśmy pojechali do nich z wizytą. Mogłaś przynajmniéj przez dobry ton usta otworzyć a nie boczyć się, Bóg wie z jakiego powodu. Cóż ci się złego stało? Fumy i fumy!

Łaniecki jedno oko zmrużył, usta skrzywił ironicznym uśmiechem i mrugnąwszy na żonę znacząco, szepnął:

— Daj jéj pokój... Dziwaczka!

Panna Tola, nie zwracając ku niemu twarzy, rzuciła nań spojrzenie, które miało jakiś dziwnie pogardliwy charakter i milczała uparcie.

— Muszę przyznać — mówiła daléj otyła dama, — *qu'ils sont tout à fait bien;* więcéj nawet, niżeli się tego spodziewałam. On ze swoją kędzierzawą głową i tym nosem garbatym ma co prawda, trochę typu żydowskiego, ale ona nic a nic; prawda, Jasiu?...

Jaś się znowu skrzywił, dolną wargę opuścił i zmrużywszy tym razem jedno i drugie oko, odparł:

— No, nic, jak nic, ale w każdym razie dobrze

to wszystko pokryte. Za to ten młody jest całkiem *comme il faut.* Tego mu zaprzeczyć nie można.

W tém miejscu przyszła kolej na żonę wydąć usta z grymasem i zrobić zastrzeżenie ze swéj strony:

— No, tak, ale zawsze trochę na żydka podobny, rysy ma wschodnie i jakiś za czarny i za biały. Nie widziałam u bruneta takiéj cery przy takich włosach...

Mąż jedném okiem znowu mrugnął na nią, jakgdyby chciał powiedzieć: „dajże pokój,“ a pani spostrzegłszy się, zmieniła ton od razu i skwapliwie dodała:

— Ale ułożony, jak prawdziwy gentleman!...

Łaniecki głowę podniósł, że aż cylindrem uderzył o karetę.

— Cóż to dziwnego!... żeby jeszcze przy milionach nie można było dzieci wychować, to... to... to już nie rozumiem, doprawdy. Zresztą nie zapominaj moja droga, że Sandsteinowie są w swoim rodzaju arystokracyą.

— No, chcesz powiedzieć, plutokracyą, — poprawiła żona.

— Arystokracya, plutokracya,—w dzisiejszych czasach to dwie sfery, które się bardzo blisko stykają. Nie bywa to zawsze tém samém, ale coraz częściéj... coraz częściéj...

Zabrakło mu wyrazu na stosowne określenie, więc zakończył czémś niezrozumiałém pod nosem, który nad starannie ułożonym wąsem rudawego nieco koloru dźwigał binokle w grubéj szyldkretowéj oprawie.

Z poza nich spoglądały jakiéjś nieokreślonéj barwy oczy, mrużące się, jak u krótkowidzów; temu mrużeniu zaś towarzyszył pewnego rodzaju grymas w ustach wązkich a szeroko zakrojonych. Zdawało się, że mogłyby rozłupać tę okrągłą twarz od ucha do ucha, gdyby ich właścicielowi przyszła ochota kłapnąć szczękami i ziewnąć.

Otyła dama natomiast odznaczała się regularnością rysów, które nosiły ślady nie tak dawnéj jeszcze piękności, ale i dojrzewającéj czterdziestki, jaka się zapisała w zmarszczkach około oczu niebieskich pod szeroką lecz rzadką brwią i ust kształtnych, chociaż nieco wydętych.

W kosmykach bujnych włosów, które się krnąbrnie wysuwały z pod kapelusza, nieposłuszne widocznie z natury ani szczotkom, ani grzebieniom, przeświecały dość gęsto srebrne nitki przedwczesnéj siwizny.

Co do panny Toli, dwa szczegóły jedynie świadczyły o wdziękach téj twarzy, ukrytéj zawsze jeszcze do połowy w futrzanym kołnierzu rotondy, — czarna, jak heban grzywka i czarne, jak węgiel oczy, przy matowéj, lekko śniadéj cerze.

— *Quand à moi*, przyznam ci się mój Jasiu—zaczęła po chwili znowu Łaniecka,—że nie byłabym się także tak bardzo pośpieszyła z tą rewizytą. Ostatecznie można było jeszcze trochę poczekać. Po co ma się im zdawać, że już nam tak bardzo na téj znajomości zależy!... Uważałeś, jak nas oboje gorliwie wybadywali o Adasiów?... Sandsteinowa aż dwa razy mnie zapytywała, czy myślą prowadzić dom otwarty i czy całą zimę zabawią

w mieście. Podobno zagranicą poznała jakiegoś hr. Zabiełowskiego i bardzo jest ciekawa, czy to nie Adaś. Założyłabym się, że zmyśla. Ty wiesz przecie, jaki Adaś nie łatwy do stosunków, zwłaszcza z takimi Sandsteinami...

Łaniecki skrzywił się, jakby go wszystkie zęby naraz zabolały.

— No, Adaś!... — rzekł, — także!... będziemy mieli jeszcze krzyż Pakski za tę znajomość. On przecież uznaje tylko prostych chałaciarzy i faktorów między Żydami: łatwiéjby zniósł zapach czosnku u jakiegoś Srula czy Abramka, niż mille-fleurs w salonie takich Sandsteinów. Przyznam się, że tego to nie rozumiem. Adaś to przewrócona głowa, fiksat na tym punkcie!... Ale to mi wszystko jedno, ja jemu znajomości nie wybieram, on niech moich nie kontroluje i koniec.

Pani Łaniecka westchnęła i zamyśliła się; chciała coś odpowiedzieć, ale dała pokój, spojrzawszy na swą sąsiadkę, która otrzasnęła się nerwowo i odchrząknęła, jakby ją w gardle zadławiło.

— Zimno ci, Tolo?—spytała otyła dama.

Z pod futrzanego kołnierza zagłuszony głos o altowém brzmieniu odpowiedział krótko.

— Nie, ciociu.

Rozmowa się urwała, kareta skręciła w jedną z główniejszych ulic, pełną turkotu i ruchu; ciocia Łaniacka umilkła, a wujaszek zmrużonemi oczyma przypatrywał się z jakimś badawczym i niezadowolonym wyrazem pannie Toli.

Tymczasem w wytwornym salonie państwa — powiedzmy od razu dokładnie: Eleonory z Płoc-

kich i Franciszka Ludwika Sandsteinów, siedziało kilka osób zajętych ożywioną konwersacyą, prowadzoną przeważnie po francuzku.

Meble kryte adamaszkiem i atłasem w kolorach żywych, nawet jaskrawych nieco, kobierzec na podłodze, stiuki na suficie, zwierciadła długie a wązkie między oknami, kandelabry i pająk suto szklanemi wisiorkami połyskujący, porcelanowe wazy i alabastrowe amfory na marmurowych słupach i konsolach złoconych, fortepian złotawą makatą pokryty, portyery u każdych drzwi, firanki, ekrany, świecidła, albumy i mnóztwo drobiazgów, rzucających się w oczy, zapełniało, przepełniało nawet ów salon, w którym miało się ochotę każdy przedmiot wziąć w rękę i poszukać na nim naklejonéj kartki z firmą magazynu i ceną przy niéj wypisaną.

Wyglądało to wszystko za nowo i za świeżo w tym zbytkownym apartamencie, w którym było więcéj przepychu, niż gustu, a który mimo kosztowne pozory sprawiał wrażenie, jak gdyby go urządzono bez poprzedniego planu i naznoszono do niego rzeczy, kupionych przy okazyi, tanio, trafunkiem, na wyprzedaży, za połowę ceny, a przynajmniéj z ustąpieniem znacznego rabatu.

Sprawiało to wrażenie takie, choć zapewne tak nie było, bo zamożny dom F. L. Sandstein, rozporządzający gotówką i kredytem bardzo znacznym, mógł sobie pozwolić na zbytek rzeczywisty, nie podrabiany, bez sprawienia jakiego uszczerbku swoim dochodom.

Lat temu trzydzieści spółka Sandstein i Sammet

rozpoczynała dopiero swoję karyerę i wchodziła na szeroką drogę powodzenia, dążąc do fortuny jednocześnie dwoma szlakami: robiła pieniądze i robiła pieniędzmi; to znaczy, iż kombinowała dwa rodzaje działalności w ruchliwéj firmie przemysłowo-bankierskiéj.

Odpowiednio do uzdolnienia i fachowego sprytu, obaj wspólnicy podzielili w ten sposób między siebie kierunek interesów, że Sandsteinowi przypadła przedsiębierczość i inicyatywa praktycznych pomysłów na polu handlowo-przemysłowém, Sammetowi spekulacya bankiersko-finansowa.

I tak było do czasu, w którym przy szczęśliwych obrotach majątek spółki wzrósł do znacznéj potęgi, kiedy kilka niefortunnych operacyi zatamowało nagle ów potok złota, spływający z dwóch stron w pomyślnych latach do wspólnéj kasy domu Sandstein i Sammet: ostatni przy całym sprycie swoim przerachował się i „stracił nos,“ jak mu zarzucano, w kilku ryzykownych interesach.

Była chwila, że firmie groziło poważne niebezpieczeństwo zachwiania się; wtedy bardziéj rzutki i energiczny Sandstein postawił wspólnikowi propozycyą, iż weźmie na swoją głowę wszystko, zlikwiduje jego udział i utworzy własny dom pod swoją wyłącznie firmą: Franciszek Ludwik Sandstein.

Sytuacya nagliła do pośpiechu; nie było się nad czém długo namyślać.

I choć niechętnie, przyciśnięty okolicznościami Sammet, przystał na rozwiązanie spółki, oddaw-

szy po kilkunastu latach towarzyszowi karyery całość interesów.

Odtąd na własną rękę i własnym sprytem każdy z nich starał się toczyć swoją bryłę złota, zapracowaną wspólnie, tylko że Fortuna ze swoim rogiem obfitości została przy Sandsteinie, a Sammetowi kazała doganiać się z wysiłkiem i to bezskutecznie.

Pierwszy podwajał majątek, drugi zaledwie go w całości utrzymywał.

Ta różnica powodzenia cichą zawiścią i goryczą napełniała jego serce; pozornie zostawał w dobrych stosunkach z dawnym wspólnikiem, ale miał do niego ukryty żal i pretensyę, że na własną korzyść wyzyskał krytyczną chwilę niepowodzenia i zmusił go niemal do ustąpienia z firmy.

Na każde wspomnienie o Sandsteinie i wiadomość o nowych jego zyskach w tém lub owém przedsiębierstwie, mała, sucha, koszlawa trochę figurka Sammeta kurczyła się, jak robak na szpilce; jego piwne oczki mrugały nerwowo, zagryzał wargi, skubał swój krótki, szczecinowaty wąs z jednéj strony i podniósłszy jeszcze wyżéj przygarbione trochę ramiona, z ręką w kieszeni, drobnemi krokami biegał po swoim gabinecie, jak owe myszki na sprężynkach, póty, póki się w nim wzburzenie nie ułożyło.

Wracał do swego biurka w kantorze i z jakimś sardonicznym uśmiechem mruczał do siebie:

— No, no!... niech robi tak daléj. Wielkie rzeczy!.. Na każdego czas przyjdzie.

Chwytał ołówek i dodawał kolumny cyfr kreślonych szybko na bibule, powtarzając niekiedy:

— Ten łajdak powinienby mi dotychczas już przeszło 400,000 z mojéj części zapłacić, gdybym nie był ustąpił!...

Uważał się w głębi duszy za pokrzywdzonego temi zyskami, które ex-wspólnik robił na swoich wyłącznie interesach.

Franciszek Ludwik Sandstein zaś nie troszczył się o to, co ludzie mówią o nim, o jego majątku i powodzeniu, o jego świetnych operacyach i pomysłach, o jego handlowym sprycie i przemysłowéj bystrości,—robił swoje, a robił z taką pewnością siebie, z takim spokojem, jakgdyby wiedział z góry, że musi przemódz za każdym razem Fortunę, ilekroć zechce, by mu nachyliła swojego złotego rogu.

— Sammet się będzie znowu wściekał, gdy się dowie, że wziąłem dostawę do Tyflisu, — mówił przy nadarzonéj okazyi, śmiejąc się swoim chrypliwym, skrzypiącym jakimś śmiechem, jakgdyby go bawiła ta irytacya dawnego wspólnika a dzisiejszego konkurenta.—No, co to szkodzi?... niech się gniewa. Ja się nie gniewam, kiedy on traci na pożyczkach. Żeby on więcéj patrzał na swoje ręce, niż na moje, toby więcéj do kieszeni schował.

Szerokie czoło pod kędzierzawą czupryną, dobrze już szpakowatą, fałdowało się grubemi zmarszczkami, krzaczaste, zwichrzone brwi podnosiły się w górę, w kątach ust pod przystrzyżonym krótko wąsem tworzyły się dwie głębokie bruzdy, gdy Franciszek Ludwik Sandstein, siedząc sa-

motny w swoim gabinecie i drapiąc się z przyzwyczajenia w zarośnięty podbródek, lub swoje gęste bokobrody, rozmyślał nad nowym jakim interesem, który miał mu przynieść pewne zyski i powiększyć widoki na przyszłość.

Z téj pracy myślowéj rodziły się projekta coraz większych przedsiębierstw, coraz śmielszych operacyi finansowych, przy których wszelako i najdrobniejszy obrót gotówki, mogącéj się procentować, nie byłby nigdy lekceważonym.

Ziarnko do ziarnka, grosz do grosza...

Morze podsyca się wszelkiemi dopływami i zabiera zarówno wielkie rzeki, jak najdrobniejsze strumienie, urastajace po drodze do wspólnego zbiornika;—tak niektóre wielkie fortuny podobne są do morza, rosną, potężnieją, zabierają w siebie wielkie, małe, najmniejsze nawet dochody, tworzą się z mieszaniny wszelakich zysków, chłonąc zarówno grosze, jak krocie.

Do tych należał majątek Sandsteina.

Nie można mu było wszelako zarzucić, żeby go zrobił niegodziwemi sposobami, albo wdawał się w interesa nieczyste; on tylko żadnemi nie gardził, z których przemysłem, sprytem, wyrachowaniem w szczęśliwą porę można było mieć jakąkolwiek korzyść.

Podobny był pod tym względem,—tylko na wielką skalę,—do owych obrotnych tandeciarzy, którzy kupują tak samo parę zdartych kamaszków, jak całe umeblowania, byle na jednych i drugich zarobić.

Inaczéj pojmował tę rzecz Sammet, zwłaszcza

od czasu, gdy wystąpił ze spółki i próbował doścignąć w robieniu fortuny Sandsteina, którego powodzenie truło go i korciło do szukania szczęścia w ryzykownych operacyach i zyskach.

Dla niego pieniądz każdy miał jednę tylko dewizę: *non odet*, bez względu na to, zkąd go podnieść się dało, a jeśli nie zawsze i nie wszędzie po niego się schylał, to tylko z obawy przed odpowiedzialnością i możliwym zawodem.

— No, co zrobić — powtarzał z goryczą — ja mam pech, a to wszystko przez niego, odkąd mu zostawiłem cały interes!... Żebyśmy obaj skradli milion, to mnie złapią zaraz na ulicy, a jego jeszcze wsadzą do doróżki, gdy będzie jechał na kolej, żeby uciec do Ameryki. To już takie szczęście u jednego, a takie u drugiego!..

Jedna myśl i jedna ambicya nurtowała go nieustannie; chciał dojść do takiego samego majątku, jak „ta bestya“ Sandstein, chciał mu pokazać, że i on ma milion bez jego pomocy, nie z jego łaski, swój własny milion, zrobiony mniejsza o to na jakich spekulacyach, ale go ma i basta...

Co mu będzie kto imponował!...

Tylko, że do urzeczywistnienia tego zamiaru dużo jeszcze nie dostawało i jakoś nie zanosiło się tak rychło na doścignięcie ex-spólnika.

Kiedy Sandsteinowi przyszła myśl zmienić wyznanie, zaraz jakoś po urodzeniu się córki, Sammet poszedł natychmiast za jego przykładem, nie mając żadnych innych powodów do tego, prócz owéj cichéj, trapiącéj go rywilizacyi.

Nie chciał być gorszym od Sandsteina.

Rozumował sobie tylko, że to musi być coś w tém podejrzanego, skoro Sandstein się chrzci.

Po coby on to robił, gdyby mu nie było tego potrzeba?...

Ta wiara, czy inna, jemu, Ignacemu Sammetowi nie sprawiała żadnéj różnicy. Albo on miał głowę po temu i czas myśléć, na jakiém łonie będzie zbawionym, na łonie Mojżesza i Abrahama, czy téż na łonie kościoła!... ale Sandstein to zrobił, Sandstein, który do majątku doszedł, jako żyd, a teraz nagle zachciało mu się być chrześcianinem i żonę ochrzcić, i dzieci ochrzcić, to nie może być ot, tak sobie, na wiatr, bez jakiegoś wyrachowania.

W tém coś jest, ale co?... tego odgadnąć Sammet jednak nie umiał, a nie chciał wierzyć temu, co słyszał od samego Sandsteina.

— Ja to robię dla dzieci — mówił Sandstein,— mam syna, urodziła mi się córka, trzeba myśléć o ich przyszłości.

Sammet sceptycznie głową kręcił.

— Mów ty sobie, co chcesz—myślał,—ty byłeś *chuchem* całe życie, ja ciebie znam. Ja tobie pokażę także sztuczkę!

I ochrzcił się w kilka tygodni po Sandsteinach, tylko syna i córkę zostawił jeszcze w dawném wyznaniu, jakby przez roztargnienie.

Wdowcem był, więc nie potrzebował żony nawracać na nową wiarę, co do syna. zostawił mu wszelką swobodę, z córką zaś niewiadomo co się mogło przytrafić; dorastała dopiero.

Kiedyś,—myślał,—gdyby jéj wypadło wyjść za

mąż, wybierze sobie razem z mężem jego wyznanie. Praktyczność nigdy, zwłaszcza w takich wypadkach, nie przeszkadza.

Zresztą, nigdy nie trzeba przesądzać tego, co być może.

Z ochrzczenia się Sandsteinów na razie przyszła Sammetowi tylko ta korzyść, że kiedy go podrażniło znowu powodzenie byłego wspólnika, zapominając sam o swojém zmienionêm wyznaniu, z irytacyą wybuchał na cały głos:

— Taki meches to we wszystkiém ma szczęście!...

U Sandsteinów wiedziano o têm dobrze, jakie w gruncie uczucia żywi Sammet dla ich firmy i dla całego domu; był jeszcze inny powód do zwiększenia tajonéj niechęci.

Niegdyś chodziła Sammetowi po głowie kombinacya całkiem naturalna, połączenia się ściślejszemi związkami z rodziną wspólnika: to przecież byłoby ich interesa jeszcze bardziéj zespoliło, gdyby Bernard Sandstein ożenił się był z Malwiną Sammetówną.

On sobie to małżeństwo układał jeszcze wtedy, kiedy ten mały Bernard chodził dopiero w mundurku, a jego Malcia nosiła takie krótkie sukienki, że z pod nich widać było opadającą pończoszkę i parę nóżek, będących powodem największego zmartwienia nieboszczki Sammetowéj.

— Czego ty Malcia te nogi stawiasz ciągle krzywo, jak kaczka? — powtarzała jéj matka za życia i robiła przy têm minę tak bolesną, jakby w tych

grubych a ku sobie stąpających nóżkach córeczki wykrzywiało się całe jéj macierzyńskie szczęście.

— Co ja mam za zmartwienie z tą Malcią! — mówiła nieraz prawie z płaczem do męża, — jak ona chodzi! .. zobacz ty tylko, czy nasza córka tak chodzić powinna?... Ja nie wiem nawet, kto ją tego nauczył!...

Sammet takiemi drobiazgami nie umiał sobie głowy zaprzątać.

— No, co w tém jest złego?—perswadował żonie, — kto to będzie widział, jak zacznie nosić długie suknie?... co to kobiety chodzą do góry nogami, czy co?... Bądź spokojna, ja tobie mówię, że ona z tego wyrośnie.

I miał słuszność; z Malci wyrosła panna Malwina, przystojna, tęga brunetka, o kształtach silnie rozwiniętych, z głową Judyty, z typem wprawdzie semickim, ale nacechowanym wdziękami wschodniéj rasy, z jakąś obfitością cielesnych skarbów, które jak owe owoce z ziemi obiecanéj, zadziwiały swemi rozmiarami i dojrzałością.

Trudno było uwierzyć, że jest córką swojego ojca, tak mało była do niego podobną i tak znaczna zachodziła między niemi różnica w proporcyach.

Jeśli ona przypominała Judytę z rysów i wyglądu, on zakrawał na Dawida, który w dzieciństwie skurczył się, zesechł, poczerniał i nie zdążył rozwinąć się na ojca takiéj córy, godnéj być chlubą Izraela.

Miałby był Bernard Sandstein żonę imponującą,

gdyby skryte zamiary Sammeta nie rozbiły się o dwie tak znaczne przeszkody, jakiemi były rozwiązanie współki i ochrzczenie się Sandsteinów.

Razem ze zmianą wiary, zmienili sferę swoich towarzyskich stosunków.

Pani Eleonara, matka Bernarda, za nic w świecie nie byłaby teraz przys tała na ten związek. Sammetówna pozostała dla niéj „żydówką,“ któréjby nigdy za żonę dla swego syna nie wybrała. Dosyć mieli w swych własnych żyłach krwi semickiéj, aby jeszcze nową domieszką wzmacniali ją w przyszłém pokoleniu.

Sandsteinowa układała całkiem inne plany dla szczęścia swoich dzieci.

Odkąd Bernard wyrósł na młodzieńca i zaczął bywać w świecie, wszystkie starania matki skierowane były ku temu, aby mu zapewnić jak najkorzystniejsze warunki towarzyskie. W tym celu zawiązywała sama znajomości i ściągała do swego salonu ludzi wybranych, upatrzonych z góry, tylko takich, którzy jéj celom i zamiarom pożyteczni być mogli.

W tym wyborze unikała przedewszystkiém dawnych swych współwyznawców.

W domu państwa Sandsteinów widywano ludzi rozmaitych stanów, z rozmaitych klas społecznych, z jednym i jedynym wyjątkiem: nie spotykano tam nigdy Żydów.

Najbliższa rodzina pani i pana trzymaną była zdaleka i nie dopuszczaną, zwłaszcza do salonu,

na którego drzwiach zdawało się wisiéć ostrzeżenie: „Wstęp dla nieochrzczonych wzbroniony.“

W kantorze F. L. Sandsteina nie robiono żadnej różnicy z interesantami; w salonie państwa Sandsteinów natomiast przestrzegano ściśle, aby z prawowiernych wyznawców Mojżesza, żaden intruz nie zepsuł towarzyskiej harmonii otoczenia, które miało pokryć z czasem całkowicie ex-semityzm gospodarzy domu.

Pani Eleonora obawiała się, jak grzechu śmiertelnego, wszelkich pozorów, przypominających jéj pochodzenie: byłaby grubo zapłaciła za to, gdyby nazwisko jéj rodowe, które tak dobrze brzmiało samo w sobie, mogło należéć choć w jednem pokoleniu do rzeczywistych chrześcian, ale niestety Płoccy tylko tak dobrze się nazywali; można ich było wziąć nawet za jaką starą szlachtę, dopóki się ich nie zobaczyło na oczy.

Wszyscy pozostali Żydami, z wyjątkiem jéj jednéj.

Panią Eleonorę w głębi duszy nurtowało to ciągle, że ani jéj brat, były kupiec, zbankrutowany handlarz drzewa, ani jéj synowiec Michał Płocki, kształcący się na chirurga w Berlinie, ani żadna z jéj krewnych bliższych i dalszych nie przechodzili na inną wiarę, ale konserwatywnie trzymali się wyznania swoich ojców.

Jeszcze ten brat, ten brat, z czworgiem swoich dzieci, jakby umyślnie, na złość jej, nosił imię Salomona przy takiem dobrem nazwisku, mogącem ratować pozory!...

Czy słyszał kto, aby jaki prawdziwy Płocki nazywał się Salomonem!..

Ten Salomon psuł cały urok tak pięknego nazwiska i zdradzał odrazu familijną tajemnicę.

„Eleonora z Płockich,“ to jeszcze uchodziło jako tako i na kartach wizytowych pani Sandstein, ratowało wrażenie jéj małżeńskiego nazwiska, ale Salomon...

Dobrze jeszcze, że nie Mojżesz, albo Aaron, albo Icek.

Ztem wszystkiem szwagier pana Sandsteina pobierał z kantoru co miesiąc za pokwitowaniem pewną stałą zapomogę pod warunkiem tylko, aby nazwiska swego nie wywieszał na pierwszym lepszym szyldzie i nie próbował więcej handlować pod swoją firmą, raz dla tego, że była już zbankrutowaną; powtóre, aby nie rzucała się niepotrzebnie ludziom w oczy.

Salomon Płocki był człowiekiem uczciwym, spokojnym, małomownym, od czasu swojego „nieszczęścia,“ jak nazywał swe bankructwo, poważnie zadumanym i chorującym na serce; nosił siwe bokobrody, ubierał się czarno, mówił głosem przyciszonym, powoli, cedząc wyraz po wyrazie, jakgdyby nad każdym długo się namyślał.

Miał dwie córki, jedną Salomeę, która dochodziła już do trzydziestki i była buchhalterką w magazynie bielizny, drugą Rózię, dającą lekcye po południu, a przed południem zajmującą się domem i młodszym bratem, uczniem szkoły handlowej; starszy od dawna był już także na swoim chlebie

i pracował u adwokata po skończeniu wydziału prawniczego.

Ciocia Eleonora uchodziła w tej rodzinie za jakieś bóztwo niewidzialne, o którem mówiło się z wielką czcią, ale bez sympatyi, do którego przystęp dozwolony był w wypadkach wyjątkowych a bardzo rzadkich, które istniało głównie tylko z imienia, wymawianego z taką atencyą, jakgdyby ono samo było jakąś wielką i wpływową osobą.

Stary Płocki zaledwie raz na miesiąc widywał siostrę lub szwagra; zachodził czasem z kantoru, odbierając swą pensyjkę, na górę i jeżeli zostawał przyjętym, wchodził na chwilę do budoaru pani Sandstein, całował ją w rękę na powitanie i z uroczystą powagą, po cichu, zniżonym głosem rozpoczynał stereotypową rozmowę od słów:

— Jak się masz Eleonoro?... cóż tu u państwa słychać?...

Miał wobec siostry minę wdzięcznego a pokornego gracyalisty.

Pani Eleonora przyjmowała go zawsze z jakimś chłodnym wyrazem protekcyonalności i starała się skracać te odwiedziny, które ją dobrego humoru na kilka godzin pozbawiały. Trudno jej było zerwać wszelkie stosunki z rodzonym bratem, czuła jednak, że coraz mniej ich z sobą łączyło a coraz więcej odsuwało od siebie.

Bernard prawie nigdy wuja swego nie widywał, kuzynkę Salcię i Rózię nie znał nawet dobrze z widzenia, a o ich braciach słyszał zaledwie, że istnieją.

Matka uważała, że bliższa znajomość z takimi

krewnymi byłaby może kłopotliwą dla jéj jedynaka; w każdym razie wydawało się jej to zbyt wielkiem pospolitowaniem dla Bernarda, który żył na całkiem innéj stopie i w innym świecie, niż jacyś tam Płoccy.

Czyż można było tych biedaków wprowadzać do salonu na wystawne rauty, albo zebrania środowe, które stale w ciągu zimy odbywały się u państwa Sandsteinów?.... coby oni robili w tem towarzystwie, w tem otoczeniu, w téj sferze?

Panią Eleonorę raził ten nizki, patryarchalny głos brata Salomona, w którym zdawało się jéj odróżniać jeszcze pewne akcenta żargonu, chociaż poprawności wyrażeń jego nie było nic do zarzucenia; cóż z tego, kiedy miewał często, tak charakterystyczne swoje spadki i zwroty, że niepodobna było po tym głosie nie poznać żyda.

Jakże go było przedstawić takim Łanieckim, którzy spokrewnieni byli z samymi Zabiełowskimi, — ona bowiem była hrabianką Zabiełowską z domu,—a którzy właśnie powiększyli listę świetnych znajomości państwa Sandsteinów ze „sfery obywatelskiéj...“

A do tego ta znajomość miała stokroć poważniejsze znaczenie, niż zwyczajne stosunki towarzyskie, ze względu na pannę Tolę, którą los sprowadził pani Eleonorze w chwili, gdy jéj macierzyńska strategia rozpoczynała snuć plany matrymonialnych podbojów dla Bernarda.

Dzień, w którym Łanieccy rewizytowali Sandsteinów, był dla pani Eleonory pierwszym tryumfem.

Promieniała radością i zadowoleniem.

— Miałam przed chwilą Łanieckich u siebie, — powtarzała niby od niechcenia, ale z naciskiem każdemu gościowi, który ją w zwykłych godzinach środowych przyjęć odwiedził:—pan zna państwa Łanieckich?.. Ona jest hrabianka Zabiełowska, siostra hr. Adama. To bardzo ładna rodzina ci Łanieccy... Zjechali tu na całą zimę, tylko nie są jeszcze urządzeni u siebie.

Jej małe, piwne oczy, które miała zwyczaj jakby z wysiłkiem otwierać, aby się większemi wydawały przy podnoszeniu brwi do góry, błyskały niezwykłą jakąś dumą, a usta pod uśmiechem drżały prawie jakby z rozrzewnienia, gdy wymawiała nazwiska Łanieckich i Zabiełowskich.

Do salonu wpadła właśnie okrąglutka blondynka, nieokreślonego wieku, w eleganckim kostyumie perłowego koloru z drap des dames, z mufką w jednéj, a lornetką w drugiej ręce, w aksamitnym kapeluszu z szerokiemi wstążkami i nie zważając na obecnych, od progu już trzepocząc się, śmiejąc, gestykulując żywo, zwróciła się wprost do Sandsteinowéj:

— A więc byli, byli?.. — wołała.—Ach, jakże żałuję, żem się spóźniła!... no i cóż?.. i cóż?,. moja Lorciu, musisz mi to wszystko opowiedzieć. Ja Zabiełowskich znam całą rodzinę. Dzień dobry radzco!—rzuciła w przerwie powitanie jegomości z siwemi wąsikami i kneblikiem, siedzącemu na fotelu obok pani domu.—Jak się masz, Bernard?..

Podniosła się na palcach i ucałowała w czoło

smukłego młodzieńca, który wyszedł właśnie na jej pov itanie z przyległego pokoju.

W ruchach, w dykcyi, w śmiechu, w całem zachowaniu się jéj było coś wyzywającego, jakiś zbytek swobody nienaturalnej, temperamentu nieszczerego, żywości podrabianéj. Widocznie uchodzić chciała za znacznie młodszą, niż była w istocie, ale usiłowania te rzucały się zanadto w oczy i sprawiały wrażenie niesmacznéj pretensyonalności.

W salonie, oprócz siwego radzcy z miną dandysa, siedziała jeszcze jakaś dama z uroczystą fizyognomią, którą panią dyrektorową tytułowano: zdawało się, że przyszła, aby słuchać, patrzeć i odsiedzieć tylko swoją ceremonialną wizytę.

Milczała ciągle, zwracając się jak manekin kolejno ku danéj osobie, która się w rozmowie odzywała; obok niej z przechyloną na ramię główką zajmowała miejsce młoda panienka, która uzupełniać chciała uroczystą powagę matki wdziękiem ujmującego uśmiechu, z jakim słuchała wszystkiego, co mówiono, na pozór z taką uwagą, jak gdyby miała zadane uczyć się tego na pamięć.

Jeśli pani dyrektorowa wydawała się wcieleniem ponurego milczenia, to panna dyrektorówna była uosobieniem oniemiałéj wrażliwości; w jéj drobnéj, ale dziwnie ruchliwéj twarzyczce odbijało się jak w mimicznem zwierciedle każde słowo wymówiono w salonie.

Rozmowę podtrzymywał pan radzca, i jakiś średniego wzrostu jegomość o wyłupiastych oczach i podczernionych wąsach, z miną starego kawale-

ra, z wyrazem twarzy smakosza i pieczeniarza, z dowcipną swadą plotkarza salonowego, z jowialnym ale robionym uśmiechem, odsłaniającym bardzo białe i bardzo równe zęby, ale sztuczne.

Wejście ruchliwej blondynki przerwało mu właśnie w najciekawszem miejscu opowiadanie o jakimś obiedzie bardzo wystawnym, na którym mistyfikowano gości krajowym szampanem, udającym St. Marceaux; nazywał to skandalem, wyszczerzając swoje wprawione zęby i dawał słowo honoru, że jednego kieliszka nawet nie wypił, dla okazania swego oburzenia w domu, który gościom przez skąpstwo żałuje oryginalnéj marki.

— Moja noga tam więcéj nie postanie—zapewniał z emfazą,—chyba, że zabiorę z sobą butelkę białego i będę go pił przy ich własnym stole!..

Pomimo stanowczości, z jaką się odgrażał, czuć było, że tego nie zrobi.

Na widok wchodzącéj damy, zerwał się z krzesła, jak młodzik, podbiegł do niéj drobnemi kroczkami, ukląkł na środku salonu i po rycersku ucałował ją w rękę, wołając:

— Kochana pani Emilia!... bóztwo moje!... królowo dobroci i szyku!... na klęczkach, na klęczkach przepraszam.

— Za co?... ach, za sobotę! — wyrwała mu rękę i udając obrażoną śmiertelnie, odwróciła się od niego — nie znam pana!... czekaliśmy ze śniadaniem pół godziny. Jesteś pan najgorzéj wychowanym człowiekiem pod słońcem!...

Choć mu to widocznie z trudnością przychodziło, sunął się za nią po dywanie na kolanach i bił-

się w piersi z komiczną przesadą pokutnika, żałującego za grzechy.

— Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina... ale gdyby pani wiedziała!.. ucałuję nóżkę, obie nóżki na przeproszenie!...

Pani Emilia niby ze strachem uniosła z przodu suknię i śmiejąc się piskliwie, jak pensyonarka, zaczęła szybko cofać się ku kanapie.

— Za nic w świecie, nie, nie!... panie Xawery, nieróbże pan komedyi, bardzo proszę.

Obecni śmieli się z téj zabawnej sceny, nawet pani dyrektorowa zrobiła grymas, który ożywił na chwilę jéj oblicze nieruchome, jak maska.

Czas jakiś jeszcze trwały certacye między panem Xawerym a panią Emilią, która w końcu dała się przebłagać, ale postawiła warunek:

— Przyjdziesz pan do nas jutro na obiad!...

— A po obiedzie wincik?..—błagalnym głosem spytał, zawsze jeszcze na klęczkach.

— Dobrze, urządzę panu partyjkę, chociaż nie jesteś godzien tego.

— O królowo!...

— Żałuj pan jednak, żeś nie był w sobotę: były cudowne kołduny i zrazy zapiekane w chlebie.

— Zrazy?!...

Zrobił zrozpaczoną minę i zakrył sobie oczy dwoma rękoma, pulchnemi, jak gomółki.

Wstrętne, ale komiczne, było to płaszczenie się starego pieczeniarza, który z umyślną przesadą dla zabawienia siebie i drugich swoim kosztem, przepraszał w ten sposób za opuszczone śniadanie.

Pani Emilia po tem krótkiem intermezzo, wróciła natychmiast do tematu, który miała na myśli i na ustach, wpadając do salonu.

— No i jakże?—pytała natarczywie Sandsteinową, usadowiwszy się przy niej jak najbliżéj—sami byli?... czy z siostrzenicą?... na seryo taka ładna zblizka ta panna Tola?... przecież cuda o niéj opowiadają po całem mieście od trzech tygodni.

Podniosła lornetkę do oczu i spojrzała z uśmiechem znaczącym na Bernarda, posełając mu zlekka ustami w powietrzu całusa.

Młody człowiek zarumienił się, jak panna, i spuścił oczy.

Pani Emilia nie czekając odpowiedzi na swoje zapytania, kręciła głową, jak czeczotka i przeskakiwała w rozmowie od tematu do tematu, od jednéj osoby do drugiéj.

— Pani zna także Łanieckich?—zwróciła się do dyrektorowéj, która tylko skinęła głową potakująco, nie wymówiwszy ani słowa; córka jej za to, poruszając głucho ustami, zdawała się w duchu mówić:

— O znamy, znamy, dobrze znamy z widzenia, i ja, i mama!... Któżby nie znał!...

— Bernard! — odezwała się półgłosem Sandsteinowa do syna,—proszę cię, pójdź do ojca, i powiedz, że ciocia Voss przyszła.

Pani Emilia Voss, z domu Sandstein, była stryjeczną siostrą gospodarza domu; liczyła się do uprzywilejowanych krewnych w rodzinie, gdyż jako właścicielka dóbr należała do „obywatelstwa,“

a wychodząc za mąż przed laty dwudziestu kilku brała już ślub w kościele katolickim, z którego to powodu pozwalała sobie zapominać zupełnie o swojem pochodzeniu do tego stopnia, iż z czasem wmówiła w siebie, że ród Sandsteinów nigdy nie był innego wyznania a Vossów pochodził jeszcze z czasów wojen krzyżowych. Mąż jéj, człowiek stateczny i rozsądny, ile razy chciał jej dokuczyć, powtarzał ze złośliwym uśmiechem:

— O tak, tak, Vossowie to bardzo stara szlachta; ja już mojego dziadka nie pamiętałem w jupicy i z pejsami.

— Ty jesteś cynik! — przerywała mu oburzona, — własną rodzinę gotów jesteś wydrwić i ośmieszyć. To szkaradnie!... Całe szczęście, że nie mamy dzieci, bo inaczéj nigdybym córki nie mogła wydać za mąż, a synowi znaleźć żony z tą twoją genealogią. Co za przekorna natura, żeby się samemu poniżać!...

— A cóż to za poniżenie, mieć dziadka z pejsami? pytał spokojnie Michał Voss, — przecież pejsy, to nie małpi ogon!... Dla czegoż mam się zapierać swojego przodka, który nosił długą jupicę, bo nosił i niema na to rady, ale był człekiem uczciwym, porządnym, przyzwoitym i zebrał sobie majątek, bez którego, ani mój ojciec, ani ja, nie bylibyśmy dziś tem, czem jesteśmy.

Panią Emilią tem spokojny humor męża o spazmy przyprawiał, ale on z filozoficzną równowagą wzruszał ramionami i odchodził, kiedy ona wołała za nim ze łzami w oczach:

— Ja mam spazmy, a ty sobie idziesz?...

Odwracał się ode drzwi i ze zdziwioną miną, jakby nie zrozumiał o co chodzi, pytał:

— A cóż mam robić?... mam może także spazmować?... Nie bądź-że dzieckiem i nie psuj sobie humoru, bo jeszcze na prawdę dostaniesz migreny na wieczór!...

Wszystkie te małżeńskie sceny między panią Emilią a panem Michałem przechodziły wszelako bez śladu i następstw; nawet do zapowiadanych spazmów jakoś nigdy faktycznie nie dochodziło.

W stanowczej chwili pani Emilia namyślała się i dawała pokój atakom nerwowym, przeczuwając, iż one nie przydałyby się na wiele, a jéj mogły zepsuć humor, zdrowie i świeżą cerę, o którą dbała ze szczególną troskliwością.

Sińców, zmarszczek, bladości, mizernego wyglądu obawiała się formalnie, jak nieszczęścia: to jéj mogło odebrać te pozory świeżości, które utrzymywała zawsze jeszcze pomimo dojrzałego, jak na kobietę i mężatkę, wieku.

— Ja mam zawsze jeszcze lat szesnaście—mówiła o sobie ze śmiechem, — i jestem tak młodą, tak młodą, że sobie saméj uwierzyć nie mogę! Patrzcie, ja nawet pudru nie używam, o!... nic, tylko zimna woda.

Z hygieną ciała łączyła hygienę duszy, starała się utrzymywać ją w jak największéj równowadze i spokoju, unikała wszelkich gwałtownych wzruszeń, chociaż lubiła uchodzić za bardzo uczuciową i wrażliwą.

— Boże, jak ja się zmartwień boję!...—powta-

rzała ze szczerością dziewczynki,—wszystko, byle nie zmartwienia!...

Miała przy tém jednak dobre serce i wesoły humor, którym ożywiała towarzystwa w salonie, utrzymując się na poły naturalnie, na poły sztucznie w roli ujmującéj trzpiotki.

Wszystko ją obchodziło, wszystko zajmowało, od brukowych nowinek do ploteczek *high-life*'u, który znała na palcach.

— Pani Voss, to żywy „Almanach de Gotha‘“— mówiono o niéj niby z uznaniem jej heraldycznych i rodowych wiadomości, a więcéj ze złośliwością względem téj „arystokratycznéj żyłki,“ która nie wiedząc zkąd się w niéj wzięła.

Dla niej to owa bliższa znajomość bratowéj z Łanieckimi, którzy byli spokrewnieni bezpośrednio z Zabiełowskimi, stanowiła wypadek tak wielkiéj wagi, że nie umiała się pohamować wobec obcych.

Od chwili, kiedy na jakimś balu publicznym Bernard przedstawił się pannie Toli i tańczył z nią kadryla, a następnie złożył Łanieckim wizytę w loży i został formalnie do nich zaproszony, Vossowa nie posiadała się z radości, snując od razu cały szereg kombinacyi, w których prześcigała nawet macierzyńskie marzenia swéj bratowéj.

Miała już cały plan ułożony i bodaj czy nie ona pierwsza głośno w rodzinie podsunęła myśl:

— Toby była w sam raz partya dla Bernarda!...

Ilekroć pomyślała o możliwéj koligacyi Sandsteinów z hrabiami Zabiełowskimi przez małżeństwo panny Toli, tyle razy zaczynała instynktow-

nie mówić po francuzku, jak urodzona arystokratka.

Był to w niéj niejako objaw odruchowy.

Czuła się wtedy sama tak *„bien née et bien elevée,“* jakby w jéj żyłach płynęła najbłękitniejsza krew koloru ultramaryny: była pewną, że przyszła na świat margrabianką i od razu powitała obecnych z najpiękniejszym paryskim akcentem słowami:

— *Bonjour mesdames!...*

Pani Eleonora wysławszy syna z salonu do męża z wiadomością, że ciocia Voss przyszła, chciała umyślnie przerwać rozpoczętą rozmowę na temat, który należał jeszcze do tajemnic rodzinnych.

Obecność kilku osób obcych, a zwłaszcza „salonowego fonografu“ w osobie pana Xawerego, krępowała ją w odpowiedziach na natarczywe zapytania pani Emilii.

Podniosła jeszcze wyżéj swoje łukowate brwi i ukradkiem skubnęła w łokieć Vossową, dając jej do zrozumienia, żeby tymczasem przeszła na inny przedmiot w rozmowie.

— Taka jestem zaniepokojona!...— zaczęła nagle, zwracając się do dyrektorowéj, — niech pani sobie wyobrazi, mam córkę w łóżku.

Panna dyrektorówna za siebie i za matkę zrobiła minę podwójnie zainteresowaną i współczującą.

— Resia leży? — zawołała Vossowa, — myślałam, że jest na ślizgawce.

— A właśnie ta ślizgawka wczoraj jéj zaszkodziła. Niech pani sobie wyobrazi — ciągnęła daléj, — co to za straszny wypadek!... ścigali się

z młodym Niesieckim na lodzie i oboje upadli, jak dłudzy. On Bogu dzięki, tylko przytomność stracił...

Panna dyrektorówna zakryła sobie oczy mufką z wyrazem takiego przerażenia, jak gdy patrzała w téj saméj chwili na straszną katastrofę załamania się lodu i utonięcia kilkudziesięciu łyżwiarzy; matka jéj poprzestała na omdlewającém przymknięciu powiek.

— No, Resi jakoś nic się nie stało, ale skarży się na ból w kolanie—dokończyła Sandsteinowa,—posłałam dzisiaj po Cieszyńskiego, i właśnie czekamy na niego, żeby co poradził.

Pani dyrektorowa wobec grozy wypadku zdecydowała się przerwać swoje uroczyste milczenie i wymówiła półgłosem jedno tylko słowo:

— Arnika...

Radzca z siwym kneblikiem uniósł się do połowy z krzesła i rzekł ceremonialnie:

— Proszęż moją kondolencyę wyrazić pannie Reginie.

Fonograf salonowy uznał za stosowne wtrącić swój tani dowcip w téj sprawie:

— Co prawda — rzekł, — dla panien większém niebezpieczeństwem jest osiadać na lodzie, niż upadać, ale co do téj pierwszéj ewentualności— dodał natychmiast z najsłodszym uśmiechem, - niéma tutaj żadnéj obawy.

Pani Eleonora, do któréj te słowa były skierowane, wzruszyła ramionami i odrzekła·

— Ach, nasza Resia jeszcze jest tak młoda!...

zresztą, co to o tém można wiedziéć w tych czasach...

W przyległym gabinecie dał się słyszéć głos starego Sandsteina, który wprowadzał do salonu mężczyznę w złotych okularach, słusznego wzrostu, bez wąsów i brody, z krótkiemi baczkami przy uszach, obrośniętych meszkiem siwiejących włosów, ze szpakowatą czupryną, poza którą przeświecała już łysina, zasłoniona od przodu dziwną bujnością zarostu.

Poważną, myślącą twarz o bardzo wyrazistych rysach i ciemnych, bystro patrzących oczach z pod grubéj brwi, rozpogadzał ugrzeczniony uśmiech, który miał jednak dość wybitny odcień pewności siebie i jakiéjś wyższości, spotykanéj u ludzi szczególniéjszéj inteligencyi.

Ubrany był w długi czarny surdut rozpięty, z pod którego pomimo zimowéj pory widać było wyciętą kamizelkę i śnieżnéj białości gors od koszuli, połyskujący perłowemi spinkami, gruby łańcuch złoty od zegarka, a na szyi w gruby węzeł związany czarny krawat atłasowy.

W jednéj ręce trzymał rękawiczkę i kapelusz, drugą opierał protekcyonalnie jakoś na ramieniu Sandsteina.

— Ach, konsyliarzu!... — zerwała się do niego z kanapy pani domu,—czekam, jak na szpilkach pańskiéj wizyty!... Widziałeś konsyliarz Resię?... Czy ona sobie tylko czego nie złamała?

Doktór lekkiém pochyleniem swéj pięknéj głowy filozofa lub uczonego, powitał wpierw wszystkich obecnych w salonie, damom podał rękę, jak

dobry znajomy i między jednym uściskiem a drugim, mówił:

— Właśnie wracam od panny Reginy!... Witam panią dyrektorowę!... bardzo dobrze, że pacyentka została dzisiaj w łóżku... Dzień dobry pani!... mam nadzieję, że... Dzień dobry radco!... żadnych to następstw nie pociągnie. Parę dni... A!... pan Xawery!... witam!... wystarczy najzupełniéj do wydobrzenia. Żadne ścięgno nie jest nadwerężone, opuchliny nie znać wcale... Czy witałem się z panią?... słowa te zwrócone były do panny dyrektorówny, drgającéj jeszcze, jak opuszczona sprężyna, po panieńskich ukłonach, składanych konsyliarzowi; — około soboty będzie mogła już tańczyć, zresztą pojutrze jeszcze odwiedzę pacyentkę.

Pani Emilia z miną kokieteryjnéj pensyonarki oparła się na ramieniu doktora i wspinając się do jego obrośniętego ucha, szeptem spytała:

— Oglądałeś konsyliarz kolanko Resi?..

Cieszyński uśmiechnął się pobłażliwie i odpowiedział:

— Miałem tę śmiałość z obowiązku.

— Ach, czego wam lekarzom nie wolno!... szczęśliwi ludzie.

Zrobiła jedną ze swoich filuternych minek, które miała starannie wystudyowane, a z któremi jéj podobno było bardzo do twarzy i dodała:

— To szczęście, że konsyliarz nie jesteś młodszy!... Ale, ale... co się dzieje z panem Stanisławem?... mógłbyś go pan choć na lekarstwo zapisywać nam od czasu do czasu.

— Mój syn pracuje teraz nad ważną sprawą.

— Czy nie małżeńską?...

— Nie jeszcze, szanowna pani; ma na głowie proces graniczny hr. Radoszkowskich... a że to pierwszy ważniejszy proces w jego zawodzie obrończym, więc przysiada fałdów, aby się dobrze z istotą sprawy obeznać.

— Co?... pan Stanisław został radcą prawnym Radoszkowskich?—przerwał z zajęciem Sandstein, widocznie uderzony tą wiadomością. — Powinszować, powinszować!... to świetna klientela.

Cieszyński z pewném ojcowskiém zadowoleniem podniósł głowę i rzekł:

— Tak, na początek to bardzo dobre zajęcie dla młodego prawnika. Cała rodzina Radoszkowskich, to od wielu lat moi pacyenci. Nieboszczyk hr. Karol tylko leczył się zagranicą i umarł w Meranie, ale to było od dawna do przewidzenia...

Wyjął swój duży złoty chronometr z emaliowanemi cyframi i urywając nagle, z tym samym ugrzecznionym uśmiechem, z jakim wszedł do salonu, zaczął się żegnać:

— Państwo wybaczą, czekają na mnie inne obowiązki.

Sandsteinowie doprowadzili gościa do przedpokoju.

— Więc z pewnością niéma najmniejszéj obawy?..

— Z wszelką pewnością. Panna Regina jest wprawdzie trochę skrofulicznego usposobienia —

dodał zniżonym dyskretnie głosem,—więc stłuczenie ważniejsze mogłoby wywołać mniejsze lub większe zapalenie, ale w tym wypadku nie zachodzi podobna ostateczność.

Wzmianka o skrofuliczném usposobieniu córki zasępiła czoło pani Eleonory.

— W lecie pojedziemy znowu do Iwonicza,—szepnęła, jakby do siebie na pocieszenie.

— A tak, należałoby pojechać... Żegnam szanownych państwa.

Sandstein własnoręcznie otworzył drzwi wychodzącemu Eskulapowi i prawie go na schody wyprowadził, powtarzając:

— A przyszlij-że nam konsyliarz swojego mecenasa. Kto wie, czy nie będę miał do niego także małego interesu, choć nie o proces graniczny.

Kiedy wrócił do przedpokoju, zastał tam jeszcze żonę, która przeglądała bilety wizytowe i listy, podane jéj na tacy przez służącego; spojrzał na nią znacząco i pociągnął za sobą do drugich drzwi, które prowadziły do bocznego gabinetu.

— Uważałaś? — spytał ze znaczącém spojrzeniem.

— Co takiego?

— Ten młody Cieszyński zaczyna robić karyerę!... Już go stary wkręcił do Radoszkowskich.

— Dobrze zrobił; skoro ma w tych sferach stosunki...

Sandstein niecierpliwie ustami mlasnął.

— A ty wiesz co to jest za proces tych Radoszkowskich?—spytał,—nie wiesz?... to ja ci powiem.

Jest to proces graniczny z Zabiełowskimi, który się ciągnie dwadzieścia kilka lat. Ja tę sprawę znam, bo mi kiedyś stręczyli majątek Radoszkowskich.

Sandsteinowa zmrużyła powieki, jakby sobie coś przypomnieć próbowała.

— No, no i co?...

— No i to, że jak Radoszkowscy wygrają, to Zabiełowskim nie dobrze się zrobi a i twoim Łanieckim skóra ścierpnie, bo przecież te Grzędy, o które właśnie chodzi, to jéj wieś posagowa. Cóż ty na to?... hm?...

— Dlaczego mają zaraz wygrać? — odrzekła pani Eleonora,—trzeba, żeby nie wygrali. Mogli dwadzieścia kilka lat nie wygrywać, mogą jeszcze poczekać.

Sandstein niechętnie ramionami wzruszył i ręce wkładając do kieszeni, mruknął:

— Kobieca filozofia!... w każdym razie bardzo niepotrzebnie w ten interes wdał się akuratnie teraz młody Cieszyński. On wygra, zobaczysz, że on wygra!... postawi się, aby się pokazać, bo to reklama dla adwokata.

Sandsteinowa zmarszczyła czoło i rozmyślała, a po chwili jakby więcéj do siebie, niż do męża, rzekła powoli:

— No, to może i nic nie zaszkodzi, jeżeli Zabiełowscy przegrają...

— Nie będą tak nosa zadzierali do góry, ale Łanieccy skapcanieją do reszty... Rozumiesz teraz?...

świój wskazujący palec i wydął dol- jakimś szczególniejszym grymasem, nadał wyraz wielkiego niezadowo-

o wracaj do salonu teraz, a mnie przyszlij kę do mego gabinetu, — zakończył tę poufną konferencyę, — i rozeszli się w przeciwne strony.

II.

Hr. Adam Zabiełowski, rodzony brat pani Heleny Łanieckiéj, ojciec dwóch synów dorosłych i córki na wydaniu, należał do starego rodu, mającego szerokie stosunki i znaczny niegdyś majątek, który był ważném dopełnieniem arystokratycznego tytułu.

Z czasem magnacka fortuna podupadła, rozdzieliła się na posagi, wyszczerbiła niepowodzeniami w latach nieurodzaju i klęsk agrarnych, a co najgorsza nie mogła się podnieść na nowo przez dziwactwo i konserwatyzm głowy rodu, hr. Seweryna Zabiełowskiego, ojca pani Łanieckiéj i hr. Adama, a dziadka panny Toli, pozostałéj po starszéj jego córce, zmarłéj w kilka lat po urodzeniu jedynaczki.

Hr. Seweryn był patryarchą rodziny, miał lat przeszło siedmdziesiąt i używał opinii starego kutwy i oryginała, który podobno siedział zawsze jeszcze na workach złota, ale utyskiwał na brak wszystkiego i nie chciał za życia swego oddać dzieciom całéj fortuny.

Jakby z obawy, aby go nie podglądano, trzymał się umyślnie zdaleka od syna i córki, mając ciągle

jakieś pretensye do zięcia, którego nie lubił, bo go „podskubywał“ nieustannie i wiecznie o nowe zasiłki, pożyczki, poręczenia i zaliczenia męczył.

— Łanieccy to moja przepaść! — powtarzał do hr. Adama, mającego szczególniejsze względy i szacunek u ojca dlatego, iż ożeniwszy się bogato, nie potrzebował jego pomocy i czekał spokojnie schedy, która mu jeszcze przypaść miała.—Ja już zabroniłem Maciejowi wpuszczać go do mnie!... Nie chcę, nie mogę się z nim często widywać. Mnie sam jego widok irytuje. Zawsze tylko kwęka i skomle, i wyrzeka, a temi lisiemi ślepiami patrzy mi w kieszeń, żeby co wyrwać. A z czego!... z czego ja mu mam ciągle pomagać?... Ty wiesz najlepiéj mój Adasiu, że u mnie bieda, nędza, pustki!... żyć wkrótce nie będzie z czego i z Maciejem pójdziemy obaj pod płot, na dziady.

Mówił to żałosnym tonem rezygnacyi, jak gdyby na prawdę wierzył w taką ostateczność i gotował się pójść o żebranym chlebie.

— Ty wiesz najlepiéj!—odwoływał się zawsze do syna, który w milczeniu potakiwał głową i ukrywał lekki uśmiech, słuchając tych ojcowskich jeremiad.

Stary hrabia mieszkał we własnym domu, zrujnowanym, nieodnawianym od kilku lat pod pretekstem, że nie przynosił takich dochodów, ażeby można było łożyć na jego konserwacyę.

Schody wyżłobione i ciemne, ściany brudne i zakurzone, podwórze wylane wprawdzie asfaltem, ale popękane i pokruszone w wielu miej-

scach, brama dzień i noc zamknięta, sprawiały wrażenie ruiny i pustki niezamieszkałéj.

Na oko wydwało się, jakby cały dom nie miał ani jednego lokatora.

Głucha cisza panowała zawsze w téj szaréj, ponuréj, niemiłego wyglądu kamienicy, stojącéj przy jednéj z bocznych ulic miasta.

Rządzca domu miał surowo zabronione wynajmować lokale rodzinom, mającym małe dzieci lub liczną służbę, więc bardzo często mieszkania stały niezajęte, zwłaszcza większe apartamenta na drugiém piętrze, nad mieszkaniem samego gospodarza, który umyślnie mieścił się w jednym gabinecie i w stołowym pokoju od dziedzińca, zamknąwszy resztę salonów, sprawiających wrażenie składu mebli, przeznaczonych na licytacyę.

Kanapy, krzesła, fotele, stały tu zawsze w pokrowcach, stoły ponakrywane szarém płótnem lub prześcieradłami, lustra bibułą i organtyną obciągnięte, obrazy zasłonione gazetami lub zielonym perkalem, dywany pozwijane stały w kątach lub leżały pod ścianami; tu i ówdzie tylko wyglądał jakiś sprzęt kosztowny, świecący bronzowemi ozdobami, albo płytą marmuru, albo złoceniami, które tworzyły jaskrawy kontrast z całém otoczeniem.

W zimie dla oszczędności, zamykano zupełnie resztę hrabskiego apartamentu, aby nie palić nadarmo w piecach i drzwi od salonu zawieszano grubym wojłokiem, który chronił od przeciągów i zimna, wiejącego z nieodwiedzanéj pustki.

— Ot, ja już nie mam za co w piecu przepalać! — skarżył się synowi hrabia, — sprawiłem sobie

umyślnie berlacze, aby mi nogi nie kostniały, bo tu wieje tak ze wszystkich stron, jak na strychu; trzeba będzie na wiosnę opatrzéć trochę podłogi, drzwi i okna, ale to koszt, koszt!... a tu niéma z czego.

— Ja papie przyszlę wagon węgla,—ofiarował się hr. Adam.

— Ba, kiedy jeszcze piece nie przerobione; ja drzewem ciągle palę, po staroświecku. To drożéj podobno, ale zdrowiéj.

— To niech papa pozwoli służyć sobie drzewem na zimę; u mnie tego dość przecie...

— E, nie kochanku, nie, daj pokój!... Nie mam gdzie trzymać... rozkradną... Maciéj nie upilnuje, cały dom będzie potém palił moim kosztem... Daj pokój. Ja już jakoś to przecierpię do wiosny. Żeby mię tylko ten Łaniecki nie nachodził!...

Wzmianką o zięciu kończyły się zawsze utyskiwania na wszystko.

— Ach, ten Łaniecki, ten Łaniecki! to mój koszmar, moja pijawka, ja przez niego choruję, mój drogi.

Potrząsał swą piękną jeszcze, siwą zupełnie głową i zamykał duże, niebieskie, wybladłe już trochę oczy, zaciskając mocno powieki, jak gdyby mu samo wspomnienie zięcia fizyczny ból sprawiało.

W młodości hr. Seweryn uchodził za jednego z najprzystojniejszych mężczyzn swojéj epoki i pamiętał o tém dobrze w czasach, gdy się jeszcze udzielał światu i bywał na salonach, ale zerwawszy nagle z towarzystwem, zamknął się najpierw u siebie na wsi, późniéj w mieście, zdziwaczał i długi czas uchodził za mizantropa.

Opowiadano o nim rozmaite historye, które jednak ze względu na hr. Adama przygłuszano dyskretnie; wiadomém było, że ów przełom w życiu eleganckiego światowca, mającego piękne imię, znaczny majątek, nastąpił wkrótce po zerwaniu z żoną, która wyjechała — podobno nie sama—za granicę i tam pozostała aż do śmierci, przebywając w Szwajcaryi i we Włoszech, nie zaglądnąwszy ani razu do kraju.

Złe języki utrzymywały, iż pani hrabina porzuciła męża i że w téj tajemniczéj sprawie krył się jakiś familijny skandalik, którego nie chciano rozmazywać przez wzgląd na córki i syna; to nawet przyczynić się miało w znacznéj części do „mezaliansu,“ jak swego czasu nazywano małżeństwo hrabianki Heleny Zabiełowskiéj ze zwyczajnym szlachcicem bez wszelkiego tytułu, jak im był Jan Chryzostom Łaniecki.

Wiedziano przecież, że przedtém hrabianka była już prawie zaręczona najformalniéj z kim innym, ale właśnie skutkiem owego zagadkowego wyjazdu matki, małżeństwo to nie doszło do skutku.

Przez lat dwadzieścia miano dość czasu zapomniéć o téj całéj sprawie i zapomniano.

Hr. Adam, pomimo swoich lat czterdziestu kilku zawsze jeszcze w rodzinie i w kołach swoich przyjaciół krótko Adasiem nazywany, większą część roku spędzał w podróżach, za granicą, lub u siebie na wsi o tyle, o ile tego nieodzownie interesa majątkowe wymagały.

Z siostrą i szwagrem widywał się rzadko, stosunki utrzymywał ceremonialne, bo podzielał

uczucia ojca względem Łanieckiego, którego łaskawie znosił tylko w swym rodzie.

Traktował go zawsze z pewną wyższością i lekceważeniem, podrwiwając z niego trochę, co Jana Chryzostoma do wściekłości głuchéj doprowadzało, ale nie do wybuchu; bał się narazić jeszcze bardziéj bratu żony, który miał w rodzinie głos bardzo ważny i mógł mu być kiedyś pomocnym.

Hr. Adam wprawdzie powiedział mu pewnego razu otwarcie i stanowczo:

— Niech pan szwagier na darmo nie przysparza sobie zawodów, licząc na moję kasę, bo nie dam ani grosza. Helenka dostała swój posag, macie własny majątek; radźcie sobie; dzieci nie macie, a Tola przecież jest zabezpieczoną, bo ma schedę po matce.

Wspomnienie o Toli i jéj zabezpieczeniu zamykało usta Łanieckiemu; krzywił się wtedy najbardziéj i zmrużał oczy, jak gdyby mu drzazgi pod paznogcie wbijano.

Przypomniało mu to, że był niestety! opiekunem téj schedy, którą mu niebacznie razem z siostrzenicą żony poruczono przed laty kilkunastu.

Stary hrabia nie lubił wnuczki; przypominała zanadto z rysów, z brzmienia głosu, z całéj postawy babkę z jéj panieńskich czasów.

To go drażniło, budziło w starcu jakieś przykre wspomnienia i uprzedzało niechętnie dla Toli; w jéj obecności wydawał się niespokojnym, zakłopotanym, unikał jéj spojrzeń i tylko bokiem z pod oka zwykł był spoglądać na nią z pochmurną mi-

ną; stawał się mrukliwym i nieprzystępnym jeszcze bardziéj.

To podobieństwo działało mu na nerwy.

Panna Tola czuła to dobrze i nie lubiła nachodzić dziadkowi na oczy; ograniczała téż swoje odwiedziny tylko do ostatniéj konieczności.

„Odrabiała pańszczyznę,“ jak mówiła, idąc do dziadzi, aby mu składać życzenia, albo dowiedziéć się o jego zdrowie, ilekroć z Łanieckimi przyjeżdżała do miasta.

To zdrowie było dla starego hrabiego przedmiotem największéj troskliwości; im bardziéj przygniatał go ciężar sędziwych lat, tém więcéj dbał o siebie i tém bardziéj obawiał się śmierci, któréj myśl sama zdolna była zamącić mu spokój i równowagę.

Nie lubił o tém mówić otwarcie, ale ze szczególniejszém zajęciem przeglądał nekrologię w „Kuryerach“ i kontrolował listę nieboszczyków.

Nie sprawiało to na nim wrażenia, gdy umierali młodsi od niego; pochmurniał tylko i twarz jego przybierała wyraz dziwnie frasobliwy, gdy mu się zdarzyło znaleźć ogłoszenie o śmierci ludzi w jego wieku.

Wtedy, nie odrywając oczu od dziennika, mówił do swego zaufanego kamerdynera:

— Patrzaj Macieju!... wyniósł się jakiś Kalinowski January, emeryt, lat siedmdziesiąt cztery; znałeś może?...

— Nie, proszę pana hrabiego, — odpowiadał stary sługa, udając, że sobie przypomina wszystkich żyjących emerytów.

— Strach, jak ludzie umierają!...

— A no, wola Boska, każdemu termin wyznaczono.

— Mój drogi głupi jesteś,—obruszał się hrabia,—i te gazeciska także głupie. Potrzebują to drukować, kto umarł?... co to kogo obchodzi!... Od tego są przecież klepsydry na ulicach. Nie mogliby to lepiéj ogłaszać, kto się komu urodzi, prawda?—to weselsza nowina. Pójdziesz do Kuryera i powiesz, żeby go nam więcéj nie przysyłali, rozumiesz?...

Podpierał brodę na ręku i myślał, albo brał ze swego biurka małe lusterko w srebrnéj oprawie i przyglądał się w niém uważnie, badając swoją cerę, oczy, język, podnosił sobie powieki, wyszczerzał dziąsła i szukał najlżejszych objawów niedyspozycyi.

— Macieju, ja przecie dziś dobrze wyglądam, prawda?—pytał z zajęciem.

— Jak samo zdrowie.

— Jak samo zdrowie, powiadasz?... spluń mój drogi trzy razy, spluń zaraz. Na psa urok!...

Twarz mu się rozpogadzała, podkręcał siwe wąsy i prostował zaraz pochylone nieco barki; zdawało mu się, że odmłodniał.

Nic go w tak dobry humor nie mogło wprowadzić, jak znaleziona w pismach wiadomość o czyjéjś długowieczności.

— Patrzaj-no smarkaczu — mówił żartobliwie do służącego, który był o jakieś piętnaście lat od niego młodszy, — w Domu inwalidów w Paryżu

jest jeszcze trzech weteranów, którzy mają po jedenaście krzyżyków każdy.

Maciéj z niedowierzaniem pokręcał głową.

— Być nie może!

— Głupiś, mój drogi!... dlaczego być nie może?... Mają dziesięć krzyżyków na plecach, a jedenasty na piersi.

— Niby jak to pan hrabia rozumie?

Hrabia się uśmiechnął filuternie, kontent z własnego dowcipu.

— Oj ty pusta głowo!... taki to baran z ciebie?... no, mają po sto lat i legię honorową... Jeszcze nie rozumiesz?...

— Ah, tak!... prawda, prawda, to razem i jedenaście krzyżyków, prawda. Bo to pan hrabia zawsze tak powie, jakby szaradę układał!...

— A ty do szarad, jak wół do karety, co?...

Z dobrym humorem przychodził hrabiemu pański rezon; lubił wtedy udawać trochę łaskawego despotę i zniżał się do poufniejszéj rozmowy z tym „bałwanem Maciejem,“ który po całych dniach i miesiącach bywał jego jedyném towarzystwem.

Dawnemu światowcowi wystarczało to obecnie na stare lata; nie pragnął nikogo więcéj, a obcych twarzy nie lubił i unikał.

Jedyny hr. Adam miał ten wyjątkowy przywiléj, że mu wolno było wchodzić do ojca o każdéj porze bez poprzedniego zameldowania się; wszyscy inni musieli wpierw zapytywać, czy przyjmuje, albo kiedy pozwoli się odwiedzić.

Stosowało się to szczególnie do Łanieckich.

O ile zaś hr. Adam bawił w mieście, zaglądał

przynajmniéj dwa razy w tygodniu do papy, nie tyle przez przywiązanie synowskie, ale dla rozmaitych spraw wspólnych, które ojca z synem wiązały.

Pewnego dnia stary hrabia, czując się w wyjątkowo dobrém usposobieniu, zaproponował synowi kieliszek Madery i ostrożnie wysunąwszy boczną szufladę w biurku, grzebiąc w niéj długo i tajemniczo, wyjął nakoniec hawańskie cygaro, które mu ofiarował w dowód szczególniejszéj gościnności.

— Usiądź jeszcze i zapal—odezwał się, zatrzymując go przy swoim fotelu;—Maciéj znalazł tam gdzieś przypadkiem jakąś starą butelczynę wina w naszéj piwnicy, sam nie wiem, skąd się wzięła, — ot, wypijemy po kieliszku. To rozgrzewa na takie zimno, a podobno mróz dzisiaj duży. Duży?... co?... bo ja teraz nawet na spacer już nie wyjeżdżam. Wyobraź sobie, mój drogi, koń mi okulał. Słyszałeś?...

Syn uśmiechnął się ironicznie.

— Czy to z tych karych?—zapytał.

— Wiesz przecie najlepiej, że innych nie mam.

— To one jeszcze mogą zakuléć?...

— Jakto, mój drogi?...

— Myślałem, że takie stare szkapy dawno już chodzić przestały. Ja się dziwię, że papa odważa się wyjeżdżać niemi z domu: przecież to gotowo paść kiedy na bruku.

Stary aż ręce podniósł do góry.

-- Dajże pokój, gotóweś wymówić w fatalną chwilę. Spluń mój drogi, spluń zaraz!... a cóżbym ja zrobił bez moich karych?... przyszłoby chodzić

pieszo na tych moich biednych nogach. Ty wiesz najlepiéj, że ja mam przecie artretyzm.

— Niezdecydowany.

— Najzupełniej!... doktor mówił, jak cię kocham;—artretyzm.

— To pocóż ojciec pije Maderę?...

Stary hrabia się zastanowił.

— Nie można pić?—szepnął skonfundowany, — e!... kropelkę... to mi dobrze robi. Myślisz, że mogłaby mi zaszkodzić?... chyba nie?

Skrzywił się, usta wydął, oczy zamknął, ręce splótł i posmutniał.

— Ach, mój drogi, mnie nic tak nie szkodzi, jak ci Łanieccy — dodał, zmienionym nagle głosem, przechodząc do swego najdrażliwszego tematu.

Hr. Adam brwi ściągnął niechętnie, jak gdyby sobie coś bardzo nieprzyjemnego przypomniał.

— A właśnie; dobrze, że papa o nich zaczął,— rzekł, poprawiając się na krześle z miną spochmurniałą i niezadowoloną.—Miałem papie o nich coś powiedzieć.

Stary hrabia otworzył szeroko oczy i niemal wystraszony spojrzał na syna, przerywając mu żywo:

— Mój drogi, byle tylko nie co złego... ja już mam tego po uszy.

Odsunął się z fotelem i głowę odwrócił do ściany; syn nie zważając na to, mówił daléj:

— Przyjechali tu na całą zimę.

— Na całą zimę?... bój się Boga!...

— Mają zamiar urządzić się i dom otworzyć.

— Dom?... na co?... dla kogo?...

— Powiadają, że dla Toli. Panna dojrzała... trzeba ją wprowadzić w świat.

Wspomnienie wnuczki podziałało na dziadka, jak gdyby mu za kołnierz zimnego piasku nasypano; niespokojnie zwrócił oczy na syna i nalegał niecierpliwie:

— No i co, i co?... może znowu zechcą pieniędzy?... ja nie mam, nie dam... Ty wiesz najlepiéj, że nie mogę... nie dam!

Powiedział te ostatnie słowa z komicznym niemal uporem, który wywołał ów zwykły, ironiczny uśmiech na ustach hr. Adama.

— Po co im się zachciewa miasta? — zrzędził daléj stary hrabia,—w ciągu roku szósty raz już przyjeżdżają... Czy im tak źle w Grzędach?... mogliby sobie siedziéć, jak u Pana Boga za piecem.

— No, nie bardzo—wtrącił syn,—zapomina papa, że mają Radoszkowskich na karku.

— To i cóż?... głowy im nie zdejmą. Dwadzieścia kilka lat im tak siedzą i dobrze.

— Tak, ale teraz może być źle.

— Dlaczego?...

— No, bo proces przechodzi ostatnią instancyę i można go przegrać.

— Zkądże wiesz?...

— Od mego adwokata, który sprawę prowadzi i nie tai niebezpieczeństwa.

Stary obie pięście zacisnął i w stół niemi uderzył.

— Masz tobie! jeszcze mi tego potrzeba! — po chwili zaś jakby do siebie dodał umitygowany:— co prawda, to nie łatwo było wygrać tę sprawę;

przecież to jeszcze ja z nimi zacząłem się włóczyć po sądach, zanim Grzędy weszły do posagu Helenki. Ale wszystko jedno, to... to jeden powód więcéj, aby siedzieli na wsi, a nie na bruku. Tu życie drogie, wszystko droższe, na co im tego!...

Znać było, że chciałby się był córki i zięcia pozbyć jak najprędzéj z miasta.

— Powiadam papie — Tola; dla niéj to robią, szukają stosunków, znajomości, nowych domów, chodzą na bale, na opery.

— Co?... co?... co?... na bale chodzą, mój drogi?...—poderwał ojciec, przybity tą wiadomością;—seryo mówisz?

— Najzupełniej. Ostatecznie nie byłoby w tém znowu nic złego, trzeba żyć jakoś, ale główna rzecz, aby wiedzićć z kim się żyje, nie pospolitować się zanadto, choć się jest tylko jakimś Łanieckim. Ta poczciwa Helenka miała zawsze trochę głowę przewróconą i ślepo szła za mężem, ale nie przypuszczałem, żeby aż do tego stopnia... Czy papa zgadnie, w jakie sfery on ją wprowadził?

— No?... nie mam wyobrażenia. Zkądże mam wiedzićć? nie bywam nigdzie, nie słyszę nic...

— Wynalazł jéj świetny dom państwa Sandsteinów.

— Cóż to takiego?

— Finanse.

— Żydzi?...

— Gorzéj.

— Gorzéj?... bój się Boga!

Przysunął się do syna z fotelem i ręce mu na kolanach położył.

Hr. Adam głowę na ramię przechylił i z wyrazem dziwnego lekceważenia, jakby odrazy, z naciskiem przewlekając każdą zgłoskę, wymówił to słowo:

— Mechesy!...

Patrzał, jakie to wrażenie sprawi na ojcu, ale ten nie objawił najmniejszego zdziwienia, twarz jego przybrała nawet wyraz spokojniejszy, jakby przed chwilą coś gorszego spodziewał się usłyszéć; nie żachnął się, ani oburzył, tylko zamyślił i pykając ustami, spytał z zajęciem:

— A bogaci?...

Hr. Adam porwał się z siedzenia, jak gdyby go to zapytanie ukłóło w najdraźliwsze miejsce.

— Zdaje mi się, papo—rzekł po chwili, hamując widocznie niezadowolenie, — że to rzeczy nie zmienia. Bogaci, czy nie bogaci, zawsze to tylko Sandsteiny i nic więcéj. To jeszcze nie powód, aby ubierać ich salony swoją osobą, przyjaźnić się z nimi, bywać u nich na balach, jeździć z nimi w powozie i żyć za pan brat.

Stary hrabia, ramiona podniósł jak puszczyk, ręce wsadził w kieszenie i wyciągnął się na fotelu.

— No, zapewne — wtrącił ze śmiechem, ale znać było, że się tak gorąco, jak syn, tą sprawą nie przejmuje;—mój drogi, z jakimi ja ludźmi musiałem w życiu przestawać!... Rozmaicie się zdarza, zwłaszcza teraz; czasy inne, wybierać tak znowu niéma w czém... Nastraszyłeś mnie trochę,

mój drogi. Ja po Łanieckim wszystkiego się już spodziewam. Myślałem, gdy zacząłeś, że...

Hr. Adam stanął na środku pokoju i podrażniony przerwał ojcu:

— Przyznam się szczerze, iż téj filozofii nie rozumiem. Spodziewałem się nawet, że ten stosunek kochanego szwagierka, wyda się papie tak samo, jak mnie, bardzo niestosownym i że obaj poszukamy jakiegoś sposobu, aby panu Łanieckiemu przypomnieć, jakie ma obowiązki względem rodziny, do któréj nieszczęśliwym trafem się dostał. Z mojéj strony powiedziałem już Helence kilka słów prawdy i przemówiłem się z nią nawet dość ostro. Nie podoba mi się to, aby moja rodzona siostra paradowała po żydowskich salonach i zadawała się z plutokracyą.

Hrabia, nie zmieniając pozycyi, dość obojętnie zagadnął syna:

— Mówiłeś przecie, że to przechrzty!

— No to i cóż?... nie było czasu, aby na nich woda święcona przyschła... Daję słowo, że nie poznaję papy. Zbytek tolerancyi!...

Wziął ze stolika rękawiczki duńskie i zaczął je nakładać szybko, wzburzony i podrażniony.

Stary hrabia wodził za nim oczyma i zdawało się, że ma uśmiech ukryty pod wąsem.

— Bo to ty, mój Adasiu, jesteś za gorąco kąpany—zaczął po chwili,—uprzedzasz się zawcześnie. Cóż ci odpowiedziała?...

— Kto taki?...

— No, Łaniecka; musiała się tłómaczyć?

— Powiedziała mi to, co zwykle, ażebym z Ja-

siem jéj o tém pomówił, bo ona robi to tylko, co on uzna za stosowne, a Jaś wie, co robi, chociaż się to nam może niepodobać. Cóż to, papa nie zna Helenki i nie widzi, jak jest przez męża zawojowaną? Więcéj mu wierzy, niż nam wszystkim. Niech sobie papa wyobrazi, do tego doszło, iż mnie anti-semitą nazwała!... to paradne. Jak gdyby mnie co takie socyalne doktryny obchodziły!... Ja tam nie pytam, jak oni to nazywają, co ja czuję dla żydów, wiem tylko, że mam do nich pewną idyosyi krazyę, tak, jak nie lubię faszerowanéj ryby, choć to podobno smaczna rzecz, i nie znoszę wszystkiego, co zdaleka zatrąca... cebulą.

— Nie lubisz ryby po żydowsku?—przerwał mu ojciec ze śmiechem, który brzmiał szczególniéj jakoś w jego ustach,—no, tego się nie jada w salonie, ale gdzieś w karczmie... po polowaniu, na popasie... Daję słowo, to gust wulgarny, ale ja to lubiłem przy okazyi, rzadko, dla osobliwości, ale jak cię kocham—jadłem nawet ze smakiem.

— Co téż papa mówi?...

— Nie wierzysz?... zresztą kto to wie, mój drogi, czy w tym zwyrodniałym smaku moim nie jest jakiś drobny ślad tego... tego... co to atawizmem nazywają.

Hr. Adam skrzywił się, jakby mu we wszystkich nerwach strzyknęło.

— Ach, papa znów zaczyna ze swemi żartami!... Mamy, Bogu dzięki, krew czystą od tylu pokoleń, i nie rozumiem, jak można nawet dla dowcipu...

Starego ta zaperzona mina syna w coraz lepszy

humor zdawała się wprowadzać, śmiał się i powiekami łypał z zadowolenia.

— No, no, przecie ja to mówię na cztery oczy, ale pamiętaj, co stryj Atanazy o téj genealogii Zabiełowskich wygadywał, kiedy wpadł w pasyę. Ta cała historya z naszą babką, która była baronówną, ma jakąś plameczkę, — malutką, ale ma. Widzisz, mój drogi, ja tego nie powtórzyłbym za nic w świecie nikomu obcemu, ale tobie na cztery oczy... che, che, che!... to mówię. Czegoż się masz zaraz gniewać?... przecież to sekret familijny. A czy ty myślisz, że tylko pod naszą dziewięciopałkową koroną znaléźćby się mógł jakiś strzępek jarmułki?... ho, ho!... możeby i pod innemi gorsze rzeczy się znalazły...

— Ach, proszę ojca!... wszystko ma swoje granice,—prawie surowo ofuknął starego hr. Adam.—Nie pojmuję doprawdy tego tonu, jakim papa traktuje dziś nasze najdraźliwsze sprawy... Chyba dlatego, aby mnie jak najprędzéj ztąd wypłoszyć, w takim razie...

Ojciec szybko się podniósł z fotelu i ręką zatykając sobie usta, z tłumionym jeszcze śmiechem zawołał:

— No, już sza!... ani mru-mru!... milczę, jak ryba faszerowana,—dorzucił, jakby tém porównaniem chciał jeszcze raz podraźnić syna, ale ten zwrócił się ku drzwiom ze słowami:

— Żegnam papę.

— Czekajże jeszcze!...

— Nie mogę tego słuchać dłużéj... śpieszę się.

— Mój drogi... jeszcze chwilkę, pomówimy o interesach.

— Innym razem.

Stary się za boki wziął, nie mogąc dłużéj powstrzymać śmiechu, który nim wstrząsał.

Hr. Adam wybiegł od ojca zirytowany i zły, wskoczył do karety czekającej na niego przed bramą i zatrzasnął za sobą drzwiczki, że omal szyba nie pękła.

To przypomnienie plotki, która przed laty wzięła się w ich rodzinie o zanieczyszczeniu błękitnej krwi Zabiełowskich przez jakąś podejrzaną domieszkę z łaski jednego z nieostrożnych przodków, wzburzyła go do głębi.

Wiedział o tém, że ów wspomniany stryj Atanazy miał pasyę wygadywać niestworzone rzeczy na własny ród, ale to był czerwony liberał, który się popisywał jakby z umysłu ze swemi krańcowemi pojęciami i uchodził za przewróconą głowę, za farmazona, oryginała, dokuczliwego pseudo-weredyka, który lubił psuć krew drugim i nie oszczędzał najbliższych. Umarł, jako stary kawaler, a po śmierci kazał wydać broszurę o „degeneracyi rodów arystokratycznych“ i rozesłać ją według pozostawionej listy swoim licznym krewnym, przyjaciołom i znajomym.

Swego czasu narobiło to wiele wrzawy, jako dziwactwo pośmiertne „maniaka,“ ale egzemplarze broszury zniknęły gdzieś bez śladu i chyba jako białe kruki bibliograficzne znajdować się jeszcze mogą w posiadaniu tych, którzy z oburzeniem téj „zagrobowéj pamiątki,“ jak ją sam autor w dedy-

kacyi nazwał, w ogień nie wrzucili po przeczytaniu.

Długo domyślano się na próżno, ktoby mógł być wykonawcą tego oryginalnego pomysłu nieboszczyka, kto zajmował się właściwie drukiem pozostałego rękopisu i rozesłaniem egzemplarzy według wskazówek autora, aż wreszcie podejrzenie, i słuszne zresztą, padło na młodego człowieka, który był wychowańcem hr. Atanazego, a pod koniec życia czémś w rodzaju jego sekretarza.

Przypomniano sobie w porę, że ten Żegota Kulisz, którego widywano nieraz w towarzystwie hrabiego, był kawałem literata, wielkim ulubieńcem swojego opiekuna i podobno człowiekiem bardzo inteligentnym, ale wyglądającym na wielkiego demokratę, przynajmniéj z powierzchowności; nosił długie włosy i miał fizyognomię Brutusa w młodości, z tą pociągłą, chudą twarzą o oliwkowéj cerze, czarnych, iskrzących oczach, głęboko osadzonych pod gęstą brwią czarną, znamionującą energię, a między brwiami pionową fałdę, która się nigdy nie wygładzała.

Dowiedziano się, że hr. Atanazy zostawił u niego wiele innych jeszcze rękopisów i monografii, któremu oddał na własność, razem z bardzo ładną biblioteką, licznym zbiorem listów i autografów, w których podobno miał się znajdować bogaty materyał do studyów nad genealogią wielu głośnych i znakomitych rodów; nieboszczyk ze szczególniejszém zamiłowaniem tém się zajmował.

Przez pewien czas Kulisz uchodził za bardzo ciekawą z tego względu osobistość w sferach ary-

stokratycznych; próbowano go wciągnąć do salonów i wybadać go zblizka; ale młody człowiek wymykał się ze wszystkich zasadzek, unikał stosunków towarzyskich i zachowywał głębokie milczenie.

Spuścizna zmarłego dziwaka i erudyta dostała się zatém w pewne ręce, ale ten wzgląd właśnie niepokoił strony interesowane, które jak hr. Adam, poczuwały się w głębi duszy do jakiéjś malutkiéj „plameczki“ na swojém drzewie genealogiczném.

Bóg wie, co tam wszystko w owych tajemniczych materyałach, zbieranych tak skrzętnie przez starego „maniaka“ mogło się znajdować u jakiegoś Kulisza, gryzypiórka, indywiduum nie bardzo pewnego!...

Gdyby mu się spodobało kiedy być niedyskretnym i złośliwym na wzór swego opiekuna i zachciało ogłosić drukiem posiadany materyał, mógłby był niedźwiedzią przysługę oddać nie jednéj arystokratycznéj rodzinie.

Ale na to jakoś się nie zanosiło; zagadkowy depozyt pozostawał w ukryciu, schowany w tekach i szufladach, pokryty z czasem bibliotecznym kurzem w skromnéj izdebce cichego literata i powoli zaniepokojenie minęło.

— Ten Kulisz, to człowiek z tęgą głową, — mawiał hr. Seweryn o wychowanku swego brata — ale ja go nigdy dobrze przejrzéć nie mogę. Zamknięty, jak gliniana skarbonka; trzebaby ją rozbić, aby się dowiedziéć co w niéj jest i ile się nazbierało. Jedno mi smak psuje do niego, że siedział parę lat u Łanieckich!...

Był bowiem czas, kiedy dorastającą pannę Tolę Kulisz uczył historyi i literatury, i przez dwa lata prawie siedział w Grzędach, jako guwerner. Po powrocie ze wsi „belferował“ daléj obok zajęć literackich, jak się wyrażał o nim hr. Adam, który w gruncie czuł niechęć i miał uprzedzenie do wydawcy „broszury skandalicznéj“ nieboszczyka stryja, nie uwzględniając, iż młody człowiek wypełniał tylko włożone nań przez opiekuna zobowiązanie.

Ilekroć Łanieccy przyjeżdżali do miasta, za każdym razem dawny guwerner panny Toli, — przez wzgląd na stosunek z hr. Atanazym uważany jakby za należącego potroszę do rodziny,—odwiedzał ich i bywał szczególniéj przez dawną uczennicę mile widzianym gościem.

Miała z nim wiecznie swoje „konszachty,“ według wyrażenia ciotki.

— Bo ja téż pana Żegotę uważam zawsze jeszcze za swego nauczyciela, — usprawiedliwiała się Tola ze śmiechem — nie dokończył mojej nauki i dlatego musi mi dodawać opuszczone lekcye — gratis. Prawda panie, że ja coraz mniéj rozumiem mnóztwo rzeczy, im bardziéj mi wieku przybywa? — dlatego coraz więcéj mam panu pytań do zadawania i coraz więcéj kwestyi mi się nasuwa, których sama rozwiązywać nie umiem!...

Kulisz patrzał na nią zawsze z pewną mieszaniną pobłażliwości i sympatyi, ale przyglądał się jéj z tém zajęciem bacznego obserwatora, który studyuje jakiś rzadki osobnik i nie jest zupełnie pewnym co do ostatecznych wniosków.

Znać było w tym stosunku nauczyciela do byłéj uczennicy z jego strony wielką życzliwość, z jéj zaufanie i szacunek dla umysłowéj wyższości, którą w nim oceniać umiała.

Nazywała go nie darmo swoim jedynym przyjacielem i powiernikiem, mówiąc mu w oczy:

— Pan jesteś jedynym człowiekiem, przed którym nie wahałbym się wyspowiadać, jak przed księdzem, tylko ja panu nic takiego powiedziéć nie mogę, czegobyś wpierw nie odgadł, popatrzywszy mi prosto w twarz. To szczególne, żeby ktoś tak umiał czytać w czyjéjś duszy i w cudzych myślach!... mnie się niekiedy zdaje, że pan musisz słyszéć, jak trawa rośnie i widziéć przez mury, jak czarownik... Wie pan, że ja się pana czasami boję.

Zasłaniała sobie oczy i przez palce spoglądała na niego pół żartem a pół seryo, udając wystraszoną.

W dniu, w którym hr. Adam stoczył pierwszą utarczkę z siostrą z powodu nawiązania nowych stosunków w sferze tak dla niego antypatycznéj, panna Tola, która z drugiego pokoju wysłuchała całéj rozmowy wuja z ciotką, wysłała przez służącą bilecik następującéj osnowy pod adresem Kulisza:

„Drogi Panie! Zebrało się tyle myśli w téj mojéj biednéj ciasnéj głowie, że albo będę się musiała wypłakać po cichu, albo wygadać głośno przed kimś dobrym i bardzo mi życzliwym.

„Ponieważ płakać mi nie wolno, jak pan wie, bo wszyscy w domu usmarzyliby mnie na wolnym

ognìu za to, że sobie oczy psuję (a one podobno są najpiękniejszą rzeczą, jaką posiadam), przeto muszę z panem pomówić koniecznie.

„Przyjdź pan do nas o szaréj godzinie dzisiaj lub jutro, a zrobisz dobry uczynek: lepiéj dzisiaj, bo ciocia wychodzi na *five-oclock* do swoich nowych znajomych i będę samą. Możemy swobodnie pogawędzić.

„A przyrzekł mi pan przynieść „Żyda“ Kraszewskiego?... przypominam tę obietnicę, bo mnie ta powieść teraz bardziéj, niż kiedykolwiek, zaciekawia.

„Zatem do widzenia, bez zawodu!... nieprawdaż?

„*Tola.*“

Skutkiem tego zaproszenia, około piątéj po południu Kulisz siedział już w saloniku Łanieckich, naprzeciw swéj dawnéj uczennicy i motając na palcu z przyzwyczajenia swój wąs z lewéj strony, słuchał z powagą, oparłszy głowę na dłoni, nie spuszczając oka z dziewczyny.

— Mój panie, co oni ze mną robią?... co z tego wszystkiego będzie?... — pytała Tola, zakładając ręce na piersiach,—czy pan nie słyszał jeszcze, że mnie swatają? Od czasu, jakeśmy ze wsi przyjechali, chwili nie mam wolnéj, a uszy ciągle pełne. Uwzięli się, aby mnie zamęczać!..

Otrząsnęła się, jak gdyby ze wstrętem.

— Od rana do nocy powtarzają mi tylko jedno i jedno: „Zrobiłaś konkietę,“ — „Kocha się w tobie.“ — „Cudowna partya!...“ zdaje mi się, że tu wszyscy dokoła starają się wmówić we mnie, że

tylko po to na świat przyszłam, aby zostać żoną pana Bernarda Sandsteina.

Kulisz spokojnie głowę podniósł, przetarł swoje szerokie czoło dłonią i spytał:

— A cóż pani na to?...

— Ja?... ja się buntuję, — odpowiedziała i wyprężona podniosła się z kanapy z oczyma roziskrzonemi i z żywym rumieńcem na licach.

— A on?...

— Co za on?...

— Pan Bernard.

Wzruszyła ramionami.

— A cóż mnie on obchodzi!... staram się go nie widziéć, odwracam oczy: nie słyszę, kiedy do mnie mówi; nie uważam, kiedy przystępuje. Zdaje mi się, że robię mu impertynencye niekiedy, gdy jestem za bardzo podrażnioną; ale to nie moja wina. Nie mogę się przemódz, to nad moje siły!...

Zaczęła się przechadzać po saloniku z rękoma skrzyżowanemi na piersiach.

— Wié pan, że gdyby mi go tak nie narzucali,— zaczęła po chwili—możebym inaczéj na niego spoglądała, z większém przynajmniéj zajęciem. Człowiek młody, przystojny, zdaje się nawet, że dobry, ale go nie chcę!.. nie, nie i nie!.. On to musi odczuwać, bo jest zawsze przy mnie tak onieśmielony, jak student. Jąka się, gdy ma przemówić, rumieni się, jak pensyonarka, kiedy na niego przypadkiem spojrzę i robi na mnie wrażenie takiéj saméj umęczonéj ofiary, jaką ja jestem. Ale cóż z tego, popychają nas gwałtem ku sobie, sprowadzają codziennie razem, zostawiają sam-na-sam,

i komenderują nami, jak dwojgiem rekrutów, których musztrują nieustannie...

Urwała nagle i stanęła z głową spuszczoną w środku salonu, zwrócona ku Kuliszowi.

— Powiedz mi pan, czy to już nieodrobiona klątwa kobiet, że muszą być niewolnicami natury, losu, konwenansów, rodziny, mody, zwyczajów, przesądów, — wszystkiego, jedném słowem — wszystkiego?... czy to się już nigdy zmienić nie może?

Kulisz uśmiechnął się z politowaniem i łagodnym jakimś głosem rzekł:

— A jak się to pani wydaje?..

— Mnie?.. mnie to tylko gnębi i gdybym mogła, rozpoczęłabym walkę.

— A czego do walki potrzeba przedewszystkiém?

— Zdaje mi się, że odwagi i siły.

— A zatém...

Wstał i podszedł ku niéj, podając jéj przyjaźnie i jakby zachęcająco obie ręce.

Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie i rzekła, zatrzymując nieco dłużéj jego ręce w swoich:

— Tak, łatwo to mówić!... ale we mnie dziwna jest połowiczność. Kiedy mam odwagę, brak mi siły, a kiedy mi się zdaje, żem silna—brak mi odwagi. Ja z pozoru tylko wyglądam na tak stanowczą, a w istocie jestem chwiejne stworzenie; wiem o tém i to mnie gniewa. Poradź pan co na to!...

Podeszła ku kozetce pod lustrem i posadziła obok siebie Kulisza, mówiąc daléj:

— Pomyśl pan tylko, wychowałam się sama prawie, bez matki, bez rodzeństwa, w domu cioci, która mnie kocha zapewne, jak córkę, ale nie mając nigdy własnych dzieci, nie umiała sobie nigdy ze mną poradzić. Znasz ją pan przecie, umie być anielsko dobra, ale i piekielnie zła. Ja pod jéj wpływem, wyrosłam trochę dzika. Ciocia mnie sama nazywa „czupiradłem“ czasami, ale nie domyśla się nawet, czyja w tém wina. Ach, wszystko się na to składało!... Z panem mogę mówić otwarcie, bo pan znasz nasze stosunki, znałeś wuja Atanazego, znasz wujaszka Adasia i dziadzię. Mój panie, czy to rodzina?... ciągłe kwasy, ciągłe zatargi, ciągłe nieporozumienia, choć to wszystko pokrywane przyzwoitym konwenansem, jak tego wymaga nasz *savoir-vivre* w dobrym tonie, ale oniby się w łyżce wody potopili. Ach, mam téj obłudy i tego wszystkiego już póty!...

Pociągnęła paluszkiem po szyi i zacisnęła drobne ząbki, które błysnęły za wargami drżącemi.

Kulisz, z opartą na dłoni głową słuchał i milczał.

— A te ciągłe i ciągłe interesa majątkowe!...— zaczęła po chwili, maszcząc brwi—od jak dawna zapamiętam, wujaszek Jaś był wiecznie w kłopotach pieniężnych, ciągle mu się coś nie udawało, ciągle go ktoś zarywał, ciągle miał nóż na gardle i zawsze pożyczał, żeby regulować interesa, ale daję panu słowo nie słyszałam, aby kiedy co oddawał. Ciocia się na tém nic a nic nie zna a wujaszka Jasia trudno wyrozumiéć. „Wszystko

będzie dobrze, wszystko będzie dobrze!“ powtarza zwykle i krzywi się przy tém, jakby go na pal wbijano. Tymczasem mnie się zdaje, że wszystko jest coraz gorzéj, ale kto to może wiedziéć!... Jestem pewna, że i wujaszek sam dokładnie nie wie, jak stoi... Teraz mu chodzą po głowie jakieś nadzwyczajne plany, zamyka się z ciocią całemi godzinami w swoim pokoju i radzą; po nocach się zrywa i słyszę, jak po sypialni się tłucze, wodę pije i wzdycha, a potém do obiadu z łóżka go wyciągnąć nie można, bo musi odespać swoje. Dziwny człowiek!... Pan wie, że my się nie bardzo kochamy, bo choć to grzech, ale ja do wujaszka mam jakieś uprzedzenie. On mnie wiecznie irytuje. Dawniéj wybuchałam i byłam opryskliwą dla niego, ale to cioci było przykro, więc teraz zacięłam się, milczę i tłumię wszystko w sobie,—to gorzéj, prawda panie?... to gorzéj, bo się we mnie jakaś głucha złość i gorycz zbiera. A najbardziéj teraz, odkąd... odkąd mi się zdawać zaczęło, że... ale nie!... tego jeszcze nawet panu nie powiem, chyba późniéj, jak mi jeszcze bardziéj dopiecze.

Przesunęła ręką po oczach i szepnęła z dziwnym grymasem na ustach:

— Ach, jakie to życie nieznośne!..

Kulisz ujął jéj dłonie, białe paluszki, zakończone jakby w szpony spiłowanemi paznogciami i mitygująco rzekł:

— No, no, panno Tolo, jeżeli to życie takie, jak pani mówisz, to nie trzeba go saméj sobie jeszcze bardziéj obciążać. Pesymizm, to kamienie, które

sobie znużony wędrowiec własną ręką do torby po drodze zbiera; upada i tak z utrudzenia, a coraz mu cięższéj. Po co mu tego?...

Tola westchnęła, oczy zmrużyła, ręce złożyła na kolanach i kiwając swą czarną główką, odparła:

— Tak, to nie złe porównanie, ale ja panu na nie inném odpowięm. Czy pan sobie wyobraża, aby komuś w bardzo ciasnych bucikach na balu kazali tańczyć walca i że ten ktoś miałby do tego szaloną ochotę i uśmiechał się z zadowoleniem?.. To chyba niepodobne do prawdy i niemożliwe. Otóż mój panie, ja noszę takie chińskie obówie i mam w niém walcować przez życie, — a pan chcesz, abym nie syknęła z bólu od czasu do czasu?... nie, panie — to za trudne. Pan jesteś optymistą, bo może panu dobrze i nic ci nie dolega, ale *nous autres*...

— Panno Tolo!... — przerwał jéj poważnie i spojrzał w oczy dziewczyny tak głęboko i wymownie, że nie śmiała dokończyć swojego zdania.

— Pani myślisz, że kiedy się człowiek nie skarży, to już nie cierpi ani sam, ani za drugich?... że tylko ten jęczy, którego coś boli?... a przecież są i tacy, którzy—jak pani wobec świata, zaciskają zęby i milczą...

— Chcesz mi pan powiedzieć, że byłam zanadto otwartą wobec pana i że nie powinnam była skarżyć się tyle przed człowiekiem obcym?...

— Źle mnie pani rozumiesz.

— Wszystko jedno, ale komuż ja mam się zwierzyć, przed kim wylać to wszystko, co mi

serce i głowę przepełnia?... Ja przecież muszę, muszę to wydobyć z siebie, a nie mam nikogo na świecie, z którymbym mogła być szczerą; przecież ja nie mogę tłumić wszystkiego w sobie i tylko milczéć, i dąsać się na cały świat, nie mówiąc nikomu: dlaczego!

Łzy jéj zaświeciły w oczach, ale je starła szybko powiekami, jakby się zawstydziła własnego rozrzewnienia.

W téj chwili we drzwiach salonu stanęła służąca z dwoma listami na tacy.

— Co tam? — poruszyła się Tola, przybierając od razu minę obojętną wobec pokojówki.

— Lokaj od państwa Vossów przyniósł dwa listy.

— Zanieś do pokoju cioci.

— Kiedy to do panienki.

— Do mnie?... to podaj.

Zwróciła się do Kulisza ze słowami: „Przepraszam pana" i rzuciła okiem na adres; jeden był pisany ręką pani Emilii, drugi ręką ciotki.

Pani Voss na papierze z ogromnym, kolorowanym i wyzłoconym monogramem, pismem bardzo luźném i nieczytelném, wspinającém się w górę przy końcu każdego wiersza, po francuzku zapraszała najuprzejmiéj, aby najdroższa panna Tola zrobiła jéj i jeszcze komuś tę wielką przyjemność i zechciała przyjechać bez ceremonii, choćby natychmiast.

Ciocia i wujaszek zgodzili się łaskawie pozostać na obiedzie u niéj, więc korzystając z téj zaimprowizowanéj biesiady, pragnie miéć i naj-

milszą, najpiękniejszą, najukochańszą siostrzeniczkę przy swoim stole.

Łaniecka w drugim bilecie, pisanym u państwa Vossów, zamieściła tych słów kilka:

„Kochana Tolo! Ulegamy prośbom pani Emilii i zostajemy tu na obiedzie, a potém na herbacie. Wdziéj swoją kremową suknię, bo ci w niéj do twarzy i przychodź jak najśpieszniéj. Albo nie, weź dorożkę i niech cię Antosia odwiezie. Nie wypada, abyś tak późno szła sama przez ulicę.

„*A bientot ma chère!..*“

Niewyraźny zygzak stanowił podpis, a pod nim znajdował się jeszcze w pośpiechu umieszczony dopisek:

„A nie zgrymaś znowu, proszę cię i nie wymów się przypadkiem swoją migreną, bośmy już uprzedzili, że jesteś zupełnie zdrowa.“

Wyraz przykrego niesmaku i niezadowolenia malował się na twarzy Toli przy czytaniu obu listów.

Zacięła górną wargę ząbkami i znać było, że się buntuje i walczy z jakiémś ryzykowném postanowieniem.

— Czy lokaj jest jeszcze?

— Nie, proszę panienki; zeszedł już na dół do karety.

— Do jakiéj karety?...

— Którą pp. Vossowie po panienkę przysłali.

Żachnęła się, jakby ją kto biczem smagnął.

Kulisz dorozumiawszy się, o co chodzi, wstał szybko i ujął za kapelusz.

— Nie chcę pani przeszkadzać zatém, — rzekł,

ze współczuciem spoglądając na wzburzoną dziewczynę.

Zatrzymała go ruchem ręki i spojrzeniem:

— Jeszcze chwilę, mój panie; sprowadzisz mnie pan ze schodów! — Potém zwracając się do pokojówki, rzekła ciszéj, głosem suchym, bez dźwięku:

— Przygotuj mi moję szarą suknię kaszmirową, tę gładką.

Paluszki jéj zmiętym biletem ciotki biły nerwowo o dłoń.

— Patrz pan, godziny nie mam wolnéj!—wybuchnęła—już po mnie przysłali, już mnie ciągną do siebie. I to tak codzień!...

— I musisz pani tam pojechać?...

— Ach, właśnie to, że muszę!... jakże się wymówić od tego?... Ciocia Łaniecka z ciocią Voss, to przecież serdeczna przyjaźń teraz! — dodała z ironią i cisnęła pomięty bilet na stół. — Trzeba być posłuszną siostrzenicą.

— W takim razie zobaczymy się,—rzekł z nagłém postanowieniem.

— Jakto?... pan bywasz u Vossów?—zawołała z błyskiem radości w oczach.

— Bardzo rzadko, ale bywam.

— Zkądże pan w tych sferach?...

— Z ciekawości i obowiązku.

— Jakto?... co to znaczy?...

Uśmiechnął się i odrzekł:

— Opowiem to pani kiedy. Panna Regina Sandstein była przecież także moją uczennicą i ztąd znam wszystkie te domy, I ja byłem prorokiem wśród Izraela!... to ciekawa historya. Pomówimy

o tém w salonie państwa Vossów, na najwłaściwszym gruncie... Ale teraz pani się musi przebrać jeszcze, zatém do widzenia wieczorem. Sprawię panii Emilii niespodziankę moją wizytą.

Tola aż w ręce plasnęła z zadowolenia.

— Ach, czemuż ja pana tam wcześniéj nie spotkałam!... Będę miała teraz choć jednego sprzymierzeńca. Co to za niespodzianka, co za niespodzianka... Kamień mi spadł z serca. Tylko przyjdź-żeż pan koniecznie, bardzo proszę. Żeś mi pan o tém ani razu nie wspomniał!...

— Chciałem wpierw dowiedzieć się z ust pani, jak tych moich dobrych znajomych osądzisz z własnego wrażenia. Ale i o tém jeszcze pomówimy. Zatém do widzenia.

— Ach, do widzenia!...

Prawie wesoła pojechała po téj rozmowie Tola do cioci Voss na obiad; czuła się odtąd mniéj osamotnioną.

III.

Ignacy Sammet siedział przy biórku w swoim gabinecie obok kantoru i po raz trzeci przebiegał oczyma list, ozdobiony hrabiowską koroną, następującéj treści:

„Kochany panie Sammet!

„Zechciéj odpowiedzieć mi stanowczo, czy w sprawie owych 40,000, których potrzebuję w krótkim czasie, mogę liczyć na pańską pomoc, czy nie. Sprawa ta, zbiegiem okoliczności, jest dla mnie ważną i nie cierpiąca zwłoki. Jeżeli mój kredyt nie został jeszcze u Pana całkowicie wyczerpany, myślę, iż wygodzisz mi jeszcze tą sumą, zwłaszcza teraz, gdy proces z Zabiełowskimi, o którym wspominałem, ma się stanowczo ku końcowi. Wygrana jest po naszéj stronie, byle tylko poforsować trochę i załatwić niektóre zaległości.

„Liczę zatém, że mi pomożesz na pewno, gdyż interes jest wyjątkowo korzystny i nie taję, iż sprawisz mi, kochany panie Sammet, rzetelną przysługę, nie odmawiając w takiéj chwili swego kredytu.

„W każdym razie potrzebuję mieć szybką decyzyę Pańską, abym w razie Twojéj odmowy, któréj nie przypuszczam wszelako, miał jeszcze czas postarać się o rzeczony wyżéj fundusz u kogo innego.

Z szacunkiem
January hr. Radoszkowski.

Chuderlawa figurka finansisty poruszała się nerwowo w fotelu; od czasu do czasu odkładał list, drapał się jakimś małpim ruchem ręki w głowę, poprawiał okulary i oglądał znowu pismo swego klijenta ze wszystkich stron.

Znać było, że pracuje wszystkiemi myślami nad powzięciem pewnego postanowienia, ale że mu z trudnością przychodzi zdecydować się na coś stanowczego.

Zamknął wreszcie jedno oko, głowę przechylił na bok i zaczął ogryzać paznogcie.

Drzwi się otworzyły z impetem i weszła przez nie z głową Judyty, o kształtach Junony, panna Malwina i prawie ostro odezwała się z progu do ojca:

— No, czy ty jedziesz ze mną, czy nie jedziesz?... czekam już przeszło kwadrans i siedzę, jak głupia.

Sammet porwał się z miejsca, wyrwany nagle z zamyślenia.

— Gdzie ty chcesz, żebym ja z tobą jechał?...

— Jakto gdzie?... przecie do maneżu na moją lekcyę. Tatko zapomniał?...

Odpowiedziała mu tonem prawie krzykliwym,

który nie licował z pozorami elegancyi i dystynkcyi, jaką miała w swojéj powierzchowności.

Ojciec wyprostował swą małą figurkę i na palcach się podniósł, jak kogut, zabierający się do piania.

— Co ty na mnie tak z góry krzyczysz?... twój maneż nie ucieknie, a ja tu mam ważniejsze rzeczy na głowie. Zamykaj drzwi i siądź sobie.

Panna Malcia trzasnęła drzwiami, nie ruszając się z miejsca.

— Nie mam czasu siadać.

— A ja tobie mówię siadaj, to siadaj! —podniesionym głosem powtórzył Sammet. — O tak; ja mam przed twoim koniem z tobą jeszcze do pogadania. Co tobie tak ta jazda konna zajechała do głowy?... Jeszcze kiedy spadniesz i zrobisz sobie co złego.

Poruszyła się niecierpliwie i ze złością odburknęła:

— Proszę się o mnie nie bać.

— Dlaczego mam się nie bać?... o wypadek nie trudno. Nie takie, jak ty, spadały z konia. To się i huzarom przydarza. Nie bądź ty taka odważna, proszę ciebie, moja Malciu!...

Czarne oczy panny Malwiny zaświeciły, jak węgle.

— No, i co daléj? — spytała, spoglądając ojcu wyzywająco w oczy.

Sammet wziął ze stołu list hr. Radoszkowskiego, podał go córce i rzekł z tajemniczą miną:

— Na, czytaj.

— Co to jest?

— Co to jest?... czytaj.

Sammetówna przebiegła list oczyma i wzruszyła ramionami.

— No, i co z tego?... co to mnie ma obchodzić?... ja się nie wtrącam do twoich interesów. I dla tego każesz mi czekać, kiedy mi się śpieszy do maneżu?...

Ojciec wydął dolną wargę, ręce włożył do kieszeni, ramiona podniósł tak wysoko, że się wydawał prawie garbatym i z politowaniem kiwał głową nad niedomyślnością swojéj jedynaczki.

— To ty z tego nic nie rozumiesz?... Malcia, wiesz, co tobie powiem?... ja się po tobie tego nie spodziewałem.

Sammetówna powtórnie odczytała list hr. Radoszkowskiego z bardzo skupioną uwagą.

— No, co tu jest tak trudnego do zrozumienia?—spytała,—hrabia chce od ciebie pieniędzy.

— Tak, ale co za hrabia?

— Radoszkowski.

— Ale kto to jest Radoszkowski?

— No, ten łysy z grubemi wąsami, coś mi go pokazywał kiedyś w teatrze.

Sammet cmoknął ustami niechętnie.

— A co więcéj?...

Panna Malwina nie mogła się połapać, do czego ta indagacya prowadzi.

— Zkąd ja mam to wiedziéć?... czy ja znam wszystkich twoich interesantów?

— Powinnaś znać!...

Zbliżył się do niéj nagle, przysiadł na brzeżku

kanapy, czarną skórą wybitéj i z nerwową szybkością zaczął mówić:

— Radoszkowski hrabia, to jest ten, który się procesuje z Zabiełowskimi od lat Bóg wie wielu, może dwadzieścia, może pięć dziesiąt o majątek. A co są Zabiełowscy?... Zabiełowscy są najbliżsi krewni Łanieckich! A co jest Łaniecka?... Łaniecka jest ciocia téj czarnéj panny, z którą się chce żenić młody Sandstein, twój Bernard Sandstein!... No, teraz zaczynasz rozumieć?... Jak ja nie pożyczę pieniędzy Radoszkowskiemu, to on nie będzie miał czém wygrać procesu, a jak nie wygra procesu, to nie zrujnuje do reszty Łanieckich i posagu ich siostrzenicy, no to ona zostanie żoną Bernarda, rozumiesz teraz?... Tymczasem, jak ja dam 40,000, to ja im wszystkim zrobię takiego szpasa, że Radoszkowski wygra proces, zsubhastuje majątek, ta czarna panna hrabianka będzie goła, jak święta turecka i z całém małżeństwem będzie od razu aus!... Aha!... widzisz, *das ist a feiner Kopf!...*

Wypowiedział to wszystko niemal jednym tchem, aż się zadyszał, ściskając ciągle córkę za ramię i gestykulując palcami prawie tuż pod jéj nosem, jakby pragnął wytłómaczyć Malci najdobitniéj cały plan téj finansowéj intrygi.

Na wspomnienie Bernarda Sandsteina i jego małżeństwa twarz panny Malci zmieniła się nagle, ożywiła większém zajęciem, nozdrza jéj zadrgały, oczy zaświeciły i zdawała się połykać każde słowo swojego ojca.

Sammet tak szybko, jak się był przysiadł do

córki, odskoczył teraz aż na środek swego gabinetu i wyciągając rękę ku Malci, jak indor podrażniony, zasyczał dziwnie zmienionym głosem:

— Już ja temu Sandsteinowi pokażę, co ja umiem!... On mnie jeszcze popamięta. Taki meches!...

Potém, jak bąk puszczony ze sznurka, biegać zaczął po pokoju i mówił daléj:

— Dlaczego nie mam dać Radoszkowskiemu 40,000?... rozumie się, że dam; na złość Sandsteinowi dam, choćbym miał stracić?... No, to co? Ale dlaczego ja mam stracić?... Radoszkowski jest w interesach, ale on się wygrzebie, jak ja mu pożyczę. Niech proces wygra, niech zabierze Łanieckim cały majątek. Łaniecki od dawna jest kapcan, ja to wiem lepiéj, niż Sandstein. Jemu się zdaje, że ożeni syna z hrabianką, zachciało mu się koligacyi, arystokratów!... Piękny arystokrata!... Sandstein arystokrata!... śmiać mi się zachciało!...

Wybuchnął nerwowym krótkim śmiechem i pogroził w powietrzu palcem, jak gdyby miał przed sobą żywego współzawodnika:

— Ja tobie dam arystokracyi!... poczekaj!... ty będziesz po kościele gwizdał!...

Nie wiedziéć, zkąd mu przyszło to porównanie, tak niestosownie użyte, ale nie miał głowy zastanawiać się nad tém; przejęty był cały jedną myślą, która mu się genialną wydawała, chciał pokrzyżować za jakąbądź cenę plany Sandsteina i przeszkodzić jego zamiarom ożenienia syna z hrabianką.

Stara zawiść odezwała się w nim głośniéj, niż kiedykolwiek, a zresztą i zawiedzione ambicye ojcowskie grały tu także swoją rolę.

Malcia jego była za małą partyą na żonę dla takiego Bernarda?... ta Malcia, co tu przed nim siedzi teraz taka śliczna, taka duża, taka wspaniała, żeby ją mógł sam król Salomon poślubić?... A tacy Sandsteinowie, takie mechesy, którzy się dorobili razem z nim majątku, którzy go pokrzywdzili na wspólce, nie chcieli jéj przyjąć do swéj rodziny?...

— Ja im pokażę!...

Słowa te powtarzał zaperzony, jak pogróżkę, która mu widoczne zadowolenie sprawiała.

Sammetówna siedząc nieruchomo na swojém miejscu, zdawała się nie widziéć i nie słyszéć ojca; inne myśli chodziły jéj po głowie.

Ten Bernard, towarzysz jéj lat dziecięcych, z którym wzrastała razem, bawiła się tak często, z którym była niegdyś na „ty,“ jako z synem wspólnika firmy, sprawiał na niéj zawsze wrażenie jakiéjś pociągającéj pokusy; myśląc o nim, czuła się oszołomioną, gorąca fala krwi napływała jéj do głowy i do serca, tętna uderzały szybciéj, oddech jéj zapierało, jak gdyby nagle jakiś gorący, pustynny wiatr powiał jéj w samą twarz i otoczył całą niewidzialnemi ramionami w palącym uścisku.

Młody Sandstein podobał się jéj najlepiéj ze wszystkich mężczyzn, których znała, a podrażniona zmysłami wyobraźnia, upiększała go jeszcze bardziéj w jéj oczach.

Spotykali się wprawdzie bardzo rzadko od czasu, gdy ojciec usunął się ze współki, a stosunki między dwoma domami zachowały tylko pozory dawnéj zażyłości.

Na ulicy, w teatrze, na koncertach widywała go odtąd przypadkiem jedynie i skinieniem głowy odpowiadała machinalnie na jego ukłon, oblewając się gorącym rumieńcem; mgła jakaś zasłaniała jéj wtedy oczy. Dopiero gdy była pewną, że się nie spotka z jego spojrzeniem, nieśmiałym, płochliwym rzutem oka śledziła go bacznie, przypatrywała mu się przez lornetkę ze swojéj loży w teatrze, zapominając o tém, co się działo na scenie; przyśpieszała kroku, aby chociaż z oddalenia iść za nim i migającą jego postać między setkami przechodniów na ulicy pochwycić wzrokiem.

Wiedziała dobrze, że istnieje przedział, który z każdym rokiem powiększał się między nimi, ale ten urok, jaki miał dla niéj młody Sandstein nie przygasał wcale. Poddawała mu się instynktownie, nie próbując się wyzwolić z pod niego.

Podobnie, jak jéj ojca trawiła niustannie głucha zawiść o wszystko, co dotyczyło jego exwspólnika, w niéj odzywała się chwilami zazdrość o Bernarda, ta zazdrość bez miłości, którą odczuwają tak często kobiety na widok upragnionych mężczyzn w otoczeniu innych kobiet.

Bolało ją to i draźniło, że on mógłby należéć do innéj, skoro do niéj należéć nie może.

Z temi uczuciami i myślami kryła się jednak i nię zwierzała nikomu; nie miała zresztą przed

kim, była samą pod opieką wiecznie zajętego ojca, zostawiona właściwie tylko sobie, swojéj woli i instynktom.

Stary Sammet nie miał czasu zajmować się córką, nie byłby umiał nawet nią pokierować; według niego miała swój rozum, była dorosłą panną, powinna była zastąpić sobie matkę,—on miał tyle innych interesów na głowie.

Zostawił jéj cały dom a w domu swobodę; niech robi, co zechce, byle jakiego głupstwa nie zrobiła.

Do towarzystwa trzymał jéj panią Miller z Berlina, coś w rodzaju guwernantki, ochmistrzyni, dame de compagnie, przyzwoitki, — kobietę nie młodą, wyglądającą poważnie z pozorami lepszéj sfery mieszczańskiéj.

We dwie chodziły téż wszędzie, jeździły powozem, pokazywały się publicznie, a tylko z konieczności ojciec przyłączał się do nich tam, gdzie już dla świata sama opieka pani Miller wystarczać nie mogła.

Najwięcéj kłopotu sprawiały mu fantazye, które jego córce, szukającéj zabicia czasu i jakiéj takiéj właściwéj jéj wiekowi rozrywki, przychodziły do głowy.

Potrzebowała ruchu dla swoich wspaniałych, bujnych członków i zdrowych mięśni; miało to nawet zalecone przez lekarza, który jéj kazał odbywać długie spacery pieszo, unikać życia bezczynnego i szukać jak najwięcéj zmęczenia.

Przyszła jéj wtedy ochota jeździć konno.

Sammetowi bardzo się ten pomysł nie podobał,

ale powaga lekarskiéj opinii przechyliła szalę na stronę córki.

— Niech się pan nie sprzeciwia—powiedział mu doktor, — to pannie Malwinie dobrze zrobi. Za dużo ma sił i żywotności w organizmie. Zbytek zdrowia, to także choroba.

— Od żadnego przybytku nic nie boli,—rozumował wprawdzie ojciec, ale uledz musiał i panna Malwina Sammet rozpoczęła lekcye jazdy konnéj w maneżu, sprawiwszy sobie elegancką amazonkę, która opinała jéj kształty, jak trykot dobrze naciągnięty, rękawiczki i lakierowane buty ze sztylpami, cylinder z woalką niebieską i spicrutę ze złoconym łbem końskim.

Sammet, gdy ją pierwszy raz w takiém przebraniu zobaczył, z pewnym rodzajem dumy ale i zaniepokojenia patrzał na własną córkę. Pochlebiało mu to, że z jego Malci jest taka piękna dama, że uprawia taki rycerski sport, ale byłby wolał, żeby się to wszystko bez konia obyło.

On nie lubił koni, za nic w świecie nie byłby się zbliżył do najspokojniejszego szłapaka, ani poklepał go po karku; łatwiejby mu przyszło na giełdzie chwycić kiedy Sandsteina za uszy, niż zdobyć się na taką odwagę. Miał po prostu w naturze swojéj jakąś idyosynkrazyę do koni, które mogą kopnąć, do wszelkiéj broni palnéj, która może wystrzelić, i do wody, w któréj można się utopić.

Co się miał bać?... on się nie bał nawet dziesięciu Sandsteinów, ale on „nie lubił“ tego, a to na jedno wychodziło.

Co prawda, nie pojmował téj waryackiéj odwagi swéj córki, która wyałziła na takiego dużego, wysokiego wierzchowca i jeździła na nim w kółko, nawet kłusem, po całym maneżu, podczas gdy on się temu przypatrywał z poza szyby w małym pokoiku, który stanowił poczekalnię przy rajtszuli.

Nie byłby się przyznał do tego głośno, ale téj córki na koniu, przebranéj za amazonkę, bał się czegoś także, jak centaura; to go denerwowało.

— No, co to za przyjemność—mówił do niéj — jeździć tak jednym ciągiem w kółku i w kółko?... to przecież nigdzie zajechać nie można. Ty Malcia zwaryowałaś, jak ciebie kocham. Że ciebie kości nie bolą!... on kiedy z ciebie wszystko wytrzęsie,—zobaczysz.

Z największym przymusem wybierał się od czasu do czasu na tę godzinę jazdy, towarzysząc z obowiązku ojcowstwa i przyzwoitości swéj Malci, ażeby sobie „karku nie skręciła.“

Jego to nudziło i irytowało zanadto.

Ale wszystkie córki chodziły na lekcyę z matkami, albo z ojcami, nie wypadało, aby panna Sammetówna sama biegała po rajtszuli.

Co było robić!... doktor kazał, doktor powiedział, że to dziewczynie do zdrowia potrzebne. Niech jéj to wyjdzie na zdrowie.

W dniu, w którym otrzymał wiadomy list od Radoszkowskiego, zanadto był przejęty poważniejszemi myślami, ażeby pamiętać o godzinie zwyczajnych harców swojéj jedynaczki. Ona sama, wysłuchawszy całą sprawę, zapomniała o spor-

cie, o lekcyi, o berajterze, który na nią czekał w maneżu i o gniadym Matadorze, na którym wyglądała, jak jaka legendowa Walkyra.

Siedziała na kanapie w gabinecie ojca, z rękoma splecionemi na kolanie i bezwiednie kiwała się, przegięta w pół a po głowie galopowała jéj w kółko jedna dzika myśl:

— Bernard się żeni!...

O tém małżeństwie słyszała już i wiedziała, jako o pogłosce, która krążyła po mieście, ale uważała ją za plotkę; teraz przypadek dawał jéj sposobność wmieszania się pośrednio w sprawę tego małżeństwa i własny ojciec nastręczał jéj się na sprzymierzeńca, spiskował z nią.

I w téj chwili zawrzało w niéj gwałtownie; poczuła się rywalką téj jakiéjś panny hrabianki, która miała zostać żoną Bernarda, więc postanowiła przeszkodzić temu szczęściu, choć ono nigdy nie miało być jéj własnym udziałem.

Zerwała się z kanapy, podeszła do ojca i jakby w konkluzyi namysłu, w którym była dotąd pogrążona, z mocą i zaciekłością jakąś odezwała się do niego:

— Daj Radoszkowskim pieniądze;... niech wygrają ten proces!

Oczy jéj błysnęły zielonym ogniem, twarz przybrała wyraz groźny, surowy, zły, który zeszpecił na chwilę jéj wschodnie rysy.

Sammet spojrzał na córkę badawczo, spojrzenia ich się spotkały i instynktownie porozumieli się ze sobą.

— Bądź spokojna, twój tatko ma głowę i wie,

co robi!—rzekł nieco ciszéj.—Nie chciał mieć takiéj synowéj, jak ty, nie będziesz miał żadnéj!...

Podniósł rękę i z grymasem zamiast uśmiechu, chciał ją pogłaskać pod brodę, ale się uchyliła od téj pieszczoty i poprawiwszy kapelusz Rembrandtowski na głowie, zwróciła się ku drzwiom.

— Gdzie ty już znowu lecisz?— zatrzymał ją pytaniem ojciec.

— Gdzie mam lecieć?... na lekcyę.

— Sama?...

— Dlaczego sama?... wezmę panią Miller ze sobą, kiedy ty nie chcesz.

Opryskliwy ton wrócił jéj znowu w odpowiedziach, dawanych ojcu.

— Przecieżby się maneż nie zawalił, gdybyś raz nie jeździła,—zauważył Sammet.

— Muszę; umówiłam się dzisiaj z Feingussówną, będzie na mnie czekała.

— Czy ona także jeździ?...

— Dlaczego niéma jeździć?.. wszystkie trzy namówiłam, żeby jeździły, będzie nam weseléj w liczniejszém towarzystwie.

Sammet się skrzywił.

— Tylko proszę ciebie, Malcia, żebyś ty mi zanadto się z niemi nie rozbijała; ty wiesz, że one nie bardzo do ciebie pasują.

— Co nie mają pasować?... ojciec ich przecie milioner, mają większe salony, niż u nas i żyją z całém miastem.

— Tak, całe miasto z nimi żyje i całe miasto o nich gada, — przerwał jéj ojciec niechętnie.—

Wczoraj znowu słyszałem o téj średniéj piękne historye.

— Cóżeś znowu słyszał?... ty tylko, jak stara panna, plotki po mieście zbierasz.

— To nie plotki; wszystkie trzy były na tomboli maskowane i Traubsohnowa z jakimś...

Panna Malwina odwróciła się szybko plecami do ojca i zatykając sobie uszy, zawołała:

— Ee, nie jestem ciekawa twoich bajek. *Au revoir!...*

Otworzyła z impetem drzwi i wybiegła.

— Malcia, Malcia! —wołał za nią Sammet,—ty jesteś pięknie wychowana!... to tak się z ojcem...

Pokręcił głową i drzwi za nią zatrzasnął.

Od dawna mu się nie podobał ten zażyły stosunek jego córki z rodziną Feingussów, ale Malcia pobijała go zawsze argumentem, na który nie znajdował odpowiedzi:

— Z kimże ja mam żyć?—pytała go—my domu otwartego nie prowadzimy, u nas prawie nikt nie bywa, a ty chcesz chyba, żebym ja się zamarynowała, jak śledź, razem z panią Miller?... przecież ja potrzebuję żyć.

Zapewne, on to rozumiał i uznawał, i to mu największy kłopot sprawiało po śmierci żony, że zamiast syna zostawiła mu na głowie córkę, jedyną córkę; żeby choć dwie!... miałby więcéj spokoju, bo jedna drugiéj byłaby towarzyszką i dałyby sobie łatwiéj radę bez niego.

Ale jedynaczka!... i to taka jedynaczka, to istny *pech* ojcowski.

Z tém wszystkiém te Feingussówny nie podo-

bały mu się; było ich cztery, podobne do siebie, jak cztery krople wody różnéj wielkości.

Najstarsza, pani Teresa, była od dawna zamężną i mieszkała za granicą, poślubiwszy jakiegoś bankiera z Hamburga; nazywała się Mozes i pozostała przy wyznaniu swoich ojców, nie czując potrzeby zmieniania wiary, jak jéj młodsze siostry, z których jedna wyszła za ewangelika, Mohra, właściciela fabryki płócienek i perkalów na prowincyi, a druga za przedsiębiercę robót kolejowych i budowlanych Fiołkiewicza, katolika, przyjąwszy chrzest zaledwie na kilka tygodni przed ślubem.

Najmłodsza Leosia była panną na wydaniu, zawieszona jak wahadło pomiędzy judaizmem a chrześcijanizmem; brakowało jéj tylko kościelnéj ceremonii, aby zostać katoliczką, ale nic jéj nie przeszkadzało w danym razie wziąć ślub w synagodze, gdyby się tego okazała potrzeba.

Stary Herman Feinguss nie miał pod tym względem żadnych uprzedzeń i ta rozmaitość wyznaniowa jego córek była mu całkiem obojętną; on sam może byłby dla wyrównania religijnych różnic w rodzinie, zresztą i dla innych praktycznych względów, zmienił wiarę, gdyby nie była żyła jego matka, kobieta konserwatywnych zasad i przywiązana do religii starozakonnéj.

Dla niéj to pozostał jeszcze żydem, przynajmniéj *de nomine*, aby staruszce nie sprawiać przykrości; miała zresztą sto tysięcy, zawarowanych jéj intercyzą ślubną, a ulokowanych w interesie syna, któremi miała prawo rozporządzać do woli.

Nie wypadało przeto drażnić babci, aby jéj nie przyszła kiedy ochota zrobić jakiéj niemiłéj niespodzianki synowi i wnukom przed przeniesieniem się na łono Abrahama.

Faworytem jéj był najmłodszy potomek rodziny Feingussów, Józio, który po ukończeniu Akademii handlowéj zagranicą, praktykował właśnie w bankierskim kantorze ojca, sposobiąc się do objęcia kiedyś majątku i firmy, jako jedyny spadkobierca płci męzkiéj.

Babcia Feinguss prowadziła osobny dom, chociaż pod jednym dachem z synem i jego dziećmi; staruszka chorowała na nogi i nie ruszała się z fotelu, w którym ją wytaczano w lecie na balkon, a w zimie do salonu, gdzie przy ogromnym kaflowym piecu po całych dniach robiła pończoszkę lub włóczkowe szaliki, któremi zaopatrywała całą rodzinę w trzech pokoleniach.

Przez duże rogowe okulary rachowała oczka, przerywając sobie robotę tylko, aby ziewnąć lub drutem od pończochy podrapać się w głowę, na któréj zwyczajem swoich prababek nosiła perukę z czarną morową bindą pod koronkowym czepeczkiem.

Jakkolwiek nie ruszała się z miejsca, wiedziała o wszystkiém, co się działo w mieście najważniejszego i w kołach, znanych jéj tylko z nazwiska lub z opowiadania; kazała sobie czytywać dzienniki i książki, a wieczorami grywała chętnie tanią partyjkę skata lub w loteryjkę.

Codziennie odwiedzało ją oprócz rodziny, wielu znajomych, dawnych przyjaciół jéj męża, kuzynek

dalszych i bliższych, zwłaszcza z uboższéj linii, wspieranych przez nią potajemnie przed synem, który na taki „wyzysk“ nie byłby matce pozwolił.

W jéj schludném, czyściutkiém mieszkaniu, zapełnioném staremi meblami mahoniowemi, na których świeciły bronzowe ozdoby, wszystko nosiło cechę staroświecczyzny; przez oszklone szyby serwantek widać było srebrne tace, kosze, cukiernice i puhary, porcelanowe figurki i złote tabakierki, kryształowe kielichy; na konsolach stały siedmioramienne szabaśniki, od powały zwieszał się pająk bardzo oryginalnego kształtu, który widocznie jako spuścizna w rodzinie przechodził przez wiele pokoleń, ściany ozdabiały pożółkłe, w czarnych ramach kolorowane staloryty, przedstawiające sceny i bohaterów starego zakonu.

Kilka książek nabożnych w skórzanych, obszarpanych przez zużycie oprawach, leżało z wielkiém poszanowaniem na półkach, a u każdych drzwi widać było przybite przykazania.

Cała atmosfera i wygląd tego apartamentu matki różnił się krańcowo z urządzeniem mieszkania syna, zajmującego o piętro niżéj szereg salonów i pokojów umeblowanych wytwornie, ze zbytkiem, z cechą nowożytności kosztownéj i bijącéj w oczy.

Feinguss swój dom „hotelem“ nazywał, bo służył przez większą część roku na pomieszczenie rodziny, która zajeżdżała do niego, pod ojcowski dach.

Raz do roku stale Mozesowa z dziećmi przybywała odwiedzić siostry, ojca i babkę; Traubsohno-

wa - w rodzinie Barberine nazywana,—znudzona pobytem na prowincyi, przyjeżdżała również ze swemi „pędrakami“ odświeżyć się i zabawić od czasu do czasu w mieście, a zimę prawie stale spędzała w rodzicielskim domu, matkując najmłodszéj siostrze.

Józio zajmował również jeszcze swoje studenckie dawne mieszkanko w oficynie, jakkolwiek miał wielką ochotę wyemancypować się z pod ojcowskiéj kontroli i urządzić sobie dom własny po kawalersku.

Jedynie Fiołkiewiczowa, przez większą część roku odgrywająca rolę słomianéj wdowy w nieobecności męża, zajętego interesami w ciągłych rozjazdach, zajmowała swój własny apartament. Dwie dorastające córeczki jéj wychowały się wprawdzie w jednym z pierwszorzędnych pensyonatów w Dreźnie, sama zaś w domu przebywała rzadko, ale jak mówiła: chciała mieć swobodę i własny kąt dla siebie.

Dom ojcowski bywał ogniskiem głównym, u którego gromadziło się całe rodzeństwo ze wszystkiemi przynależytościami; w nim przyjmowało się gości, znajomych, przyjaciół, urządzało obiady, rauty, bale, wszystkie większe zebrania i wówczas brzmiało to w formie zaproszenia: „u nas,“ „do nas,“ zawsze w liczbie mnogiéj.

Osobne przyjęcia w poufniejszém kółeczku lub pewnych wybranych tylko gości, odbywały się u pani Barberine lub u Mani Fiołkiewiczowéj pod skromniejszą firmą w liczbie pojedyńczéj i wtedy mówiło się z pewnym naciskiem:

— Przyjdź pan „do mnie“ na papierosa, na kawę czarną, lub na gawędkę...

Wszystkie trzy siostry od rana do późnéj nocy były prawie nieustannie ze sobą w pośredniém lub bezpośredniém zetknięciu; miały swoje stałe godziny, swoje stałe miejsca schadzek na mieście, wiedziały zawsze, gdzie się mają szukać i gdzie się na pewno znaleźć mogą.

W rozmaitych porach dnia spotykało się je na ulicach; rozmawiały ze sobą zazwyczaj głośno, ćwierkały, jak kanarki, zwracając na siebie uwagę ekscentrycznością stroju i zachowania się; miały ten rodzaj swobody głośnéj, trochę wyzywającéj, która sobie lekceważyła pewne utarte przesądy. Mówiono o nich:

— Oho, już Feingussówki się rozbijają!...

Wiedziały o tém, ale nie krępowały się wcale; im więcéj się niemi zajmowano, tém więcéj je to bawiło.

Znane były powszechnie, bo wszędzie starały się robić wrażenie i wyróżniać od swego otoczenia. Rozmawiały kilkoma językami, jak cudzoziemki i między sobą paplały tylko po francusku lub po angielsku.

Ktoś złośliwy powiadał o nich, że dlatego tylko to robią, aby się nie zdradzić—akcentem, któryby przypominał ich pochodzenie...

Pomiędzy czterema siostrami było pewne familijne podobieństwo, z wyjątkiem najstarszéj Mozesowéj, przebywającéj w Hamburgu; ta miała wcześnie skłonność do otyłości, i w trzydziestym piątym roku życia „rozlała się“ zanadto, jak

o niéj zwykła była wyrażać się szczupła i fertyczna Barberine, dumna wielce ze swojéj wciętéj figury, pomimo tego, że była matką trojga dzieci.

Wszystkie cztery były jasne blondynki i miały nosy, jakby wykrojone według jednego szablonu, nieco za wydatne może, jak na ozdobę kobiecych twarzy, ale zarysowane liniami regularnemi, choć nie klasycznie wypukłemi.

Te blond włosy stanowiły dla nich szczegół wielkiéj wagi, były bowiem, przez jakiś wybryk natury rzadkiém odstępstwem od znamiennych cech rasy, która wydawała same brunetki lub szatynki, zdobywając się co najwięcéj na egzemplarze rude.

— Mnie w Ostendzie zawsze biorą za Angielkę—przechwalała się z pewną dumą Traubsohnowa,—a Leosię mogliby wziąć za albinoskę; czy uważacie, że ona ma coraz jaśniejsze włosy?...

Namówiła najmłodszą siostrę, aby poszła za jéj przykładem i farbowała sobie brwi i rzęsy na ciemno, dla efektowniejszego kontrastu.

Jednym z najważniejszych bowiem tematów, które stanowiły ciągły przedmiot ich zajęcia, narad i rozmów, były kwestye poprawiania natury i uwydatniania wszystkich wdzięków za pomocą wszelkich możliwych środków mody i gotowalni.

Nieustannie miały sobie coś ważnego do opowiadania, jedna drugiéj robiła ciągłe zwierzenia, znosiła nowinki, wykonywała polecenia, a wszystkie razem prowadziły potajemne konszachty, w których chodziło jeżeli nie o nową

suknię lub kapelusz, to zwykle o nowego wielbiciela.

Artykuł ten bowiem stanowił niejako obowiązkowy przydatek do programu życia obu sióstr zamężnych, pojmujących rozrywkę w formie mniéj lub więcéj posuniętego flirtu.

Znały wszystkich bohaterów dnia i chwili bieżącéj, wszystkich lwów salonowych i rozgłośnych zjadaczy serc, wszystkich *séducteur*'ów *quand même* i tych tylko uważały za mężczyzn prawdziwie interesujących.

To, co podrażniało nerwy nie fantazyę, zmysły nie wyobraźnię, instynkta nie uczucia, było dla nich najpożądańszą sensacyą; poza tém świat w ich opinii był nudny, a życie głupie.

Jedyną książką godną czytania był romans francuski, byle pieprzny; jedynym dziennikiem, z którego czerpały codzienne swe wiadomości były „Figaro“ i „Gil Blas“ z artykułami Colombin'y lub Catule Mendèz'a.

Reszta w ich przekonaniu była tylko bibułą i śmieciem.

Stary Sammet miał słuszność, że nie godził się na zażylszy stosunek swéj Malci z Feingussówkami; jemu się ta przyjaźń nie podobała, bo pod perfumowaną powłoką towarzyskiéj ogłady i przyzwoitości, wietrzył swym niezbyt czujnym ojcowskim nosem zapaszek ukrytego zepsucia.

— Co o nich tak wszędzie źle gadają?—powtarzał córce;—kiedy chcesz z niemi przestawać, to mogłabyś im powiedzieć, aby się więcéj szanowały. Co to jest, żeby jedna bez męża siedziała tu

całe miesiące, jak ta narwana Traubsohnowa, a druga zamiast dzieci pilnować, bawiła się ciągle i tylko latała po ulicach, albo siedziała w ogrodzie i włóczyła za sobą zawsze jakiegoś adjutanta. Czy to ładnie dla porządnéj kobiety?... One nie mają nic lepszego do roboty od samego rana, czy co?...

Z Feingussem łączyły go interesa, ale to jeszcze nie upoważniało go do robienia ojcu tych uwag, które podsuwał własnéj córce; nie chciało mu się zresztą narażać.

— Po co ja mam wtykać nos między cudze drzwi?—mówił.

Malcia zaś uważała, że bardziéj zabawnych, wesołych i szykownych towarzyszek nie mogłaby dla siebie znaleźć w całém mieście; imponowały jéj swoim sprytem, swoim rozumem i znajomością życia, swojemi stosunkami, swojém szczęściem do mężczyzn, którém się przed nią przechwalały, starała się je naśladować bezwiednie i marzyła o tem, aby mićć choć jednę z tych zajmujących tajemnic, jakie miały taka Traubsohnowa lub Fiołkiewiczowa.

Nie taiła się nawet z tém przed niemi; zwykle odpowiadały jéj na to ze śmiechem:

— Poczekaj, przyjdzie i na ciebie kolej, gdy wyjdziesz za mąż!...

Małżeństwo uważały za pewien rodzaj wyzwolenia z krępujących przesądów.

Przez brata, który już się zaczynał „puszczać“ i bywał w rozmaitych towarzystwach, złych i dobrych, wiedziały o wszystkich „pikantnych“

awanturkach złotéj młodzieży, o wszystkich plotkach zakulisowych, wszystkich tajemnicach półświatka; codziennie brały go na indagacyę, musiał im opowiadać z najdrobniejszemi szczegółami o kolacyjkach, w których brał udział, o rozmaitych pannach Fiutkach i Fifinach, któremi się tak interesowały, jak gdyby to były ich osobiste znajome i damy z jednéj sfery, z jednego towarzystwa.

Ta ciekawość niezdrowa, pospolita, lekkomyślna kazała im się wtrącać w rzeczy najmniéj stosowne dla przyzwoitych kobiet i zabrudzać sobie wyobraźnię wszelakiém plugawstwem, które niesmak musiałyby obudzać w ich własnych pokojówkach.

A one bawiły się tém i zajmowały ze szczególniejszém upodobaniem!...

Nie byłyby nawet umiały zrozumieć, co w tém mogło być nieprzyzwoitego albo zdrożnego, jak nie pojmowały wielu najprostszych rzeczy, stanowiących podstawowe zasady moralności.

Uwagi, jakie dochodziły ich uszu, brały za głos zazdrości i zawiści, wywoływany ich powodzeniem, ich zbytkiem, ich szykiem, ich zdobyczami.

Zawsze ktoś miał „pęknąć ze złości,“ albo się „wściekną z irytacyi,“ gdy one szły na wieczór, albo nową toaletę układały na bal, albo nową znajomość robiły na wyścigach, albo na obiad zaprosiły kogoś „w modzie,“ albo nową intrygę zawiązywały.

Te obiady i śniadania, które ze szczególniejszą pompą i hojnością wydawano w domu Feingussów miały swój rozgłos w kołach pieczeniarzy i darmozjadów.

Pan radzca, który swoją dystyngowaną osobą ozdabiał rozmaite salony i bywał zarówno u Sandsteina, jak i u Feingussa, pół żartem, a pół seryo, powiadał:

— Na honor, człowiek już dawno zostałby antisemitą, gdyby nie kuchnia u tych izraelskich Lukullusów!...

— No, i kobietki, i kobietki, przyznaj radzca!—dodawał z iskrzącemi oczkami pan Xawery, który gotów był padać na kolana przed każdą „królową swego serca,“ jak to czynił wobec Vossowéj u Sandsteinów.

— Zapewne, zapewne,—potwierdzał radzca,—choć przyznam się memu panu, że ja jestem trochę zawsze jeszcze romantykiem i idealistą staréj daty i na mnie ta ich zmysłowa piękność nie oddziaływa. Brak w niéj... jakby to powiedziéć?... brak czegoś, czegoś duchowego, o!... co uszlachetnia wdzięk fizyognomii. Tego nie szukać u najpiękniejszych żydówek.

Mówił to tonem profesora estetyki i przymykając oczy z westchnieniem dodawał:

— To wszystko smaczne, dojrzałe, soczyste owoce, ale nie kwiaty... nie kwiaty!

Pan Xawery stulał powieki ze złośliwym uśmiechem i muskając swoje czernione wąsy, odpowiadał:

— To téż owoce się jada, a kwiatki się tylko wącha... Wie radzca, ja czuję, że zostanę także idealistą, ale dopiero w pańskim wieku.

Radzca robił minę urażoną i prostując się, z przekąsem zawsze dystyngowanym, odpowiadał:

— To znaczy właściwie, odkąd się pan farbować przestaniesz...

IV.

Ciocia Voss czuła się w siódmém niebie, odkąd wzięła w ręce sprawę wyswatania synowca.

Zdawało się jéj, że to małżeństwo jest teraz jedynèm zadaniem jéj życia; zrobiła się żywszą, ruchliwszą, gadatliwszą niż kiedykolwiek.

Wprowadzenie do rodziny Sandsteinów wnuczki prawdziwych hrabiów, kolligacya z ludźmi, mającymi takie nazwisko, jak Zabiełowscy, olśniewała ją, zachwycała, a sama myśl o tém rozwijała w niéj całą dyplomacyę kobiecą i podniecała do najgorętszych, choć i zbyt natarczywych zabiegów około całkowitego pozyskania Łanieckich i Toli.

Nie taiła przed sobą trudności tego zadania.

— Moja droga, — mówiła w zaufaniu do Sandsteinowej — żeby tu chodziło o Resię — hoho!... aniby mnie głowa zabolała. Wynalazłabym ci dwunastu zięciów, nie jednego; i ja ci ich znajdę, bądź spokojna. Nasze panny łatwiéj wychodzą za mąż, bo, wiesz, co je swata?... posag!... To, kochasiu, środek niezawodny. Ale z synami zawsze bieda. Już to *entre nous soit dit*, łatwiéj zostać

każdéj z nas hrabianką, niż hrabiance Sandsteinową. To całkiem naturalne i ja się temu nie dziwię. Nazwisko ma swoją wartość, moja droga, a całe nieszczęście, że mąż nazwisko daje a żona je traci. W niektórych wypadkach, to i lepiéj— dodała ze śmiechem. — Już to, co prawda, mój brat mógłby był przy swoich dzisiejszych stosunkach postarać się przynajmniéj o jakiś tytulik. Czyż to tak trudno?... przyznaj bo sama, iż taka drobnostka, takie dwie literki, jak *br.* zmieniłyby zaraz tych Sandsteinów. Baron Sandstein, baronowa Sandstein, baronówna Sandstein!... co!... jak to dobrze brzmi, nieprawdaż?... Nie, Lorciu, do tego jeszcze przyjść musi,—ja Ludwika namówię koniecznie, aby się o baronostwo postarał, zwłaszcza teraz, kiedy Bernard weźmie Tolę. To się Zabiełowskim należy, wierzaj mi. Wypada o tém koniecznie pomyśléć, koniecznie!...

Sandsteinowa słuchała tego spokojnie, ale z uwagą; jéj czoło marszczyło się, brwi pomykały w górę coraz wyżéj a oczy wydawały się coraz mniejsze i jakby senne.

— Tak, ale czy z tego wszystkiego co będzie!— szepnęła po chwili z westchnieniem.

Vossowa spojrzala na nią, prawie wystraszona.

— Dlaczego niéma być?...

— Albo ja wiem!... mnie się zdaje, że pomimo tego wszystkiego, co się robi, cała sprawa stoi na miejscu. Mój biedny Bernard ma taką minę, jakby chciał dziesięć razy rów przeskoczyć i ani razu mu się nie udało.

Vossowa ramionami wzruszyła.

— E, zakochany!... i dlatego tak wygląda. Nie bój się, wszystko idzie jak najlepiéj; już w tém moja głowa. Łaniecka po naszéj stronie, to grunt, a co do niego, to widzisz przecie, jak się sam do nas garnie. To człowiek bez przesądów, zresztą Ludwik ma go w kieszeni.

Sandsteinowa wydęła usta z grymasem.

— No, nie tak bardzo.

— Przecież miał regulować jego interesa?...

— Miał, ale jeszcze się namyśla.

Pani Emilia ze zgorszeniem spojrzała na bratowę.

— Namyśla się?..—powtórzyła,—jak się można namyślać, kiedy idzie o szczęście Bernarda?...

— Moja Emilko, ty tak mówisz, jakbyś się nic a nic na rachunkach nie znała. Małżeństwo małżeństwem, a interes interesem. Wpakować ze sto tysięcy, a może dwieście w taką niepewną hypotekę...

Pani Emilia przerwała jéj prawie z oburzeniem:

— Moja Lorciu, przestań, proszę cię!... Mówisz teraz, jak jaka prosta Sandsteinowa, co handluje starzyzną. Fe!.. to nie na ciebie. *Parole, ma chère*, ja cię nie poznaję. Wy nic nie macie szlachetniejszéj ambicyi w sobie!.. Tu, gdzie chodzi o twojego syna, o całą naszą rodzinę, o twoje przyszłe wnuki, o taką synowę, wy możecie jeszcze rachować?... Sto tysięcy, a choćby dwieście?... cóż to znaczy!... Bernard przecież będzie miał więcéj; a zresztą, to nie stracone, wróci mu się przecież posag po żonie.

— Tak, ale aby ten posag uratować, trzeba oczyścić wpierw majątek Łanieckich, wiesz ty o tém?

Vossowa skoczyła na siedzeniu.

— No to co?... gdybyście chcieli jakiego arystokratę na zięcia, toby was to jeszcze drożéj kosztowało. Wstydź się używać takich argumentów. Gdzie jest Ludwik? ja pójdę do Ludwika i z nim pomówię sama. Zresztą, to była już rzecz prawie postanowiona; ja dałam Łanieckiéj do poznania, że u brata wyrobię im kredyt, a teraz wy się chcecie namyślać, może jeszcze cofnąć; toby była kompromitacya!... ja nie mogę na to pozwolić. Gdzie jest Ludwik?...

Zaperzona pobiegła do kantoru szukać Sandsteina, aby go przekonać, że nie powinien stawać na drodze do szczęścia własnemu synowi i dla honoru rodziny musi ratować Łanieckich.

Zastała go przeglądającego projekt dużego lombardu akcyjnego, który mu przedstawiła spółka z jakimś hrabią na czele; sprawdzał właśnie pojedyncze pozycye przewidywanych dochodów i zysków, kiedy Vossowa wpadła do jego gabinetu z wypiekami na policzkach.

Zapomniała w téj chwili o tém, że jéj zbytnia irytacya szkodzi.

— Mój Louis—zaczęła od razu, stawiając parasolkę na jego biurku i opierając na niéj obie ręce, — mam z tobą do pomówienia w bardzo ważnéj sprawie!...

Nie podnosząc głowy i nie przerywając swoich obliczeń, odrzekł:

— Dobrze, za chwilkę, siadaj tymczasem... zaraz skończę.

— Kiedy ja nie mam dużo czasu.

— Ja także.

— Mnie pilno.

— Mnie także,

— Zresztą przychodzę w twoim interesie.

— W moim?... — spojrzał na nią z pod oka i uśmiechnął się—no, to niech pani siada. O co chodzi?...

Rzuciła się na fotel przy biurku, parasolkę wzięła na ramię, jak karabin i zaczęła:

— Co ty znów wyrabiasz?... cofać się od uregulowania interesów Łanieckiego?... rozmyśliłeś się?...

Sandstein przez chwilę wytrzymał ją wzrokiem, potem spokojnie odpowiedział:

— Tak.

Zimny i stanowczy ton, jakim to wyrzekł, rozstroił ją do reszty; omal jej łzy z oczu nie trysnęły.

— Na seryo?—spytała, hamując się.

— Na seryo.

— Więc rezygnujesz z małżeństwa Bernarda?

— Wcale nie.

— Jakto? w takiej chwili odmawiasz swojej pomocy Łanieckim, od których zależy twoja przyszła synowa?... nie chcesz, im pomódz teraz, kiedy można ich na całe życie zobowiązać?... A ty wiesz o tém, że ja im prawie za ciebie przyrzekłam?...

Sandstein skrzywił usta, głową pokiwał i odparł znowu tym zimnym, obojętnym tonem:

— Wiem, bo mi sam Łaniecki już o tém napomknął.

— No, więc cóż?

— No, to poproś swojego Michała, aby mnie w tym interesie wyręczył.

— Proszę cię Louis, nie żartuj; ja nie jestem usposobiona do żartów.

— Ani ja.

Wyjęła chusteczkę z kieszonki paltocika, bramowanego popielicami i otarła sobie twarz.

— Zatém nie chcesz, aby się Bernard ożenił?

— Owszem, chcę, bo to się wam kobietom podobało, co prawda więcéj, niż mnie, ale niech tak będzie—niech się Bernard ożeni z hrabianką. On wart nawet księżniczki.

Pani Emilia rozpięła wszystkie guziki u paltota; zrobiło się jéj gorąco podczas téj rozmowy.

— Pewnie, że wart!... jednak daruj mój drogi, nic z tego nie rozumiem.

Sandstein wstał powoli, poszedł ku drzwiom niedomkniętym, zaglądnął do drugiego pokoju, potém drzwi przezornie zamknął i założywszy ręce z tyłu, stanął naprzeciw siostry.

— Nie dziwię się, że nie rozumiesz, bo ty jesteś kobieta i nie znasz się na interesach. Twój Michał zarazby zrozumiał.

Wypatrzyła się na niego ze zdziwieniem i ciekawością.

— Widzisz—ciągnął daléj po chwili, — ja jestem nie tylko dobrym ojcem, ale i dobrym kup-

cem. Ja ci to wytłómaczę, ale jak siostrze, w największém zaufaniu, to znaczy, abyś nawet jednego słowa przed nikim nie pisnęła!... Dobrze?

Wyciągnęła do niego machinalnie rękę zamiast odpowiedzi, coraz bardziéj zaciekawiona tém, co miała usłyszéć.

— No, no?... słucham, mów tylko.

Ujął jéj dłoń, uścisnął, jakby przy zawieraniu umowy i rzekł:

— Widzisz, moja Emilko, ja sobie wynalazłem tańszą operacyę przy tém małżeństwie. Po co przepłacać interes, który można za połowę téj sumy ubić?... W tych czasach skończy się proces Zabiełowskich i Łanieckich z Radoszkowskimi.

— Wiem przecie, i o to chodzi, żeby wygrali.

Zaprzeczył jéj skinieniem głowy.

— Przeciwnie; chodzi o to, żeby przegrali. Dziwi cię to?... Widzisz, aby wygrali, potrzebaby oczyścić cały majątek i dać im do ręki dużo gotówki. No, i co z tego?... Te całe ich Grzędy nie warte dzisiaj dwudziestu tysięcy. Jako majątek familijny mają tylko dla Łanieckiéj znaczenie, więcéj dla nikogo. Tam jest więcéj długów, niż Łaniecki ma włosów na głowie. Niech je sprzedadzą; wtedy spadnie połowa wierzycieli a przy licytacyi ja dopiero to kupię za byle co—i oddam Bernardowi, gdy się ożeni. No, zrozumiałaś teraz?...

Vossowa oczy otworzyła szeroko; ta tańsza operacya brata podziałała na nią, jak niespodzianka, ale prostotą swojego pomysłu wzbudziła chwilowy jéj podziw.

— No, dobrze to wszystko, jednak co będzie z Łanieckimi?—spytała nagle zakłopotana, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia.

Sandstein poskrobał się wielkim palcem w podbródek i przechylając głowę na ramię, z lekceważeniem odparł:

— Co będzie z Łanieckimi?... o to trzeba się było ich spytać przed dwudziestu kilku laty, gdy zaczęli długi robić, a nie teraz.... Nie bój się o nich, nie zginą. Już ja tam i dla niego coś wynajdę, gdy się sprawa ułoży. Da mu się jaką synekurę dobrą i będzie panem radzcą, jak tego tylko potrzeba!... Ty wiesz, ja mam stosunki; bądź spokojną. Przecież go na bruku bez niczego zostawić nie można.

Vossowéj twarz się przeciągnęła; nie smakowała jéj taka kombinacya.

— Ale czy to tylko wypada?—zauważyła.

— Dać takiemu darmozjadowi, jak Łaniecki, synekurę?—poderwał złośliwie Sandstein,—pewnie, że nie wypada, ale czego się nie robi dla familii!

— Ach, nie to—cierpko odezwała się pani Emilia, — ale czy wypada wyzuwać ich z majątku?... im na tych Grzędach tyle zależało!... Cóż ty wtedy zrobisz za poświęcenie?

— Ja?...

Przybrał minę bardzo poważną i prawie urażoną takiém zapytaniem.

— Zrobię to, że Łanieccy zamiast pójść na dziady, dostaną kawałek chleba, że posag ich siostrzenicy, który zaprzepaścili, zostanie uratowa-

ny. i że ich familijne dobra pozostaną w rodzinie. Co ja mogę więcéj zrobić?... mnie się zdaje, że ja dość robię i to z dobréj woli.

Odwrócił się i poszedł zająć miejsce swoje przy biurku.

— A jeżeli stary Zabiełowski ich poratuje?— spytała Vossowa, przypomniawszy sobie hrabiego dziadka.

Sandstein wybuchnął głośno swoim skrzeczącym chrypliwym śmiechem.

— To mi się spodobało!... — wykrzyknął, — on im złamanego szeląga nie da więcéj, żeby do niego na klęczkach chodzili!... on już w ten dziurawy worek dosyć napchał.

— Mają przecież jeszcze hr. Adama, — próbowała dowodzić pani Emilia.

— Co?... ten?... niech im da; — odpowiedział szyderczym tonem. — Panowie, moja Emilko, nie lubią gołych krewnych. Zresztą, oni teraz są z sobą na bakier, Łaniecki mi to sam powiedział,—ale oni się przeproszą, kiedy pani Bernardowa Sandstein będzie miała pół miliona z mojéj łaski. Nic, Zabiełowscy, ani stary, ani młody, nie pomogą. Wiesz, kto im prędzéj da pieniędzy?...

— No, któż taki?..

— Prędzéj im pożyczy ten głupi Sammet, aby mnie na złość zrobić. Tak... on już Radoszkowskim dał kilkadziesiąt tysięcy na skończenie procesu i myśli, że mi tém okropnego figla wypłatał. Ja go znam! — to osioł. Zeszłego tygodnia na giełdzie opowiadał: „Ja temu Sandsteinowi taką pikę w bok wsadziłem, co on mi do końca życia

tego nie zapomnil...“ Oj, oj, co to za głupi żyd z tego Sammeta. On myśli, że ja się będę gniewał za to, kiedy Radoszkowscy proces wygrają!... to przecież woda na mój młyn. Onby powinien dostać odemnie procent za tę przysługę.

Vossowa nie słuchała więcéj brata; miała głowę teraz czém inném zajętą.

Ten cały plan z głównym celem ożenienia Bernarda raził ją trochę zbyt kupiecką spekulacyą, z którą ojcowskie swoje ambicye połączył Sandstein; przeciw jego cyfrom i obliczeniom nie miała jednak dostatecznych argumentów.

Czuła, że będzie musiała zmienić teraz taktykę i manewrować inaczéj, aby w myśl brata pokierować całą sprawą małżeńską.

Chodziło o przyśpieszenie swatów, o skorzystanie ze sposobności, z usposobienia Łanieckich, ujętych nadzieją ratunku.

Wiedziała, co zrobi i do działania postanowiła przystąpić ze zdwojoną energią.

— Ha,—rzekła po krótkim namyśle,—rób, jak uważasz. Żebyś się tylko nie przerachował. Całe miasto już żeni Bernarda z hrabianką. Pamiętaj o tém, że na kompromitacyę nie możemy się narażać. Boże, jabym tego wstydu nie przeżyła, gdyby się to małżeństwo zerwało!...

Wyjęła szybko z kieszeni lusterko, małą puszeczkę ze słoniowéj kości i chociaż przechwalała się tém zawsze, iż oprócz wody zimnéj dla utrzymania białéj swéj cery, niczego więcéj nie używa, przypudrowała sobie lekko nos, policzki i brodę.

— Wyglądam, jak pijaczka z takiemi rumieńcami!—mówiła zakłopotana.

Zapięła się, ręce włożyła w obie kieszonki paltocika, parasolkę wzięła pod pachę i z tą swoją miną młodéj panienki, pożegnawszy brata, wyszła na ulicę.

Zajmowały ją teraz najbardziéj ze wszystkiego jéj wypieki i przechodząc obok sklepów, w każdéj lustrzanéj szybie przeglądała się pilnie, czy z pod białéj woalki znać było bardzo jéj rumieńce, wywołane tak żywą irytacyą.

Wstąpiła do ogrodnika i kupiła sobie bukiecik fiołków, który z fantazyą wetknęła w kieszonkę na piersiach; do domu zaś kazała sobie przynieść świeżych kwiatów, któremi miała być ubraną zastawa stołu przy kolacyi na dzisiejszym raucie.

Miała gości u siebie, małe kółko znajomych i przyjaciół, tak ze trzydzieści osób, nie wiele; nazywało się to skromną herbatką, malutkiém zebrańkiem, wieczorkiem, aby odjąć temu cechę wystawności.

— Będą tylko Łanieccy z Tolą, — powtarzała przez trzy dni przedtém wszystkim zaproszonym, do których dla przypomnienia „wpadała“ na chwilkę, bez ceremonii.

Mówiła o nich z taką poufałością, jakgdyby od dawna już należeli do jéj rodziny.

Obiecywała sobie, że skoro tylko Bernard oświadczy się i zostanie przyjętym, zacznie się natychmiast tykać z Łaniecką a Toli zaproponuje to samo.

Dlaczegożby nie miały sobie mówić „ty“?... cóż

to szkodzi, że jest między niemi różnica wieku?... Bernard jest jéj synowcem, a upoważniła go, aby ją traktował, jak siostrzyczkę, nie jak ciotkę. Ciocia!... fi!... to takie pospolite; taki tytuł dodaje zaraz powagi i wieku.

Wróciła do domu z ułożonym w głowie planem, że dzisiaj musi zakończyć wszystko, zbliżyć ostatecznie Tolę z Bernardem, a przynajmniéj otwarcie pomówić z Łaniecką.

Ach, jak w jéj uszach melodyjnie brzmiał ten tytuł: *Comtesse*, którym obdarzała ją co drugi wyraz w rozmowie.

W całym salonie syczało ciągle od owej „Comtesse, Comtesse, comtesse!...“ wyraz ten tém głośniéj i z tém większym naciskiem był wymawiany w domu państwa Vossów, im liczniejszém bywało grono zaproszonych gości.

Zdawało się, jakby sama gospodyni chciała nieustannie zwracać uwagę na tę towarzyską osobliwość w postaci rzeczywistéj hrabiny, która uświetniała jéj salon in persona.

— Proszę cię, Emilko — zwracał wprawdzie Voss niejednokrotnie uwagę żonie, rozpromienionéj każdą wizytą Łanieckich—po co ty robisz na gwałt Łanieckiego hrabią, kiedy on jest zwyczajnym szlachcicem?... Nasz Jakób mówi mu także teraz przy drzwiach „jaśnie panie,“ chociaż nie dostał od niego ani razu jeszcze na piwo.

Pani Emilia wznosiła oczy do góry i wzdychała.

— Nie, ty jesteś okropny!... przecież ja jego hrabią nie nazywam, a jéj się ten tytuł najsłuszniéj należy. Czyż nie jest hrabianką Zabiełow-

ską z domu?.. Ale, co tobie mówić o konwenansach!...

— To prawda!...—podchwycił mąż, kontent, że może wsiąść na swego ulubionego konika, — na konwenansach znali się tylko Sandsteiny, a Vossowie na konsensach, które im wydawano na gorzelnie i browary. Masz słuszność, zawsze zapominam o tém, żeśmy nie z jednego pokolenia wyszli. Ty od króla Salomona, a ja od prostego Judy. *Excusez madame!...*

Wkładał ręce w kieszenie i schylał z przesadném uszanowaniem głowę przed żoną, która miała ochotę rzucić w niego czémkolwiek.

Wieczory i zebrania, które się u Vossów odbywały, były właściwie przyjęciami pani, nie pana; żona bowiem celebrowała głównie w swoim salonie, robiąc honory domu, podczas gdy małżonek trzymał się na uboczu i najczęściéj w męzkiém towarzystwie zabawiał się rozmową lub partyjką, zdejmując z siebie prawie zupełnie charakter gospodarza, a przybierając pozory najskromniejszego gościa w swoim własnym domu.

Do salonu wchodził o tyle, o ile tego konieczność wymagała; stawał najczęściéj tylko we drzwiach na chwilę i z jakimś jowialnym uśmiechem na ustach przyglądał się żonie, która pływała jak łabędź w dystyngowanéj atmosferze swojego towarzystwa, dobieranego zawsze tak, aby połyskiwało rozmaitemi blaskami.

— Emilka używa,—szeptał sobie w duchu i wracał do zielonego stolika.

A pani Emilia robiła nieustannie przegląd

swych gości, wśród których starała się mieć zawsze jakiś okaz znamienity, jak gdyby salon jéj był istném muzeum osobliwości danéj chwili z ciągle odnawianym programem.

Raz spraszała do siebie którego z Nababów plutokracyi, to znów kogoś bardzo dobrze urodzonego, to jakąś okrzyczaną piękność, to znów jakąś przejeżdżającą wielkość, słowem zawsze jakieś gwiazdy lub meteory ściągała na swój horyzont i pławiła się w ich blaskach taka szczęśliwa i zadowolona, jakby dosięgała szczytu swoich marzeń i ambicyi.

Ta próżność jéj miała pewien odcień naiwności, stanowiła jakąś manię dobréj w gruncie i rozumnéj nawet kobiety, któréj się chciało *à tout prix* uchodzić za damę wielkiego świata, tak samo, jak udawała wiecznie młodą i roztrzepaną mężateczkę.

Nie czuła tylko, że to może być śmieszne poza pewnemi granicami...

Ów mały wieczorek, na którym obiecywała sobie koniecznie przyśpieszyć małżeństwo Bernarda z Tolą, po rozmowie z jego ojcem, miał posiadać charakter poufno-familijny, co nie przeszkadzało, aby konstelacyi Łanieckich, o których tu głównie chodziło, pani Emilia nie spróbowała uświetnić najjaśniejszemi gwiazdami swojego towarzystwa.

Zapewniła sobie obecność kilku matadorów ze świata finansowego, z poważnymi tytułami prezesów i dyrektorów, które wyczytać można było od razu z ich imponujących fizyognomii, niby z kart wizytowych; stan obywatelski reprezentowało

dwóch radzców Towarzystwa kredytowego; wieś kilku młodych ludzi, poznanych w ostatnim karnawale, z zamaszystą elegancyą hreczkosiejów we frakach; inteligencyę dr Cieszyński z żoną i synem adwokatem, wreszcie Kulisz, uszlachetniony wielce w oczach pani Emilii od czasu, gdy się dowiedziała o jego stosunkach z domem Zabiełowskich.

Nie brakło nawet kogoś z „literatury“ dla większego ozdobienia salonu i „ze sztuki.“

Przedstawicielem pierwszéj był współpracownik pewnéj wielce konserwatywnéj gazety, broniącéj interesów większéj własności z odcieniem klerykalnym i anti-semickim, nazywany krótko i poufale „kochanym redaktorem,“—drugiéj zaś mężczyzna wysoki, chudy, prawie bez zarostu, z oczyma marzyciela, z twarzą ascety, którego przedstawiano damom, jako pana... nazwisko wymawiała gospodyni tak szybko jednym kącikiem ust, że go chyba nikt wyraźnie nie dosłyszał.

Wiedziano tylko, że to znakomity już dzisiaj pianista, który dopiero co przybył z zagranicy na krótki czas do rodzinnego miasta i urządzi koncert niebawem, a tymczasem w salonie państwa Vossów da się usłyszéć przed kolacyą.

Młody człowiek zaś podchodząc do kilku starszych panów, z bardzo poważną i uroczystą miną skłaniał przed nimi głowę i wyciągając swą długą, żylastą rękę do uścisku, przedstawiał się nizkim głosem, wymieniając dobitnie tylko swoje nazwisko:

— Montag.

Odpowiadano mu banalném zapewnieniem:

— Bardzo mi miło, — a on odchodził na swoje miejsce, z którego upatrywał sobie znowu kogoś, by za chwilę wstać, podejść do niego i przedstawić mu się w ten sam stereotypowy sposób, nie rozpoczynając jednak z nikim dłuższéj rozmowy.

Snać, uważał to tylko za obowiązującą formę w salonie i nie chciał jéj ubliżyć.

Na widok wchodzącego Kulisza, twarz mu się nagle ożywiła, przybrana sztywność znikła na chwilę i zapomniawszy się, zdaleka rozpostarł ramiona, jak gdyby go chciał na środku salonu wobec wszystkich uścisnąć; spostrzegł się jednak i miarkując swój instynktowny ruch, nieco głośniéj tylko, z wielką radością zawołał:

— Kogo ja widzę!... moje uszanowanie panu Kuliszu... *Wie geht's Ihnen mein Liebster?* — dodał już w niemieckim języku, czując, że mu po polsku nie tak łatwo pójdzie powitanie.

Kulisz zrobił minę trochę zdziwioną, ale życzliwą i ujmując rękę artysty, uścisnął ją serdecznie.

— Co pan tu robisz? — spytał, odciągając go zlekka na bok, i z widoczną sympatyą wpatrując się w niego.

— Jakto, co ja tu robię?... przecież to moje kuzyni... Pan zapomniałeś?...—zaczął się tłómaczyć Montag, rozumiejąc, że Kulisza zdziwiła tak obecność jego w domu Vossów.

— Ależ broń Boże!... pytam tylko co pan u nas robisz; myślałem, że nie tak rychło powrócisz z Lipska i Wejmaru. Cóż tam ze sztuką?... postępy duże?...

Montag spoważniał nagle, oczy zamknął, głowę spuścił i podnosząc palec lewéj ręki do góry, z tą swoją uroczystą znowu miną, odparł:

— Zobaczysz pan... Ja nic nie powiem, aż siądę przy fortepianu.

— Tak?... to się cieszę, nie próżnowaliśmy zatém?

— No, zobaczysz pan; ja wam wstydu nie zrobię. Ale co u pana słychać?.. Powiedz pan, prawda?... jak ja teraz dobrze wymówiam. A pamięta pan, jak ja sze zaczynałem uczyć u pana?... *Das war a Spass!*... co?... nieprawda?

Nachylił się do ucha Kuliszowi i jakby żartując z samego siebie, szepnął:

— Ja był jeszcze wtedy a *gur gemeiner* Josel Poniedziałek. Pan pamięta?... a dżysz... dżisz.. dżisiaj—(z trudnością przyszło mu złapać dobrze ten wyraz) — dzisiaj ja jestem Józef Montag, artysta na fortepianu, *ein Künstler!*... *Sie werden sehen!*

Oczy mu zaświeciły dumą i zadowoleniem.

Kulisz wziął go pod ramię i zaprowadził do drugiego pokoju.

— Kopę lat, jakeśmy się nie widzieli, — mówił tymczasem Montag, —aj, aj!... co tu się nazmieniało, prawda?... Stary pan hrabia umarł; to godny był człowiek!.. pan pamięta, jak un mie pierszy raz do pana przyprowadził?... ja wtedy byłem prosty szajgec. Żeby nie un, to jabym może książki oprawiał u introligator, jak mój ojciec, a przez niego ja jestem całkiem co innego. Nu, jak sze pan miewa, panie Kulisz?... Ja sze tak

ucieszałem, jakem pana tu zobaczył!... *Erzählen sie mir was von Ihnen!*

Pani Emilia z pewném zakłopotaniem zerkała w stronę Kulisza, rozmawiającego tak długo z Montagiem i w jednéj chwili stanęło jéj przed oczyma niebezpieczeństwo, na jakie się naraziła, pozwoliwszy mężowi zaprosić go na wieczór do siebie; chciała skorzystać tylko z jego talentu, pokazać gościom artystę, który za kilka dni miał się wsławić na koncercie, a zapomniała o tém fatalném jakiémś kuzynowstwie, które podobno łączyło jéj Michasia w bardzo, bardzo dalekim stopniu z Montagiem.

Zadrżała i zbladła na samą myśl, że Montag mógł się z tém zdradzić niepotrzebnie, zwłaszcza teraz, odkąd znalazł w jéj salonie przypadkiem znajomego.

Całą radość, cały humor miała zepsuty; gotową była nawet zrezygnować zupełnie z zapowiedzianéj muzyki w salonie, byle odwrócić uwagę od kuzyna, który nosił tak pospolite i to przetłómaczone nazwisko, a przy każdém słowie kaleczył tak okrutnie język.

Miała jednak tę przezorność, że szepnęła mężowi:

— Powiedz-żeż mu, aby się przynajmniéj nie odzywał wcale po polsku, bo nam uszy popuchną; niech go biorą za cudzoziemca.

Nie mogła się jednak uspokoić, zanim nabrała pewności, iż Łaniecka nie podejrzewała nawet stosunku, jaki zachodził między Montagiem

a Vossami; była zresztą zupełnie czém inném zajęta.

Nie wiedziała téż o tém, że nieboszczyk stryj Atanazy zajmował się kiedyś synem swego ubogiego introligatora i dostrzegłszy w nim niepospolity talent do muzyki, kazał go własnym kosztem kształcić, wyznaczył mu ciche stypendyum i pomógł do wyjazdu za granicę.

Była to także jedna z „dziwacznych fantazyi“ starego oryginała, któremi zawsze tak bardzo gorszyła się jego rodzina.

Na szczęście dla pani Emilii, rozmowa w salonie ożywiała się coraz bardziéj, a widmo kuzynowstwa z zaproszonym Montagiem, cofało się na coraz dalszy plan.

Wciśnięta w róg adamaszkowéj kozetki Tola, piękniejsza niż kiedykolwiek, siedziała z jakimś nerwowym uśmiechem na ustach i prowadziła rozmowę z kilku młodymi ludźmi, odpowiadając złośliwemi półsłówkami na uwagi i zapytania, czynione jéj przez jednego z salonowych gogów, który miał rzadką grzywkę naczesaną na łysiejące czoło, bardzo wyblakłe oczy i okrutnie naszczurzone wąsiki pod zadartym nosem; na atłasowym jego szapoklaku błyszczał ogromny monogram z koroną, którą starał się widocznie podsuwać wszystkim pod oczy.

Zawzięcie popisywał się przytém francuzczyzną, mieszając jakby z łaski od czasu do czasu kilka wyrazów swojskich, a przy każdym powiedzianym dowcipie spoglądał do koła z miną, która zdawała się mówić:

— A co? Dzidzi pyszny facet, *n'est ce pas?*...

Z rękoma założonemi na piersiach, oparty o marmurową konsolę pod lustrem, stał w pewném oddaleniu młody Sandstein i w milczeniu przysłuchywał się niby téj rozmowie, w któréj nie brał żadnego udziału.

Wpatrzony w Tolę, zdawał się wszelako nie widziéć jéj; zajęty był innemi myślami, które mu uparcie wracały od kilku godzin do głowy.

Matka, zajęta wprawdzie nieustannie Łaniecką, która stanowiła główne ognisko w salonie Vossów, zwróciła kilka razy badawcze spojrzenia na syna; poznała, że zmieniony, nie domyślając się przyczyny. Ciotka Emilia zaś przypisywała to zwykłemu onieśmieleniu swego ulubieńca, który w liczniejszém towarzystwie wydawał się zawsze jakby trochę zakłopotanym.

Podchodziła do niego tylko od czasu do czasu aby mu szepnąć w ucho:

— Ach, jaka ona śliczna!... cudowna!... pójdźżeż do niéj bliżéj... przysiądź się do niéj,—albo:

— Porozmawiajże z nią trochę, — stoisz, jak trusia. Panny tego nie lubią.

Raz nawet odciągnęła go na bok pod jakimś pretekstem i wspinając się na palcach, z błyszczącemi oczyma, rzekła:

— Wszystko jak najlepiéj!—spróbuj się dzisiaj oświadczyć, gdy będziecie sami. Już ja wam to ułatwię.

I odeszła zadowolona „obrabiać“ daléj Łaniecką.

Na spokojnéj pozornie twarzy Bernarda zarysował się jednak jakiś cień, jakby od chmur przebiegających przed słońcem w jesienne południe.

Kilka godzin temu spotkał się przypadkowo w maneżu z Malcią Sammetówną i trzema Feingussówkami; zaszedł do ujeżdżalni zobaczyć konia, którego miał tam na stajni i przejechać się trochę.

Natrafił właśnie na godzinę lekcyi czterech amazonek, które kończyły swą tualetę i za chwilę miały dosiąść wierzchowców, przeprowadzanych po maneżu.

Usiadł w poczekalni i oczekując dyrektora zakładu, zaczął się machinalnie bawić szpicrutą, zostawioną przez kogoś na stoliku.

Przez duże oszklone okno widać było napełnioną na pół zmrokiem obszerną hallę, wysypaną sypką ziemią i trocinami, ze ścian zwieszały się jako dekoracya chorągiewki różnokolorowe; przez kwadratowe, wysoko umieszczone otwory wpadały smugi światła a dwóch stajennych oprowadzało w kółko powolnym krokiem cztery gniade konie, przy których ciemnéj maści odbijały żółte plamy damskich siodeł i migały błyski stalowych strzemion.

Szpicruta, którą się Bernard bawił, miała złocony łeb koński z dwoma rubinami zamiast oczu.

Kiedy tak siedział, wpatrzony obojętnie w okno maneżu, otworzyły się nagle z impetem drzwi do poczekalni i w opiętéj amazonce, w lśniącym cylindrze na głowie, z białym fularem związanym niedbale pod męskim, stojącym kołnierzykiem,

wpadła raczéj, niż wbiegła—Sammetówna; spostrzegłszy go niespodzianie, cofnęła się szybko, oblana gorącym rumieńcem i stanęła we drzwiach, jak wryta.

To spotkanie zmieszało ją tak bardzo, że nie mogła zapanować nad sobą; poznała od razu towarzysza swych lat dziecięcych, uwielbiony swój ideał, o którym marzyła pokryjomu w swoich namiętnych snach i kiedy ją przypadek zetknął z nim oko w oko, straciła niemal przytomność przez chwilę.

Byli sam na sam z sobą w tym ciasnym, kwadratowym pokoiku o białych ścianach, obwieszonych angielskiemi sztychami, na których dżokeje przesadzali płoty, a lordowie w czerwonych frakach galopowali obok smukłych dam w granatowych amazonkach.

Stanęła i zachwiała się, uderzona spojrzeniem jego czarnych oczu, których instynktownie unikała zawsze tak lękliwie.

Ogarnął ją ten nieprzeparty urok, jaki na nią wywierał młody Sandstein i nie wiedziała, co się z nią stało; wyglądała, jak spłoszona łania, która zapędziła się wprost w zasadzkę i ujrzała tuż przed sobą strzelca na stanowisku.

Zbladła, usta jéj drżéć zaczęły, powieki się zamknęły, w gardle ją ścisnęło i jakąś nieznośną duszność uczuła w piersiach; usunęła się na krzesło, które stało przy samych drzwiach i skłoniła głowę, jakby w omdleniu.

Bernard porwał się z miejsca zaniepokojony i pośpieszył jéj z pomocą; dotknął zlekka dłoni

dziewczyny, która jak iskrą elektryczną zbudzona, otworzyła szybko oczy a mimowoli, bezwiednie, palce jéj uczepiły się jakimś kurczowym uściskiem jego ręki, jakgdyby schwyciły dawno upragnioną zdobycz i w samém jéj dotknięciu rozkosz znalazły.

Odetchnęła ciężko, głęboko i dużemi, wilgotnemi oczyma patrzała przez chwilę w niego, który zakłopotany tą sceną stał przy niéj, nie mogąc słowa znaleźć na razie.

— Jaka ja głupia!—przemówiła wreszcie pierwsza, opanowawszy wzruszenie—tak się przestraszyłam...

Próbowała się uśmiechnąć, zawstydzona i jakby z żalem puszczając jego rękę, otrząsnęła się z dreszczem i powstała.

— Jak się masz... panie Bernardzie?—dodała przypomniawszy sobie, że nie wypada jéj więcéj tykać go poufale, jak za dawnych czasów. — Nie widzieliśmy się już tak długo, że nie poznałam pana. A pan mnie?... Pan także jeździ w maneżu?... Zkądże pan wziął moją szpicrutę?...

Pragnęła koniecznie odzyskać utraconą swobodę i nie okazać więcéj swego zmieszania, ale pierś jéj falowała jeszcze wzburzona a głos drżał przy każdém słowie.

Nie chciała dłużéj zostawać z nim sam na sam, zwróciła się ku drzwiom i zawołała jakimś fałszywym, podniesionym głosem:

— Leosia!... chodźcież już raz, konie czekają!... co wy się tam tak guzdrzecie?...

— Dawno pani jeździ wierzchem?—spytał ją

Bernard, obejmując badawczym wzrokiem majestatyczną jéj figurę, rysującą się wydatnie w wspaniałych liniach pod upiętą amazonką.

— Co pan powiada?.. czy ja od dawna jeżdżę?.. o, już od paru tygodni. Mówię panu, że mogłabym występować wkrótce w cyrku. A cóż pan robi?... jaki pan sport uprawiasz teraz?... podobno....

Usta jéj zwęziły się złośliwym grymasem i nie dopowiedziały rozpoczętego zdania.

— Cóż tam Resia porabia? — spytała nagle, zmieniając temat rozmowy, — zdrowa?... za mąż się nie wybiera?...

— Trochę za wcześnie.

— Pewnie: najpierw koléj na brata,—prawda?..

Głos jéj znowu zadrżał, ale inaczéj, niż poprzednio.

Zbiegła po schodkach z poczekalni do maneżu, zostawiając za sobą Bernarda, jakby się obawiała usłyszéć jego odpowiedzi.

W téj chwili z garderoby damskiéj naprzeciwko wyszła Traubsohnowa, zwabiona głosem męzkim i podniosła amazonkę swą prawie po kolana, odsłaniając lakierowane sztylpy swoich bucików a salatując po kawaleryjsku, rzuciła się ku Bernardowi z uniesieniem:

— Ach, to pan?... *comment allez vous?*... ależ to cudownie!... będziemy miały choć jednego kawalera. Mam nadzieję, że pojeździsz pan trochę z nami?

Wsunęła mu rękę pod ramię i przytulając się do niego zalotnie, szepnęła:

— Pozwalam się panu wsadzić na konia, — *bien?*...

Kiedy weszli do maneżu, zostali już Sammetównę na siodle.

Traubsohnowa zatrzymała się przed nią w pewném oddaleniu i zwieszona na ramieniu Bernarda; szeptała do niego głosem kusicielki:

— Patrz-no pan, co to za wspaniała kobieta z téj Malci!... podoba się panu?...

Bernard uśmiechnął się i wymijająco odrzekł:

— Chowaliśmy się razem w dzieciństwie.

— No to i cóż?... to się już panu podobać nie może?... Gdybym była mężczyzną, przepadałabym za takiemi dużemi kobietami. Dalibóg, ona ślicznie wygląda na koniu!...

Zwracała niby uwagę na wdzięki Malci, ale sama przyciskała jego ramię do siebie, z tą wyrafinowaną zalotnością kobiety, która umie „brać mężczyzn.“

— Wy jesteście wszyscy ślepi, jak krety,—mówiła daléj, podnosząc do niego głowę i zaglądając mu w same oczy, — szukacie Bóg wie czego, Bóg wie którędy, a nie widzicie tego, co macie pod samym nosem. *Sieh,' das Schöne liegt so nah!...*

— O kim pani mówi w téj chwili? — spytał ją z udaną niedomyślnością, ale ze złośliwym uśmiechem.

Zrobiła zagniewaną minę i odwróciła się od niego, nie puszczając jednak jego ramienia.

— Ee, nie udawaj pan; wiesz przecie, o kim mówię.

— O sobie?...

Udała jeszcze bardziéj urażoną.

— Zarozumialec z pana—rzekła,—dlatego, żeś pan ładny, to już ci się zdaje, iż każda kobieta musi się panu sama na szyję rzucać?... Nie każda taka naiwna, jak ta...

Znaczącém spojrzeniem wskazała na Malcię.

Słowa jéj zadziwiły go; wzruszył ramionami i popatrzył na Traubsohnową pytająco.

— Daję słowo, nie rozumiem pani, — odezwał się głosem poważnym.

— Słowo pan dajesz?—zawołała, ale miarkując się natychmiast znowu, szeptem dodała:

— Jakto?... nie wiesz pan tego, że ona w panu zadurzona po uszy?...

Zarumienił się po same białka i z dobroduszną szczerością odpowiedział:

— Nie wiem. Zkądże mam wiedziéć?...

Wzięła to za udanie z jego strony i jakby za karę, uszczypnęła go w ramię.

— Jesteś pan dzisiaj nieznośny!...

Zostawiła go na środku maneżu i poszła sama do swego konia. Sammetówna podczas ich rozmowy, kłusowała do koła maneżu i rzucała ku nim z pod oka spojrzenia jakieś badawcze i zaniepokojone zarazem, jak gdyby przeczuwała, że jest przedmiotem ich tajemniczych szeptów.

Udawała, że jest zajętą tylko jazdą konną i że się jéj z całą pasyą oddaje, ale udawała bardzo niezręcznie.

Bernard zmieszany zawsze jeszcze słowami Traubsohnowéj wodził teraz oczyma za Sammetówną i przypatrywał się jéj z większém zaję-

ciem i zakłopotaniem jakiémś, którego ukryć nie umiał.

— No, miałeś mnie pan wsadzić na konia—zawołała z siodła już Traubsohnowa po francuzku,—pójdźże przynajmniéi skrócić mi trochę strzemię. Piękny z pana *cavaliere servente!...*

Nie śpiesząc się zbytnio, podszedł na jéj wezwanie i roztargniony zaczął szukać sprzączki u rzemienia przy siodle. Traubsohnowa niby z roztargnienia końcem swego lakierowanego bucika oparła się o jego ramię, gdy się nachylił, ale nie zważał na to, czy téż umyślnie nie chciał zwrócić uwagi.

Sammetówna z kłusa przeszła w galop, jakby jéj coraz gwałtowniejszego ruchu było potrzeba.

Trzy inne konie w środku maneżu zaczęły się niepokoić i parskać nozdrzami.

— Malcia nie waryuj!—ostrzegała ją podniesionym głosem Traubsohnowa,—czy ty masz ochotę koniecznie dzisiaj kark skręcić?...

W téj chwili dwie nowe amazonki weszły nareszcie do maneżu z przybocznéj garderoby, Fiołkiewiczowa z Leosią i piskliwemi głosami po angielsku zaczęły opowiadać siostrze, że jednéj z nich pękł gorset, a drugiéj się wydarzył wypadek z podwiązką; śmiały się przytém, że cały maneż napełniały swym chychotaniem i wykrzykami.

— Barberine!... żebyś ty wiedziała — wołała Leosia na całe gardło,—żebyś ty wiedziała, co ja ci powiem, nie!... to paradne. Jak się pan miewasz, panie Bernardzie?... — podała mu rękę do uścisku po męzku, podnosząc trochę łokieć i prawe ramię w górę. — Ach, żeby pana tu nie było,

Barberine!... zarazbym ci opowiedziała... to doskonałe, to kolosalne!... cha, cha, cha!... cha, cha, cha!... o Boże, ja nie będę mogła wsiąść na konia ze śmiechu!...

Sammetówna wstrzymała swego wierzchowca na drugim końcu maneżu i z dyszącą piersią, z gorącemi rumieńcami na policzkach, wypoczywała, starając się zrozumiéć cośkolwiek z luźnych wyrazów i zdań swych przyjaciółek.

Bernard tymczasem pomagał już wydostać się na siodło Fiołkiewiczowéj, od któréj bił silny zapach perfumowanych saszetek, jakie wkładała zawsze na gorset, ilekroć jeździła konno, albo szła na bal.

— Tylko proszę mnie dobrze trzymać,—mówiła do Sandsteina, ściskając go za rękę, — bo ja się zawsze boję, abym nie wywróciła koziołka na drugą stronę, a już jak spaść, to przynajmniéj z dobrego konia, prawda?... ale nie z takiego w ujeżdżalni.

Do maneżu wszedł młody berajter w łosiowych pantalonach, granatowym rajtroku, cylindrze na głowie i z laską angielską w ręce; był to przystojny chłopak, doskonale zbudowany, z czerstwemi policzkami, przy których jakby nalepione, czerniły się małe, krótkie baczki, obok dużych, niekształtnych uszu.

— A, pan Abel! — zawołała na jego widok Leosia — nie było komu wsadzić nas na konia; — żeby nie pan Sandstein...

Berajter po kawaleryjsku uderzył piętą o piętę i ukłonił się każdéj z dam z militarną elegancyą byłego wachmistrza od dragonów, wyszczerza-

jąc przytém w jowialnym uśmiechu dwa szeregi białych i zdrowych zębów.

— Patrz-no moja droga, jaki on dziś przystojny!—odezwała się Traubsohnowa do siostry, spoglądając na Abla okiem znawczyni, ale wymówiła te słowa umyślnie tak głośno, aby doszły do jego uszu.

Ex-dragon pokręcił czarne wąsiki i podziękował za tę pochlebną uwagę uprzejmym ukłonem.

— *In Reih' und Glied meine Damen, wenn ich bitten darf!*... — zakomenderował jednak zaraz energicznie, głosem podniesionym, wyciągając się jakby przed frontem i wystawiając swą wypukłą pierś na większy podziw trzech sióstr, które dawały mu do poznania, że się im w téj pozyturze podoba.

— A pan z nami na piątego się nie zdecyduje? — spytała Fiołkiewiczowa Bernarda, podjeżdżając ku niemu.

— Prawda, miałeś pan jeździć z nami,—wtrąciła Traubsohnowa,—gdzież pański koń?...

Leosia, zbliżyła się równie, wołając:

— Malciu, co ty się tam po kątach chowasz?... Chodź tutaj, będziemy losowały, któréj z nas pan Bernard dostanie się na rycerza.

— Niestety, czas nagli — usprawiedliwiał się Sandstein, - muszę uciekać. Bardzo żałuję, ale dziś już nie mogę...

Stracił ochotę wmieszania się w grono tych hałaśliwych i obcesowych amazonek, zwłaszcza po rozmowie z Traubsohnową, która przed nim zdradziła tak niedyskretnie tajemnicę Sammetówny;

chciał się wymknąć jak najśpieszniéj, ale trzy siostry odgrażając się, że go nie puszczą. jeżeli choć przez kwadransik mały nie dotrzyma im towarzystwa, otoczyły go ze wszech stron i manewrowały tak końmi, aby mu ciągle drogę zagradzać ku wyjściu.

Śmiały się przytém i dowcipkowały w swój sposób, szydząc z niego, że zapewne obawia się sprzeniewierzyć damie swojego serca.

— No, no, wiemy coś o tém, wiemy!... nie zapieraj się pan, czarne oczy pana oczarowały!... — mówiła mu Fiołkiewiczowa,—prawda Barberine?

— Daj mu pokój, przecie widzisz, że się rumieni, jak student, — wołała Traubsohnowa, a nachylając się do niego z konia, spytała:

— Powiedz-no pan, czy to prawda, co mówią, że ona pana nie chce?... głupiaby była. Miałaby ślicznego męża.

— Co?... nie chce go? — przerwała Leosia, — *est-ce possible?...*

Malcia trzymała się ciągle zdaleka; pojedyncze wyrazy z téj rozmowy dochodziły do jéj uszu i krew jéj jeszcze bardziéj burzyły. Twarz jéj płonęła już i tak rumieńcami.

Sytuacya stawała się dla osaczonego Bernarda coraz przykrzejszą; na szczęście pan Abel zniecierpliwiony takiém marnowaniem czasu i brakiem subordynacyi w swych uczennicach, a pewnie i podrażniony tém, że tak nagle odwróciła się od niego uwaga jego wielbicielek, zagrzmiał ze środka maneżu po raz wtóry:

— *Meine Damen, wenn ich bitten darf, anfangen!... Kreuzhimmel-donnerwetter!... die Zeit vergeht!...*

Bił się przytem laską po skórzanych sztylpach, jak gdyby miał przed sobą rekrutów w rajtszuli, a nie kobiety.

Traubsohnowa odwróciła się pierwsza i zapominając w téj chwili o Bernardzie, z zachwytem niemal spojrzała na berajtera.

— Ach, jak ja lubię, gdy on się złości!—wtedy jest jeszcze przystojniejszym, bo mu się bardziéj oczy świecą.

Bernard skorzystał z tego i żegnając wszystkie panie jednym ukłonem, wycofał się z maneżu, rzuciwszy jeszcze jedno ostatnie spojrzenie na Malcię; widząc go wychodzącego, ściągnęła brwi, schyliła głowę z miną jakąś surową i smutną, jakby miała za chwilę rozpłakać się, potém uderzyła konia swego szpicrutą i odwróciła się umyślnie, aby nie widziéć jego ukłonu na pożegnanie.

Przy wyjściu z bramy zetknął się Sandstein z młodym Feingussem, który w towarzystwie dwóch znanych gogów ze złotéj młodzieży i jakiegoś wojskowego, wchodził do ujeżdżalni.

Józio sprowadzał „galeryę“ na lekcyę konnéj jazdy, aby siostrom nie przykrzyło się bez męzkiego towarzystwa.

Od chwili, gdy wyszedł z maneżu, Bernard nie mógł pozbyć się myśli, która go prześladowała uparcie o tém przypadkowém spotkaniu z Feingussówkami i Sammetówną; wiedział, że rodzice zawsze niechętném okiem patrzali na znajomość jego z Traubsohnową i jéj rodziną, co do Samme-

tów miał nawet wprost zalecone przez ojca, nie zbliżać się i nie wdawać w żadne stosunki z domem byłego wspólnika firmy.

— To nie dla ciebie sfera, — powtarzała mu matka, nie tłómacząc się jaśniéj.

W ogóle obawiała się dla syna wpływu i częstszego zetknięcia z Feingussami, zwłaszcza od czasu, gdy poznanie z Łanieckimi i Tolą, podsunęło jéj całkiem inne plany co do Bernarda

Obawy te były płonne; syn jéj i tak bardzo rzadko znajdował sposobność zbliżania się do owych niebezpiecznych pań, a sam téj sposobności nie szukał nigdy; raziło go zbyt poufale i obcesowe traktowanie ze strony trzech sióstr, o których wiedział, że „ciągną“ do siebie każdą nową zdobycz i poszukują coraz nowszych niewolników.

Jednak owych kilka słów usłyszanych z ust Traubsohnowéj, inne światło rzuciło mu nagle na Malcię; zestawiając z niemi jéj pomieszanie przy spotkaniu w poczekalni, jéj omdlenie chwilowe, wszystkie jéj spojrzenia płochliwe a gorące, na które dawniéj nie tyle zwracał uwagi, wreszcie całe zachowanie się jéj w maneżu, doznał dziwnego wrażenia, z którego sam sobie sprawy zdać nie umiał.

Więc ta Malcia, z którą się nieraz czubił, gdy byli dziećmi, z którą uczył się tańczyć i bawił się, gdy już uczniowski nosił mundurek, ta Malcia, która rozrosła się tak i wypiękniała, była w nim „zadurzoną po same uszy?!...“

— No, no!... to jednak dziwne, że się sam na

tém nie poznał, iż tego dotąd nie zauważył,—zresztą, coby mu z tego przyszło?...

Tłómaczył sobie, że to odkrycie nie wiele go dzisiaj obchodzić powinno, że nie mogło mieć dla niego żadnego znaczenia przy stosunku jego ojca z dawnym wspólnikiem, a jednak Sammetówna stawała mu ciągle przed oczyma, nawet wtedy, gdy patrzał na Tolę i zdawał się zatapiać w niéj wzrok z zadumą gwebra, wpatrzonego w słońce.

Mimowoli przychodziły mu na myśl porównania między pięknością dystyngowaną téj córy arystokratycznego rodu, błękitnéj krwi, wytwornéj sfery, a tamtą, bujną we dźwięki, dzikie trochę, ale pociągające jakąś wschodnią zmysłowością rasy do któréj sam należał.

I rozmyślał daléj nad tym kontrastem dwóch kobiet, pomiędzy któremi los go postawił niespodzianie, z których jedna zaledwie mu się zdobywać pozwalała, druga zaś zdobyć go pragnęła tak gorąco.

Ta i tamta,—do téj popychano go nieustannie, swatano gwałtem, przekonywano, podmawiano i narażano na cały szereg drobnych upokorzeń, po których miał ostatecznie dojść do celu; tamta wabiła go sama, drżała na jego widok i nie śmiała zbliżyć się zanadto w jego obecności.

Od téj wiał chłód lodowca, od tamtéj buchał żar wulkanu.

Wszystkie te różnice zaostrzyły się nagle dla niego, odkąd mu przypadek dostarczył materyału do porównań i wtedy Tola ze swą dystyngowaną obojętnością, zimna, wyniosła, znosząca go zale-

dwie obok siebie, wydała mu się jeszcze bardziéj niedostępną.

Myślał o tém wszystkiém i rozważał, wpatrując się w twarz swojéj przyszłéj narzeczonéj.

Dokoła niego wznosił się gwar salonowéj rozmowy, w którym rozróżniał pojedyncze głosy, chwytał pojedyncze zdania i wyrazy, ale nie wiele się niemi zajmował.

Machinalnie oczy jego kierowały się ciągle w stronę Toli, jakby w tym punkcie znajdował dla swoich spojrzeń ognisko najwłaściwsze.

— *Regardez chère comtesse*, — usłyszał za sobą głos ciotki i spojrzawszy w téj chwili w przeciwległe lustro, zobaczył, jak nachylając się ku Łanieckiéj, pokazywała go jéj znaczącym gestem;— wpatruje się w nią, jak w słońce, oka z niéj nie spuszcza. *Il est amoreux, comme...*

Nie dosłyszał dalszego porównania, ale uczuł, że mu krew uderzyła do twarzy; wiedział, że to o nim była mowa, ale to zapewnienie ciotki tak stanowcze co do jego zakochania, zawstydziło go czegoś w głębi duszy.

Miłość?... co to jest miłość?... co one, kobiety, jak Vossowa, Łaniecka, lub jego matka rozumieją pod tym wyrazem: „zakochany?...“ Zapewne to, że młody człowiek asystuje młodéj osobie, trzyma się przy jéj boku, wpatruje się w nią jak najdłużéj w salonie, i ma ochotę z nią się ożenić.

Tak, ale jeżeli stoi nieopodal dlatego, że go tam postawili, jeżeli się zbliża dlatego, że mu to ciągle przypominają; jeżeli niby słucha a myśli o czém inném, jeżeli patrzy na kogoś machinalnie

z pozorném zajęciem, a temi samemi oczyma widzi postać czyją inną... wtedy co?...

Przechylił głowę i spuścił wzrok ku ziemi.

Ale w téj samėj chwili przypomniał sobie szyderczy uśmiech Traubsohnowéj, z jakim nachylając się ku niemu z konia w maneżu, spytała go:

— Czy to prawda, że ona pana nie chce?...

Uczuł, jakby ukłócie ostréj szpilki, które go rozbudziło z zadumy i podrażniło jego próżność i miłość własną.

Te dwa króciutkie słówka „nie chce," wywołały w nim dziwny skutek.

Wyprostował się i podszedł bliżéj ku kozetce, na któréj siedziała Tola, znudzona rozmową z młodzieńcem błyskającym złotym monogramem i koroną na szapoklaku.

— A cóż pan na to, panie Bernardzie?—zagadnęła go pierwsza.

— Przepraszam, nie wiem o co chodzi.

— Sądziłam, żeś się pan przysłuchywał od początku tak pilnie naszéj dyskusyi z panem Szliskim,—odparła z wyrazem zdziwienia.

Szliski poprawił binokle i przez ramię spojrzał na młodego Sandsteina.

— Pan Sandstein — rzekł, — nie będzie miał w téj sprawie wyrobionego zdania, bo nie pamiętam, abym go choć raz widział na balecie. Mówiliśmy o ostatniéj owacyi, jaką zrobiono pannie Trampi; pan słyszał co o tém?... Mój przyjaciel, hr. Kocio Piastek, który się zachwyca włoską prima-balleriną, ofiarował jéj wspaniały bukiet, coś przepysznego!... *imaginez vous*, tuberozy w fioł-

kach, a do koła same Marechale Niel;—to jeszcze nic, ale szarfa, szarfa!... wpadł na pomysł, którego mu prawdziwie zazdroszczę. Proszę sobie wyobrazić, miał jakiś stary pas słucki, antyk, coś cudownego, podobno po pradziadku jakimś czy prababce, już dobrze nie wiem, i tém związał kwiaty dla panny Trampi. Co?... pyszny pomysł, *n'est ce pas?*... hm?... to rozumiem, to szyk!... A pani właśnie bierze mu to za złe i raczy utrzymywać, iż to marnotrawstwo. *Que dites vous monsieur Sandstein?*...

Bernard wzruszył ramionami i z uśmiechem odrzekł:

— Zdaje mi się tak samo, że podarunek nie był stosowny dla... baletniczki. Panna Trampi byłaby wolała gotówkę.

Szliski poruszył się niecierpliwie.

— *Mais non,* tu nie o to chodzi—zaczął,—tylko o sam pomysł, *qui était*, mojém zdaniem, *superbe!*... Pani mówi, że trzeba rozróżniać talenta, które się wieńczy, *decidément!*... Ale ja twierdzę, iż panna Trampi ma tyle talentu w swoich nogach, co Patti w swojém gardle, a jakiś Siemiradzki, czy kto tam w rękach...

Tola żachnęła się z oburzeniem.

— Ależ panie, panie Szliski!... tego słuchać daléj nie można. Nie zrozumiemy się nigdy na tym punkcie.

— Dlaczego?... ja podejmuję się przekonać panią,—skonfundowany trochę bronił się przyjaciel hr. Kocia, lecz Tola podniosła się szybko z kozet-

ki i odchodząc, z wcale niedwuznacznym wyrazem lekceważenia przerwała mu:

— Żalby mi było pańskiego czasu i wymowy.

Szliskiemu aż binokle z nosa spadły; poczerwieniał, jak rak i zwracając się do Bernarda, rzekł:

— A to gąska!... prawda?...

Myślał, że znajdzie w nim poparcie swéj obrażonéj miłości własnéj, ale usłyszał niespodzianie wręcz przeciwną odpowiedź:

— Czy dlatego, że nie podziela cudzego głupstwa?...

Szliski podniósł się, jak na sprężynie.

— *Monsieur Sandstein!...*

Bernard wytrzymał jego groźne spojrzenie i spokojnie, pobladłszy tylko więcéj, czekał, co daléj powie.

— Ostrzegam pana,—ledwie hamując się, zdławionym szeptem mówił Szliski,—ostrzegam pana, że ja... biorę satysfakcyę... nawet od Żydów.

— A ja daję ją nawet głupcom, — odciął się w téj saméj chwili Bernard i odwróciwszy się do Szliskiego plecami, wyszedl z salonu.

Ta podrażniona rozmowa obu młodych ludzi trwała tak krótko, że nie zwróciła niczyjéj uwagi; zagłuszył ją gwar głosów i pierwsze pasaże Montaga, który nieproszony usiadł sam „przy fortepianu,“ jak mówił do Kulisza, aby się przed nim głównie popisać z postępów, zrobionych w zagranicznych konserwatoryach.

— Ja panu zagram trzy sztuki — rzekł mu, kończąc rozmowę w gabinecie przytykającym do salonu, — uważa pan: Bach, Beethoven, Chopin!...

pan jest przecie muzykalny?.. pan to zrozumie. To widzi pan tak, jakby się kto przeżegnał na fortepianu „w imię ojca, syna, ducha!...“ *Verstanden?* Czy ja to dobrze powiedział?... Ja wiem, pan już zrozumie, co ja chciałem byłbym powiedzieć, prawda?...

Uścisnął go za rękę, spoglądając mu głęboko w oczy i dodał:

— No, teraz siadaj pan sobie za mnie, albo przedemnie, a ja będę dla pana grał.

Kulisz uśmiechnął się mimowoli z téj językowéj poprawności, którą się jego uczeń przechwalał, co spostrzegłszy Montag, zatrzymał go we drzwiach i spytał:

— Czy ja to źle powiedziałem?

— Mówi się: siadaj pan za mną, albo przedemną,—poprawił go Żegota.

— Dlaczego?...

— Bo tak jest gramatycznie.

— Tak jest gramatycznie?... no, to trudno. Siadaj pan, jak pan zechcesz. Ja zaraz będę zaczynał.

W téj chwili zbliżyła się Tola do Kulisza; w jéj zmarszczonych brwiach drgał jeszcze gniewny wyraz irytacyi, w jaką ją wprawiła rozmowa ze Szliskim.

— Nie masz pan dla mnie dzisiaj ani jednego słowa,—rzekła, jakby z wyrzutem.

— Owszem, czekałem na swobodniejszą sposobność; widziałem panią zablokowaną w tamtym kącie salonu, że chyba szturmem musiałbym był miejsce sobie zdobywać.

Otrząsnęła się nerwowo.

— Ach, trzęsę się cała!...

— Cóż znowu?...

— Opowiem to panu późniéj, siadajmy tymczasem i słuchajmy muzyki.

Wybrała krzesło przy samych drzwiach i pokazała Kuliszowi miejsce obok siebie.

— Co to jest ten pan Montag? — spytała go po pierwszych kilku pasażach usłyszanych, które zwróciły jéj uwagę niepospolitą biegłością i delikatnością uderzenia.

— O, to mój dawny znajomy; dusza bardzo artystyczna i oryginalna. Przekonasz się pani,— tylko radzę go słuchać, jak gra, a nie słuchać wcale, jak mówi.

W salonie zaczęło się uciszać, goście pozajmowali wolne miejsca, pani Emilia przymknęła drzwi do dalszych pokojów, z których dochodził gwar z gabinetu męża, gdzie przy kilku stolikach grano w karty i nastała ta uroczysta cisza ogólnego wyczekiwania.

Montag przegarnął włosy swemi kościstemi, długiemi, jak u upiora palcami, i zaczął z klasycznym spokojem prosty i poważny motyw Bachowskiéj fugi.

Łaniecka, która nie była wcale muzykalną, zrobiła jednak minę nastrojoną uważnie, rozsiadła się wygodniéj w fotelu i postanowiła przeczekać cierpliwie tę rosnącą burzę tonów, wirujących nieustannie około jednego motywu; pomimo nadania sobie pozorów zasłuchania, wyglądała, jakby ją bez parasola zaskoczyła nagle ulewa na ulicy,

a każdy ton zawiłéj fugi spadał na nią, jak duża kropla deszczu.

Akordy chlupały w jéj uszach, jak woda.

Pani Emilia raz po raz rzucała na „hrabinę“ badawcze spojrzenia, pragnąc z jéj twarzy wyczytać cośkolwiek; chodziło jéj tylko o tę jedną i najważniejszą słuchaczkę w całym salonie.

Wyraz fizycznego znużenia, jaki się coraz bardziéj wydobywał na twarz Łanieckiej, brała jednak za przejęcie się muzyką i zatapianie się w téj wirującej toni rytmicznych a szalejących coraz namiętniéj tonów.

Pod palcami Montaga fortepian zmienił się w jakąś apokaliptyczną bestyę, rozbudzoną ze snu i z wyszczerzonemi zębami dyszącą i warczącą we wściekłém podrażnieniu: zdawało się, że lada chwila potwór ten kłapnie swemi białemi szczękami z klawiszów i połknie całego artystę w obecności wszystkich słuchaczów.

Olśniewająca technika i jakiś dziki niemal temperament z potężną siłą złączony, cechowały tę grę, podczas któréj z oczyma spuszczonemi nieustannie na klawiaturę, z ustami zagryzanemi nerwowo, Montag zdawał się nie wiedziéć o niczém, zapominać o całym świecie.

Tola słuchała go z rosnącą uwagą; zaimponował jéj od razu, a gdy skończył, pierwsza złożyła dłonie do szczerego oklasku.

Pani Emilia ze strachem spoglądała na fortepian, oczekując tylko, rychło jéj Blüthner rozleci

się w kawałki; zrobiła jednak minę bardzo uprzejmą, któréj starała się nawet nadać wyraz zachwytu, gdy spostrzegła żywe zajęcie się Toli grą pianisty i poszła mu podziękować z obowiązku gospodyni.

— Nadzwyczajnie, kolosalnie!... — powtarzała, sypiąc Montagowi pochwały po niemiecku i po francusku, nie pozwalając mu dojść do słowa, aby się nie zdradził swoją wymową.

Montag ukłonił się dość niedbale swoim słuchaczom w salonie, a zwracając się ku Kuliszowi z miną poważną i wyczekującą, spytał go tylko:

— No?...

Za całą odpowiedź otrzymał gorący uścisk ręki, który był wymowniejszym wyrazem uznania od głośnych komplimentów pani Emilii.

— Poczekaj pan, teraz Beethoven! — szepnął i nie troszcząc się więcéj o nikogo, zatarł ręce, przetarł chustką klawisze i zaczął grać na nowo.

Łaniecka zamknęła oczy z rezygnacyą, Sandsteinowa przysiadła się teraz do niéj, jakby przeczuwając, że będzie potrzebną do pomocy pani Emilii, gdyby nowy kataklizm groził zatopieniem muzyką całemu salonowi.

Ale tym razem przewidywania i obawy zawiodły.

Spokojna, poetyczna Sonata Beethovena płynęła z pod palców pianisty, jak strumień wśród kwiecistéj łąki, rozpryskujący po kamieniach perełki tonów, wzbierający od czasu do czasu sze-

roką falą, niosącą z sobą z brzegów pozrywane kwiaty.

Niekiedy, jakby w recitativach rzucane pytania, brzmiały niektóre frazesy i wtedy Montag podnosił oczy, zwracał wzrok ku Kuliszowi i Toli, uśmiechał się ku nim i zdawał się mówić spojrzeniem:

— No, co państwo na to?...

Tola przysunęła się bliżéj do fortepianu i słuchała, a artysta, któremu to pochlebiło, grał teraz tylko dla dwojga ludzi w całym salonie, dla niéj i dla Kulisza.

Nie zauważył, iż tu i ówdzie ciche szepty odzywać się zaczęły po kątach i że zbyt długo na próbę wystawiona uwaga melomanów z obowiązku, wypowiadała posłuszeństwo salonowemu konwenansowi.

W tém całém zebraniu brakło duszy i zmysłu do zrozumienia i odczucia piękności Sonaty i natchnień Beethovena.

Montag grając, rozkoszował się sam w dziele ukochanego swego mistrza, a kiedy skończył ostatnią część jego utworu, nie odwrócił się już nawet ku Toli i Kuliszowi, z którym połączyła go nić jakiéjś duchowéj sympatyi, nie zdjął rąk z klawiatury, ale po krótkim przestanku, niemal, jakby doczepione ogniwo do poprzedniego dzieła, rozpoczął zaraz jeden z najpoetyczniejszych, najbardziéj melancholijnych preludyów Chopina.

Zdawało się, że teraz już nie gra dla nikogo, tylko dla siebie samego.

Pani Emilia miała minę zakłopotanéj gospody-

ni, która w oczach swych gości czyta wyraźny, choć niemy wyrzut dla siebie:

— Trochę za dużo téj muzyki przed kolacyą!...

Łaniecka za wachlarzem stłumiła już kilka razy bardzo widoczne ziewnięcie, a pani dyrektorowa przymknąwszy oczy, usnęła nawet na dobre: tylko wrażliwa jéj jedynaczka, jak nastrojony kamerton, oznaczała główką każdy takt i z *mol* przestrajała w *dur* wyraz swéj ruchliwej twarzyczki.

Bernarda i Szliskiego zabrakło w salonie już do końca wieczoru.

V.

Od kilku dni nie mówiono o niczém innéw, tylko o pojedynku na pistolety młodego Sandsteina.

Opinia dzieliła się na dwa stronnictwa: niedowiarków, którzy dowcipkowali i podrwiwali z tego faktu, oraz przekonanych, którzy mniéj lub więcéj poważnie traktowali tę „rozprawę honorową.“

Z tém wszystkiém jednak Bernard stał się bohaterem chwili; zajmowano się nim, mówiono, wyróżniano go, tém bardziéj, iż wynik pojedynku był dla niego bardzo korzystnym. Przyjął wyzwanie Szliskiego, stanął na kroków piętnaście, zgodził się na wszystkie warunki i zadrasnął kulą ramię swojego przeciwnika, uszkadzając mu co prawda więcéj rękaw nowego tużurka, aniżeli skórę powyżéj łokcia.

W każdym razie doszło do—rozlewu krwi, która miała zmazać obrazę.

— Czy tylko stwierdzenie faktów jest obrazą?—zastanawiali się mniéj przekonani.— Szliski nazwał Sandsteina Żydem; jest to wprawdzie anachronizmem od czasu, gdy się Sandsteinowie

ochrzcili, ale nie ulega wątpliwości, że do téj pory w żyłach wszystkich Sandsteinów płynie tylko najczystsza krew semicka. Sandstein zaś nazwał Szliskiego głupcem; to trochę ostra, wszelako najprawdziwsza prawda, bo przecież Szliski ma tę opinię nie od wczoraj. O cóż zatém było się pojedynkować?...

Inni rozbierali tę kwestyę z innego stanowiska:

— Co właściwie jest większą obrazą, czy powiedziéć komu „Żydzie,“ czy téż nazwać kogo „głupcem?...“

— Przecież to pierwsze nie jest żadną obelgą.

— Zależy od tego, w jakiém znaczeniu i w jakich warunkach zostało powiedzianém: obraża intencya, nie wyraz.

Jeszcze inni widzieli w tém nowy dowód drażliwości i zarozumiałości, właściwéj rasie semickiéj.

— Ho, ho!—mówili,—tacy Sandsteinowie uważają się za nietykalnych, nie wolno im prawdy w oczy powiedziéć, bo się zaraz ciskają i pienią, jak oparzeni.

Byli tacy, którzy posługując się sofistyką, dowodzili, że „głupiec“ nie jest obrazą niczyjego honoru, bo dotycze czyjéjś inteligencyi, a nie charakteru i dobréj sławy.

— Można być tak samo honorowym głupcem, jak honorowym Żydem,—powiadali, kończąc oskarżeniem sekundantów, że dopuścili do pojedynku bez danéj racyi.

Bardziéj wtajemniczeni w tę sprawę wciągali jeszcze inne szczegóły w dyskusyę.

Odzywały się głosy takie:

— Ba, chodzi o to, o co właściwie obraził się młody Sandstein, czy o nazwanie „gąską“ panny, do któréj się zalecał, czy o przypomnienie sobie żydowskiego pochodzenia?...

I na tym punkcie zdania były podzielone, dopóki wrażeń odbytego pojedynku nie zatarła inna pogłoska, jaka w kilka dni późniéj rozeszła się po mieście i krążyła, jako wiadomość najpewniejsza.

— No, już skończone: Sandstein zaręczył się.

— Z kim?

— Z panną Tolą, siostrzenicą Łanieckich.

— I to fakt?...

— Naturalnie; jakżeby mogło być inaczéj!... Strzelał się za nią.

— Patrzcie, patrzcie, sprytny meches,—wziął ją... na pistolety!

— Powinienby Szliskiemu teraz odkupić nowy tużurek, który mu kulą rozpruł, w dowód wdzięczności,—wtrącali dowcipnisie.

W rodzinie Sandsteinów wrzało tymczasem od chwili, gdy Bernard, jako bohater, powrócił cały i tryumfujący z pojedynku; pani Emilia po raz pierwszy zemdlała, i to z radości.

Kazała zaprządz do powozu i zmusiła Bernarda, aby się z nią przejechał w samo południe po najludniejszych ulicach miasta; chciała go pokazać całej Warszawie.

Nikt nigdy w jéj rodzinie nie dał takiego dowodu odwagi i bohaterstwa; ten pojedynek stanowił nową epokę, rozpoczynającą erę rycerstwa Sandsteinów i Vossów, które ich w przekonaniu pani Emilii stawiało na równi z Zabiełowskimi.

Nie oni jedni wąchali proch i narażali swoje życie!...

Stary Sandstein zawołał syna do swego gabinetu, zamknął się z nim sam na sam i kazał sobie szczegółowo opowiedzieć całą historyę pojedynku.

Słuchał tego z uwagą, ale z wydętą wargą dolną i z frasobliwym jakimś wyrazem twarzy.

— Ja nie wiedziałem, że ty masz krew tak gorącą!—rzekł do syna, — ty się pilnuj mój kochany, bo że ci się raz udało szczęśliwie, to nie sztuka, ale przy drugiéj okazyi mogą tobie, broń Boże, wpakować kulę w brzuch albo gdzieindziej. Co to jest, zaraz strzelać się!... ja nie miałem ani jednego pojedynku w mojém życiu, a widzisz, że żyję, że się ożeniłem, wychowałem dzieci, zrobiłem dziękować Bogu majątek a pistoletu w rękach nie miałem. Zkąd z ciebie taki raptus i taki zawadyaka?... Żebyś przynajmniéj był w wojsku służył, no—to jeszcze, ale tak—to nawet nie pojmuję. Ty się wyrodziłeś od nas wszystkich...

Spojrzał na syna i przykry grymas zniknął mu z twarzy; położył swą dłoń na głowie Bernarda i mówił z pewną czułością daléj:

— Proszę cię, żebyś miał więcéj rozumu na przyszłość; takich głupich Szliskich jest na świecie tysiące, a ja mam ciebie tylko jednego. Bardzo cię proszę, mój Bernardzie, abyś o tem pamiętał. Co się stało, to się już stało, ale daj mi słowo, że drugiego pojedynku nie będziesz już miał nigdy.

Bernard potrząsnął głową i odrzekł:

— Jakże ja mogę do tego się zobowiązywać?— czy ja wiem, co mnie spotkać może!...

Stary Sandstein cofnął szybko dłoń z głowy syna.

— Jakto?... to ty byś był gotów strzelać się znowu kiedy?

— Rozumie się, gdybym był znowu obrażony...

— Ty jesteś waryat!... nie bądź ty taki obraźliwy, bo możesz źle wyjść na tém. Ty słuchaj mnie, starego ojca twego; niech ci się nie zachciewa strzelać do człowieka i nie pozwalaj strzelać do siebie, jak do zająca. Do czego to podobne!... ja tobie raz na zawsze zabraniam tego, rozumiesz?... Dużo ci z tego przyszło, żeś postrzelił Szliskiego?..

— A dużo.

— Ciekawym co takiego?... jutro ci drugi tak samo od żydów nawymyśla, gdy mu się spodoba. No, wielka rzecz!... Ty nie słuchaj, co ta postrzelona twoja ciotka gada; ona nie ma dzieci, to jéj łatwo buntować cudze. W życiu trzeba mieć najczęściéj jedno oko zamknięte i jedno ucho głuche, raz to, drugi raz tamto. Ty się przekonasz, że ja mam słuszność.

Bernard słuchał tych nauk niechętnie, znać było po nim, że nie podziela poglądów ojca, ale nie odpowiadał, aby nie rozdrażniać go jeszcze bardziéj; miał swoje, nie bardzo może ugruntowane, ale nowsze, odmienne pojęcia, które mu jakoś więcéj do smaku i do przekonania trafiały.

— Przepraszam cię, mój ojcze — odezwał się spokojnie, ale stanowczo—na tym punkcie my się nie porozumiemy.

— Dlaczego się nie mamy porozumiéć?...

— Dlatego, że jesteśmi ludźmi różnéj daty.

Sandstein wytrzeszczył oczy i zamilkł na chwilę, ale potem parsknął śmiechem i trącając syna w ramię, zawołał szyderczym tonem:

— Wiesz co, ty jesteś paradny!... nowator!... widzieliście go!... on mi tu będzie nowe idee wygłaszał. A gdzie ty się tego nauczyłeś, w Berlinie czy w Antwerpii w szkole handlowéj?... Idź, idź, nie rób się śmiesznym.

Bernard słuchał tego nachmurzony, ale nie odpowiadał, pozwalając ojcu daléj w tym szyderczym tonie wyśmiewać jego „nowatorskie" poglądy; wiedział, że dyskusya na nieby się nie przydała; zresztą, nie chodziło mu o przekonywanie ojca.

I tak nigdy z sobą w takich kwestyach nie rozprawiali.

Stary Sandstein porozumiewał się z synem niekiedy w interesach, dawał mu wskazówki, objaśnienia, polecenia, robił uwagi czysto handlowéj natury, starał się wybadać jego kupieckie i finansowe zdolności, ale poza tém nie zatroszczył się nigdy, aby poznać bliżéj syna, jego sposób myślenia, jego zasady, poglądy, charakter, skłonności.

Wiedział tylko, czy jego Bernard potrafi zrobić szybko i dobrze tę lub ową „kalkulacyę," czy kilkoma pociągnięciami ołówka na marmurowéj tafelce notatnika obliczy bez zmyłki dyskonto, albo składany procent, albo różnicę kursów przy zawieranych tranzakcyach pieniężnych; oto mu najbardziéj chodziło, czy jego „prawa ręka" będzie

mu zdolną i zaufaną pomocą, czy w interesach, w kantorze i na giełdzie młody Sandstein potrafi kiedyś zastąpić całkowicie starege Sandsteina.

Ojcowska jego troskliwość miała w sobie przedewszystkiém coś z gorliwości przezornego szefa firmy, który sobie urabia prokurenta.

— Ty, Bernard, masz wiedziéć — powtarzał zawsze synowi, zamiast wszelkich innych nauk, — że na twoją głowę spadnie kiedyś cały ten kram i będziesz musiał prowadzić sam wszystkie interesa naszego domu. Ty musisz to wszystko miéć już teraz w małym palcu. Ale ty się za mało interesami zajmujesz! — dodawał z westchnieniem i jakby tonem wyrzutu, spoglądając na syna z pod oka, z wydętą wzgardliwie dolną wargą i z czołem pomiętém od powikłanych zmarszczek.

W ożenieniu syna widział téż jeden ze środków najskuteczniejszych do zrobienia z niego „solidnego“ człowieka; dlatego przystawał na małżeńskie projekty żony i siostry, regulując tylko stronę praktyczną tego związku.

Pani Eleonora udawała wprawdzie, że o kombinacyach i spekulacyach swojego męża w téj sprawie nic nie wie, ale powiadomioną była dobrze o wszystkiém, bo Sandstein uważał ją za wspólniczkę swych interesów i przedsiębierstw, bez któréj udziału i rady żadnych większych nie podejmował projektów.

Miał zaufanie do niéj, do jéj kobiecego sprytu i instynktów od najdawniejszych lat.

Jeszcze kiedy się dopiero dorabiali i byli oboje młodzi, każde małżeńskie sam-na-sam przeplatały

naprzemian czułości z najbardziéj prozaicznemi naradami w interesach.

Między jednym pocałunkiem a drugim przesuwała się prawie zawsze kwestya tego np. rodzaju:

— Moja najdroższa Lorciu, czy ty na seryo myślisz, żeby dać Pinkusowi i Spółce kredyt na 6,000?...—albo:

— Więc ty powiadasz, żeby tego łoju nie kupować na licytacyi?... kiedy to może być ein brillantes Geschaeft, jeżeli potém pójdzie na dostawę.

Pani Eleonora rozpoczynała w takich razach ostrożnie każdą odpowiedź od słów:

— Mnie się zdaje...— i zwykle krótko a dobitnie wyrażała swoje zdanie, według którego mąż się najczęściéj kierował.

I zdarzało się tak prawie zawsze, że kobiecy spryt pani Eleonory tryumfował; co ona poradziła, albo czego nie zalecała, to się okazywało trafném.

Wspólność ta firmowa obu małżonków, ich konferencye najbardziéj specyalne, bywały tajemnicą ich sypialni i gabinetów; w obec ludzi „Madame Sandstein“ zachowywała pozory kobiety, nie znającéj się nic a nic na interesach, kupiectwie, spekulacyach.

— Ja się na tém nie rozumiem — mówiła z uśmiechem przybranéj dobroduszności i odcieniem odrazy,—to należy do mego męża.

Nie przeszkadzało jéj to jednak bardzo pilnie podsłuchywać pode drzwiami, kiedy u niego odbywały się narady i zawierały układy w spra-

wach handlowo-finansowych; często przez służącego posełała mężowi do pokoju na taką sesyę kartkę ołówkiem pisaną, w któréj robiła mu na gorąco swoje uwagi, albo podsuwała jakąś nową myśl, lub przypominała jakiś potrzebny szczegół.

On zaś dawał jéj do przeglądania wszystkie ważniejsze umowy, projekta, kalkulacye i bardzo często na marginesach znajdowały się potém jéj ręką stawiane rozmaite znaki zapytania, wykrzykniki, kreski i krzyże, które miały między małżonkami umówione od dawna znaczenie.

W sprawie ożenienia Bernarda, kwestya uratowania posagu przyszłéj synowéj w sposób najpraktyczniejszy a najmniéj kosztowny, była również przedmiotem długich i potajemnych roztrząsań pomiędzy małżonkami.

Przy całéj macierzyńskiéj próżności i ambicyi pani Eleonora nie przestawała być tą Egeryą Domu Sandstein et Comp. z lat dawnych i oddzielała moralną stronę téj sprawy od materyalnego interesu w tym punkcie, gdzie chodziło o pieniądze.

Przy cyfrach kończyła się wygórowana uczuciowość i idealizm, które w rodzinie, przynajmniéj z pozoru, reprezentowała ciotka Emilia.

W mamie Sandstein wcielał się pewien dualizm macierzyństwa i kupieckiéj praktyczności, która nie pozwalała niczego zanadto przepłacać, nawet synowéj z błękitną krwią w żyłach.

Stanęło tedy na tém, że Grzędy Łanieckich powinny pójść pod młotek, bo nie opłaci się oczyszczać zadłużonego ponad wartość majątku, skoro

przynajmniéj zręczną spekulacyą będzie można odkupić je z 50% w zysku.

Nastręczała się jednak trudność bardzo drażliwa do pokonania; chodziło o porozumienie się w téj sprawie z opiekunem Toli i osłodzenie mu téj pigułki w sposób najłatwiejszy do przełknięcia.

Ciocia Voss w tym wypadku, pomimo swego roztargnienia i trzpiotowatości, okazała więcéj sprytu i przytomności umysłu, aniżeli się po niéj można było spodziewać.

— Na miłość Boską,—zawołała podczas jednéj z rodzinnych narad — zepsujecie wszystko, zepsujecie tém handlarstwem swojém!... po co się śpieszyć?... po co przed czasem wyrywać się ze swojemi planami? Najpierw trzeba ich zaręczyć, to grunt!... po oświadczynach, po zamianie pierścionków, kiedy klamka zapadnie, kiedy się to rozgłosi, można będzie w cztery oczy pomówić z Łanieckim co do interesów, chociaż mi się to wszystko nie podoba, bo to nie po rycersku, *ce n'est pas noble!...*

Sandstein się żachnął niecierpliwie.

— Co to jest noble albo nie noble!—zawołał— to nie jest noble, że mi się nie chce rzucać w błoto stu tysięcy, a to jest noble, że taki Łaniecki gotów swoją siostrzenicę sprzedać za gotówkę, byle tylko nie poszedł z torbami i mógł odgrywać daléj rolę pana?... Ja spekuluję, jak handełes, według twego zdania, a on co robi?... on także spekuluje na swój sposób. Zresztą, co tu gadać!— on ma nóż teraz na gardle, kiedy go Radoszkow-

scy przyprą po procesie. A czy ty wiesz, że on mógłby pójść prosto do kryminału?...

Vossowa aż skoczyła na równe nogi.

— Ludwik! co ty gadasz?... bój się Boga, cofnij te słowa.

Sandstein nogę założył na nogę, rękę włożył w kieszeń, jedno ramię podniósł w górę i głowę odwrócił z uporem:

— Ani myślę!... ja wiem, co mówię... Gdyby mu wytoczyli drugi proces za opiekę i roztrwonienie posagu swojéj wychowanicy, to gdzieby poszedł, jeśli nie do kryminału?...

— Ale tego nikt nie zrobi, — wyrwała się pani Emilia szybko — o tém niéma co myśléć. Tola jest za szlachetna na to

— To też całe szczęście takich Łanieckich, że mają do czynienia z głupiemi dziewczętami, co się na prawie nie znają. Ja ci ręczę, że gdyby to trafiło na jakiego siostrzeńca, nie na siostrzenicę, toby dla saméj satysfakcyi, takiego wujaszka zamknął na kilka lat do kozy. Toby dopiero było noble!..

Sandsteinowa marszczyła czoło i słuchała z poważną miną, nie mogąc jednak ukryć uśmiechu, jakim zadrżały jéj usta na widok zakłopotania pani Emilii.

— Proszę cię, co to za przyjemność mówić o takich rzeczach? — jakimś piskliwym głosem przerwała Vossowa, — to się powinno właśnie ukrywać przed światem, skoro mają wejść Łanieccy do naszéj rodziny.

— Ja też tego z okna na ulicę nie wykrzykuję.

tylko opowiadam tobie, abyś wiedziała lepiéj na drugi raz, co jest *noble,* a co nie jest *noble.*

— Ja wiem jedno, że Bernard kocha Tolę i że dla jego szczęścia powinniście ponieść wszelką ofiarę, jeżeli...

Sandstein nie pozwolił jéj skończyć.

— Co to jest kocha?... co to znaczy kocha? — zakrzyczał siostrę, zrywając się z fotelu,—dlatego że on kocha, to ja mam okradać siebie, no i jego, jako mojego sukcesora?... A żeby on chciał skoczyć z dachu, dlatego że się kocha, to jabym może powinien go na sam strych wyprowadzić?... Ty masz dziwną filozofię, moja Emilko!... po co ja mam sobie i jemu szkodę robić dlatego, że on się kocha?... Ja mu nie zabraniam się kochać, to każdy młody człowiek w jego wieku musi przechodzić; ja mu nie zabraniam się ożenić z gołą panną...

— *Louis!...* — omdlewającym tonem szepnęła Vossowa.

— A tak, z gołą panną,—powtarzam ci raz jeszcze; co my mamy przed sobą ukrywać takie rzeczy?... ale ja nie mogę pozwolić na to, aby marnować dla takiéj sprawy majątek, na który ciężko pracowałem przez tyle lat.

Przeszedł się po pokoju zirytowany i nie zważając na miłosierne spojrzenia siostry, jakiemi go obrzucała, dodał:

— Ja ciebie proszę, Emilka, żebyś ty mi ze swoją szlachetnością dała pokój. Już ja sam będę wiedział, co mam zrobić.

Pani Emilia zdobyła się na heroizm oburzenia.

— Ty jesteś prosty Sandstein!—syknęła bratu w twarz, gotowa na awanturę, ale wbrew jéj ryzykownemu przypuszczeniu; usłyszała tylko jego zwykły chrapliwy śmiech, w którym nie znać było gniewu ani urazy, i zapytanie:

— A czém ja mam być?...

Sandsteinowa teraz głośno się roześmiała i ratując sytuacyę, wtrąciła:

— Onaby chciała, abyś ty był baronem!...

— Baronem?...

Zastanowił się chwilę, jakby mu się ta myśl podobała.

— Dlaczego nie?—rzekł, prostując się i głowę przekrzywiając na bok, — jak ja wybuduję nową kolej, poczekaj tylko, to mnie zrobią i baronem. Powoli, powoli do wszystkiego dojść można. I Rotszyld nie był z początku ani baronem, ani milionerem; to przychodzi jedno po drugiém.

Ton, jakim to mówił i wyraz twarzy udobruchał panią Emilią; przyszłemu kiedyś baronowi zdawała się wybaczać poprzednią sprzeczkę; była na drodze do przejednania z bratem, który się nie wyrzekał *in spe* arystokratycznego tytułu i o którym mogłaby kiedyś mówić:

— Mój brat, baron Ludwik von Sandstein!

Przemknęło jéj nawet przez myśl, że jako przydomek doskonale wydawałoby się wówczas: Sandstein de Piaskowa Skała, albo coś w tym rodzaju, a nowy herb mógłby się nazywać: Piaskowiec.

Dreszcz zachwytu przeszedł jéj po grzbiecie, uśmiechnęła się mimowoli i rozchmurzyła czoło, nad którém zaczęła poprawiać grzywkę i cieniut-

ką jak z pajęczych nici utkaną siatkę jedwabną, która przytrzymywała jéj płowe loczki, codziennie ręką fryzyerki najstaranniéj układane.

Pani Emilia bowiem nie czesała się nigdy sama, podnoszenie ramion w górę i upinanie włosów zanadto ją utrudzało; a zresztą fryzyerka, która co rano przychodziła do téj czynności, była rodzajem Figara w spódnicy i przynosiła całą torbę ploteczek, nowinek, wiadomości, zbieranych po innych klientach, którym służyła zarówno grzebieniem, jak i wygadanym języczkiem.

Od fryzyerki swojéj dowiadywała się p. Emilia o wszystkich *nouvelles du jour*, udając wprawdzie, że ją one nic a nic nie obchodzą, ale czy hr. Klicka plombowała sobie wczoraj zęby, a prezesowa Bienenstock przefarbowała włosy po raz trzeci, czy młody Lipiewicz kupił na imieniny swojéj Dziuni garnitur z pereł, czy tylko bransoletę brylantową, czy Traubsohnowa chodzi jeszcze za tym przystojnym brunetem, który podobno zdradza ją dla jakiéjś koryfejki z baletu, a Józio Feinguss czy znowu podpisał weksel, czy go tylko prolongował z obawy przed ojcem, — wszystko to najszczegółowiéj wiedziała codziennie i do następnego południa (wstawała rzadko kiedy wcześniéj) miała o czém rozmawiać w salonie, na wizytach i na przechadzkach.

Z powodu pojedynku Bernarda ze Szliskim od kilku dni przynosiła teraz panna Sabina—tak na imię było fryzyerce pani Emilii, — opinię wszystkich głów, które czesała.

— O niczém teraz nigdzie nie mówią, tylko

o młodym panu Sandsteinie, — zapewniała swoją klientkę, siedzącą w koronkowym peniuarze przed lustrem w srebrnych ramach; — okropnie się nim interesują!...

— Panna Sabina słyszała co nowego?...

— Nie wiem, czy to prawda, ale podobno pan Sandstein o mały włos nie zabił pana Szliskiego, tylko że kula przeszła pod pachą.

— O tak, to był strzał bardzo niebezpieczny!...

— Wie pani, co opowiadają jeszcze?... że to miał być amerykański pojedynek, tylko że się konsul amerykański nie chciał zgodzić na to. Jak Bozię najszczerzéj kocham, tak słyszałam!...

Pani Emilia rosła, jak na drożdżach z radości, że sprawa jéj Bernardka wyrabiała sobie osobną legendę w mieście.

— Tylko co do jednego nie mogłam się prawdy dowiedzieć—ciągnęła daléj panna Sabina,—a mianowicie jak to było z tym drugim pistoletem. Podobno pan Szliski odstrzelił koniuszczek uszka panu Sandsteinowi; według innych zaś, to wcale nie wystrzelił, bo mu spaliło na panewce, czy coś takiego. U pani prezesowéj właśnie słyszałam, że gdyby nie to, to obaj byliby trupem popadali na miejscu. Jezus, Marya, i to wszystko o jedną kobietę!... aż mi się zimno zrobiło, jak to opowiadali. Któryż téż, proszę pani, weźmie ją teraz?...

— Rozumie się, że mój synowiec, bo tak miało być od początku.

Panna Sabina pokiwała głową.

— A tak, ja téż sobie to od razu pomyślałam.

Przepraszam panią, jeszcze za jedno niedyskretne zapytanie... ale czy ona się sama czesze?...

— Dlaczego?...

— Bo gdy jaśnie panna hrabianka wyjdzie za pana Sandsteina, to możebym ja mogła także... zawsze jakoś w rodzinie, jedno słówko pani...

Pochyliła się i zlekka ucałowała w ramię panią Voss.

— Dobrze, dobrze, już ja to pannie Sabinie przyrzekam!...

Miała minę protekcyonalną, gdy to mówiła, rozporządzając z góry głową przyszłéj pani Bernardowéj.

Panna Sabina na drugi dzień rozpowiadała wszystkim swoim szanownym klientkom, że zaraz po ślubie młodych państwa Sandsteinów będzie czesała panią Sandsteinową, a z własnéj domyślności już dodawała szczegóły o wyprawie, przygotowaniach do wesela i pierwszéj zapowiedzi, którą zeszłéj niedzieli na własne uszy słyszała z ambony u Wizytek.

W ten sposób pogłoska o pojedynku Bernarda i małżeństwie Toli rozrastała się z dniem każdym i jak kula śniegowa toczyła się po bruku miejskim.

Pani Emilia mogła sobie powinszować, że skojarzenie tego małżeństwa ostatecznie było jéj dziełem, któremu sprzyjające okoliczności pomogły do dopięcia celu.

Ona bowiem po pojedynku pojechała do Łanieckich w charakterze swatki urzędowéj i dramatyzując w swój sposób cały ten wypadek, zakoń-

czyła konkluzyą, że skoro sam los postawił młodą parę w tak stanowczéj sytuacyi, należałoby teraz orzeknąć, czy nadzieje jéj synowca względem panny Toli mogą być spełnione, czy téż ma się ich wyrzec, nie narażając się na zbyt dotkliwą dla siebie i całéj rodziny odmowę.

Łaniecka zastrzegła sobie krótką zwłokę co do odpowiedzi, zapewniwszy panią Emilię, iż ze swéj strony nie ma nic przeciw temu związkowi, pragnie tylko porozumiéć się jeszcze z mężem i Tolą w sprawie tak wielkiéj wagi, w któréj chodzi o los i szczęście ukochanéj siostrzenicy.

— Tola, droga pani, jest dla nas córką, — mówiła do Vossowéj z rozrzewnieniem, w którém więcéj było zakłopotania, niż prawdziwéj czułości,—nie możemy jednak krępować jéj woli i wyboru. Pomówię z nią natychmiast, skoro mąż powróci i dzisiaj wieczorem dam pani poufną odpowiedź. Misya to bardzo delikatna, więc muszę się przygotować do niéj; Tola ma charakter trochę zanadto samodzielny, nie znosi żadnego nacisku, musimy przeto bardzo ostrożnie z nią postępować, zdaje mi się wszelako, że pan Bernard potrafił pozyskać jéj skłonność... jéj sympatyę,— poprawiła się — i zdobędzie z czasem jéj miłość i szacunek całkowity, zwłaszcza teraz, kiedy nie wahał się...

— Krew chciał swą za nią przelać! — wtrąciła z pathosem pani Emilia — *je vous assure chère comtesse*, to jest chłopak z wielkim heroizmem!..

— O, ja nie wątpię, ja nie wątpię, — tylko

szkoda, że się trochę więcéj nie starał sam zbliżyć do Toli i pozyskać jéj zaufania.

— Nieśmiały, młody, zakochany, — tłómaczyła pani Emilia, — ale na to jest czas jeszcze, on to zrobi. Oni się porozumieją, niech tylko ma nadzieję; młody człowiek nabiera odwagi w takich razach.

Ucałowały się i rozstały z sobą, zdecydowawszy prawie z góry o losie młodéj pary.

Łaniecka odbyła wpierw długą naradę z mężem, a potém zamknęła się w swojéj sypialni z Tolą i po godzinnéj rozmowie, z wypiekami na twarzy, z oczyma opuchłemi od płaczu, otworzyła drzwi i głosem zmęczonym, drżącym, łzawym zawołała na męża:

— Jasiu, proszę cię!... Tola się zgadza,—a kiedy Łaniecki, który jak na szpilkach kręcił się po salonie przez cały czas, nie mogąc sobie miejsca znaleźć, poskoczył ku drzwiom sypialni, szepnęła mu w przejściu:

— Powiedziałam jéj wszystko.

Jaś zatrzymał się u progu i niespokojnie zapytał, łypiąc nerwowo powiekami:

— I cóż?...

— Chce zrobić dla nas tę ofiarę, — odpowiedziała żona z łkaniem zdławioném w gardle.

Twarz Łanieckiego pokrzywiła się nagle, jak maska starego komedyanta, oczy spuścił i przystąpiwszy do Toli, stojącéj nieruchomie przy oknie, bez jednego słowa ujął jéj rękę i ucałował gorąco.

— Bóg ci to wynagrodzi! — szepnął głosem,

w którym trudno było poznać co przeważało: stłumiona radość, czy udane wzruszenie.

Trzymał jéj suchą, zimną, sztywną rękę w obu dłoniach i przyciskał sobie do piersi, jakby tym gestem chciał wyrazić dla wychowanki całą wdzięczność, która nie mogła się zdobyć na więcéj słów.

— Bóg ci to wynagrodzi! — powtarzał, łypiąc powiekami, z pod których łzy rozczulenia nie chciały jakoś wypłynąć w najstosowniejszéj do tego chwili.

Łaniecka za to płakała za niego i za siebie, pociągając nosem wcale nie arystokratycznie i ocierając dłonią oczy w braku chustki, któréj właśnie jakby na przekór nie mogła znaleźć w kieszeni.

Zgnębioną się wydawała przy mężu spokorniałym i onieśmielonym tą ofiarą Toli, która po rozmowie z ciotką zdecydowała się wreszcie zostać żoną Bernarda Sandsteina.

Wiedziała teraz dlaczego to uczynić musi, jeżeli nie chce przyczynić się do ostatecznéj ruiny i klęski materyalnéj ludzi, którzy ją od dziecka wychowywali i zastępowali jéj rodziców.

— Masz w swoich rękach nasz los i swój, Tolo! — mówiła jéj, szlochając, ciotka. — Wujaszek chciał jak najlepiéj dla ciebie i dla siebie, ale mu się nieszczęściło w interesach, zaplątał się biedaczysko, wszystko stracił, ratując twój posag,— dziś niéma czego ukrywać, zostaniemy wszystko troje na bruku!... pomyśl tylko, co za straszna przyszłość nas czeka. Jeszcze ten proces, ten proces, który tyle lat wisiał nam na karku. Dziadzio

nie poratuje, znasz go; dał zresztą już tyle, że nawet nie mamy sumienia żądać więcéj; coby to i pomogło!... Adaś nas nie lubi, a potém jak go, proszę cię—wtajemniczać teraz we wszystkie interesa?... to niemożebne. Wujaszek wolałby śmierć, niż narażać się na nowe upokorzenia,—nie, nigdy, jabym na to także nie pozwoliła!...

Nie śmiała dodać, że nie tyle o zaszarganą fortunę własną chodziło jéj wobec brata, ile o przyznanie się przed nim do nadużycia opieki i zmarnowania posagu Toli.

— Straszna pozycya nasza, straszna!—biadała daléj,—ty jedna możesz wszystko uratować. Bóg ci zesłał partyę, grzechemby było ją odrzucać. On cię kocha, uwielbia, patrzy w ciebie, jak w bóztwo, będzie z pewnością dobrym mężem: gdyby nie to, Bóg widzi, Tolo, nie namawiałabym. Niechby się stało, co się stać ma!... przecież własnéj krwi nie sprzedalibyśmy za żadne skarby świata, ale skoro się w tém nieszczęściu naszém tak szczęśliwie składa, że się trafia człowiek młody, przystojny, dobrze wychowany, z taką fortuną, co ci serce oddaje, sumienie moje pozwala mi przystać na ten związek i jak matka rodzona radzę ci iść za niego. Zapewne, że jesteś godna, wejść w inną rodzinę, że mogłabyś pozostać w naszéj sferze, ale ty wiesz, panny bez posagu nie łatwo wychodzą za mąż nawet z najpiękniejszém nazwiskiem, a przecież za lada kogo wyjść nie możesz...

Tola słuchała tego wszystkiego z głową spuszczoną i z rękoma splecionemi na kolanach; pozwa-

lała ciotce mówić i gromadzić wszelkie argumenta, zapalać się i płakać na przemianę, unosić się i spowiadać ze wszystkiego, nie odzywała się jednak przez cały czas, ważąc w głowie własne myśli i własne poglądy.

Nie było dla niéj po większej części niespodzianką to, co słyszała teraz z ust Łanieckiéj; domyślała się od dawna właściwego stanu rzeczy, jakkolwiek nie przypuszczała, aby niezaradność i gospodarka wuja aż do téj ostateczności doprowadziły.

Wybaczała mu tę lekkomyślną nieuczciwość, z jaką nie wahał się rozporządzać jéj posagiem, nie znała dobrze znaczenia pieniędzy, więc ich strata na razie nie dotknęła jéj tak bardzo.

Chodziło jéj teraz tylko o nią samą.

Małżeństwo, do którego ją popychały okoliczności, przedstawiało się, jak jakieś fatum, przeznaczenie, konieczność, przeciw której nie było co walczyć, rozumować, powstawać.

Ciotka próbowała je ubierać pozorami, ale w swéj naiwnéj szczerości odsłaniała właściwą istotę tego związku; radziła jéj wyjść za mąż z rozumu, z wyrachowania, korzystać z okazyi, aby uratować przyszłość swoją i ich.

Co ją czekało, gdyby odrzuciła dziś taką partyę, jak Sandstein?... lepszéj spodziewać się nie mogła, na gorszą zdecydowaćby się nie chciała.

Ta naga, smutna, despotyczna prawda, oburzała ją właśnie i drażniła tak bardzo.

Od początku buntowała się przeciw samemu faktowi, nie przeciw sferze i osobistościom, do których ją zbliżono, ale przeciw temu nieznanemu nacisko-

wi, który ją popychał wbrew jéj woli, zwiększał się póżniej samą konsekwencyą zawiązanych stosunków, aż wreszcie zbiegiem wypadków skrępował ją tak, że nie miała swobody postanowień; pozostała bez wyjścia, musiała uledz.

Czuła, że dokoła niéj jakby niewidzialna jakaś, ale nieprzedarta sieć zaciągała się, zagarniała ją, jak rybę wiéncierzem, nie dozwalała umknąć; to dla jéj niepodległéj natury było najprzykrzejszém, najdokuczliwszém.

Widziała te wszystkie machinacye, tę obłudę wujaszka, ten dobroduszny fałsz ciotki, te śmieszne i natarczywe zabiegi ze strony rodziny Bernarda, te niezręczne usiłowania wszystkich w skojarzeniu koniecznie małżeństwa, które było jednym celem rozmaitych dążeń i interesów; czuła się ofiarą i opierała, jak mogła, do ostatniéj chwili.

W gruncie rzeczy nie raziło jéj ani nazwisko, ani pochodzenie Sandsteinów; nie podzielała do tego stopnia uprzedzeń i kastowych przesądów wujaszka Adasia. Widziała tylko śmieszności tam, gdzie inni dopatrywali się wstrętów; Bernardowi oddawała w duszy sprawiedliwość, że on jeden względem niéj zachowywał się prawie bez zarzutu, zrezygnowany na bierną rolę amanta, za którego inni prowadzą intrygę i przyśpieszają akcyę.

Uważała to za pewien objaw taktu i delikatności z jego strony, iż przy niéj zawsze zachowywał pewną rezerwę, nie narzucał się, nie próbował współdziałać z resztą i niejako na jéj łaskę i niełaskę się zdawał.

Nieśmiałość jego i małomówność tłómaczyła sobie pewną godnością uczucia, które nie chciało narażać się na upokorzenia; wierzyła, że jest kochaną przez tego spokojnego, zamyślonego, wpatrzonego w nią młodzieńca, który nie próbował zrobić jéj swego wyznania, przez instynktowny jakiś szacunek i odczucie właściwego usposobienia jéj duszy.

W ten sposób tłómacząc sobie zachowanie się Bernarda, nabierała dla niego nawet uznania i pewnéj sympatyi chwilami, która skutkiem reakcyi zmniejszała się tylko wtedy, gdy ich ku sobie zanadto zbliżać usiłowano.

Podczas gdy Łaniecka otwierała jedną szluzę za drugą łez i wymowy, Tola rozmyślała nad ostatecznością, która ją czeka z zupełnie innego względu.

Wydawano ją za mąż, nie pytając o rzecz najważniejszą, zepchniętą na drugi plan wobec warunków sytuacyi; zapewniano ją, że jest kochaną, że nią będzie zawsze, coraz bardziéj, gdy zostanie żoną człowieka, który przez samą wdzięczność, że mu oddała rękę, ubóstwiać ją musi.

Ale nie zapytano jéj saméj, czy kocha, czy potrafi pokochać, czy zdolną jest do téj obowiązkowéj wzajemności?...

Żądano od niéj poświęcenia w imię samych praktycznych względów, przemawiano do jéj rozumu, rozwijano przed nią, jak jakąś matematyczną formułę, wszystkie plusy i minusy, wszystkie za i przeciw téj małżeńskiéj kombinacyi, ażeby ją przekonać, że najbardziéj dodatni wynik—

to poślubienie młodego Sandsteina, a najbardziéj ujemny — to odrzucenie takiéj partyi w takiéj chwili.

Kazano jéj rozstrzygać tylko rozumem, nie uczuciem, tylko głową—nie sercem.

Od jednego skinienia téj głowy, od jednego jéj „tak,“ zależało wszystko; czuła, że będzie musiała w końcu to uczynić i ten przymus, ta brutalna konsekwencya jéj położenia tak bardzo ją drażniły.

A przytém całkiem inaczéj wyobrażała sobie w swoich panieńskich marzeniach swoje małżeństwo; chciała kochać tego wpierw, którego miała poślubić, pragnęła téj całéj poezyi pierwszéj miłości, téj wiosny zbudzonego serca, a tu los z całą życiową prozą, w imię jakiegoś praktycznego racyonalizmu kazał jéj podawać rękę człowiekowi obcemu dla niéj duchowo i pójść z nim do ołtarza.

Ogarnął ją żal jakiś głęboki i smutek na myśl, że się wyrzec będzie musiała tych najpiękniejszych wrażeń, do których serce jéj tęskniło.

Jak ciernie wbijane w jéj dumę kobiecą, tak ją kłuły i raniły ciągle te wyrazy: „musisz,“ „musiałaś,“ „będziesz musiała,“ które się powtarzały nieustannie we wszystkich jéj rozmyślaniach i rozumowaniach nad sobą i swoją sytuacyą.

Ale co miała począć?... do kogo się udać?... w kim szukać oparcia?... była samą na świecie, zostawioną pod opieką téj ciotki, która łzami próbowała ją teraz zmiękczyć, i tego wuja, który ją w osobistych swoich widokach poświęcał.

Co pomogło powstawać, obruszać się, buntować przeciwko losom!...

A zresztą, co na tém zyskiwała?... swobodę?... zapewne, ale i odpowiedzialność za wszystkie następstwa z odepchnięcia téj jedynéj deski ratunku, jaką miała pod ręką.

— Nie trzeba życia za bardzo dramatyzować,— mówił jéj raz Kulisz i te słowa przypomniała sobie w chwili, gdy słuchała perswazyj i namowy zapłakanéj ciotki, patrzącéj w nią opuchłemi od płaczu oczyma i wyglądającéj stanowczego wyroku.

Jedyne słowa, któremi odpowiedziała na wszystko, były w końcu:

— Niechże tak będzie; pójdę za Sandsteina.

Wymówiła to spokojnie na pozór, stanowczo, nieodwołalnie, ale ustami blademi, z oczyma bez łez, lecz i bez blasku, z jakimś dreszczem febrycznym, który nią wstrząsał.

Wyprężyła wszystkie muskuły, aby go stłumić przemocą i zesztywniała, jak mumia w chwili, gdy ciotka skwapliwie uchwyciła jéj dłoń i chciała ją do ust przycisnąć.

— Ależ ciociu!—szepnęła tylko mitygująco; ten objaw pokornéj wdzięczności sprawił jéj niewymowną przykrość.

Wobec Łanieckiego nie odezwała się wcale; zimno i obojętnie, pokrywając odrazę, jaką swą obłudną miną w niéj sprawiał, przyjęła jego dziękczynne zapewnienia:

— Bóg ci to wynagrodzi!...

W godzinę późniéj Vossowa wpadła do Sandsteinów bez rękawiczek, zadyszana, rozpromie-

niona, najwyższym dyszkantem wołając już od progu:

— Gdzie jest Bernard?... gdzie jest Louis?... Prędzéj, chodźcie tu wszyscy, patrzajcie!... ożeniłam wam syna!..

Cała rodzina, nie wyłączając Resi, nie dopuszczanéj jeszcze do wszystkich tajemnic familijnych, zbiegła się do salonu, w którym przy lampie tryumfująca pani Emilia odczytywała bilecik Łanieckiéj, donoszący jéj, iż Tola zgodziła się oddać rękę panu Bernardowi.

Sandstein z rękoma w kieszeniach stał milczący i zamyślony; nie było znać w jego twarzy ani śladu ojcowskiego wzruszenia. Zdawał się w téj chwili obliczać ostatnie cyfry téj rodzinnéj tranzakcyi.

Pani Eleonora patrzała na syna z dumą i powagą, jak gdyby nagle ta pewność pozyskania synowéj, o którą się do téj pory dobijała tak usilnie, nie sprawiała na niéj większego wrażenia.

Miała minę nawet trochę nadętą i jakby pyszną, która mówiła:

— No, co wielkiego, że mój syn chce się ożenić z hrabianką?...

Resia z zaiskrzonemi oczyma patrzała na brata i uśmiechała się filuternie; podziwiała go, że będzie miał żonę, i myślała już o tém, iż wystąpi po raz pierwszy, jako druchna, prowadząc go do ołtarza.

Jedynie ciocia Emilka kręciła się po salonie, jak fryga, trzepotała rękoma i mówiła za wszystkich, nie mogąc opanować wielkiéj swojéj radości.

Dumną była za cały ród Sandsteinów i raz po raz obsypywała całusami Bernarda, który stał

jakby zaskoczony niespodzianką, w jakimś uroczystém zakłopotaniu i po raz dziesiąty przeglądał bilecik Łanieckiéj, trzymany w rękach.

— Będziesz miał za żonę hrabiankę!—powtarzała mu ciotka, skacząc dokoła niego,—słyszysz, Bernard?... pocałuj mnie za to, żem cię ożeniła!...

Bernard uśmiechał się i nie odpowiadał. Sandsteinowa słuchała zachwytów i wykrzykników Vossowéj, przenosząc co chwila spojrzenia z syna na córkę, jak gdyby jéj macierzyńska przezorność załatwiwszy się z jednym planem, rozpoczynała już wysnuwać drugi; obecnie gdy miała pewność co do synowéj, przychodziła koléj na zięcia.

— Cóż ja mam teraz zrobić?—odezwał się Bernard, ocknąwszy się z wrażenia.

— Wdziać frak i pojechać do Łanieckich,—wyrwała się ze śmiechem Resia.

Pani Emilia wstrząsnęła rękoma w powietrzu.

— Frak?... a niechże Bóg broni?...—zawołała zgorszona.—Któż się dzisiaj we fraku oświadcza!... to staroświecczyzna. Skompromitowałbyś się tylko; weź tużurek i jedź.

— Zaraz?...

— Po co odkładać do jutra?...

— Sam?...

— Mogę pojechać z tobą.

Wyraz zakłopotania zniknął z twarzy Bernarda.

— Pojechałabyś?...

— Dla ciebie?... wszystko zrobię!

Wycisnęła na jego policzku dziesiątego całusa i zwracając się do Sandsteinów, zawołała ze śmiechem:

— Jakiż on jeszcze dzieciak!... rady sobie sam dać nie potrafi. Ja go dzisiaj zawiozę, a wy jutro musicie być w południe z wizytą u Łanieckich oficyalnie. Tak się należy; potém zaręczyny, pierścionki, a potém ślub i wesele!...

Rzuciła się na szyję bratowéj i wśród śmiechu szepnęła jéj na ucho:

— A potém pierwszy wnuk, i drugi, i trzeci i t. d.

Śmiała się, jak opętana, z zadowoleniem i radości.

Bernard poszedł zmienić tużurek; była to najpierwsza czynność jego w roli narzeczonego.

VI.

Wiadomość o postanowioném małżeństwie młodego Sandsteina, oburzyła dwóch ludzi do głębi; hr. Adaś nie posiadał się z gniewu, w największéj pasyi rozstał się z ojcem, przysięgając, że się raz na zawsze wyrzeka siostry, szwagra i siostrzenicy, a nie chcąc być świadkiem takiego „skandalu,“ wyjechał jak najśpieszniéj z całą rodziną do Nizzy, chory na rozlanie żółci.

Drugim oburzonym był Sammet.

— Ja przecież Radoszkowskim pożyczyłem 40,000 — wołał z pianą na ustach — żeby proces wygrali, a on sobie z tego nic nie robi! Co to jest?... Malcia, czy ty to rozumiesz? Jemu się w głowie pomieszało; po co on tego syna żeni teraz z taką hrabianką, co grosza nie ma i nigdy nie będzie miała?... co to jest, co to jest?... Zkąd on się zrobił taki bezinteresowny?...

Zdawało mu się, że okropnego figla wypłata swemu ex-wspólnikowi, pomagając stronie przeciwnéj do podkopania Łanieckich i Zabiełowskich, a nie przewidział, iż właśnie dopomoże pośrednio

do przygotowania małżeństwa, które pragnął rozbić „na złość takiemu mechesowi.“

— Ja mu dam arystokracyi! — odgrażał się przecież i myślał, że postawi na swojém, a tymczasem nic nie zrobił.

Malcia chodziła blada, mizerna, zdenerwowana; przemówić do niéj nie śmiał, bo sykała, jak rozpalona blacha, zamiast odpowiedzi.

Siadywała po całych dniach u Feingussów i nastawiała tylko uszy na nowinki i plotki z miasta, aby ułowić coś o Bernardzie i Toli.

Zdawało jéj się, że na całym świecie nienawidzi tylko ich dwoje i gotowaby była własną ręką taczać beczkę wybitą wewnątrz goździami, w któréjby zamknięto parę narzeczonych.

Z tą krwiożerczą zemstą kryła się wszelako i nie odzywała do nikogo, tłumiła to w sobie i tylko gryzła usta lub paznogcie w dłoń wpijała, jak szpony, aby fizycznym bólem zagłuszać boleść serca.

W nocy zrywała się z łóżka i tylko w koszuli, boso, chodziła po swojéj ciemnéj sypialni, mrucząc jakieś niezrozumiałe słowa, a potém z potarganemi włosami, które w nieładzie spadały jéj, jak grzywa na ramiona, rzucała się na dywan i dysząc ciężko, leżała na podłodze, oczekując, aż ta zwierzęca furya ją opuści.

Stan ten był jakby chorobą fizyczną, nad którą się nie zastanawiała, nie umiała myśléć, poddana tylko władzy wzburzonych instynktów i nerwów.

Sammet spotykając na giełdzie starego Sandsteina, krzywił się, jakby miał pełne usta octu

siedmiu złodziei; udawał, że go nie widzi, przestał go pozdrawiać i witać się z nim.

Nie mógł utaić w sobie zgryźliwéj natury swojéj.

Kiedy ex-wspólnik jego zajeżdżał karetą przed giełdę, po turkocie kół poznawał już powóz Sandsteina i nerwowo podrzucał ramionami, krew mu napływała do głowy, mąciły mu się myśli, cyfry, projekta, kombinacye; nie umiał od téj chwili załatwiać spokojnie interesów, mylił się w obliczeniach, stawał opryskliwym, roztargnionym i przed końcem giełdy wybiegał na ulicę z głową spuszczoną, w paltocie niezapiętym, w kapeluszu na tył nasuniętym.

Widok sam „tego hycla, tego łajdaka" trapił go, jak zmora.

Nie miał mu nic innego do zarzucenia, oprócz dawnych pretensyi spółkowych, tylko to szczęście, które „takiemu szubrawcowi" służyło!...

Dobierał najgorszych i najbardziéj obelżywych wyrazów, któremi w myślach obrzucał ex-wspólnika, poruszając tylko niemo wargami, gdy z pod oka spoglądał w stronę Sandsteina.

Irytowała go jego pewność siebie, ale zadowolona mina, z jaką teraz przychodził na giełdę, ten lekceważący ton, z jakim mówił głośno, protekcyonalność, z jaką skinieniem ręki witał znajomych, nawet ów chrapliwy śmiech, który odzywał się częściéj, niż kiedykolwiek z jego gardła.

Sandstein był zadowolony, rozpromieniony, pyszny; przynajmniéj takim wydawał się w oczach Sammeta, odkąd zaręczył syna z hrabianką.

— Żeby on kark skręcił, to jabym dał na ubogich...

Zacinał się jednak w tém miejscu, nie chcąc za dużo zaryzykować i nie wymieniał sumy, aby go los zbyt pohopnie za słowo nie schwycił.

— Jabym dał na mszę! — poprawiał się przezornie, przypomniawszy sobie swoje przybrane wyznanie.

Mówił to z takiém przejęciem, że w stanowczość takiéj ofiary i takiego wydatku nie podobna było już wątpić.

— Ale gdzie jemu się co stanie! — dodawał zaraz ze zgryźliwą ironią i sceptycznym uśmiechem na ustach.

Sandstein nie wiele sobie robił z tego, spoglądał z pobłażaniem na byłego wspólnika i uśmiechał mu się w oczy, co Sammeta do ostatniéj pasyi doprowadzało; czuł, że tamten go sobie lekceważy.

Unikał z nim spotkania, drażnił się samym jego widokiem, a mimo to węszył dokoła niego, podsłuchywał, co mówi, podglądał z kim się naradza i instynktownie krążył w pobliżu, aby choć kilka słów pochwycić z rozmowy.

Każdy świstek z notatnika wyrzucony przez Sandsteina, stawał się dla Sammeta zdobyczą; następował na niego nieznacznie nogą, a upatrzywszy chwilę, gdy nie zwracano nań uwagi, podnosił szybko; chował do kieszeni i bacznie przeglądał go potém, starając się z pojedynczych cyfr albo pokreślonych znaków odgadnąć jakąś tajemnicę finansową.

Nie na wiele to się jednak przydawało.

Sandstein i to dostrzegł; bawił się jeszcze bardziéj tym niezręcznym podstępem ex-wspólnika i kazał mu umyślnie „aportować“ rozmaite kartki, koperty, ceduły giełdowe, upuszczane niby przypadkiem na ziemię.

Udawał niekiedy potém dla większéj „komedyi,“ że pilnie poszukuje czegoś zgubionego, rzucając z pod oka podejrzliwe spojrzenia na Sammeta, który z pomiętą i podeptaną kartką w kieszeni wymykał się wtedy nieznacznie i szybko, pewny, że udało mu się zrobić bardzo ważny nabytek.

Rozczarowania nie osłabiały jego ciekawości w tym względzie.

Przyczyny dobrego humoru Sandsteina, były odmiennéj natury, niż Sandstein przypuszczał; małżeństwo syna otworzyło mu nowe widoki, nastręczyło nowe stosunki i kombinacye.

Przedewszystkiém zabrał z obowiązku ojca, żeniącego syna z wnuczką Zabiełowskich, znajomość z hr. Sewerynem.

Zdawało się, że zbliżenie ze starym dziwakiem i odludkiem będzie trudne, zwłaszcza, po tak wyraźnéj demonstracyi ze strony wuja Toli, hr. Adama, który bez pożegnania z siostrą, bez powinszowania siostrzenicy, bez poznania jéj przyszłego męża, wyjechał najśpieszniéj za granicę.

Sandsteina to nie zraziło.

— On się przeprosi — mówił spokojnie do żony, — a jeśli nie, to będziemy mieli jednego hrabiego mniéj w naszéj rodzinie—dodawał ze śmiechem;—niech się o to martwi Emilka, nie ja.

Do dziadka przyszłéj synowéj wybrał się jednak

pierwszy z wizytą, ale bez Bernarda i bez Łanieckich.

Na samym wstępie spotkała go bardzo przykra niespodzianka: stary kamerdyner, który zaniósł bilet do jaśnie pana, powrócił z oznajmieniem:

— Pan hrabia przeprasza, przyjąć nie może... jest dziś cierpiący.

Sandstein poczerwieniał; zakrawało to na wyraźną odprawę.

— A cóż jest waszemu panu hrabiemu?—spytał tonem podrażnionym, nie ukrywając swego niezadowolenia.

— To, co zawsze,—odmruknął niechętnie stary sługa, z pod swoich siwych, krzaczastych brwi, obejmując jedném spojrzeniem od stóp do głowy niezbyt grzecznego gościa, któremu po raz pierwszy drzwi otwierał.

— A cóż to zawsze bywa hrabiemu?—usłyszał ponowne zapytanie, zakrawające na indagacyę.

— Artretyzm,—odciął krótko i zamknął gościowi drzwi przed nosem, bo w téj chwili z pokojów zabrzmiał głos dzwonka, szarpanego widocznie niecierpliwą ręką.

Sandstein po takiéj odprawie zwrócił się ku schodom i zaczął zstępować powoli, nadęty, jak indyk, którego podrażniono i odpędzono od dworskiéj werandy.

Był już u saméj karety na ulicy, gdy kładąc rękę na klamce od drzwiczek, usłyszał nagle za sobą głos zdyszanego kamerdynera:

— Pan hrabia każe prosić.

Zatrzymał się przez chwilę, jak gdyby rozważał czy wrócić, czy téż zrezygnować zupełnie z téj pierwszéj wizyty.

— Wyzdrowiał nagle? — spytał przez ramię służącego i wszedł powtórnie do bramy.

Hrabia siedział w swoim dużym, skórzanym fotelu przy biurku, nogi okryte miał atłasową kołdrą, dobrze już wypłowiałą, stary szlafrok z postrzępionemi wyłogami niebieskiego koloru na sobie i czapeczkę aksamitną ze złotym chwaścikiem na głowie.

W gabinecie panował zmrok z powodu zapuszczonych firanek i story w jedném oknie; mdły zapach ziółek aromatycznych, stęchlizny jakiéjś i zaduch nieodwietrzanego pokoju uderzył Sandsteina, który się jeszcze bardziéj skrzywił przy wejściu, owiany tą szpitalną atmosferą.

Hrabia pochylił się nieco naprzód i przypatrując się swemu gościowi z pewną ceremonialną uprzejmością wskazał mu ręką fotel po drugiéj stronie biurka, mówiąc:

— Bardzo mi miło poznać pana, choć w pierwszéj chwili nie myślałem, że będę mógł z téj sposobności skorzystać. Miałem dziś mój atak artretyczny i czułem się bardzo znużonym... Pan wybaczy, panie Sandstein, żem pana powtórnie fatygował na górę.

Mówił to grzecznie, ale z pewną wyniosłością arystokratyczną, która instynktownie obudziła się w nim w zetknięciu z parweniuszem.

Sandstein skłonił zlekka głowę i rozglądając się po gabinecie, odparł:

że ma słowo panny Toli i że jest w niéj na śmierć zakochany.

Hrabia spojrzał na swego gościa z uwagą, przygładził sobie włosy siwe na skroniach i czapeczkę nasunął bardziéj na czoło; podobała mu się ta przemowa Sandsteina, był ujęty sposobem traktowania sprawy, chociaż w gruncie rzeczy nie wiele go ona obchodziła.

— Przyznam się panu, drogi panie Sandstein — odrzekł, dobierając wyrazów, — że skutkiem pewnych... zbyt delikatnych,.. czysto osobistych względów, córce mojéj, pani Łanieckiéj, oraz zięciowi mojemu, panu Łanieckiemu, pozostawiłem oddawna całą swobodę i całą odpowiedzialność co do Toli. Ja się, prawdę powiedziawszy, nie mieszam do tego, zwłaszcza, odkąd uregulowałem nasze sprawy majątkowe; nie mogę się mieszać, przy mojém zdrowiu, które mi za dużo ciągle kłopotu sprawia i dlatego muszę się godzić na każde *fait accompli*. Skoro Łanieccy się godzą, syn pański kocha i potrafił zyskać wzajemność panny, zatém... niech się dzieje wola nieba, panie Sandstein. Tola ma swoją wolę i swój posag po matce...

Sandstein wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekceważąco.

— Miała,—poprawił wyrażenie hrabiego.

— Jakto miała?...

Otworzył oczy i spojrzał na Sandsteina zdziwiony.

— No, miała; to znaczy, że go więcéj nie ma.

— Co pan mówisz?... Tola nie ma posagu?... a gdzieżby go podziała?

— Czy ja wiem!... trzebaby o to zapytać opiekuna—odparł Sandstein spokojnie, ale złośliwie,— on powinien z obowiązku o tém wiedziéć.

Hrabia poruszył się na fotelu, że aż mu kołdra spadła z kolan.

— Wszakże suma była zabezpieczoną na Grzędach i na hypotece, i zdaje się w banku...

— Tak, tak, to chyba bardzo dawno temu, bo dzisiaj trudnoby ją było wszędzie tam odszukać.

— Więc pan przypuszczasz, że...

Niespokojnie, zapominając o swoim artretyzmie, przysunął się nieco z fotelem ku swojemu gościowi.

— Pan przypuszczasz, pan jesteś pewny, że i to Łaniecki zmarnował?... — spytał przyciszonym głosem, zmieniając od razu cały charakter rozmowy i nadając jéj ton poufniejszy.

Sandstein zrozumiał sytuacyę.

— Czyż pan hrabia o tém na prawdę do téj pory nie wiedział?—zagadnął go, patrzącmu w oczy.

Zabiełowski spuścił powieki i przybrał wyraz bolesnego zgnębienia.

— Myślałem, że tylko swoje zmarnował, ale że cudzego nie ruszy,—szepnął — przecież to majątek sierocy.

Rzucił się w tył i podnosząc obie pięście zaciśnięte do skroni, jęknął:

— Ach, ten Łaniecki, ten Łaniecki!...

Napadła go znowu dawna zmora.

Sandstein przez chwilę pozwolił mu tak biadać

pod wrażeniem usłyszanéj wiadomości, potém oparł się łokciami o biurko i zaczął:

— Ja pana hrabiego przepraszam za moją niedyskrecyę, ale ja byłem pewny, że jako głowa rodziny, to pan hrabia jest o wszystkiém szczegółowo powiadamiony.

— Ależ mój drogi,—ze zgrozą żachnął się Zabiełowski, — gdzieżby mi się śmiał był przyznać do tego... Biedna ta Tola!... bez posagu, bez posagu!... cóż teraz będzie?... ja nie poradzę, panie Sandstein, choćbym chciał z duszy, z serca, nie poradzę więcéj. Wszystko oddałem...

Sandstein spoglądał na niego jedném okiem uśmiechniętém szyderczo, ale odwrócił zaraz głowę i przerywając hrabiemu, rzekł:

— Po co to mówić o tém, panie hrabio; mój syn posagu nie szuka, jemu chodzi o samą osobę. Ja się z panem Łanieckim także rachować nie myślę; my do wójta nie pójdziemy. On nawet nie jest zły człowiek, tylko zdaje mi się, że on nie miał szczęścia w interesach i jemu się majątek w rękach rozlazł, bo go dobrze schwycić nie potrafił. Spekulacya to nie jest dla każdéj głowy; jemu się chciało stawiać młyny, gorzelnie, browary, czy ja wiem co jeszcze!... trzymać stadninę,— on na tych samych koniach stracił z kilkadziesiąt tysięcy. Próbował za dużo srok trzymać za ogon. Albo to on jeden taki?... co to pomoże teraz o tém gadać!... to już ani grosza strat nie powróci. No— proszę—zwrócił się nagle do poprzedniego tematu—to pan hrabia nic a nic nie wiedział o posagu swojéj wnuczki?... Ach, bardzo mi przykro, żem

się tak niepotrzebnie wygadał, po co o takich bagatelach wpominać!... Niech pan hrabia o tém zapomni; ja nic nie powiedziałem, ja wszystko cofam.

Zrobił przy tych słowach najprzyjemniejszy grymas, na jaki się mógł zdobyć i z zadowoleniem spoglądał na coraz bardziéj zakłopotaną fizyognomię hrabiego; zyskiwał nad nim przewagę, która go utwierdzała w sytuacyi.

Czuł się coraz pewniejszym siebie.

— Pan go bronisz jeszcze, mój drogi panie Sandstein!—jakby z wyrzutem odezwał się hrabia.

— No, co mam robić?... przecież to opiekun mojéj przyszłéj synowéj.

— Więc mimo wszystko, zgadzasz się pan na to małżeństwo?... syn pański mógłby przecież wziąć żonę z znacznym posagiem...

— Zapewne, że mógłby, ale skoro nie chce innéj, tylko tę, to niech sobie tę bierze. Bogu dziękować, nie potrzebuje majątku.

Hrabia po raz pierwszy wyciągnął swą białą, długą, delikatną rękę do Sandsteina.

Nie wyrzekł przy tém ani słowa, ale pochyli głowę, jakby zrezygnowany i przybity.

— A zatém mam i pańskie zezwolenie, panie hrabio? — spytał Sandstein, zatrzymując przez chwilę w swoich grubych i pulchnych dłoniach wydelikaconą rękę hrabiego.

— Cóż mam sądzić innego po dowodach takiéj bezinteresowności ze strony pana i syna pańskiego, jak nie to, że tylko wzajemna skłonność łączy to stadło w tak nierównych warunkach...

Zamknął powieki a usta zaciął swoim zwyczajem, jakby mu ból wewnętrzny dokuczał i szepnął znowu półgłosem:

— Ten Łaniecki, ten Łaniecki!...

Sandstein pozwolił sobie już na swój chrapliwy śmiech bez wszelkiéj ceremonii.

— No, to co dziwnego! — zawołał — nie znał się nigdy na interesach i myślał, że to tak łatwo robić majątek, jak go łatwo tracić. Pieniądze, to śliska rzecz; trzeba umieć je w palcach trzymać. Nie jednemu nie wystarcza spokojny 5%, chciałby mieć zaraz sto za sto, a nie umie się wziąć do tego. No, prawda, można mieć i dziesięć, i piętnaście od sta w zysku, ale do tego trzeba dwóch rzeczy, których się nie kupi nigdzie w żadnym magazynie, to jest: głowy i trochę szczęścia.

Hrabiemu nagle oczy błysnęły; otworzył usta i jakby uderzony słowami Sandsteina, spytał z żywém zajęciem:

— Mówisz pan, że można mieć dziesięć i piętnaście od sta w zysku?... jakim sposobem?...

Twarz mu się rozpogodziła, ożywiła, rozśmiała.

— To chyba nie od kapitału, nie w papierach i na hypotece?... co?... prawda?

Zdawało się, że ten przedmiot zagarnął teraz wszystkie jego myśli; miał minę Harpagona, rozmawiającego z Shylokiem.

Sandstein rzucił na niego baczniejsze spojrzenie i zdawał się odgadywać jego myśli.

— Dlaczego nie? — odparł prawie lekceważąco. — Wszystko można zrobić, tylko trzeba wiedzieć: jak i kiedy?...

— A jak, jak?... mój drogi!

Powiekami łypał, jak smakosz na widok nowéj potrawy, któréj sam zapach dopiero połechtał jego nozdrza.

— Pan hrabia myśli, że to tak od razu można kogo nauczyć, jak się robi majątek.

— No, pan to wiesz dobrze, pan dałeś tego dowody, - z wyrazem komplimentu przerwał mu Zabiełowski;—ale nie o to mi chodzi; majątek robić, to trochę za późno na stare lata, ale o tych dziesięciu procent... to... to w każdym razie bardzo... bardzo ciekawe.

— No, co to ciekawego! — z lekceważeniem odezwał się Sandstein,—ja teraz właśnie układam taki interes, który musi dać nawet więcéj zysków, a jak dobrze pójdzie, to i dwadzieścia i trzydzieści procent przyniesie dywidendy.

Hrabiemu oczy biegać zaczęły niespokojnie.

— Mój drogi panie Sandstein, dlaczego pan nie siada?... może cygarko?... ja tu zaraz...

Zaczął szukać kluczyków od biurka; ręce mu drżały lekko ze wzruszenia, czy z poprzedniéj irytacyi.

Nie mógł znaleźć cygar ani papierosów, przetrząsał jedną szufladę za drugą, powtarzając:

— Zaraz... ja tu gdzieś miałem kilka sztuk prawdziwych havana... podobno specyały!... zaraz... zaraz... niechno pan siada, panie Sandstein!.. mój drogi, nie dajno się prosić.

Sandstein wyjął swoją grubą papierośnicę srebrną i rzekł:

— Niech się pan hrabia nie fatyguje, ja i tak

cygar nie palę; to zbytek na te ciężkie czasy, — dodał na pół seryo, na pół żartem.

— Ja téż nie palę, mój drogi, też... Szkodzi mi. Czasami sobie fajkę pyknę po staroświecku.

Sięgnął po zapałki i własną ręką podał ognia gościowi.

Pani Emilia byłaby pokraśniała z dumy, jak piwonia, gdyby była widziała, jak pan hrabia sam zapalał papierosa jéj bratu.

Co prawda, w rodzinie cóż to znaczyło?!.. a Sandstein od chwili, gdy uścisnął rękę Zabiełowskiego i zaczął rozmawiać z nim o interesach, poczuł się od razu tak skoligowanym ze wszystkimi hrabiami, że mu jeszcze więcéj rozumu i fantazyi przybyło.

— Wspominałeś mi pan o jakimś świetnym projekcie, który właśnie układasz,—zagadnął go stary hrabia po kilku obojętnych zdaniach — cóż to takiego, jeżeli wolno wiedziéć?...

Sandstein wydął dymem policzki, ściągnął brwi i jakby sobie przypominając dopiero, odparł:

— Już nie wiem, o czém chciałem powiedziéć, ja mam na głowie tyle rozmaitych interesów i pomysłów, że się w tém wszystkiém połapać trudno.

— O ten... ten... ten interes, co to obiecuje dać dziesięć, piętnaście i może jeszcze więcéj dywidendy?...—pomógł stary jego pamięci.

— Ach ten?... to doskonały projekt. Co prawda, nie mój własny, ale bezemnie nie da się zrobić. Ja dostanę koncesyę przy moich stosunkach, a kto inny tego nie potrafi.

— Więc to coś nowego?...

— Pan hrabia nie czytał jeszcze o tém w gazetach?... stało kilka dni temu w Kuryerze. Tani kredyt, nowa kasa pożyczkowa, kapitał udziałowy. Nie czytał pan hrabia?... to dziwne, bo to wiadomość interesująca dla wszystkich, co mają i co nie mają pieniędzy.

Zabiełowski zaprzeczył niemym ruchem głowy.

— Widzi pan hrabia, u nas brak jest łatwego kredytu, a biedaków dużo, — zaczął tłumaczyć Sandstein. — Lichwa ludzi dusi i dusi wcale nie po ludzku. Duże kapitały muszą leżéć bezczynnie, bo na wielkie obroty i duże przedsiębierstwa, to nie czas teraz. Kto chce dziś ryzykować swoje miliony?... ale na krocie to się zawsze znajdzie miejsce i sposobność procentowania. Pewne kółko finansistów postanowiło skorzystać z sytuacyi i założyć instytucyę, któraby wydawała nawet najmniejsze pożyczki na krótki termin.

— Więc to bank?...—spytał hrabia.

— Nie, to ma być... ma być, coś w rodzaju...— zawahał się w dobraniu odpowiedniéj nazwy, — w rodzaju instytucyi zastawniczéj.

— Lombard? — podrzucił Zabiełowski i skrzywił się.

Ten wyraz odrazy nie uszedł uwagi Sandsteina.

— Niekoniecznie lombard—rzekł—to będzie rodzaj kupna i sprzedaży. Instytucya będzie nabywała od interesantów rozmaite przedmioty z prawem odkupu ich w pewnym oznaczonym terminie. Gotówką wypłaci każdemu cenę szacunkową i za tę samą cenę zobowiąże się po miesiącu, czy po kwartale, odprzedać właścicielowi jego

własność, rozumie się, z doliczeniem pewnego procentu.

— A po terminie?...

— No po terminie to prawo ustaje; a gdy się nazbiera zaległości, to się urządzi licytacye peryodyczne i wycofa uwięziony kapitał. To bardzo prosta manipulacya.

Hrabia się zachmurzył.

— Zawsze to lombard,—szepnął.

— Tu o nazwę nie chodzi—śpiesznie przerwał mu Sandstein, — dobry lombard, nie wyzyskujący swoich interesantów, to instytucya finansowa i pożyteczna.

— No, zapewne, ale dawać na fanty...

— Co to jest na fanty?... to jest kupno i sprzedaż, to jest handel, jak tyle innych, z tą różnicą, że w nim obrót kapitału w najmniejszych sumach może być dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt razy szybszy, niż w inném przedsiębierstwie a zabezpieczenie najpewniejsze.

Zabiełowski głową pokręcił, nie podobało mu się to jakoś.

— Dawać swoje nazwisko na taką antrepryzę— rzekł z uśmiechem dwuznacznym, — to trochę... trochę trąci...

— Któż mówi o nazwisku?—zawołał zaperzony finansista,—tu chodzi o kapitał. Konsorcyum zostaje bezimienne. „Tani kredyt“—o!... to wystarcza. Nie trzeba lepszéj firmy. Spółka udziałowa i już!... Po co nazwiska?...

Spojrzał na starego bystro i instynktownie mrugnął na niego jedném okiem.

— Więc tu afiszować się nie potrzeba?—spytał niedowierzająco Zabiełowski.

— A to po co?!... co komu do tego, kto daje kredyt, jeśli ten kredyt jest łatwy i tani?... Ja sobie pozwolę przysłać panu hrabiemu szczegółowy projekt ustawy i całéj organizacyi; pan hrabia przejrzy, rozpatrzy i przekona się, że to złoty interes, a kto wie, czy potém nie przystąpi zemną do spółki...

— Z panem?...

— No, ze mną, bo któż tu będzie główniejszą figurą, jeżeli ja wyrobię koncesyę, ja złożę kapitał, i ja całą maszynę w ruch puszczę?... A przyznam się panu hrabiemu, że byłbym bardzo szczęśliwy i zaszczycony, gdybym takiego spólnika mógł pozyskać.

— Ho, ho, ho!... mój drogi, spólnika?...—zaśmiał się stary, — a cóżby to za spólnik był ze mnie?... do czego?... z czém?... ja jestem goły, jak święty turecki. Wszystko oddałem dzieciom, mam tyle tylko, aby wyżyć na stare lata. Spólnika!... żartuj zdrów, panie Sandstein... gdybym wszystkie kieszenie poprzewracał, to wyskrobałbym może na jaki jeden udział w twoim Kredycie. Pan gotóweś pomyśléć także, żem ja Krezus, a Zabiełowski stary dziad, hołysz, biedota. Ot, mój syn, Adaś — to bogacz, pan całą gębą, tylko że on do interesów żyłki nie ma. Jezus, Marya! tożby on się mnie wyrzekł, gdyby wiedział, że ja tu z panem konferuję, jak jaki stary lichwiarz i jeszcze o czém?... o lombardzie!... Dajże pokój, o tém nawet pary z ust nie można puścić!...

Mówił to niby seryo, niby jowialnie, ale oczy mu się uśmiechały i w ożywieniu zapomniał o artretyzmie; chciał nawet wstać i odprowadzić swego gościa do przedpokoju, lecz się Sandstein temu sprzeciwił.

Za odchodzącym na pożegnanie zawołał nagle niby od niechcenia:

— A nie zapomnij, panie Sandstein, przysłać mi tego projektu czy ustawy, czy co to jest, o któréj wspominałeś. Nie mam co robić teraz, to sobie będę przeglądał z ciekawości. Ale, ale... przecież mi syna swego przyprowadzisz?... muszę go poznać, skoro się żeni z Tolą, z ta biedną Tolą! — dodał zmienionym na raz głosem i urwał, przypomniawszy sobie Łanieckiego i zmarnowany posag wnuczki.

Głową zaczął kiwać, ręce zaciskać i krzywić się, jakby go boleści napadały; po chwili jednak, gdy sam został, obejrzał się po swoim gabinecie, wziął z biurka szyferek i tabliczkę, westchnął ciężko i zaczął notować jakieś cyfry, sumować je i obliczać procenta fikcyjne przyszłych dochodów, które mógł mu przynieść „Tani kredyt.“

Chciwość starego skąpca bawiła się marzeniami.

W dusznym pokoju zmrok coraz gęstszy zapadał; hrabia otulił sobie nogi lepiéj kołdrą, ręce włożył w rękawy szlafroka, głowę spuścił na piersi i z zamkniętymi oczyma rozmyślał czy drzemał, samotny, jak zawsze w swoim skórzanym, dużym fotelu...

Sandstein z téj pierwszéj wizyty wracał w karecie rozparty na poduszkach, w kapeluszu przez

roztargnienie nasuniętym na tył głowy; twarz miał rozpromienioną, usta jakimś jowialnym grymasem rozchylone, wielkim palcem drapał się w podbródek zarośnięty i co mu się bardzo rzadko zdarzało, nucił, na znak szczególniejszego zadowolenia, głosem bardzo niemuzykalnym jakąś aryę, do któréjby się żaden kompozytor w całym świecie nie przyznał.

Oczy jego patrzały przez szyby karety, ale nie widziały nic.

— Już go mam!—zdawała się mówić cała rozpromieniona fizyognomia szczęśliwego finansisty.

Kazał woźnicy stanąć przed sklepem swego jubilera i z jakąś młodzieńczą żywością wysiadł z karety; otworzył szeroko drzwi od sklepu i zatrzymał się w progu.

— No, panie Zulaender—zaczął bez powitania szybko, jak człowiek, który nie ma czasu do stracenia,—bierzesz pan sto pięćdziesiąt za ten pierścionek brylantowy, com go wczoraj oglądał?...

Jubiler gruby, łysy, w okularach złotych, zerwał się z miejsca i w lansadach podbiegl do klienta, składając ręce z miną zakłopotaną.

— Jak poważam pana dobrodzieja, nie mogę!... mnie samego drożéj kosztuje. Brylant prawdziwy — mały Cohinoor, daję słowo!... ostatnia cena dwieście.

— Nie dam.

— Cóż zrobię, nie mogę, Bóg świadkiem nie mogę!... ale niech pan radca wybierze ten drugi.

— Jaki drugi?

— Ten z maluteczką skazą... prawie nie znać.

Co za woda!... co za ogień!... ten mogę odstąpić za sto pięćdziesiąt, nawet jak dla pana prezesa za sto czterdzieści pięć bez targu.

Sandstein wszedł do sklepu, nie zamykając drzwi za sobą i nie zdejmując kapelusza.

— Pokaźno go pan jeszcże raz, —rzekł—tylko szybko, bo nie mam czasu.

Jubiler dwoma pierścionkami brylantowemi w aksamitnych etui błysnął przed oczyma swego klienta, wygłaszając kolejno ceny głosem najbardziéj ugrzecznionym:

— Dwieście!... sto czterdzięści pięć!...

Sandstein wziął oba do ręki i przyglądał się im przez chwilę.

— Gdzież tu ta skaza?...

— Głupstwo, bagatelka, nawet dojrzéć trudno. Nie znawca nigdyby nie poznał... O, widzi pan radca, tu, w samym rożku, kreseczka, włosek!...

— Nic nie widzę.

— Tém lepiéj, panie dyrektorze, tém lepiéj!— ze śmiechem powtarzał pan Zulaender, — a zatém zawinę ten tańszy, dobrze?... rzecz skończona.

Chwileczkę zawahał się przyszły teść panny Toli, potém z szybkiém postanowieniem zamknął palcami etui z tańszym pierścionkiem i schował je do kieszeni.

— Biorę!... przyszlij mi pan rachunek do kantoru.

— Służka najniższy pana dyrektora; polecam się łaskawym względom pana prezesa.

Sandstein skinął mu głową i wsiadł do karety uśmiechnięty i zadowolony.

Miał dzisiaj szczęśliwy dzień, bo zarobił nawet na zaręczynowym pierścionku swego jedynaka.

Zulaender miał słuszność, oko nieznawcy nie byłoby zauważyło nigdy téj drobnéj skazy na brylancie, który stał się podziwem całéj rodziny Sandsteinów i wytrzymał krytykę nawet cioci Emilii, powtarzającéj nieustannie przy każdéj sposobności:

— Moi drodzy, trzeba być *large;* to trudno, przy takiéj partyi nie można się zbytnio rachować. *Il faut etre et paraître;* zresztą, to nie stracone.

Tola nie byłaby zauważyła nawet, gdyby w pierścionku zaręczynowym, który jéj z nieśmiałą miną przyniósł narzeczony, brakło było brylantu, albo zamiast niego błyszczało proste szkiełko.

Od chwili, gdy po rozmowie stanowczéj z ciotką zgodziła się na małżeństwo z młodym Sandsteinem, dała sobą powodować, jak automat; dawna jéj energia znikła, niepodległa natura przestała się buntować, była zrezygnowaną.

Kiedy Bernard przywieziony przez ciotkę po owym decydującym bileciku Łanieckiéj, zbliżył się do niéj i cichym, drżącym głosem w salonie, gdzie ich zostawiono sam na sam, przemówił:

— Panno Tolo, pozwolono mi miéć nadzieję, że przyjmiesz pani moją rękę i zechcesz nosić moje nazwisko, więc z ust pani saméj czekam tylko teraz tego potwierdzenia,—spojrzała mu w oczy po raz pierwszy głęboko i poważnie, ale głosem jakimś głuchym, bezdźwięcznym odrzekła:

— Tak.

Stali naprzeciw siebie długą chwilę, jakby zaskoczeni oboje tą sytuacyą i nie wiedzieli, co daléj robić.

Wreszcie on instynktownie zbliżył się ku niéj, ujął jéj dłoń i skłonił się przed nią, szepnąwszy:

— Uszczęśliwiasz mnie pani tém jednén słówkiem; staraniem mojém będzie, abyś go nigdy nie pożałowała.

Blada zwykle twarz jego oblała się gorącym rumieńcem, głos mu więznął w gardle, stał przed nią z jakąś ceremonialną miną i rozmyślał, czy ma powtórnie ująć tę rękę zimną i sztywną, która odtąd do niego należéć miała i czy wolno mu złożyć na niéj pierwszy pocałunek.

Zanim się ostatecznie zdecydował, weszli do salonu Łanieccy z Vossową, w przypuszczeniu, że „młodzi“ dostatecznie mieli czasu do załatwienia z sobą téj zwykłéj formalności, która się oświadczynami nazywa.

Pani Emilia z natarczywą czułością i rozrzewnieniem trochę przesadném, rzuciła się na szyję Toli, obsypując ją pocałunkami i gradem francuskich komplimentów.

Rolę swatki odegrała do końca z przejęciem głębokiém i ze szczerą afektacyą; nie tracąc jednak praktycznéj przytomności umysłu, od razu między każdą parą pocałunków, składanych na policzkach Toli, skroniach Bernarda i w powietrzu około ust Łanieckiéj, dla zaakceptowania różnicy tych objawów poufałości i rozczulenia,

poruszała mnóztwo szczegółów co do zaręczyn, zapowiedzi, ślubu, nawet wyprawy.

Mówiła za wszystkich, rzucała pytania, stawiała kwestye i odpowiadała sobie sama na nie, powtarzając tylko:

— Prawda, tak będzie najlepiéj?... zostawcie już to tylko mnie, ja to wszystko załatwię.

———·———

VII.

Pani Eleonora z nadzwyczajnie skrzywioną miną weszła pewnego dnia do gabinetu męża i zamknąwszy drzwi za sobą starannie, usiadła przy jego biurku: nie przemówiła ani słowa, ale Sandstein wyczytał zakłopotanie z jéj twarzy.

Nachylił się szybko ku żonie i z troskliwém zajęciem spytał:

— Co ci się stało?... czemuś taka zmieniona?... może kto zachorował?...

— Dajże pokój z chorobą!... po co zaraz takie przypuszczenia!...

— No więc co?... mów zaraz; wiesz, że ja nie lubię niczego się domyślać.

Porwał się z miejsca i podszedł, coraz bardziéj zaciekawiony, ku żonie.

— No?... gadajże raz! — wykrzyknął prawie; potém nagle od razu głos zniżając, szepnął:

— Może miałaś co z Łanieckimi?...

Sandsteinowa głowę odwróciła niechętnie z grymasem na bok i wzruszyła ramionami.

— Dlaczego miałabym mieć co z nimi?... ty jesteś taki gorączka, że tobie nie warto nic powiedzieć.

— Przecież nic nie powiedziałaś dotychczas. Aj, Lorcia, jaka ty jesteś nieznośna!... masz minę, jakbyś się na pogrzeb wybierała.

— A to właśnie przyszli mnie prosić na wesele! — wybuchnęła od razu z wielką irytacyą pani Eleonora.

— Na wesele cię przyszli prosić? — powtórzył mąż,—na jakie wesele?...

Pani Eleonora westchnęła ciężko i ramionami wstrząsnęła.

— Wyobraź sobie, Salomon wydaje córkę za mąż.

— Który Salomon?...

— Jakto który?... no, przecież nie król Salomon, tylko Płocki, mój brat; zapomniałeś już, że masz szwagra?...

Sandsteinowi twarz się rozpogodziła.

— I to cię tak zmartwiło?—spytał ze śmiechem uspokojony.—Którąż wydaje za mąż, Salcię, czy Rózię.

— Młodszą.

— A za kogo?

— Za jakiegoś Klugermanna.

— Co to jest?... kupiec?...

— Nie, chirurg.

— No to chwała Bogu, będzie miał zięcia.

— Ale to jakiś kuzyn staréj Feingussowéj.

— Oo!...

Skrzywił się z wyrazem niechęci.

— On potrzebuje włazić do Feingussów!... także rodzina!... Nie mogłaś mu tego wyperswadować?

— Coby to pomogło, kiedy już po zaręczynach i ślub ma być za dwa tygodnie. Przyszedł z Rózią właśnie prosić nas na wesele.

— Nas?... na wesele?...

Twarz mu się przeciągnęła, wargę wydął, głową podrzucił i wkładając ręce do kieszeni, zaczął chodzić po swoim gabinecie.

— Ani myślę!... także mu się żachciało!... nie bywamy tam nigdy, ja téj Rózi nawet dobrze nie znam. Co za pretensya!...

Zamikli oboje na chwilę; sprawa była dla nich kłopotliwą.

Asystować przy ślubie siostrzenicy, wchodzić do synagogi, z któréj się wyszło przed tylu laty, przyznawać się publicznie do pokrewieństwa z jakimś tam zbankrutowanym kupcem, który córkę wydawał za chirurga, i do tego chirurga, co się nazywał Klugermann, — teraz, w przededniu prawie takiego związku i koligacyi z hrabiami?... toby było za dużo poświęcenia.

Nie mówili do siebie o tém, nie rozbierali szczegółowo, spojrzeli tylko na siebie i porozumieli się zupełnie. Nie, to darmo, na taką kompromitacyę nie mogą się narażać. Coby oni robili na ślubie takiéj Rózi Płockiéj?.!. albo na weselu, na którém zapewne będzie mnóztwo kuzynów i kuzynek, i kantorowiczów, i dawnych przyjaciół starego Płockiego, drobnych kupców i przemysłowców, reprezentantów małych firm, subjektów z magazynu łokciowych towarów, może i felczerów, skoro pan młody jest chirurgiem?...

Gdzieżby w takiém zgromadzeniu mógł się pospolitować ojciec Bernarda, teść hrabianki Toli, milioner Sandstein!...

To szaleństwo przypuszczać nawet coś podobnego.

Przeciw tym wszystkim argumentom przemawiały jednak związki pokrewieństwa, związki rodzinne, których zaprzeczyć się nie dawało. Ten Płocki był jednak bratem pani Eleonory i szwagrem jéj męża, płynęła w nim jedna krew, pochodzili z jednego gniazda. Odmówić mu w tak ważnéj i uroczystéj chwili, to tyle, co zaprzéć się go raz na zawsze.

Ale bo także wybrał sobie porę do wydawania córki za mąż!...

Biedny ojciec Rózi nie przypuszczał nawet w jaki kłopot wprawi siostrę i szwagra tém zaproszeniem; jemu się zdawało, że spełnia swój obowiązek, idąc z córką uwiadomić najbliższych swoich krewnych o szczęściu, jakie ich spotkało.

Biedna panna bez posagu, nawet bez wyprawy znalazła męża, człowieka ze stanowiskiem, który chciał się ożenić z saméj miłości, nie z interesu. Przecież było się z czego ucieszyć i czém pochwalić!...

Inaczéj tę rzecz pojmowali państwo Sandsteinowie; oni wiedzieli tylko, że ten związek sprawia im przykrą kolizyę, przypomina przeszłość, pochodzenie, sferę, stosunki, o których zapomnieć chcieli dzisiaj na zawsze. Fałszywy wstyd, ambicya i próżność ich, były tym wypadkiem głęboko zadraśnięte.

— Powiem ci, że to prosta niedelikatność ze strony twojego brata — wyrzucał Sandstein żonie, — on przecież powinien wiedziéć, że my już dawno do jednéj sfery nie należymy.

Pani Eleonora milczała.

— No, i cóżeś ty mu odpowiedziała?

— Cóż miałam odpowiedziéć,—broniła się pani Elonora z Płockich Sandsteinowa,—powiedziałam mu, że sami teraz jesteśmy bardzo zajęci małżeństwem Bernarda i że wpierw z tobą muszę pomówić,

Mąż poskrobał się w głowę i w podbródek, jakby go zaswędziła skóra na całém ciele.

— No to dobrze — rzekł po chwili namysłu,— ja mam ważny interes w Petersburgu i za dwa tygodnie muszę wyjechać; rozumiesz?... a ty możesz dostać swojéj migreny przed samym ślubem i położyć się do łóżka. Będzie wilk syty, i koza cała. Poszlesz im tam co na podarunek ślubny i niech nam dadzą pokój—raz na zawsze!...

Sandsteinowa słuchała męża z uwagą, ale wyraz frasobliwy nie znikał tak szybko z jéj oczu, jak z jego twarzy.

— Prawda, trzeba będzie tak zrobić—odezwała się po chwili z westchnieniem,—tak będzie najlepiéj.

Po wyjściu żony z gabinetu, Sandstein usiadł znowu na swojém miejscu, otworzył szufladę, wyjął z niéj dużą księgę i pod literą P. zaczął szukać *conto* swojego szwagra. Spojrzał na bronzowy kalendarzyk w kształcie chińskiéj pagody, stojący na biurku i mruknął do siebie:

— Piątego... za dwa tygodnie dziewiętnastego..,

Wziął pióro i przekreślił sumę umieszczoną przy nagłówku, a napisał przy niéj mniejszą; potém książkę zatrzasnął i zadzwonił na służącego.

— Poproś mi tu z kantoru pana kasyera.

Za chwilę do drzwi zapukał delikatnie nizki, okrągły człowieczek z łysą głową i szpakowatemi bokobrodami.

— Panie Zucker — z poważną miną szefa zagadnął go Sandstein, — czy pan Salomon Płocki odebrał swoją należytość za miesiąc ubiegły?

— Odbiera co pierwszego.

— Ahm!... to proszę pana na przyszłość wypłacać mu o piętnaście rubli mniéj jego pensyę i zmniejszyć o tę sumę jego roczną pozycyę. Rozumie pan?... Tylko niech pan nie zapomni strącić już za miesiąc bieżący.

Kasyer domu „F. L. Sandstein" rzucił zdziwione spojrzenie na swego szefa, ale nie śmiał badać niedyskretnie o przyczynę téj nagłéj redukcyi, skłonił tylko głowę i odpowiedział:

— O, nie zapomnę; natychmiast zaprowadzę tę zmianę w księgach.

Nie wpadł na to, iż praktyczny zmysł finansisty skorzystał z okazyi, aby z powodu szczęśliwego wypadku w rodzinie żony oszczędzić piątą część zapomogi udzielanéj szwagrowi; z chwilą, gdy wydawał za mąż jedną córkę, zmniejszały mu się przecież wydatki na utrzymanie domu.

Pani Rozalia Klugermann przechodziła odtąd na wyłączny rachunek swojego małżonka, zatém

jako Płocka traciła prawo do swéj cząstki z funduszów ojca—gracyalisty...

Pomimo wynalezienia sposobu uniknięcia owego nieszczęsnego ślubu i wesela w rodzinie, państwo Sandsteinowie nie mogli jakoś przez cały dzień powrócić do równowagi i dobrego humoru; wieczorem czekał ich publiczny występ na koncercie Montaga, który po długich przygotowaniach odważył się nareszcie wystąpić na estradzie. Pani Emilia objęła protektorat nad tym koncertem i nad utalentowanym pianistą.

— Bądź pan spokojny, będziesz miał pełną salę—zapewniała go,—rozbierzemy bilety. Poczciwy Balas przyrzekł mi zrobić reklamę we wszystkich pismach.

Balasem nazywała przez skrócenie redaktora Balasińskiego, który należał do jéj częstych gości na sobotnich „partyjkach;“ mówiła tak o nim zawsze z pewną poufałością, aby nadać temu stosunkowi charakter zażyłéj przyjaźni.

Miało to znaczyć, że ma styczność blizką z „prasą,“ i że przez jéj pośrednictwo da się uzyskać poparcie krytyki.

Z pełną kieszenią biletów jeździła do wszystkich znajomych, powtarzając stereotypowe pochwały dla Montaga:

— Ach, jak on grał.. jak on grał... wczoraj cały wieczór grał nam Chopina. To drugi Rubinstein. A jaki oryginalny!... za tydzień wyjeżdża do Londynu. Zobaczycie, że z niego będzie wkrótce najpierwszy pianista w Europie. Ile

państwu zostawić krzeseł?... trzy, cztery, pięć?... już tylko boczne rzędy mam nie zajęte.

Zmrużała oczy, jakby w rozmarzeniu i udawała, że ją prześladuje jeden frazes z Nocturnu, który Montag gra bosko, tak, jak ani Essipow, ani Bülow, ani sam Chopin-by nie potrafił.

Wzdychała sentymentalnie za każdym razem, gdy mówiła:

— Niéma, jak muzyka!...

Zapewniała teraz wszystkich, że przepada za sztuką, że się kocha w Montagu, a mąż jéj ze swoim zwykłym humorem dodawał:

— Emilka ma świeżego bzika; zachorowała na melomanię.

Wszystkie droższe miejsca na trzy dni przed koncertem były już rozprzedane, dzięki jéj agitacyi.

Nie omieszkała zręcznie upozorować tego gorącego zajmowania się artystą względami—familijnemi.

— Zależy mi bardzo na powodzeniu tego biednego Montaga — wtrąciła przy sposobności,—hr. Anastazy, stryj Toli, za życia wiele miał dla niego sympatyi. Kazał go kształcić własnym kosztem w Lipsku, więc właściwie to stypendysta Zabiełowskich; musimy go zatém popierać.

O kuzynowstwie z mężem milczała, odwracając nawet najlżejsze podejrzenia, że co innego niż afekt dla pamięci zmarłego protektora kieruje nią i taką gorliwość rozbudza.

Była to jedna dobra sposobność więcéj do po-

chwalenia się przed ludźmi ze świeżym stosunkiem z Zabiełowskimi.

Sala na koncercie była zapełnioną; wśród publiczności rozległ się szmer, gdy w kilka par naraz z szelestem jedwabnych sukien, prawie przed samém rozpoczęciem, weszli Łanieccy, Sandsteinowie i Vossowie. Sandstein prowadził pompatycznie pod rękę Łaniecką, Łaniecki Sandsteinową, p. Emilia szła z mężem za Tolą, zwieszoną po raz pierwszy u ramienia Bernarda.

Była to jakby uroczyście ułożona rewia i publiczny występ narzeczonych.

Cała familia zajęła krzesła w pierwszym rzędzie; damy były wystrojone, panowie we frakach i białych krawatach, rozmowa toczyła się tylko po francusku.

Nieopodal trzy siostry Feingussówny w jednakowych toaletach blado-niebieskiego koloru, błyszczące od brylantów, jak jubilerskie gablotki, zajmowały miejsca z brzegu w drugim rzędzie; szeptały między sobą nieustannie, trącały się łokciami, uśmiechały się znacząco i nie odejmowały prawie lornetek o długich szyldkretowych rączkach od oczu, lustrując Tolę i Bernarda.

Przyglądano się im zresztą z rozmaitych stron tak ciekawie, jakgdyby w całéj sali stanowili jakąś nadzwyczajną osobliwość, wobec któréj nawet wejście na estradę samego koncertanta nie zwróciło uwagi i nie sprawiło wrażenia.

Vossowa jedna skinęła mu przyjaźnie głową i uśmiechając się do niego tak, aby to spostrzeżo-

no, dała mu ręką w długiéj duńskiéj rękawiczce, lekki oklask zachęty.

Miała przy tém minę protekcyonalną i zadowoloną zarazem, jakby się cieszyła tryumfem, że z jéj łaski artysta bez wyrobionéj jeszcze firmy miał na swoim koncercie tak zapełnioną salę.

Montag zdawał się nie poznawać nikogo wśród publiczności; spuścił głowę wpatrzony w ziemię i rozcierał sobie długie palce, czekając aż się uciszy szmer na sali, potém przegarnął swoją gęstą, kędzierzawą czupryne i spuścił nagle obie ręce na klawisze, z których bryznęła zaraz cała kaskada tonów, pryskających, jak race tysiącznemi iskrami.

Tola zakrywszy się wachlarzem z piór tak, że tylko nad niemi jéj duże, czarne oczy smutne, wyglądały jeszcze większe i jeszcze czarniejsze, niż zwykle, słuchała z uwagą muzyki i nie spostrzegła, iż naprzeciw z pod filaru po lewéj stronie estrady uśmiechał się ktoś do niéj życzliwie i po raz trzeci już skłaniał głowę z niemym ukłonem.

Ocknęła się nagle, odsłoniła twarz i zarumieniona skinęła przyjaźnie główką na powitanie Kuliszowi, którego w pierwszéj chwili nie poznała.

Montag wychodząc na estradę, uprosił go, aby się tam umieścił.

— Stań pań jak najbliżéj fortepiana, — rzekł, — jak ja pana będę czuł na sobie, to mi się będzie lepiéj grało. Ja jestem taki *sensitiv.* Pan

wie, co to jest *sensitiv?...* no to pan mnie rozumie.

Burzą oklasków nagrodzono zaraz pierwszy numer programu; artysta „wziął“ z miejsca słuchaczy i dał się im poznać, jako wirtuoz władający świetną techniką i zapalnym temperamentem, który podnieciła jeszcze bardziéj gorączka pierwszego występu wobec nieznanéj publiczności i krytyki.

Każde wejście jego na estradę witane było teraz głośnemi oklaskami i zacieśniało nić sympatyi między artystą a publicznością; musiał dorzucać naddatki do programu, bisować niektóre rzeczy, koncert się przedłużał nad miarę, ale słuchacze byli nienasyceni.

Vossowa promieniała; w przerwach stawała z miejsca, rozglądała się po całéj sali, uśmiechała do znajomych i zdaleka prowadziła z nimi rozmowę.

— *Excellent!... divin!... n'est ce pas?*

Nie mogła wytrzymać i wziąwszy ramię Łanieckiego, poszła z nim ostentacyjnie za estradę do pokoju artystów, aby powinszować koncertantowi powodzenia.

— Ja się czuję tylko bardzo uszczęśliwiony, że mnie tak klaskają pierwszy raz tutaj. *Draussen im Ausland, vouz savez, ça mest egal. Das ist mein wahrer Erfolg!..* To ja nazywam sobie prawdziwa... prawdziwe... *Wie soll ich das sagen?*

— Powodzenie,—poddał mu Kulisz.

— Dziękuję panu,—powodzenie, — powtórzył,

odcinając z naciskiem każdą zgłoskę—prawdziwe po-wo-dze-nie!..

Koncert się skończył dość późno, publiczność zaczęła wychodzić; u drzwi lokaje w cylindrach i liberyi podawali damom okrycia, pomagali panom wciągać paltoty, torowali w tłoku drogę ku schodom.

Na ulicy turkotały raz po raz podjeżdżające karety, słychać było tupotanie kopyt końskich, trzaskanie drzwiczek, nawoływania stangretów a wśród zmieszanego gwaru u głównego wyjścia słyszéć się dawały urywane wyrazy, głośniejsze uwagi, swobodniejsze wybuchy śmiechu.

— A, Balas!.. dobrze, że pana widzę,—zapiszczał wśród tego dyszkant pani Emilii;—no cóż?... jesteście kontenci?... cóż mówi prasa?...

Uczepiła się ramienia wysokiego mężczyzny i natarczywie zaczęła go wybadywać. Balasiński z uśmiechem spoglądał na nią i odpowiadał żartami.

— Pani wie przecież, że ja jestem o tyle tylko muzykalny, o ile gram winta. Recenzye, to nie moja specyalność.

— No, ale inni, cóż mówią inni?... zetną go?... pochwalą?... z wami nigdy nie można nic wiedziéć.

— Ależ pochwalą, pochwalą; za cóżby mieli ciąć?...

Odwołano ją do karety, która w téj chwili zajechała; uścisnęła rękę Balasowi i uśmiechnęła się do niego na pożegnanie, wołając:

— No, pamiętajcie!...

Na drugi dzień wszystkie pisma jednozgodnie prawie rozpisały się o koncercie, przyznając niepospolity talent artyście, który zadziwił, olśnił, sprawił prawdziwą niespodziankę słuchaczom i krytyce; nazywano Montaga gwiazdą wschodzącą, fenomenem, mistrzem, przepowiadano mu świetną przyszłość i rozpisywano się całemi szpaltami o zaletach jego gry.

Mimo to w domu Vossów, Sandsteinów i wielu innych panowało wzburzenie nadzwyczajne, które zatłumiło wrażenie pochwał oddawanych protegowanemu przez nich artyście.

Podawano sobie z rąk do rąk ostatni numer „Gońca,“ odczytując po raz dziesiąty krótki ustęp nader pochwalnej i z wielką znajomością rzeczy napisanéj recenzyi, która kończyła się złośliwie temi wyrazami:

„Szkoda tylko, iż publiczność, zamiast uważniéj przysłuchywać się téj skończonéj grze, przerywała ją zbyt hałaśliwemi oznakami zadowolenia, które nie wiadomo czy policzyć mamy na rachunek talentu artysty, czy téż jego... pochodzenia.

„Prawda, iż większość wczorajszéj publiczności na koncercie p. Montaga odznaczała się typowo-garbatemi nosami.“

Dwa ostatnie wyrazy, będące aluzyą do semityzmu słuchaczy, latały jak rozwścieczone szerszenie w powietrzu.

Zdawało się, że pióro recenzenta ukłóło z osob-

na każdy z tych nosów i ztąd taka obraza, taki wrzask, takie krzyki oburzenia.

Jednego dnia odesłano do redakcyi przeszło pięćset numerów „Gońca“ z dopiskami, które mniéj więcéj były téj treści:

„Proszę mnie wykreślić z listy prenumeratorów!...

Pani Emilia była tém tak zmartwioną, jak gdyby owa przymówka o garbatych nosach do nikogo innego, tylko do niéj i do jéj rodziny wystosowaną została; a przecież zwierciadło uspakajało ją pod tym względem, przynajmniéj co do niéj saméj; miała nosek wcale kształtny, który nawet od biedy uchodzić mógł za lekko zadarty, bez śladu owéj fatalnéj krzywizny rasowéj.

Własną ręką spaliła numer dziennika z recenzyą o koncercie Montaga i poradziła Sandsteinom, aby to samo zrobili.

Nie chciała, aby się to służbie do rąk dostało.

— Poczekajcie, Balas mi za to wszystko zapłaci!—odgrażała się z ferworem.—Noga jego więcej u mnie nie postanie.

— No, cóż on winien?... przecież to nie jego artykuł,—zauważyła Sandsteinowa.

— To mi wszystko jedno!... otóż to, zapraszać takich panów do siebie, wprowadzać ich do domu, żyć z nimi w przyjaźni, dawać im obiady, śniadania, a potem jak przyjdzie co do czego, to nie można liczyć na żadnego. Dobrze Bismarck o nich powiedział, że to jest *Federvieh!*...

Ten Bismark przypomniał się jéj w samą porę; podzielałała jego opinię o prasie i postanowiła sobie święcie odwrócić głowę przy spotkaniu z Kuliszem lub Balasińskim.

— Ale Emilka, nie zrobisz tego, — ze swoim zwykłym spokojem zapewniał ją mąż, wysłuchawszy téj zaperzonéj tyrady.

— Jak cię kocham, tak zrobię!... *ma parole.*

— Ale nie zrobisz, ja cię znam.

— No, zobaczysz!—odgrażała się,—zobaczysz!

— To zrobisz głupstwo.

— Ciekawam, dlaczego?...

— Naprzód dla tego, że się zdradzisz, iż wzięłaś tę przymówkę do swego nosa, a powtóre, że „Goniec“ miał słuszność.

Pani Emilia ze zgrozą rączki załamała.

— Michasiu!...

— Proszę cię, tylko nie mdléj, — uspokajał ją z łagodnie drwiącym uśmiechem Michaś, — co tu gadać!... na koncercie wyglądało, jak w synagodze; *Tout Israel* przywędrował ucieszyć się swoim prorokiem. Cała publiczność była „z naszych.“

— Michaś, przestań na Boga!.. Ty możesz człowieka do apopleksyi doprowadzić.

— Tak?... nie wiedziałem.

Zapalił papierosa i usiadł naprzeciwko żony, przypatrując się jéj, jak zadąsanéj pensyonarce.

— Tobie bo wszystko jedno—zawołała nawpół z płaczem, nawpół ze złością,—ty się nie obrazisz,

nie rozgniewasz, nie uniesiesz, czy ci twój garbaty nos wytykać będą...

— A bo garbaty.

— Czy ci od mechesów nawymyślają....

— A bo tak jest.

— Choćby ci nawet przypominali, żeś miał dziadka w chałacie.

— A bo miałem,—wtrącał ze stoicyzmem pan Michał, odbijając każdy wymierzony cios swojéj żony, który miał dotknąć jego miłość własną.—To i cóż?... to wszystko prawda. Będę się za prawdę gniewał i rzucał? To dużo pomoże!... Myślisz, że mi zaraz nos zmaleje, i że ludzie zapomną o naszém pochodzeniu?... Dzieciństwo.

Wstał i nalawszy z syfona na oknie pół szklanki wody selcerskiéj, podał ją żonie, mówiąc:

— Napij się trochę, bo ci w gardle zaschło.

Wzięła to za złośliwość z jego strony i odsunęła szklankę podrażniona jeszcze bardziej.

— Nie chcesz?... to ja wypiję.

Wypił do ostatniéj kropli, mlasnął językiem i rzekł:

— Widzisz, na wszystko jest rada: można mieć nos garbaty, tylko nie trzeba go zadzierać; można być mechesem, tylko nie trzeba, żeby z niego zanadto Żyd wyłaził; można być żydem, tylko nie trzeba być śmiesznym i wstydzić się tego przed ludźmi... Poczekaj, nie sycz jak gęś na jarmarku, ja ci jeszcze coś powiem. Otóż... czekajże!...

Nie mógl dokończyć, bo żona porwała się z miejsca, odtrąciła go od siebie i wybiegła z pokoju, piorunujące ciskając nań spojrzenia.

Musiała odejść, aby nie zrobić skandalu i oczu mu nie wydrapać.

Pod tą całą irytacyą krył się inny powód, do którego nie wypadało jéj otwarcie się przyznawać; obawiała się, czy to publiczne ośmieszenie w druku nie wpłynie na stosunek z Łanieckimi, nie dotknie ich w chwili tak ważnéj jak małżeństwo Toli z Bernardem, nie przypomni zanadto jaskrawo tego, co dotąd dyskretnie milczeniem pokrywano.

Ostatecznie panna hrabianka miała wyjść za przechrztę i to przechrztę w pierwszém pokoleniu. Tego drażliwego punktu w tym fakcie nie dotykano dotychczas, przynajmniej otwarcie.

Na szczęście, Łanieccy mieli głowę czém inném zajętą; czytanie dzienników nie zajmowało ich tak bardzo, recenzyi w „Gońcu“ nawet nie zauważyli.

Pani Emilia, która z bijącém sercem pobiegła do nich zaraz po rozmowie z mężem, spostrzegła ku wielkiemu swemu pocieszeniu, że ów szkaradny numer od wczoraj leżał jeszcze nierozwinięty w przedpokoju, na konsolce pod lustrem.

Odetchnęła, uspokojona, ale dla wszelkiéj pewności niby to poprawiając kapelusz przed zwierciadłem, zręcznie go zeskamotowała i ukryła pod narzutkę, wchodząc do salonu.

O „garbatych nosach“ nie wiedziano nic jeszcze *chez cette chère comtesse*, która po wczorajszym koncercie miała migrenę: zmęczyła ją muzyka, hałaśliwe oklaski i gorąco w zapełnionéj sali.

Nie przyznawała się wszelako, że i Tola przy-

czyniła się—może nawet najbardziéj, do tego bólu głowy.

Wróciła z koncertu rozdrażniona, blada, smutna, zamknęła się w swoim pokoju pod pozorem znużenia i płakała do późna w nocy.

Ciotka na palcach podchodziła kilka razy pod jéj drzwi, słyszała wyraźnie głośne szlochanie, ale zapukać nie śmiała; wstrzymywało ją coś, aby zapytać siostrzenicę o powód tego płaczu, który jéj usnąć nie dał.

Zdawało jéj się, że go słyszy przez ściany, przez cały salon, który przedzielał sypialnię od pokoju siostrzenicy.

Była już druga po północy, gdy nie mogąc oka zmrużyć, wstała z łóżka i poszła jeszcze raz pod drzwi Toli.

Wśród nocnéj ciszy słychać było wyraźnie tykotanie ściennego zegaru i jakieś tłumione, jakby dziecięce jęczenia, przerywane ciężkiemi i bolesnemi westchnieniami.

Łaniecka przyłożyła ucho do drzwi i nasłuchywała; nie było wątpliwości, siostrzenica jéj musiała nawet nie kłaść się wcale i nie rozbierać.

W pokoju przez dziurkę od klucza i szparę we drzwiach, osłoniętych z obu stron portyerą, widać było mdłe swiatło lampki nocnéj.

— Tolo!... Toleczko! odważyła się ciotka z początku szeptem, potém coraz głośniéj odezwać,— czy ty nie śpisz jeszcze?...

Nie było odpowiedzi; za drzwiami ucichło nagle.

Łaniecka delikatnie położyła rękę na klamce i spróbowała otworzyć, — ale drzwi oparły się

naciskowi; zamknięte były na zasuwkę z wewnątrz.

W téj saméj chwili światełko w szparze zgasło.

Tola z zapartym oddechem, poznawszy głos ciotki, sięgnęła ręką do lampki na stoliku nocnym i przykręciła knot.

Nie chciała się odezwać i zdradzić, że czuwa jeszcze pomimo tak spóźnionéj pory.

Z poza drzwi odezwało się raz jeszcze zapytanie.

— Tola, możeś ty chora moje dziecko?...

Potém skrzypnęła kilka razy posadzka w salonie pod oddalającemi się krokami i wszystko ucichło w całym domu.

— Ona płacze po nocach, — szepnęła do siebie Łaniecka - ach, mój Boże, mój Boże!...

Zamiast się położyć, uklękła na swojém łóżku, złożyła ręce, oparła na nich czoło i zaczęła się modlić, jakby odprawiała pokutę, zadaną przez spowiednika.

Wzdychała i szeptała antyfonę.

W sypialni było ciemno i cicho, tylko z drugiego łóżka tuż obok słychać było chrapliwy i astmatyczny trochę oddech śpiącego Jasia, któremu może śniło się w téj chwili, że pożyczył znowu kilka kroć, oczyścił Grzędy i wygrał proces z Radoszkowskimi.

— Zdrowaś Marya, łaskiś pełna, Pan z Tobą! — powtarzała po raz dziesiąty z jakimś rzewnym pietyzmem w głosie modląca się Łaniecka, podczas gdy mąż jéj, przewracając się na drugi bok,

mruknął przez sen całkiem wyraźnie, jakby na jawie:

— A jakże... naturalnie...

— Czy mówisz co do mnie, Jasiu? — spytała żona, przerywając sobie modlitwę, ale nie otrzymawszy odpowiedzi, kończyła daléj:

— Błogosławionaś Ty między niewiastami...

Znużenie fizyczne i moralne zapanowało nad nią; ostatnie wyrazy wymawiała już machynalnie, ziewając.

Z ciężkiém westchnieniem wyciągnęła się na posłaniu i próbowała zasnąć.

Czuła się rozłamaną we wszystkich stawach; z myśli nie schodziła jéj płacząca w zamkniętym pokoju Tola i ta świadomość cierpień siostrzenicy, dręczyła ją, jak wyrzut sumienia. Serce stawało po stronie ofiary, ale zimny, praktyczny, nieubłagany rozsądek mówił:

— To trudno, nie może być inaczéj. Egzaltuje się zanadto... przesadza. Przecież nie idzie na stracenie. Będzie miała los zapewniony, będzie panią; od niéj zależy, aby sobie życie ułożyła tak, jak można najlepiéj. Toniemy wszyscy, powinna być szczęśliwą, że się znalazł ratunek... Wola Boża!... łaska Boża!... Mnóstwo panien na wydaniu marnieje w jéj warunkach. Czegoż się jéj jeszcze innego zachciewa?... to wszystko dziwactwa, fumy!... Ten Bernard będzie miał z nią z początku krzyż Pański, ale albo on ją opanuje, albo ona jego. Zdaje się, że prędzéj ona jego, jeżeli on się tylko tak nie czai. I będzie dobrze, z pewnością będzie dobrze; musi być przy Boskiéj pomocy.

Ach, żeby tylko to wszystko raz się już skończyło!

Przeżegnała się, oddając niebu całą odpowiedzialność za to zrządzenie losów, wmawiając w siebie, że tak być musi, bo tak się okoliczności złożyły. Przecież oboje z Janem robili, co mogli; nie byli dla niej rodzicami? nie wychowali? nie pragnęli jéj szczęścia?... Czegoż chce?.. czegoż płacze po nocach, jakby im obojgu wyrzucała temi łzami straszne jakieś poświęcenie, które robi.

A oni niby się nie poświęcają, nie weszli w sferę Sandsteinów, nie zniżają się także, nie nadrabiają miną z konieczności?... nie są tém wszystkiém znużeni, zmęczeni, przybici?... ona myśli, że tylko sama jedna się poświęca!

Rozumując w ten sposób i pozbywając się współczucia dla Toli, ciotka jéj niemal żalu do niéj nabrała, że się dąsa i nie godzi z położeniem bez wyjścia.

Postanowiła sobie powiédziéć jéj jutro prawdę i zburczéć za tę noc zmarnowaną.

— Nie wolałaby spać i mnie ze snu nie wybijać?... będę miała cały dzień migrenę. Dobrze przynajmniéj, że ten biedny Jaś nic o tém nie wie. Przy jego kłopotach jeszcze tego tylko potrzeba!..

Im trudniéj przychodziło jéj usnąć, tém większą urazę czuła do siostrzenicy. Dopiero gdy szary świt zaczynał przedzierać się przez zapuszczone story w oknach, skleiły się jéj powieki i przestała walczyć z myślami i bezsennością.

Tola wstała blada i mizerna, z oczyma podkro-

jonemi po nocy przepłakanéj, ale nie przyznała się do niczego,

— Zdawało się cioci,—odpowiedziała tylko na zapytanie, dlaczego jak pokutująca dusza tłucze się nocą po swoim pokoju, zamiast spać spokojnie.

— Wcale mi się nie zdawało, moja kochana — z urazą wyrzucała jéj ciotka,—wyglądasz dziś, jak opłatek.

— Taka uroda.

Łaniecka nie mogła powstrzymać się, aby z niezręczną niechęcią nie zawołać:

— Ach, żeby cię ten Sandstein raz sobie zabrał!...

Tola spojrzała na ciotkę w milczeniu i odrzekła po chwili chłodno:

— Proszę nie zapominać, że to ja jego biorę, nie on mnie.

— No, nie urażaj się zaraz,—śpiesznie zaczęła zacierać złe wrażenie słów swoich Łaniecka,—ale mam przez ciebie dziś taką migrenę, że świata nie widzę.

Pani Emilia zastała też cały dom skwaszony i w złym humorze; wyciągnęła jednak Tolę z sobą do magazynów i modystek, aby kończyć obstalunki co do wyprawy, która była jedyną przeszkodą do przyśpieszenia ślubu.

Ta wyprawa przysporzyła Łanieckiemu także nie mało kłopotów; musiał starać się o nową pożyczkę, kręcić głową na wszystkie strony, zanim chociaż na zadatki u kupców i dostawców wytrzasnął trochę gotówki.

Przychodziło mu na myśl udać się wprost do

starego Sandsteina i *à conto* przyszłych stosunków rodzinnych zażądać kredytu; zostawił sobie to jednak na późniéj, snując plany daléj idące, niż sam Sandstein przypuszczał.

Ojciec Bernarda od chwili zbliżenia się i zapoznania ze starym hrabią jakoś z mniejszą czułością traktował Łanieckiego; zdawało się, jakoby ostygł dla niego i zobojętniał.

Częstował go co prawda zawsze dobremi cygarami, zapraszał na obiady, zabierał do swego powozu, wobec ludzi ujmował go pod ramię poufale, ale był w tém wszystkiém jakiś odcień jakby lekceważenia, coś, co mówiło:

— Nie sądźcie, że ja sobie dużo z niego robię,— ja i jego teść, hr. Zabiełowski.

Za to Łanieckiéj i Toli nadskakiwał coraz więcéj, sadził się na galanteryę, prawił nawet damom komplimenta, o ile to potrafił.

Do „dziadzi,“ jak nazywał teraz hr. Seweryna, jeździł prawie codziennie z wizytą, dowiadywać się o jego zdrowie, a niekiedy dodawał niby od niechcenia:

— Mamy z sobą interesa.

Łaniecki krzywił się niemiłosiernie; kłóło go to, że stary hrabia przyjmował Sandsteina, a jego do siebie nie dopuszczał. Nawet Bernard dwa razy był z wizytą u dziadka swéj narzeczonéj i za każdym razem bawił u niego dosyć długo, jak na ceremonialne odwiedziny.

Oznaczony dzień ślubu młodéj pary zbliżał się szybko, wyprawa była gotowa, zapowiedzi wyszły, zaproszenia na dużych welinowych kartach

z herbami Zabiełowskich i Łanieckich rozesłano, apartament dla przyszłych państwa Bernardów wykańczali na gwałt tapicerzy, stanowcza chwila nadchodziła.

Pewnego dnia Sandstein powrócił od „dziadzi“ rozpromieniony; wszedł do gabinetu żony w okrywce i kapeluszu na głowie przez roztargnienie i stanąwszy na środku pokoju, bez wszelkich wstępów spytał:

— No, Lorcia, — czy wiesz kto twoją synowę poprowadzi do ołtarza?...

Pani Eleonora podniosła brwi aż pod samą grzywkę i nie umiała odgadnąć.

— Sam hr. Zabiełowski!...

Oniemiała z wrażenia.

— Tak jest, sam hr. Zabiełowski! — powtórzył mąż.—Dał mi uroczyste słowo, że to zrobi; przyjedzie do kościoła na ślub i odprowadzi wnuczkę od ołtarza. No, co ty na to?...

Uszczypnął ją dwoma palcami w policzek i uśmiechnął się do niéj tryumfująco.

Vossowa, kiedy się o tém dowiedziała, rzuciła się bratu na szyję.

Zwycięztwo na całéj linii!...

— Poczekajcie, kiedy tak—wołała—to musimy wystąpić po hrabsku. Ślub da kanonik, „Veni-creator“ z orkiestrą teatralną, Montag będzie grał na organach...

Chciała koniecznie, aby od głównych drzwi do ołtarza przez cały kościół rozesłać czerwone sukno; nie dała sobie tego wyperswadować, dopiero Bernard musiał wmięszać się w tę sprawę

i oświadczył, że sobie takiéj parady nie życzy, bo mu narzeczona wyraźnie zapowiedziała, iż pragnie uniknąć wszelkiéj ostentacyi.

— To głupia!—wyrwało się pani Emilii mimowoli; pomimo tych zastrzeżeń postanowiła jednak postawić na swojém.

Omal nie przyszło do poważnéj sprzeczki w rodzinie z powodu takich drobiazgów.

Wśród tego wszystkiego zapomniano o kolizyi; jaką wytwarzało oznaczone prawie jednocześnie wesele Rózi Płockiéj z Klugermanem.

W ostatniéj chwili pani Eleonora uwiadomiła brata, że ją doktor po prostu zmusił, aby się położyła do łóżka na dni kilka, jeżeli nie chce nabawić się poważniejszéj choroby newralgicznéj, i że mąż jéj telegraficznie został wezwany do Petersburga, dokąd wczoraj nagle wyjechał, skutkiem czego z wielkim swoim żalem nie może być nawet na ślubie synowicy i dlatego przeséła państwu młodym swoje życzenia listownie a na gospodarstwo srebrną cukiernicę oraz tuzin także srebrnych łyżeczek do kawy.

Brat Salomon wziął tak na seryo nagłe zasłabnięcie siostry, że we fraku i białych rękawiczkach przed udaniem się ślubnego orszaku do synagogi, pojechał wpierw do Sandsteinów, dowiedzieć się o zdrowie „kochanéj Eleonory.“

Nie wpuszczono go do saméj pani, ale kazano poczekać w salonie.

Lokaj niechętnie odpowiadał na jego zapytania; z jakimś drwiącym uśmiechem spoglądał na zafrasowaną minę, za obszerny frak starego kroju,

błyszczące od szuwaksu buty i białe rękawiczki gościa, w którym zdawał się nie poznawać szwagra swojego chlebodawcy.

Po długiéj chwili wyszła do wujaszka Resia z kwaśną minką i oznajmiła mu, że mama przed kilku minutami usnęła, więc jéj budzić nie można.

— Czy tylko nie zanosi się na coś poważniejszego?—pytał troskliwie stary Płocki,—niech Reginka powie mi prawdę.

— Newralgia... migrena... — odpowiadała mu pojedynczemi wyrazami.

— Daj Boże, aby nic gorszego!...

Oczy mu łzami świeciły.

— W takim ważnym dniu dla mnie — mówił z ubolewaniem, — moja biedna siostra choruje!... To mi bardzo przykro, to mi całą radość zepsuło. Niech Reginka będzie łaskawa powiedzieć mamie, że ją serdecznie żałuję!... wszyscy ją żałujemy. No, ktoby był przewidział, że tak się nieszczęśliwie złoży ten dzień dzisiejszy; mama chora, tatko wyjechał, ajajaj!... jak mi to przykro!

Kiwał głową i uspokoić się nie mógł.

— Bylibyśmy ślub odłożyli, proszę mamie powiedzieć — odezwał się po chwili, — ale dziś już za późno, za pół godziny trzeba jechać do synagogi. Ja dlatego śpieszyć się muszę z powrotem, inaczéjbym zaczekał. Ale jutro ja się dowiem z samego rana. Niech Reginka mamie to powie. Adieu!

Dziewczyna sztywno dygnęła i podała koniuszki palców wujowi, który dużą chustką kraciastą ocierał sobie załzawione oczy i kiwał znowu głową, powtarzając:

— Ajajaj!... jak mi to przykro!...

Tak był zmartwiony tym nieprzewidzianym wypadkiem i tak przejęty nagłą chorobą siostry i wyjazdem szwagra, że nie zauważył nawet, wyszedłszy na ulicę, iż w roztargnieniu wsiadł do dwukonnéj dorożki, która podjechała pod bramę; dopiero gdy się spostrzegł, zamiast odpowiedziéć dorożkarzowi na pytanie, dokąd ma jechać, wysiadł na drugą stronę i wskoczył do przejeżdżającego właśnie tramwaju, który szedł w stronę jego mieszkania.

Pomimo zmartwienia, obudził się w starym bankrucie instynkt oszczędności; nie chciał nawet w dniu wesela swéj córki „rozbijać się“ dwukonnemi dorożkami, skoro za dziesiątkę mógł tak samo dostać się do domu.

Miał minę człowieka, który wraca z pogrzebu, a nie na ślub jedzie w białym krawacie i we fraku.

Przez całą drogę kiwał głową i poruszał ustami, jak gdyby mówił sam do siebie:

— Taki zawód!... taki zawód!... ale co zrobić, jak się komu nie wiedzie, to nie wiedzie!.. musi być wesele bez siostry Sandsteinowéj i bez szwagra Sandsteina... Ludzie przecież wiedzą, że to moja siostra i mój szwagier. Srebrna cukiernica i łyżeczki leżą przecież na serwantce z listem Eleonory. Stara Klugermanowa już go czytała, a cukiernicę ważyła w rękach, jakby ją otaksować chciała. No, co to z tego, kiedy sami nie przyjdą. Całe rozradowanie nasze na nic... Aj, Boże, Boże!...

Zadyszany wrócił do domu, na trzecie piętro,

gdzie w czterech pokojach czekało na niego całe grono zaproszonych gości weselnych, zaniepokojone córki i przyszły zięć, przystojny brunet z czarną bródką, i jak u barana kędzierzawą głową.

Już z przedpokoju na cały głos obwieszczał smutną wiadomość:

— Ciocia Eleonora zachorowała!... leży w łóżku, nie mamy po co czekać dłużéj!...

— Ciocia Eleonora zachorowała! — poszło od ust do ust, i jak motyw powikłanéj fugi słowa te na rozmaite tony i głosy powtarzały się wśród szmeru i gwaru, szelestu jedwabnych sukien i krętaniny dorosłych i dzieci, które się plątały po całém mieszkaniu.

Płocki pospraszał wszystkich krewnych, kuzynów i kuzynki na tę uroczystość, którą uświetnić miał udział szwagra milionera i rodzonéj siostry milionerki.

— Co jéj jest?... co jéj się stało?...—pytano z kolei z takiém zajęciem, że chyba odwołanie samego ślubu nie byłoby sprawiło większego wrażenia na obecnych.

— Bardzo zachorowała!—objaśniał wszystkich z miną wielce zafrasowaną ojciec panny młodéj wśród tego gwaru, który przypominał trochę bóżnicę, a trochę giełdę.

Wybierano się zatém na ślub, nagląc wzajemnie do pośpiechu, a nie ruszając się z miejsca.

Zasłabnięcie cioci Eleonory stało się wieścią Hiobową dla całego domu Płockich.

Jedna tylko panna młoda, szczupła szatynka z figlarnemi oczkami i sympatyczną twarzyczką,

którą krasił wyraz dobroci, humoru i uszczęśliwienia, wpatrywała się nieustannie w swego narzeczonego i dawała mu na migi znaki, że ją to wszystko więcéj niecierpliwi, niż martwi.

Uśmiechali się do siebie, jak dwoje ludzi zakochanych, których poza niemi cały świat nic nie obchodzi.

— Max! - szepnęła do niego, biorąc go pod ramię i przyciskając się mocno do boku przyszłego męża,—przecież ty się żenisz ze mną, nie z ciocią Eleonorą; więc po co oni tak krzyczą?... prawda?...

Młody chirurg ucałował jéj rączki i odpowiedział spojrzeniem pełném czułości.

Sandsteinowie nie przeczuwali nawet, ile swą nieobecnością na ślubie i weselu Rózi Płockiéj sprawią wrażenia.

Babka Feingussowa, któréj Klugermann był jakimś wnukiem cioteczno-stryjecznym z uboższéj linii, dbająca jak zwykle o tradycyjne zachowywanie związków rodzinnych, wymogła koniecznie na synu i Leosi, aby poszli przynajmniéj do synagogi; poleciła to samo Józiowi, który niby to żartem próbował przy sposobności „naciągnąć“ ją, mówiąc:

— Jeżeli mi babcia pożyczy w sekrecie dwadzieścia pięć rubli, to pójdę na ślub i opiszę babci wszystkie toalety. No, nawet na wesele się wkręcę i przyniosę babci kawałek tortu. Ale bez dwudziestu pięciu fajglów ani się pokażę. Co ja się będę przyznawał do jakichś szmajgelesów!... Ja tego Maxa babci nawet na oczy nie widziałem. Babcia nie wie, że ja jestem anti-semita?...

Miał zwykle ten żartobliwy sposób przekomarzania się ze starą, która nie brała tego na seryo i słuchała z uśmiechem swego najmłodszego wnuka, powtarzając zawsze:

— Jaki ten Józio jest dowcipny!...

Kręciła przytém głową i drapała się drutem od robienia pończochy w swoją peruczkę.

Ślub Klugermanna kosztował ją jednak dziesięć rubli, bo młody Feinguss póty ją przekonywał, że straci opinię, jeżeli go zobaczą w synagodze, że nie zrobiłby tego dla kogo innego nawet za sto rubli, aby paradował na żydowskich ślubach, wreszcie zagroził jéj, śmiejąc się sam ze swoich argumentów, że jeśli nie dostanie „trochę blatów od babci, to jéj na poczekaniu zrobi judenhecę," iż stara wyciągnęła z pod siebie duży safianowy i wytarty pugilares, na którym siadywała, jako na podręcznéj swojéj kasie i kazawszy się odwrócić Józiowi, aby jéj nie podglądał, wydobyła czerwony banknot, obejrzała go na wszystkie strony i podała wnukowi ze słowami:

— Na, masz; ale pamiętaj, że ja tobie to tylko pożyczam. Ja sobie zaraz zapiszę, żeś mi winien znowu dziesięć rubli.

Józio niby z lekceważeniem zmiął banknot w garści i wsunął go w kieszonkę od kamizelki.

— No, dobrze, ale gdzie reszta?—rzekł, nastawiając dłoń powtórnie, — już mnie babcia znowu naciąga?.. to ja sobie zapiszę, że mi jesteś winna piętnaście fajglów, poczekaj!... my się kiedy porachujemy.

Nachylił się jednak, aby ją ucałować w rękę na

podziękowanie; stara pogłaskała go pod brodę z pieszczotą, wprowadzona w dobry humor jego żartami.

Nikt jéj lepiéj od Józia zabawić nie potrafił.

Po ślubie przyszedł jéj zdać relacyę i przez całą godzinę opowiadał babce niestworzone rzeczy o tém, co widział i słyszał, zaprawiając swoje sprawozdanie właściwemi dowcipkami, ze swadą młodego kantorowicza, który się chce popisywać humorem i ciętością.

— A Sandsteinów nie było? — przerywała mu kilkakrotnie Feingussowa, tak jéj trudno przychodziło uwierzyć temu.—No, no!...

Kręciła głową i wydymała usta z grymasem, jakby zgorszenia i wzgardliwego niesmaku.

— I nawet Sandsteinowéj nie było?... ani z dzieci nikogo?... no, no!... to być nie może.

— Dlaczego nie może być?... przecie Sandsteinowie już dawno się wychrzcili.

Babka Feinguss czoło zmarszczyła jeszcze bardziéj, podniosła końce siwych brwi, zmróżyła powieki i z jakąś złośliwą ironią szepnęła, jakby umyślnie z akcentem żargonu:

— *Dues war echt jüdisch!...*

Józio aż się za głowę schwycił i niby z oburzeniem zaczął krzyczéć:

— Fe!... fe!... stara pani Feinguss gada, jak prosta śledziarka!... Żebym ja to Barberynie powtórzył, albo Mani Fiołkiewiczowéj, to oneby dostały kolki ze zmartwienia.

Swoją drogą powtórzył to nazajutrz siostrom, naśladując doskonale minę i głos staréj babki, co

je rozbawiło tak bardzo, że się pokładały od śmiechu, zapomniawszy się oburzyć.

— Józiek, jak babka to powiedziała?... Józiek, zróbno jeszcze raz taką minę! — wołały na brata, tarzając się po szerokiéj otomanie w pokoju Leosi, gdzie się zwykle toczyły familijne rozmowy.

Sandsteinowa swoją wymówką skazała się na kilkudniowy areszt domowy; musiała udawać naprawdę chorą i nie wychodzić ze swéj sypialni; mąż jéj bawił w Petersburgu.

Płocki codziennie dowiadywał się o zdrowie siostry i tą uporczywą troskliwością narażał się jeszcze bardziéj.

Po mieście zaczęły krążyć pogłoski o poważnéj chorobie Sandsteinowéj, które niewiadomo zkąd się brały; kilka pań i panów złożyło jéj nawet kondolencyjną wizytę.

W tym samym czasie właśnie Łaniecki zachodził po dwa razy dziennie do kantoru dowiadywać się, czy Sandstein jeszcze nie powrócił; było mu bardzo pilno rozmówić się z przyszłym teściem Toli.

Proces był już na ukończeniu. wyrok, jak miecz Damoklesa, wisiał mu na włosku nad głową; najwyższy czas nadszedł, aby ratować sytuacyę.

Było mu to trochę nie na rękę, że tak fatalnie zbiegały się z sobą te dwie sprawy, jak małżeństwo wychowanki i kwestya majątkowa, ale cóż było robić?... „los go doświadczał!“ — jak powiadał do żony.

Nazajutrz po przyjeździe Sandsteina już o dziewiątéj rano kazał się zameldować.

Zastał go w szlafroku i pantoflach przy herbacie, przeglądającego całą pakę listów, które się nazbierały, podczas jego nieobecności.

— Ho, ho! co mi to pana tak rano sprowadza dzisiaj? — zagadnął Sandstein swego gościa, którego zakłopotana i pomięta zmarszczkami twarz zwróciła od razu jego uwagę wyrazem niezwykłym.

— Ważne sprawy, bardzo ważne!... nie cierpiące najmniejszej zwłoki dłużéj. Wyczekiwałem pana, jak Messyasza!

Sandstein uśmiechnął się na to porównanie.

— Aż tak?... o cóż chodzi?

— Muszę z panem pomówić bez ogródek, wprost, bez wstępów.

— To będzie najlepiéj; czas to pieniądz. Mnie o czas, a panu pewnie o pieniądze chodzi.

Powiedział to niby żartem, ale łysnął zarazem okiem, jak gdyby przeniknął tém jedném spojrzeniem wszystkie myśli Łanieckiego.

— Czyś pan już słyszał o czém? — spytał go tenże zdziwiony.

— O czém miałem słyszéć?...

— O moim procesie z Radoszkowskimi.

— Proces?... to stara historya; nie warto nawet o niéj mówić.

— Niestety, trzeba.

— Co tu gadać napróżno?... przecież go pan przegrać musisz. Czyś się pan spodziewał wygrać?...

Zaśmiał się szydersko i ściągnął sznury swego szlafroka.

— Przecież to się tylko wlokło z roku na rok, ale musiało się raz skończyć. No, i skończyło się.

Łaniecki poruszył się żywo na fotelu.

— Jeszcze nie — zaprzeczył szybko, — jeszcze nie; i właśnie o to chodzi, żeby nie dopuścić do wyroku.

— Dlaczego?...

— Dlatego.. dlatego, żeby uniknąć ostateczności.

— Jakiéj ostateczności?... licytacyi?...

Łaniecki z westchnieniem spuścił głowę.

— Wymówiłeś pan to straszne słowo.

Sandstein ramionami ruszył i głowę odwrócił.

Nastała chwila milczenia.

— No, tak, to przykre, ale cóż na to poradzić? — rzekł tonem zimnym, który Łanieckiego dreszczem przejął.

— Owszem, jest rada, jedyna, konieczna, nieodzowna—zaczął,—trzeba spłacić Radoszkowskich.

— Spłacić?... na co?...

— Na to, aby nie dopuścić do sprzedaży majątku.

— Dlaczego?...

— Jakto dlaczego?... czy pan nie rozumiesz o co mi chodzi?... to majątek rodzinny, posagowy mojéj żony...

— I panny Toli, — wtrącił Sandstein, niby od niechcenia, na co Łaniecki skrzywił się, jakby żywą jaszczurkę połknął.

— Tak, jest tam i suma Toli zabezpieczona — szepnął głosem, który mu uwiązł w gardle;—tém większy powód, aby Grzędy ratować.

— To ratuj pan.

Powiedział to tak, jakgdyby waryatowi, chcącemu wyskoczyć na wieżę, mówił:

— To skacz.

Łaniecki pobladł i poczerwieniał nagle; nie spodziewał się takiego tonu po Sandsteinie.

— Właśnie o tém myślę—rzekł, chrząkając;— mam nóż na gardle i w téj największéj potrzebie udaję się do pana... licząc na... na nasze stosunki, które mają się jeszcze bardziéj zacieśnić z chwilą, gdy syn pański...

Ojciec Bernarda spojrzał mu w oczy i roześmiał się, co go do reszty zmieszało, nie umiał dokończyć zdania.

— Pan, panie Łaniecki, myśli, że ja spłacę Radoszkowskich? — zagadnął go Sandstein, zawsze z tym samym spokojem.

— Broń Boże!... nie, ja miałem tylko nadzieję, że... że... w téj fatalnéj sytuacyi będę mógł liczyć na znaczniejszy kredyt u pana...

— To na jedno wychodzi.

— Niezupełnie; rachunki między nami...

Znowu urwał i znowu mu się język splątał.

— Jakie rachunki?...

Nastała powtórna przerwa. Na twarzy Łanieckiego wymalowało się zgnębienie i zawód.

— Pan, panie Sandstein, nie chcesz mnie widocznie dobrze zrozumieć — rzekł, — a ja w tém usposobieniu jaśniéj nawet tłómaczyć się nie umię.

Sandstein poprawił się na fotelu, nogi wyciągnął przed siebie i wsadziwszy ręce do kieszeni szlafroka, zaczął nagle zmienionym tonem:

— Po co s'ę tłómaczyć?... my się rozumiemy dobrze, panie Łaniecki. Widzi pan, ja całe życie strawiłem na robieniu interesów i znam się trochę na tém; niech się pan nie gniewa: znam się lepiéj od pana. No, co to dziwnego!... interesa, to mój fach. Otóż ja panu powiem, niech się pan nie kłopocze więcéj swoim procesem. Szkoda pańskiéj głowy na to. Tu już sam Salomon nic nie wymyśli. Musi tak być, jak być ma. Radoszkowscy, widzi pan, proces wygrają, już go nawet wygrali; Grzędy pójdą pod młotek, bo nikt na nie panu ani złamanego szeląga więcéj nie pożyczy. Ja znam dobrze pańską hypotekę, panie Łaniecki, ja ją przeglądałem kilka razy. Tam się już jeden rubel więcéj nie zmieści...

— Nie przeczę, że majątek mój obciążony, ale...—próbował się tłómaczyć.

— Tu niéma żadnego ale; po co my będziemy sobie oczy mydlili?... ja to na wszystkie boki obmacałem. Powtarzam panu, Grzędy muszą być zlicytowane.

— Nigdy!...

Porwał się z miejsca i wyprostował z godnością.

Sandstein znowu mu się roześmiał w oczy.

— Nigdy!... to piękne słowo, ale co ono warte?... pan będzie mówił nigdy, a tam zaczną krzyczéć: „sto pięćdziesiąt tysięcy, po raz pierwszy, po raz drugi i po raz trzeci!...“

— Panie Sandstein, pan mi urąga!...

— Niechże Pan Bóg broni; ja tylko panu przedstawiam jasno, co będzie. Siadajno pan; po co się zaraz gorącować!... Widzi pan... ale, czy

pan już po herbacie?... można panu służyć?... wypijemy razem.

Zadzwonił i kazał podać drugą filiżankę.

— Widzi pan, ja to wszystko obmyśliłem wcześniéj od pana—zaczął na nowo po odejściu służącego,—tylko czekałem, aż się pan pierwszy do mnie odezwie. Interesa majątkowe, to drażliwa rzecz, nawet w familii, a my nią jeszcze nie jesteśmy, dopiero będziemy. Ja téż sobie *a conto* zrobiłem cały projekt...

Łaniecki urażony stał zdaleka, z ręką założoną za klapę surduta i zdawał się nie słuchać.

— Nie wiem, jaki pan projekt zrobił, panie Sandstein – przerwał mu—ale to wiem, żem się na panu zawiódł i żem stosunki nasze fałszywie dotychczas oceniał... Słowa pańskie zreflektowały mnie... Wiem teraz, że nie mogę liczyć na pana. Żałuję tylko, że się tak późno o tém dowiedziałem.

— Na ile pan oceniał nasze stosunki? — spytał go Sandstein, kładąc wcale nie dwuznaczny nacisk na swoje słowa.

Łaniecki skrzywił się, jakby pod ukłóciem szpilki, ale nie odpowiedział.

— Sądziłem, że w wypadku, w którym syn pański miał zaślubić moją wychowanicę,—zaczął, ale Sandstein pochylił się nagle ku niemu i podnosząc się do połowy z fotelu, przerwał prawie ostro:

— Przepraszam pana, co to znaczy: miał?... pan się pomylił chyba?... on nie miał, on ma zaślubić siostrzenicę pańskiéj żony, a wnuczkę hr. Zabiełowskiego. Ma, panie Łaniecki, nie miał; to ró-

żnica. Mój syn jest narzeczonym panny Toli a za kilka dni zostanie jéj mężem.

— O, małżeństwa się rozbijają jeszcze przy ołtarzu!...

Słowa te, wyrzeczone szybko, brzmiały, jak pogróżka, ale Sandstein nie dał się niemi zmieszać.

— Zapewne,—rzekł—tylko wtedy jedna strona bywa zwykle bardzo skompromitowana, a tym razem taką stroną nie będziemy my, tylko państwo!... Ale po co nawet przypuszczać takie rzeczy?... Pan to powiedział bez namysłu i na własny rachunek, bo ani panna Tola, ani jéj dziadzio, teść pański, o tém nie myślą.

Wstał i podszedł do niego.

— Ja panu powiem, pan się unosi, w panu jest szlachecka, gorąca natura, ale pan nie jest taki zły i panby nie chciał robić skandalu, aby po całém mieście potém opowiadali, że Łaniecki zerwał małżeństwo swojéj wychowanicy z Sandsteinem dlatego, że mu stary Sandstein odmówił pożyczki na ratowanie zadłużonego majątku. A widzi pan, że się pan zaczerwienił?... Ludzie mają długie i ostre języki—i wszystko zawsze wiedzą. Niech mi pan wierzy, że ja jestem praktyczniejszy człowiek od pana.

Łaniecki ręce załamał, że aż mu w palcach zatrzeszczało.

— O, pan jest nerwowy?... pan na takiego nie wygląda,—mówił daléj Sandstein,—napij się pan herbaty i posłuchaj. Na zerwanie małżeństwa zawsze jeszcze będzie dość czasu,—dodał z ironicznym uśmiechem;—ja panu przedtém mój projekt

przedstawię krótko. Widzi pan, panu Grzędy sprzedadzą, a ja je odkupię; panu zabiorą wieś, a ja panu dam większe dochody tu w mieście, niż pan tam miał z majątku. A co?... Prawda, że to się panu zaraz podobać zaczyna?... No, to siadaj pan i słuchaj.

Poszedł ku drzwiom, zamknął je na klucz i wróciwszy do stolika, posadził przy nim prawie przemocą wujaszka Toli, podsunął mu filiżankę, obciął cygaro i umieściwszy się przy nim, jak najbliżéj, zaczął półgłosem rozwijać swoje kombinacye.

Łaniecki zachmurzony, z zaciętemi wargami siedział, ale słuchał z coraz większą uwagą.

Pomysłowy finansista, który się „znał na operacyach,“ kreśląc szybko rozmaite cyfry dużym niebieskim ołówkiem na arkuszu papieru, przekonywał właściciela Grzędów, że byłoby prostém szaleństwem i marnotrawstwem ratować majątek do tego stopnia zadłużony.

— O co panu właściwie chodzi, o tytuł własności? — mówił, — to próżność, to pańska ambicya, ale to tylko tytuł. Tak, czy owak, długo nosić go pan nie możesz, bo długi w majątku ziemskim, to jak drożdże; albo je trzeba całkiem wyrzucić, albo ciasto na nich będzie rosło i rosło, i rosło, a coraz kwaśniejsze będzie. Co panu po tém?... Spłacić wszystko?... daj pan pokój!... Panby sobie dwa, trzy takie majątki za te pieniądze kupił. Spłacić część?... co to pomoże! — to pana reszta zje z kośćmi za same procenta.

Łaniecki wąs skubał i obgryzał sobie górną wargę.

— Ludzie mi zawierzyli—odezwał się drżącym głosem, — nie mogę przecie, jak ostatni szuja narażać moich wierzycieli!...

Sandstein spojrzał na niego z pod oka, nie dowierzając widocznie temu wybuchowi rzetelności.

— To pan masz takie drażliwe sumienie, jako dłużnik? — spytał tonem trochę drwiącym, — no, widzisz pan i pan chcesz utrzymać się przy majątku z takiém usposobieniem?... pan się zamartwisz, zapracujesz, zaharujesz dla takiéj ambicyi, aby ludzi nie ponaciągać,—no i co z tego będzie?... to, że zabrniesz pan jeszcze głębiéj, niż po same uszy i że będziesz musiał ludzi naciągnąć jeszcze więcéj. Nie, panie Łaniecki, pan nie jesteś człowiek do interesów!...

Poklepał go ręką po kolanie z jakąś protekcyonalną miną i dodał:

— Pan mnie słuchaj, a wyjdziesz na tém dobrze. Chodzi panu tak bardzo o tytuł, to go pan będziesz miał. Dyrektor w „Tanim kredycie,“ to także dobry tytuł, a intratniejszy z pewnością od tytułu właściciela majątku ziemskiego. Pan mnie słuchaj!... już ja panu źle nie poradzę, jako przyszłemu wujkowi mojego syna. On pana przecie będzie nazywał wujem, wujaszku!... Zobaczysz pan, że i hrabia dziadzio się przekona; on ma teraz uprzedzenie, bo nie wierzy w pańskie gospodarstwo, on mi to mówił kilka razy z całém zaufaniem. Potém, jak pan będziesz sobie dyrektorem na stałéj pensyi, i z tantyemą, i z gratyfikacyą, i jeszcze z czém, to stary zobaczy, że go pan nie potrzebujesz i zaraz będzie slodszy. Daję słowo,

tak będzie. Ja panu nie wymawiam, ale to jest dobrodziejstwo, co ja robię, że panu nie pozwalam dorżnąć się na Grzędach. Widzi pan, ja te Grzędy odkupię nie dla żadnego interesu, tylko że to był majątek rodzinny pańskiéj żony i że na nim jest posag... był posag—poprawił się—pańskiéj wychowanicy. Niech to zostanie w familii. Tam są przecież herby Zabiełowskich z takiemi dużemi koronami na ścianach i nad każdą bramą. Po co to ma kupić Bóg nie wie kto!... Ja to kupię dla Bernarda, tylko o tém sza!... bo jakby się dowiedzieli rozmaite żydki, toby przy licytacyi podbijali tak w górę, że jabym nie mógł wytrzymać. No, skończona historya, panie dyrektorze?... nieprawda?...

Wyciągnął do niego rękę, ale Łaniecki siedział pochmurny i zamyślony; argumentacya Sandsteina przekonywała go o smutnéj konieczności, jednak nie godziła go z sytuacyą.

On rozumiał z tego wszystkiego tylko to jedno, że się jego państwo, jego obywatelstwo kończy, że wyzuty z majątku i osadzony na miejskim bruku, przestanie być posesyonatem, panem na Grzędach, że chociaż to państwo istniało tylko z pozorów, ale te pozory więcéj dla niego warte były, niż tytuł dyrektora jakiéjś tam finansowéj instytucyi, który zbyt trącił sinekurą.

Mniejsza o to, nie brzydziłby się i synekurą, gdyby tylko mógł utrzymać się przy Grzędach; ten Sandstein irytował go do wściekłości swoją zimną krwią i logiką; nie wybuchał jednak, hamując się do czasu, aby „przed takim żydem“ nie

zdradzić się i nie wyglądać na... szubrawca, który spekulował na jego kieszeń, pod osłoną małżeństwa wychowanicy.

— Tom się załapał!—myślał, przeżuwając nerwowo szczękami i nie odpowiadając ani słowa na przemówienie Sandsteina, stojącego przed nim z ręką wyciągniętą do przybicia zgody;—dużo mi przyjdzie z takiéj koligacyi i z wydania Toli za mąż za takiego żydziaka!... Oto, kiedy się baby wmieszają do czego!... Pięknie nas Helenka wykierowała przez przyjaźń ze swoją Vossową. Majątek dyabli wezmą, małżeństwo psu na budę się nie przyda, cofnąć się niepodobna, miła pozycya!...

Uczuwał wielką ochotę zerwać się, odtrącić rękę Sandsteina, nawymyślać mu od ostatnich żydów, mechesów, aferzystów, szachrajów i handełesów, tak w nim głucha wściekłość wrzała, ale lisia natura przemogła.

Mitygował się całą siłą panowania nad sobą, aby nie pogorszyć sprawy; wiedział bowiem także, że jest oddany na łaskę takiego Sandsteina, który cofnąwszy rękę, mógł zostawić go wyrzuconego z majątku na bruk, bez grosza, bez kawałka chleba, bez przyszłości z żoną i Tolą.

Podły los!... jak on się znęcał nad Janem Chryzostomem Łanieckim, ożenionym z samą hrabianką Zabiełowską.

— Co tu gadać! — zakonkludował w końcu z gorzkim uśmiechem, kończąc swoje rozmyślania,—żyd żydem zawsze pozostanie i szlachcica ostatecznie orżnie. Wziął mnie, niéma co! .. przefajnowałem sprawę zbytnią delikatnością. Trzeba

było z nim odrazu jasno kwestyę traktować, teraz za późno.

— Nad czém pan tak sobie głowę łamie, panie Łaniecki? — wyrwał go wreszcie z tego chaosu myśli Sandstein, który zmrużywszy jedno oko, patrzał od dłuższéj chwili badawczo na „wujaszka“ i czekał nadarmo jego odpowiedzi.

Łaniecki ocknął się, wstał, wyprostował, zapiął surdut i starając się zachować spokój pełen wyniosłéj godności, odrzekł wreszcie:

— Pozwoli pan, panie Sandstein, że propozycyę pańską, nad którą się zastanowię w wolniejszéj chwili, pozostawimy na późniéj; zaś co do ważniejszéj sprawy ratowania mego majątku, widzę, że niewłaściwie udałem się do pana. Pan mi nie chcesz w takiéj chwili przyjść z pomocą, a ja liczyłem tylko na pana i moja wina, że się przerachowałem. Możebym znalazł jeszcze ratunek gdzieindziéj, gdybym był wcześniéj zaczął się o to starać. Ha, trudno!... takie widać przeznaczenie!...

— Pan to mówi, jakbyś pan miał wielką urazę do mnie za tę odmowę,—przerwał mu Sandstein.

— O, bynajmniéj, przykro mi tylko, że w ostatniéj chwili stawia mnie ona w kłopotliwém położeniu tém bardziéj, iż małżeństwo Toli, któremu nie sprzeciwialiśmy się z żoną, jak pan przyznać musi — nadwerężyło jeszcze bardziéj mój stan finansowy, ale—i o to mniejsza!...

Sandstein łypnął powiekami, jak człowiek sprytny, który nagle przeniknął czyjąś intencyę.

— No, widzi pan—zawołał, idąc szybko do biurka i biorąc książeczkę z czekami,—o wszystkiém

gadaliśmy tak długo, a o najważniejszéj na teraz rzeczy ani słowa. Przecież pan ma masę wydatków w tym czasie i nic mi pan nie mówi, a moja kasa w takich razach jest zawsze dla pana na usługi. To co innego, gdy chodzi o tysiące, a co innego gdy chodzi o krocie. Ile pan potrzebuje?—zwrócił się nagle do Łanieckiego tonem zmienionym i zachęcającym—tysiąc, dwa, trzy, pięć?...

Rzucał mu te cyfry niby niedbale, ale jak przynętę, na którą był pewnym złowić ptaka, co mu się z rąk wymknął.

— O panie Sandstein—ze źle udaném oburzeniem wymawiać się zaczął Łaniecki, jednak oczy mu błysnęły chciwie,—na tyle jeszcze znajdę kredytu, pomimo mojéj zaszarganéj hypoteki...

— Ale po co pan ma szukać u innych?... my się porachujemy przy sposobności. Ja nie będę pana procesował o moją należytość, jak zwyczajny jaki wierzyciel.

Wyrwał czek, zapełniony cyframi i podał go Łanieckiemu, który udawał, że się wzbrania przyjąć.

— Nie, nie panie Sandstein, ja nie dla tego wspominałem...

— Ja wiem, że nie dla tego, ale wiem i to, że się panu gotówka teraz przyda. Bez ceremonii!... no, o co chodzi?.. zapłaci mi pan procent, jak każdemu innemu bankierowi, aby pańska ambicya nie była obrażoną.

— O, jeżeli tak, to prędzéj mogę przyjąć... ale inaczéj...

Mówiąc to, niedbale zmiął podany sobie blan-

kiet, i jak świstek bez wartości wsunął z lekceważeniem do kieszonki od kamizelki.

— W kasie panu natychmiast wypłacą—objaśnił Sandstein,—nie zgub pan tylko czeku; to tyle, co gotówka.

Ceremonialnie podał mu Łaniecki na odchodném końce swych zimnych i wilgotnych zawsze palców z ogryzionemi aż do skóry paznogciami.

Sandstein wrócił do biurka, otworzył książkę podręczną i pod rubryką wydatków osobistych, pomiędzy któremi figurowała nawet pozycya rs. 32 kop. 50 za cukiernicę srebrną na prezent ślubny dla Rózi Płockiéj, dopisał:

„Na stracone conto J. Ł..... 5,000.“

VIII.

Wszystko odbyło się tak, jak pani Emilia w marzeniach swoich układała.

Ślub Toli i Bernarda pod względem wystawności był świetny.

Mnóstwo kwiatów i świateł ozdabiało kościół; na chórze cała orkiestra odegrała „Veni Creator,“ w którém malutkie partye, sopranową i tenorową odśpiewali najlepsi artyści opery; ksiądz kanonik w asystencyi trzech duchownych, pomiędzy którymi i sprowadzony z Crzędów proboszcz staruszek się znajdował, połączył młodą parę, powiedziawszy piękną mowę na temat obowiązków małżeńskich i znaczenia rodziny, bez któréj żadne społeczeństwo i ludzkość cała obejśćby się nie mogły.

Oracyę swoją zakończył słowami:

„Dajże wam Panie Boże tego wszystkiego, czego wam ani rodzice, ani krewni, ani inni ludzie, ani świat cały dać nie mogą, tylko prawdziwa miłość chrześcijańskich małżonków daje, to jest szczęście domowe i zadowolenie z siebie, i zgodę, i harmonię, i życie przykładne, któreby było wzo-

rem dla drugich i dla przyszłych pokoleń waszych. Amen."

Państwo młodzi słuchali téj długiéj, mozolnie opracowanéj mowy z głową spuszczoną. Tola kilka razy wstrząsnęła się, jak gdyby gwałt zadawała uczuciom swoim i broniła się całą siłą i przytomnością umysłu przeciw spazmatycznemu łkaniu, które w głębi łona tłumiła.

Na zapytania księdza odpowiadała jakimś głosem wysilonym, zmienionym, sztucznym, a rotę przysięgi powtarzała szybko, niemal gorączkowo.

Biały welon upinany pomarańczowemi kwiatami osłaniał niby srebrna mgła całą jéj głowę i twarz, na którą uderzały kolory i na przemian ustępowały dziwnéj bladości, jakby omdlenia.

Ani razu nie podniosła oczu i nie spojrzała na nikogo.

Słaniającym się krokiem odchodziła od ołtarza, oparta na ramieniu Bernarda, który był dziwnie spokojnym i poważnym; ze ściągniętemi jego brwiami nie licował tylko blady, nerwowy uśmiech, z jakim od czasu do czasu podawał lewą rękę przyjaciołom i znajomym, składającym w przejściu życzenia młodéj parze.

Ponad głowami tłumu zapełniającego cały kościół zauważył trzy Feingussówny, ubrane biało, które z wielkiéj ciekawości stanęły na ławkach i przez lornetki przypatrywały się orszakowi ślubnemu; zdawało się mu, że za ich plecami spostrzegł czającą się płochliwie Malcię Sammetównę z wypiekami na licach i z oczyma, jak błędne ogniki migającemi.

Na jednym punkcie tylko ceremoniał ślubu szwankował. Pannę młodą odprowadzał od ołtarza nie dziadek, hr. Seweryn, ale sam Bernard. Tego splendoru zabrakło i trzeba go się było wyrzec w ostatniéj chwili ku wielkiemu zmartwieniu linii żeńskiéj Sandsteinów.

Los, jak gdyby odwetować chciał zawód uczyniony Płockiemu, zemścił się na Sandsteinach; pomimo przyrzeczenia, stary hrabia nie mógł dotrzymać danego słowa.

Na kilka godzin przed wieczorem dostał tak silnego ataku artretycznego, że o wybraniu się do kościoła mowy być nie mogło. Kamerdyner w ostatniéj chwili przyniósł wiadomość, że jaśnie pan hrabia musiał się położyć do łóżka z polecenia doktora.

Pani Emilia, która objęła urząd mistrza ceremonii na weselu synowca, była przez pięć minut zgnębiona tym wypadkiem.

— Jedź sam natychmiast do niego; przekonaj się, czy na prawdę chory! — szepnęła bratu, podejrzewając starego arystokratę o wybieg.

— Dlaczego niema być chory?

— Może udaje, może go kto zbuntował...

Sandstein ramionami wzruszył, ale wsiadł do karety i pojechał. Wiedział, że od chwili przystąpienia dziadzi na cichego wspólnika do przedsiębierstwa „Taniego kredytu,“ może liczyć na niego; nie przypuszczał przeto, aby w dzisiejszych z nim stosunkach stary hrabia chciał mu umyślnie zrobić taki zawód i poskąpić swojéj obecności na ślubie wnuczki.

Zastał go rzeczywiście w łóżku, wijącego się w bólach i rozdrażnionego okropnie.

— Ach, to ty, panie Sandstein!...—stękał chory,—widzisz, widzisz, jak mnie złapało!... umieram, mój drogi, dyabli mnie biorą... Wszystkie kości mi wykręca, o!... o!... patrzaj tylko, jak mi kolana popuchły, dzbanki, dzbanki!... jak Boga kocham. I to jeszcze dziś, teraz, właśnie w takiéj chwili. Tak, tak, jednym pogrzeb, drugim wesele. Oj, jakże świdruje, jak wierci!...

— Może hrabiemu przysłać mojego doktora?

— Którego?

— Cieszyńskiego; doskonały lekarz.

— Poczekaj no, który to Cieszyński?... jest jakiś adwokat, co się tak nazywa; aha, ten, co to prowadzi proces Radoszkowskich.

— To właśnie syn doktora.

Hrabia ręce podniósł do góry.

— Za nic w świecie!.. nie chcę, nie hcęc. Jeszczeby mnie ojciec wytransportował na drugi świat, aby Radoszkowskim zrobić większą przysługę!... nie, nie, ja już zostanę przy moim weterynarzu. To weterynarz, jemu konie kurować, nie ludzi! — ale cóż zrobię, tyle lat go trzymam przy sobie, zna organizm, mój drogi, zna chorobę, może co poradzi.

Chwytał się raz po raz za nogi, to za bok i jęczał.

— Tyś już we fraku, panie Sandstein?—zaczął znowu po chwili—a pewnie, bo to czas. Widzisz, ja wam służyć nie mogę: bardzo, bardzo żałuję. Powinszuj państwu młodym w mojém imieniu...

Sandstein zbliżył się do łóżka i nachylając się nad starym hrabią, szepnął:

— A możeby dziadzio tutaj przynajmniéj pobłogosławił młodą parę?...

Zależało mu na tém, aby w jakikolwiek sposób zaakceptować bliższy stosunek z patryarchą hrabskiego rodu.

— Tutaj?... teraz?... w takim stanie?—żachnął się stary prawie opryskliwie, — dajże pokój, mój drogi panie Sandstein!... Co im przyjdzie z mojego błogosławieństwa!... nie, nie, nie sprowadzajcie mi tu nikogo, a szczególniéj Łanieckich. Oniby mnie tylko większéj choroby nabawili; nie chcę. Co innego, gdybym był zdrów, ale tak — proszę cię, nie rób mi téj przykrości.

Mówił to niemal płaczliwym tonem, jak dziecko, wypraszające się od kary.

— Przyszlesz mi swego syna z żoną za kilka dni, jeśli ci na tém zależy,—dodał—ale nie dziś, nie dziś, mój drogi!

— Ha, niech i tak będzie, — odparł z kwaśną miną Sandstein, widząc, że nic nie wskóra u starego;—to do widzenia w lepszém zdrowiu, kochany hrabio. Ja muszę wracać, bo tam czekają wszyscy.

Stary uniósł się trochę na poduszkach.

— Wracaj, wracaj mój drogi, a nie gniewaj się, to nie z mojéj winy!... Choroba mnie tłucze, gnębi, dobija! Oj, losie losie!...

Skrzywił się boleśnie i głowę zwiesił, jak skazaniec; posłyszawszy jednak, że Sandstein odcho-

dzi, zawrócił go jeszcze odedrzwi i z wielkiém zajęciem spytał:

— Ale, ale... panie Ludwiku, a co tam słychać z koncesyą?... masz już?... nie jeszcze?... może ci nie dadzą?...

— O, niéma obawy!... koncesya tak, jakby już siedziała w mojéj kieszeni.

— To chwała Bogu, chwała Bogu!... dasz mi znać, prawda, gdy nadejdzie?...

— Rozumie się, hrabiemu przedewszystkiém. No, do widzenia, kochany hrabio!... życzę polepszenia do jutra.

— Dałby Bóg, dałby Bóg, drogi panie Ludwiku.

Żegnali się, jak starzy i dawni przyjaciele.

Musiało się tedy wesele obyć bez hrabiego dziadzi, ale za to nie oszczędzono niczego, co mogło dodać mu świetności i parady, od udekorowania schodów dywanami, kwiatami i lampami do zastawy stołu, od szwajcara w bramie do całego legionu lokajów w liberyi, od trzydziestu karet na ulicy do tłumu gości cisnących się w zapełnionych salonach.

Mimo wszystko, czuć było jakąś sztuczną atmosferę, jakiś nastrój oficyalny w tém zebraniu niby życzliwych osób, które przyszły cieszyć się z tak świetnego związku i obu rodzicom skoligaconym odtąd, składać powinszowania.

Przyglądano się sobie wzajemnie z jakąś miną zdziwioną, która zdawała się mówić:

— A, i ten tutaj?... patrzcie, patrzcie, kogo tu niéma!... a cóż ci tu robią?... sproszono chyba

cały świat, aby się patrzéć na ich brylanty i miliony...

Około panny młodej utworzyło się najwytworniejsze grono dam „szeleszczących od koronek i jedwabi,“ *la fine fleure* całego towarzystwa; znać było po nich, że spełniają jakiś akt ceremonii i jakby poświęcenia, że przyszły tu zaproszone, ulegając konwenansowi i dawnym stosunkom z rodziną Zabiełowskich, nie Sandsteinów; że siedzą, jak na widowisku, z którego jednak chciałyby się wymknąć coprędzéj i że się wymkną cichaczem przed kolacyą, gdy tylko nikt tego nie zauważy.

Wśród tego bukietu strojnych kobiet roiły się leniwo i ociężale, niby muchy czarne, postacie mężczyzn we frakach, z szapoklakiem w ręku, z tą miną sztywną, wykrochmaloną, jak ich białe plastrony półkoszulków i kołnierzy, z tym wyrazem jakiegoś wyczekiwania i rozglądania się dokoła.

Pomimo wszelkich usiłowań gospodarstwa, nie dawało się spoić z sobą różnorodnych żywiołów téj mieszanéj mozaiki; ocierały się o siebie herby i miliony, głośne nazwiska rodowe i głośne firmy, ale jakoś nie przylegały do siebie.

W otwartych na ścieżaj drzwiach przedpokoju stała służba i z poza progu przyglądała się państwu, wyczekując rozkazu sprowadzenia karety lub podania okrycia; na schodach, ziewając, siedzieli znudzeni lokaje i spluwając bez ceremonii na dywany, prowadzili półgłosem rozmówki dla zabicia czasu.

— Jak myślicie, panie Walenty, długo te żydy szabasować tak będą?...

— Dyabeł ich wie!... może do północy.

— Ino im dadzą kolacyę, to się zaraz zabierać zaczną pewnie do domu.

— Ee, moi to przed kolacyą mają wyjechać.

— I moi także.

— Nie wiesz ty Tomek, za kogo panna hrabianka idzie?

— No, za kogóżby, za Sandsteina.

— Cóż on jest takiego... żyd?...

— A no, niby już nie, przecie w kościele brali ślub.

— Ba!... wielkie rzeczy, przechrzta!... żeby ci go w święconéj wodzie kąpali, to i tak żydem ostanie do siódmego pokolenia.

— Cicho tam, cicho, bo jeszcze kto usłyszy.

— To i co?..

— Narobicie sobie kramu i tyla.

— Ale te Sandsteiny to chyba bogate ludzie.

— Ba!... albożby ci to hrabianka szła za takiego, żeby nie był bogaty?... to wszystko tylko z wyrachowania. A tybyś się z żydówką nie ożenił, żeby miała grosze?

— A nie; niedoczekanie jéj!...

— Et, gadanie.

— Nie wierzycie?... przysięgam Bogu!... Żeby ci była z samego złota ulana, tobym nie chciał.

— A panowie się żenią.

— Bo panowie to inny naród; zresztą, taki pan to się żeni z żydówką, a potém do katoliczki chodzi. Cóż to, ja nie służę u takiego, to nie widzę?.. Mój baron ma téż jakąś żydóweczkę z domu, a furt przesiaduje u takiéj jednéj chuderlawéj

z baletu, co to jéj posela dzień w dzień to kwiaty, to wino, to różne specyały...

— Stulcie-ta gębę na schodach, bo tu wszystko słychać na górę!...

— To i co?... jak chcecie, żebym gębę stulił, to mi co w nią włóżcie. Moglibyście powiedzieć któremu fagasowi, aby nam jaką butelczynę tu wyniósł; tobyśmy wypili za zdrowie tych Sandsteinów, niech ich tam!...

— Obejdź się smakiem.

W ten sposób dowcipkowała opinia w liberyi, nie krępując się żadnemi względami w wyrażaniu swojego zdania.

Za progiem zrobił się ruch żywszy, w przedpokoju odezwały się głosy, kilka osób wysunęło się na schody; towarzystwo przechodziło z salonu do sali stołowéj, aby zasiąść do Lukullusowéj kolacyi, którą czterech kucharzy przyrządzało od wczoraj.

Pierwszy toast na cześć państwa młodych wzniósł ksiądz kanonik, parafrazując ustępy swojéj mowy, wypowiedzianéj przy ołtarzu; stary radca z podwójną dystynkcyą, trzymając w jednéj ręce nożyk od owoców, którym gestykulował dla nadania swym słowom więcéj expresyi, a w drugiéj kieliszek szampańskiego wina, wygłosił pochwalną oracyę na cześć państwa Łanieckich, którzy tak patryarchalnie zajęli się wyhodowaniem tego ślicznego kwiatu, jaki dziś zdobi rodzinę czcigodnych obywateli Sandsteinów.

Ten temat podsunęła mu zręcznie pani Emilia na kilka dni przed weselem.

Stary Sandstein wypił za zdrowie hrabiego dziadka, który „ubolewał niewymownie, że z powodu choroby nie mógł osobiście wziąść udziału w familijnéj uroczystości.“

Pan Xawery ze swoim jowialnym uśmiechem fałszywego pochlebcy i pieczeniarza, przez wdzięczność dla kuchni i piwnicy swoich Amfitryonów, wypowiedział mówkę niby humorystyczną, na poły wierszem i prozą, w któréj unosił się nad wdziękami panny młodéj i życzył jéj, aby kwitła wiecznie, jak róża, która daje najwonniejszy olejek i najsłodsze konfitury.

Porównania te nie były ani bardzo dowcipne, ani właściwe, ale mówca po kilku „equivoquach“ przetłómaczył zakończenie swego toastu na język francuski, aby się popisać akcentem, z którego był dumny w salonach.

Tola siedziała obok Bernarda i półuśmiechem odpowiadała na wszystkie życzenia i komplimenta, z jakiemi się do niéj zwracano.

Szampan rozwiązał języki i rozgrzał trochę atmosferę, a przy starym tokaju, który z omszałych gąsiorów popłynął w małe kieliszki, roznoszone na srebrnych tacach, wzniesiono ostatni toast „kochajmy się.“

Vossowa rzuciła się Łanieckiéj na szyję i całując ją ze łzami w oczach, rzekła:

— No, teraz, kiedy należymy już do rodziny, możemy sobie mówić „ty;“ pozwolisz, abym cię nazywała najdroższą Helenką, hrabino?...

Łaniecka zesznurowała usta ceremonialnie i oddając jéj w powietrzu pocałunki, odparła:

— Ależ naturalnie, kochana Emilko; dawno już należało się to zrobić.

Miała jednak przytém minę nie bardzo zadowoloną i skrzywiła się dość wyraźnie; mąż jéj przez cały wieczór trzymał się na uboczu i z pod oka przyglądał się tylko przy stole swoim współbiesiadnikom, ale znać było, że się przymusza do téj lisiéj układności i słodyczy, nadrabia miną i udaje swobodę.

Wewnątrz nurtowały go złość i niezadowolenie.

Zawiodły go wszystkie rachuby i spekulacye, jak go zawiodły już tyle razy w życiu; na ostatnią stawkę przegrał nareszcie i Tolę, na którą najwięcéj liczył.

Zirytowany był na siebie i na cały świat; drażniła go ta pańskość Sandsteinów, jaką roztaczali dokoła, ci goście weselni, którzy się im oświadczają z czułościami a jego jakby ignorowali.

Czuł się odsuniętym na ostatni plan, jak kupiec, który przyniósł towar, za tanio go odstąpił i oszukał się sam na własnym handlu.

Siedząc przy stole, machynalnie sięgał ręką do kieliszka i wychylał go małemi haustami; wino było smaczne, lokaj dolewał, pił zatém, bo go szampan orzeźwiał; pił i uśmiechał się, ale pod temi uśmiechami zaciskał od czasu do czasu zgrzytające zęby.

Sandsteinowa, która obok niego siedziała, zajęta była zanadto widokiem syna i rozmową, aby na to zwracać miała uwagę.

Kiedy z drugiego końca stołu ktoś z gości wznosił toast „Kochajmy się,“ Łaniecki jakby zbudzo-

ny ocknął się, obrzucił całe towarzystwo jednem spojrzeniem, twarz mu się nagle zmieniła, poczerwieniał jeszcze bardziéj i utkwiwszy w siedzącego naprzeciw Sandsteina wzrok bazyliszka, powstał i zawołał:

— Za pozwoleniem!...

Wśród gwaru głosów wyrazy te niespodzianie wymówione zwróciły uwagę na Łanieckiego; spoglądano na niego z wyczekiwaniem, przypuszczając, że ma zamiar jeszcze jeden wznieść toast.

Sandstein zadzwonił o kieliszek.

— Wuj panny młodéj, pan Łaniecki ma głos!...

Tola spojrzała na wuja ze zdziwieniem; uderzył ją wyraz jego twarzy, drgające usta i cała sieć zmarszczek dokoła oczu.

Poznała, że był niezwykle podniecony.

Stał i wlepiwszy oczy w Sandsteina, zdawał się zbierać myśli.

— Słuchamy, słuchamy!... — wołano z różnych stron.

Zaciekawienie wzrosło, rozmowy się urwały, gwar ucichł i zaległa cisza.

— Panie Sandstein! — zaczął drżącym głosem Łaniecki—panie Sandstein...

Urwał jednak po tych pierwszych wyrazach; znać było, że mu na usta ciśnie się jakaś fala skłóconych myśli i że je pragnie wyrzucić w jednym frazesie, ale wstrzymuje go coś przemocą.

Zamiast dalszych słów, jakiś niezrozumiały szmer wydobywał się z pomiędzy zaciśnionych szczęk Łanieckiego; kurczowo drgała mu twarz

i na przemian sarkastyczny uśmiech przebiegał po ustach.

Żona patrzała na niego z zaniepokojeniem; nie widziała go jeszcze nigdy w takim stanie.

— Panie Sandstein! — powtórzył po raz trzeci zgłuszonym głosem i powieki mu nagle drżéć poczęły nerwowo, zagryzł usta, podniósł rękę do oczu i jakby nieprzytomny, szepnął:

— Przepraszam... już nic... już nic!—potém odwrócił się i odsuwając krzesło poza siebie, zmieszany wyszedł szybkim krokiem z sali.

— Co to było?... słabo mu się zrobiło?...

— Nie mógł widocznie dokończyć z rozrzewnienia.

— Rozpłakał się.

— Może zachorował?...

Przy stole to niespodziane intermezzo wywołało zamieszanie. Łaniecka porwała się od stołu i pobiegła za mężem zaniepokojona.

Sandstein kazał lokajowi zanieść syfon wody do drugiego pokoju.

Nie umiano sobie na razie wytłómaczyć tego wypadku; przypuszczano ostatecznie, że się wujowi Toli tylko mówka nie udała, i że z przepełnionego serca nie mogła wypłynąć improwizowana oracya.

Nikomu jednak nie przyszło na myśl, jakie właściwie psychologiczne pobudki podrzuciły tak nagle Łanieckim.

Kiedy mu wino zamąciło w głowie i wszystkie gorzkie refleksye, snute w milczeniu przez cały wieczór, fermentować zaczęły, jakieś licho zbudziło się w nim w jednéj chwili, zdarło mu z twarzy

maskę obłudy, zbuntowało do zrobienia awantury i ni ztąd, ni zowąd powstał, aby — nie wiedział sam dobrze — co zrobić, co powiedzieć, czém się zemścić na Sandsteinie.

Chciał mu przy tym stole, przy tych gościach, przy téj służbie rzucić w oczy jakiś jeden wyraz, w którymby całą żółć swoją wylał, całą gorycz przerachowania się zmieścił.

Ten instynktowy wybuch jednak nie przyszedł na szczęście do skutku; oszołomienie minęło, pozory dwuznaczne uratowały sytuacyę.

— Zdaje się, że pan Łaniecki musi miéć słabą głowę, — zauważył dystyngowany radzca do jednéj ze swych sąsiadek.

— A ja przypuszczam, że to wzruszenie... człowiek widocznie bardzo sercowy.

— I nie przyzwyczajony do publicznych występów; o, swada to rzecz wrodzona!.. Mówcą trzeba przyjść na świat, jak artystą...

— Jak pan radzca.

— O, *madame!...*

Podczas tego, gdy w salonie przebrzmiewały echa nieudałego toastu, Łaniecki w najdalszym pokoju siedział na kanapie i—płakał.

Rozstrojonym nerwom dał folgę, nie przyznawszy się nawet przed własną żoną do rzeczywistych uczuć, które go w taki stan rozdrażnienia wprawiły.

— Zostawcie mnie tu samego.. nie troszczcie się mną... Idźcie sobie, proszę was!... to przejdzie, to nerwy, to minie!—mówił,—o już mi lepiéj, tylko mnie zostawcie samego.

Pani Helena z niedowierzaniem spoglądała na męża; sama miała łzy w oczach i drżała na całém ciele.

— On tę Tolę kocha, jak własną córkę—zapewniała po chwili Vossową, dopytującą się troskliwie o Jasia,—biedak, przejął się bardzo... roztkliwił... aż do łez, chcąc przemówić z ojcowską do niéj czułością.

Kłamała z najlepszą wiarą przed ludźmi i przed sobą.

Jak każde wesele na świecie, musiało się i to— tak niewesołe—zakończyć wreszcie.

Goście się po kolacyi szybko rozchodzić zaczęli; państwa młodych Łaniecka, Vossowa i Sandsteinowa odwiozły dwiema karetami do przygotowanego mieszkania, które na Toli, pomimo świetnego urządzenia, nawet przepychu w meblach, portyerach, lustrach, obrazach i kwiatach — zrobiło wrażenie jakiéjś pustki, jak wszystkie nowe apartamenta, nie zamieszkałe jeszcze przez nikogo.

Uczuła się tu nagle tak obcą i tak opuszczoną, że instynktownie przytuliła się bliżéj do ramienia człowieka, z którym ją los połączył.

Po raz pierwszy to uczyniła, nie zdając sobie sprawy z tego mimowolnego ruchu, który zadziwił ale i dreszczem rozkosznym przejął Bernarda, przyzwyczajonego dotąd do jéj chłodnego obejścia.

Spojrzał na nią z całą wdzięcznością i w milczeniu, jakby dziękując za ten objaw instynktowego zaufania, przycisnął jéj rękę do ust rozpalonych.

Byli sami w salonie, bo obie ciocie poszły do

innych pokojów, zwłaszcza do wspaniałéj sypialni, zrobić ostatni przegląd doświadczoném okiem.

Pani Emilia musiała zajrzéć do każdego kąta i wszędzie wścibić swój nosek ciekawy, niby jaka ochmistrzyni dworu; znała tu przecież każdy mebel, bo prawie każdy własną ręką dziesięć razy przesunęła i poprawiła przy ustawianiu, zajmując się właściwie urządzeniem apartamentu w zastępstwie swego synowca.

Ona wybierała obicia, materye, dywany, naradzała się z tapicerami, jak gdyby dla siebie samej przygotowywała mieszkalną bombonierkę.

Z jéj pomysłu na klamkach bronzowych były brabiowskie korony, a na muślinowéj kotarze, osłaniającéj małżeńskie łóżka w sypialni, wyhaftowany herb Zabiełowskich.

Téj rodowéj cechy arystokracyi młodéj pani Bernardowéj Sandstein nie skąpiła aż do przesady; kładła na wszystkiém monogramy i korony z dziewięcioma perłami, jakieś niby rodzinne dewizy, arabeski z herbowych motywów, a na prezent ślubny ofiarowała Toli srebrną toaletę, uwieńczoną również ogromnych rozmiarów koroną.

Ze trzy razy zwracała już na nią uwagę Łanieckiéj, powtarzając:

— *N'est ce pas*, to się dobrze wydaje?... będzie z tego kontenta, prawda?...

Zajrzała nawet do kuchni, gdzie służba odświętnie przybrana czekała sposobności powitania młodéj pani.

Przypomniała sobie nareszcie, że ta lustracya w noc poślubną przeciąga się trochę za długo

i szepnęła po francusku do swoich towarzyszek:

— No, ale zostawmy ich nareszcie samych; przecież nie na to się pobrali, żeby przyjmować familijne wizyty zaraz po weselu. Uciekajmy, moja Helenko!... pobłogosławcie wasze dzieci i *the rest is silence!*...

Mówiła to ze śmiechem, mrugając filuternie oczyma do Łanieckiej.

Ten humor jéj nie licował wcale z powagą chwili; przejmowała się tylko zewnętrzną, powierzchowną stroną sytuacyi, rozumiejąc jedynie z niéj to, na co oczy patrzały, ale czego serce nie zgłębiało.

Kiedy weszły do salonu, zastały w nim tylko Bernarda samego; stał zamyślony z głową pochyloną przy stole, na którym paliła się porcelanowa lampa z ogromnym abażurem z koronek i niebieskiego jedwabiu.

— A to co?... a cóżeś ty z żoną zrobił Berciu? — zawołała ciotka.

— Gdzież Tola?—spytała Łaniecka.

— Wyszła na chwilę, chciała być samą, — odrzekł pan młody—zdaje mi się, że jest tam...

Wskazał ręką na sypialnię.

— Sama?... ah, rozumiem!... trzeba jéj pomódz!

Z temi słowami Vossowa, do wszystkich gotowa usług, poszła znowu do budoaru, przypuszczając, że spełni tam prozaiczną czynność subretki przy rozpinaniu ślubnéj sukni panny młodéj, ale za chwilę ukazała się już we drzwiach i zbliżając się na palcach, z miną, jak gdyby podglądnęła coś

bardzo osobliwego, z rozkosznym uśmiechem na ustach szepnęła:

— Kochaneczka!... wyobraźcie sobie, ona klęczy i modli się!... Pst!... nie przeszkadzajmy jej.

A zarzucając ramiona na szyję Bernarda i wspinając się do jego ucha, z zachwytem dodała:

— Ach, szczęśliwcze! zobaczysz, jak ona ślicznie wyglądać będzie w szlafroczku! musisz mi to wszystko jutro opowiedzieć. Co?.. kontent jesteś, żem ci dała taką cudowną żonę?.. Pocałujże mnie za to!...

Potém rzuciła się, jakby wyczerpana na fotel i zaczęła mówić o kucharzu, któremu dała już dyspozycyę na jutrzejsze pierwsze śniadanie dla nowożeńców.

— Będziecie mieli bulionik, paszteciki, *suprême de volaille* i ponczową galaretkę. Skromnie, prawda?... ale nie trzeba się objadać. Zresztą, nie będziecie mieli zapewne apetytu. Ja na drugi dzień po moim ślubie nie mogłam nic wziąć w usta, tylko piłam wodę, jak kaczka. Myśmy wszystkie takie, zobaczysz!... Na obiedzie będziecie u rodziców, prawda?... przyjdę was zobaczyć, o przyjdę!... Lorciu, o któréj dasz im obiad jutro?... ja myślę o siódméj.

Paplała tak daléj w tym samym tonie przyciszonym głosem, aby nie przeszkadzać „téj kochanéj Toli“ w jéj dziewiczych modłach i rozmowie z Bogiem, którą u wejścia w progi własnego domu po raz pierwszy prowadziła sam na sam.

— Wszystkie dziewczęta się boją!—wtrąciła ni ztąd ni zowąd uwagę, spoglądając ku drzwiom,

prowadzącym do sypialni,—to nic!... niech się pomodli, to jéj dobrze zrobi. Berciu, która godzina?... już musi być późno?...

— Po pierwszéj.

— Już po pierwszéj?... a, wiecie, to już czas, abyśmy sobie poszły!...

Obie starsze damy siedziały na kanapie z wyrazem znużonego wyczekiwania.

Łaniecka kilka razy stłumiła ziewnięcie, Sandsteinowa z rękoma założonemi wpatrzyła się w światło lampy i z apatyczną rezygnacyą rozmyślała nad czémś.

— Tola musi być bardzo religijną? — spytała nagle, nie zwracając się, Łanieckiéj.

— O jest,—odpowiedziała ciotka.

Nareszcie wszystkim paniom wydała się za długą ta pietyczna kontemplacya panny młodéj; powstały i ze względu na spóźnioną porę, poszły z przybraną miną zaniepokojenia przekonać się, co „ona tam tak długo robi sama“?...

— Toleczko, główka cię rozboli, — wstań już z tego klęcznika!... widzisz, my chciałybyśmy już was pożegnać,—mówiła słodkim głosem Łaniecka, nachylając się troskliwie nad siostrzenicą.

Tola ocknęła się z zadumy, jakby zbudzona ze snu szorstką ręką i powstała szybko z kolan; brwi jéj tylko mocno zadrgały i dwie grube łzy zabłysnęły na rzęsach.

Otarła je dłonią i rzuciwszy ostatnie spojrzenie na oblicze Madonny Carla Dolce, spoglądającéj na nią miłosiernie z obrazu zawieszonego nad pa-

nieńskim jéj klęcznikiem, szepnęła pokornym jakimś głosem:

— Ah, przepraszam...

Za drzwiami, trzymając się zlekka od tego najścia, stał Bernard i nie wchodził do sypialni; jego jednego powstrzymało uczucie delikatności od przerywania w takiéj chwili modlitwy Toli.

Spoglądał na nią jeszcze z większym szacunkiem i onieśmieleniem.

— No, Toleczko, jesteś już teraz u siebie, — odezwała się z nastrojem niby uroczystym Łaniecka,—bądź tu szczęśliwą moje dziecko. *Au revoir ma bien aimée.*

Łypnęła powiekami na dowód rozczulenia, które się nagle w niéj odezwało i zrobiła krzyżyk nad pochyloną głową siostrzenicy, z macierzyńską powagą.

Bernardowi podała tylko rękę w milczeniu które miało być bardzo wymowném.

Sandsteinowa ucałowała w głowę najpierw syna, potém synowę i rzekła:

— Dobranoc wam.

Ciocia Emilka jedna nie traciła rezonu i swobody w téj chwili, która miała jakiś oficyalny nastrój, zamiast serdecznego ciepła i głębszéj powagi.

— Proszę was, każcie nam już poświecić i wyprowadzić za drzwi, bo to się do jutra nie skończy!—wołała—a sami bądźcie zdrowi, moje dzieci. Ty musisz być okropnie zmęczoną, Tolo?... tyle godzin być zasznurowaną i zapiętą pod szyję, to tortury. No, teraz przynajmniéj włożysz szlafroczek!... przygotowałam ci go własną ręką tam,

przy łóżku. *Adieu ma chère, adieu!* Życzę wam słodkich marzeń i słodszéj jeszcze rzeczywistości. Jutro możecie spać do południa. *A demain!*... Berciu, zadzwoń na pannę służącą; dzwonek jest tu z téj strony, zaraz przy gotowalni. Ja się ulatniam!.. Helenko, Lorciu, chodźcież raz, zostawcie ich samych. Już oni tu sobie poradzą bez nas..

W kilka minut później zaturkotała kareta w bramie; trzy panie, spełniwszy obowiązek opiekunek przy młodéj parze, odjeżdżały do domu, a na górze w oświetlonych apartamentach po raz pierwszy na małżeńskiém sam-na-sam została Tola z Bernardem.

Stało się...

IX.

Proces graniczny o Grzędy skończył się w ostatniéj instancyi przegraną Zabiełowskich i Łanieckich; nie sprawiło to już wszelako większego wrażenia w rodzinie.

Czekano niemal niecierpliwie na wyrok, który miał ostatecznie całą tę sprawę rozwiązać.

Radoszkowscy byli górą, a młody ich adwokat, Stanisław Cieszyński tryumfował, bo zawikłany proces, od wielu lat zalegający rozmaite wydziały sądowe, dzięki jego gorliwości i sprytowi obrończemu doszedł nareszcie do kresu.

Sandstein, spotkawszy starego Cieszyńskiego na ulicy, wysiadł umyślnie z powozu, aby mu w żartobliwy sposób powinszować wygranéj przez syna kampanii przed kratkami.

— No, mój konsyliarzu—mówił,—wasz Stach robi karyerę. Ja powinienem się o to pogniewać, bo pan mi zdrowie naprawiasz, a on mi zdrowie psuje.

— Jakto?... nie rozumiem dobrze,—z właściwą sobie powagą Eskulapa spytał Cieszyński.

— Przecież to jasne; Grzędy należą tak, jakby

do mojéj rodziny teraz, a przez pańskiego syna, kochany konsyliarzu, będą musiały pójść na licytacyę...

Cieszyński zrobił minę jakby zakłopotaną.

— Nie znam się na tém, nic nie wiem, szanowny panie—zaczął,—mój syn Stanisław nie wtrąca się do moich pacyentów, a ja do jego klientów; w każdym razie...

— No, no! — śmiejąc się, uspokajał go Sandstein, — ja tylko żartowałem, ja przecie nie mam żalu do niego, ani do was, kochany konsyliarzu. Przeciwnie, ja panu powiem, że na waszego Stacha mam teraz oko; to tęga głowa, jak uważam. Mnieby się przydał taki radzca prawny—i jemuby z tém źle nie było. My o tém pogadamy przy najbliższéj okazyi. Pozdrów konsyliarz swego mecenasa odemnie i zrób mu kompliment w mojém imieniu. Jego to zdziwi, iż ja się wcale a wcale nie czuję urażony, prawda?...

Stary doktor dyplomatycznie oczy przymknął i ramionami wzruszył:

— Nic nie wiem, nic nie wiem...

— No, a kiedyż na partyjkę do nas?... może we środę?... przyjdź konsyliarzu, pogramy trochę, pogadamy; możebyś i adwokata zabrał z sobą?... co?... nie ma czasu?... przecież ciągle nie może siedzieć nad aktami, bo broń Boże, zgarbacieje jeszcze, a szkodaby było szkoda!... Zatém do środy, kochany konsyliarzu,—bez zawodu!...

Miał już w głowie ułożony plan pozyskania tak dzielnéj i młodéj siły, jak adwokat Cieszyński;

poznał się na nim i postanowił wciągnąć go do swoich interesów.

„Tani kredyt“ lada dzień miał już wejść w życie; koncesya nadeszła, lokal na biura wynajęto, spółka zorganizowana odbywała właśnie narady, pracując nad wyborem personelu, utworzeniem zarządu, układaniem szczegółów regulaminu.

Wszystko zapowiadało się jak najlepiéj.

Jednym z dyrektorów nowéj instytucyi zamianowanym został Łaniecki, według poprzedniéj umowy; nie poprawiło mu to wszelako humoru, nie pojednało z sytuacyą. Uważał się zawsze za ofiarę i za człowieka haniebnie wyprowadzonego w pole.

W dniu, w którym Grzędy sprzedawano, formalnie się rozchorował i do łóżka położył.

Żona płakała nad nim; dla niego jednego miała zawsze łzy szczeregu współczucia.

— Jasiu, proszę cię, Jasiu, umityguj się! — powtarzała,—zdrowie twoje więcéj warte od majątku; jednak tak źle nie będzie jeszcze. *Tout est perdu sauf l'honneur.* Mój Jasieńku, napij się kwiatu pomarańczowego, to ci nerwy uspokoi.

— Do tego doszło, do tego!... — biadał Jan Chryzostom, — i to przez kogo?... przez twoich Sandsteinów!...

— Moich, duszyczko?... moich, Jasiu?...

— No, no!... dajmy pokój!... dajmy pokój!... nie rozpoczynajmy téj sprawy. Już ja wiem, co wiem. Opuścili nas niegodnie, podłe mechesy!...

— Jasieńku, co ty mówisz!... gdyby kto usłyszał, co za skandal!...

Za głowę się wzięła i poszła drzwi zamknąć przestraszona.

— Jakże można, jakże można, taki wyraz!... przecież to dziś koligacya, rodzina...

— Piękna rodzina, która swoich nie umie ratować!,..

— Cóż robić, cóż robić! ofiarowali ci za to pozycyę inną...

Rzucił się, jak oparzony.

— Dziękuję ci; dyrektor lombardu! ładna pozycya dla Łanieckiego!

— Ach, Jasiu, nie poznaję cię moja duszko!... co ty za wyrazów używasz w rozdrażnieniu. Mechesy... lombard... któż widział!... ja doprawdy oczy wypłaczę przez ciebie. Może wolisz wody z sokiem malinowym?.. a może kropli laurowych?..

Nie chciał niczego, przewracał się z boku na bok i stękał, jakby go boleści szarpały; tak z niego to państwo wyleźć nie chciało.

Nad wieczorem Sandstein przysłał mu bilecik ołówkiem w pośpiechu pisany; uwiadamiał go, że Grzędy sprzedane i że fikcyjnie kupił je podstawiony Jakób Magenfisch, od którego z nałożeniem pewnego procentu za fatygę, jutro odkupione zostaną na imię Bernarda Sandsteina.

„I tak wasza wieś wraca do rodziny,“ — pisał w końcu teść Toli.

Wszystko to miało być niespodzianką dla młodéj pary, która od kilku już tygodni bawiła zagranicą.

Jakkolwiek podróż poślubna nie leżała pierwotnie w planie nowożeńców, zdecydowano się na

nią wszelako po zaleceniu dra Cieszyńskiego, który zbadawszy Tolę, doradził zmianę powietrza, wyjazd w góry, jak najwięcéj spokoju i przyjemnych wrażeń dla ułagodzenia nerwów.

— Pojedźcie państwo w Alpy—mówił,—zwiedzicie Tyrol albo Szwajcaryę, a potém na jakiś czas zawitacie do Nizzy. Radzę unikać wielkich miast, gwaru stolicy, jak najmniéj bruku, a jak najwięcéj natury. Miodowe miesiące w takiém sam-na-sam mogą bardzo korzystnie oddziałać na organizm pani, który wydaje mi się nieco rozstrojony. Nic ważnego, ale ten pierwszy rok małżeństwa decyduje zwykle o następnych; trzeba się szanować,—a potém zobaczymy.

Mówił to, trzymając za puls Tolę i wpatrując się badawczo w jéj bledszą, niż zwykle, i zmizerowaną twarz.

Pojechali tedy państwo Bernardowie w Alpy.

Rozpoczęli tę podróż bez planu, bo w Wiedniu dopiero mieli się rozpatrzéć i ułożyć marszrutę, poradziwszy się Baedeckera. Przez pierwszy tydzień nie dali nikomu z rodziny nawet znaku życia; na początku drugiego nadszedł do starych Sandsteinów lakoniczny telegram:

„Jedziemy do Gmunden.“

I znowu minęło dni kilka bez wiadomości, aż nareszcie Łaniecka odebrała długi list od Toli, w którym usprawiedliwiała się z tak długiego milczenia.

„Byliśmy ciągle niezdecydowani co wybrać— pisała Tola, — przeglądaliśmy całemi godzinami i rozmaite „Przewodniki,“ anonsy po gazetach,

uczyli się geografii na hotelowych mapach i odkładali z dnia na dzień ostateczny nasz wyjazd.

No i tymczasem skończyło się na Gmunden nad jeziorem Trauneńskiém.

Co prawda, dużo w téj mitrędze mojéj własnéj winy; nie umiałam wybrać, a chciano koniecznie, abym sama decydowała, dokąd mamy jechać.

Pan Bernard zostawił mi wolną wolę w tym względzie i najgorzéj zrobił; to była niepraktyczna delikatność z jego strony, za którą jemu nie umiem być nawet wdzięczną, a sobie wyrzucam, że postępowałam, jak jaka kapryśnica, odpowiadając z mimowolnym grymasem na ustach na wszystkie propozycye: „Czy ja wiem?“

Zupełnie, niby wiejska gąska, co to ani *be*, ani *me!*...

Proszę tylko nie myśléć, aby to był prawdziwy kaprys albo miły mój uporek, który ciocia zna dobrze z moich panieńskich czasów; nie, to na seryo jakaś dziwna obojętność, która mnie trzyma jak zahypnotyzowaną od czasu naszego wyjazdu z Warszawy.

Tak mi wszystko jedno, dokąd jadę, czy jadę, jakbym była swoją własną walizką, nie żywym osobnikiem i towarzyszką pana Bernarda.

Ach! to nieznośne!... ten „pan Bernard“ nie chce mi się odczepić z języka i z pod pióra, a przecież nie tylko prawo, ale nawet obowiązek mam teraz porzucić tę sztywną etykietę, która między nami ustać powinna. Próbuję się przyzwyczaić do większéj konfidencyi i powtarzam sobie w myślach: Bernard, Bernard, Bernard!... a kiedy mi

się zdaje, że już jestem pewną swego, jakieś licho podsunie mi zaraz tego „pana,“ gdy się tylko do niego odezwę.

Zdaje mi się, że jemu to jest przykrém i tém bardziéj mi zależy na oduczeniu się téj formy ceremonialnéj, aby nie sprawiać przykrości komuś, co stara się być dla mnie bardzo dobrym, uprzejmym, grzecznym i delikatnym.

Ha, może się to zrobi tu w Gmunden; jest już duży postęp, bo często mówię do niego w jakiéjś nieosobowéj formie, która mi saméj śmieszną się wydaje. Bądź co bądź, nauczyłam się przynajmniéj być rozmowniejszą i nie siedziéć, jak mruk, przy nim, odpowiadając tylko kiwnięciem głową, albo jednozgłoskowemi wyrazami.

Miała ciocia słuszność, ze mnie jest szkaradne „czupiradło,“ ale cóż zrobić!... nie udałam się.

Siedzimy tu od czterech dni, mamy mieszkanie w ślicznym hotelu nad samém wybrzeżem z widokiem na jezioro i na góry, które co wieczór kokietują mnie cudownym rumieńcem po zachodzie słońca.

Nie wyobrażałam sobie, że to Alpenglühen jest tak piękne, tak urocze, ale tak krótkie, jak uśmiechy szczęścia...

Ciocię zapewne więcéj to obchodzić będzie, jak tu żyjemy i kogo spotykamy.

Otóż żyjemy, jak w jakiéj bajce: śniadania, obiady i podwieczorki jadamy na oszklonéj werendzie, która zachodzi aż w samo jezioro tak, że drobne i ciche fale Traunu łaszą się nieustannie u jéj podnóża i jakimś kocim ruchem wycierają

sobie grzbiety o ściany téj ogromnéj altany, w któréj nas karmią trzy razy na dobę.

Wujowi proszę nie mówić, że jadamy tu codziennie świeże pstrągi, bo nie będzie mógł zapewne odżałować, iż zamiast mnie, nie wydał siebie za Bernarda i nie odbywa z nim razem poślubnéj podróży.

Otóż pijemy rano nasz „Melange“ (białą kawę) i patrzymy na jezioro; jemy obiad, pijemy jakieś kwaśne austryackie wino, które ma być bardzo zdrowe, i patrzymy znowu na jezioro, a nad wieczorem przychodzimy tu po raz trzeci znowu jeść i znowu patrzéć na jezioro, które wydaje się spokojne na oko, ale ma w sobie coś, co je chwilami wzdyma, niby olbrzymią pierś jakieś bardzo ciężkie westchnienie.

Wczoraj mi się zdawało, że albo ryknie, albo zaszlocha z bólu, albo się rozpęknie i wyjdzie z téj szczeliny coś, jak straszny, tłumiony całą siłą i mocą jęk z jego tajemniczéj głębi.

Kelner nam mówił przy śniadaniu, że w nocy była burza gdzieś w górach; nic nie słyszałam, bo po kilku bezsennych nocach (tak się czułam znużoną czegoś i tak nie mogłam przywyknąć do hotelowéj pościeli) spałam po raz pierwszy tutaj, jak suseł.

To jezioro, to dotychczas moja jedyna i najmilsza znajomość; innéj nie pragnę i nie szukam.

Ułożyliśmy się z panem Bernardem... nie, z Bernardem (tak, na złość temu „panu“), z moim mężem Bernardem ułożyliśmy się, że nie będziemy tu poznawali nikogo, a gdy kto się do nas sam znęci,

to mu zrobimy taką minę, jaką „polnische Grafen“ robią zagranicą, aby się zaraz odczepił i stracił ochotę zabierania z nami bliższéj znajomości.

Spojrzałam na cztery kartki już zapisane i przyznam się cioci, że własnym oczom uwierzyć nie mogę, abym to jednym ciągiem ja sama tyle tego wysypała od razu.

No, no!... dziwne rzeczy.

Zkąd mi się wzięła taka pisana rozmowność, kiedy do niedawna myślałam, że gdzieś po drodze język zgubiłam. Ludzie, co na nas patrzali w Wiedniu i przyglądali się nam w wagonach, musieli nabrać chyba przekonania, że ja jestem niemową, a mój mąż moim lekarzem.

To nieśnośne, prawda?... Ach, moja ciociu, ja to wiem, ja to czuję, ja sobie to wyrzucam, ja pragnę to jakieś coś wyrzucić z siebie i Bóg mi dopomoże, że wyrzucę.

Tymczasem nie trzeba się mnie dziwić; byłam z natury zawsze trochę dziką wobec ludzi obcych, a teraz po raz pierwszy w życiu znalazłam się sam na sam poza domem z człowiekiem także prawie obcym, chociaż ten człowiek jest dzisiaj moim mężem i ma wszelkie do mnie prawa.

Tak jest, niestety, moja ciociu,—Bernard przestaje być dopiero dla mnie „panem Bernardem“ od chwili, gdyśmy się znaleźli sami, tylko we dwoje, tylko z sobą, bez tego tła salonowego, bez tego otoczenia, bez was wszystkich, którzyście nas ustawicznie okrążali i czyhali na każde nasze słowo.

Ja dopiero teraz, jako mężatka, zaczynam go

poznawać. To brzmi dziwacznie, prawda?... ale tak jest.

On w pewnym względzie podobnym jest do mnie; czy przez nieśmiałość jakąś, czy przez wielką delikatność, także milczy najczęściéj i tylko wpatruje się we mnie, obawiając się narazić natarczywszém słowem.

Pytał mnie już kilkakrotnie, czy nie chciałabym być samą, czy jego obecność zbytnio mnie nie utrudza, a pytał tak jakoś, żem się tego pytania zawstydziła i żal mi się go w głębi duszy zrobiło.

Jest w nim człowiek dobry, a zwłaszcza delikatny,—zaleta, którą zawsze najbardziéj ceniłam w mężczyźnie.

Naznosił mi tu już kwiatów, książek, gazet, fotografii, abym miała czém czas sobie zająć.

Sposób, w jaki się o to stara, podoba mi się.

Nie pyta, nie bada — chcesz? nie chcesz? — nie zgłasza się ze wszystkiém, ale jakby odgadywał moje życzenia i upodobania, spełnia je z jakąś pokorą niewolniczą (to brzydkie słowo, ciociu, lecz najtrafniejsze w tym wypadku). Stawia bukiet na stoliku przy mojém łóżku i odchodzi; przysyła przez posługacza hotelowego paczkę nowości z księgarni, zauważywszy tylko, że się wczoraj przed nią zatrzymałam, i po powrocie nie pyta nawet, czy je odebrałam.

Widział, że zaczęłam dziś rano czytać jakiś romans i przecięłam zaledwie pierwsze kartki przed pójściem do kąpieli; za powrotem znalazłam całą książkę przeciętą, a stronnicę założoną kwiatkiem.

To drobnostka, ale mnie to ujęło.

Szkoda wielka, żeśmy wcześniéj nie mieli sposobności, jak inne małżeństwa i inni narzeczeni, poznać się bliżéj przed ślubem.

Ale może się to teraz naprawi; dałby to Bóg!..“

Łanieckau trudziła się niemało, przeczytawszy cały ten list przez lornetkę, którą musiała kilkakrotnie odejmować od oczu, bo jéj ręka zemdlała; gorąco było przytém w salonie przy dniu upalnym, więc jak zwykle podczas upałów była senną, ociężałą i rozdrażnioną.

— Zawsze egzaltowana!—szepnęła z westchnieniem i schowała list do kieszeni.

Przyszło jéj na myśl, że nie będzie go mogła pokazać Sandsteinom ze względu na niezbyt ostrożne wynurzenia ich synowéj; postanowiła sobie, pisząc do Toli, zrobić jéj uwagę, aby w następnych listach unikała wszystkiego, co może być drażliwém dla osób trzecich.

Zanim wszelako zdobyła się na odpowiedź, w kilka dni otrzymała świeże wiadomości od siostrzenicy.

Tola w dalszym ciągu spowiadała się jéj ze swoich wrażeń i spostrzeżeń robionych nad mężem; ton jéj był już o wiele swobodniejszym, ale od czasu do czasu wyrywało się jéj z pod pióra jakiéś słówko, zdradzające jeszcze wewnętrzną rozterkę, do któréj przyznać się widocznie nie chciała.

„Dr Cieszyński miał słuszność—pisała,—zalecając mi spokój i większą troskliwość o moje nerwy; zaczynam dopiero tutaj uczuwać, że jestem

rozstrojoną, jak stara gitara. Tak sobie, na oko, niby nic; trudno poznać, że się we mnie kołki poodkręcały, ale broń Boże poruszyć struny!... zaraz z nich się odezwie kakofonia okropna. Kąpię się tu codziennie w jeziorze i pływam z Niemkami, które sapią, jak hipopotamy, a zęby wyszczerzają, jak foki, i mizdrzą się do mnie w wodzie okrutnie, odkąd Zimmermädchem w hotelu zdradziła wielką tajemnicę, że mam na chusteczkach od nosa, które wzięła do prania, monogram z tą nieszczęsną koroną hrabiowską.

Pani V... rozpłynęłaby się z radości, gdyby widziała, jaki tu efekt zrobiły jéj znaki na moich chusteczkach; mój klasyczny nosek nigdy takiego nie sprawiał wrażenia, co jego ukoronowana chusteczka.

Te kąpiele w Schwimmbadzie dobrze mi robią; czuję się orzeźwioną.

Podczas gdy ja się kąpię, Bernard wiosłuje i robi łodzią wycieczki po jeziorze.

Jest tu jedno miejsce, gdzie echo ślicznie powtarza wyrazy.

Słyszałam dziś rano, jak z czółna rozmawiał z echem i wołał moje imię, a echo powtarzało: „Tola, Tola!...“

Żeby to tak z sercem ludzkiém być mogło, moja ciociu!... ileżby szczęścia przybyło na świecie. Ale niestety, — krzycz, wrzeszcz, jak czajka, nie przyjdzie bajka.

Zdaje mi się, że nasz pobyt w Gmunden przedłużymy; coraz nam więcéj się tu podoba. Robię śliczne spacery brzegiem Traunu, gdzie tak zielo-

no, zacisznie i miło, że mi się ztąd nawet powracać nie chce do hotelu; po południu zwykle chodzimy we dwoje w inną stronę, wyżéj, zkąd prześliczna panorama na całe miasteczko i na moje ukochane jezioro.

Góry mnie nie męczą; jakieś poczciwe i grzeczne, same włażą pod nogi; prawda, że się jeszcze ani razu nie odważyłam na dalszą wycieczkę między te skały, które co wieczór teraz palą się iluminacyą na moją cześć, jak powiada Bernard.

Pierwszy to kompliment, jaki od niego usłyszałam, ale mówiąc mi go, sam się zarumienił i chrząkał, jak studencik, który się pannie oświadcza. Chciałam mu podać rękę w téj chwili, ale jakieś licho mnie powstrzymało; moje najlepsze intencye gasną, jak te liche zapałki, którym przy potarciu zaraz odpadają główki. Ciocia to powinna wiedzieć dobrze, bo mnie zna od dziecka.

Mieliśmy tu list od pani V., cały po francuzku, z wielkiemi czułościami i całą torbą nowinek warszawskich, które mnie dziwnie nic nie obchodzą, a tu zdaleka wydają się bardzo jałowe i zwietrzałe.

Proszę jéj — broń Boże — o tém nie mówić, bo miałaby do mnie śmiertelną urazę.

Dlaczego ona przypuszcza, że mnie takie *petitesses* obchodzą?...

Dzisiaj zwaliła się na nas cała lawina listów, głównie do Bernarda, tylko od cioci nie mamy ani literki.

Cóż głowa?... boli?... migreny przychodzą?... U was podobno niezmierne gorąca; wyobrażam so-

bie, jak cioci i wujaszkowi musi być niemiło na rozpalonym bruku. Cóż będzie z Grzędami?... nie wrócicie państwo na wieś?...

Kocham moje Grzędy, tak mi w nich dobrze było! Moja ciociu, proszę mi przysłać nowy adres Kulisza; chciałabym napisać do niego, to przecież jedyny mój przyjaciel, z którym tak dawno niepoczciwie nie porozmawiałam — tak „po naszemu,“ jak on powiada...“

W odpowiedzi na ten list, Łaniecka odpisała, skarżąc się na zdrowie i na ciężkie przejścia, jakie miał wujaszek; na samym wstępie wszelako poruszyła sprawę dalszéj korespondencyi.

„Moja droga Tolo, mam do ciebie wielką prośbę — pisała, — abyś w następnych listach była oględniejszą w wyrażeniach, szczególniéj co do familii twojego męża. Nie mogę im przecież pokazywać takich listów, jak dwa ostatnie, a trudno mi ciągle się zapierać, że nie odebrałam od ciebie żadnéj wiadomości. Vossowa codziennie mnie o to nagabuje i nie może wyjść z podziwienia, abyś do téj pory nie pisała wcale, a ja jestem w kolizyi, bo przyznać się nie mogę. Nużby zechcieli przeczytać?... Ty wiesz, jak oni są drażliwi. Może nie zwróciłaś na to sama uwagi, ale jest coś zwłaszcza w opisach waszego małżeńskiego pożycia, co *donne à penser* i co nie byłoby może przyjemném dla rodziców pana Bernarda. Ja nie wiem, może mi się to tylko tak wydaje, jednak moja droga Tolo, ty to sama zrozumiesz, że boję się zrażać do ciebie i do nas tych ludzi. Poczekajmy, może się ten stosunek jakoś wyklaruje, ułoży

i będziecie oboje szczęśliwi i bardziéj z sobą zadowoleni, niż dziś jesteście. Nie uwierzysz, moje dziecko, jak boleję nad tém, co czytam między wierszami twoich listów.

Niech cię Bóg wspiera i niech cię ma w Swojéj świętéj Opiece!...“

Po takiéj uwadze przecięła się nagle korespondencya Toli; nie mogła być szczerą więcéj w listach do ciotki, wolała nie pisać wcale.

Dopiero wypadek bardzo przykry zmusił ją odezwać się znowu do Łanieckiéj.

Do Gmunden niespodzianie zjechał hr. Adam z rodziną.

„Proszę sobie wyobrazić moją radość i moje zdziwienie w pierwszéj chwili—pisała Tola.—kiedym na esplanadzie podczas koncertu spotkała oko w oko wujaszka Adasia.

Szliśmy razem z Bernardem pod ramię, z powodu tłoku, bo na jeziorze dnia tego urządzano regaty i wszystko, co żyło, wyległo, aby się temu z brzegu przypatrywać.

Wujaszek szedł z wujenką i ze Zdzisiem; poznałam ich na kilka kroków i uśmiechnęłam się na powitanie, chcąc się zbliżyć, jak do swoich, ale wujaszek Adaś, zobaczywszy nas oboje, poczerwieniał, jak rak, zchmurzył się i odwrócił umyślnie, aby udać, że mnie nie widzi.

Zrobił mi ten afront!

Stanęłam, jak wryta; nogi się podemną zatrzęsły.

Niepodobna, aby mnie nie poznał, bośmy się natknęli na siebie prawie nos w nos; zresztą, sły-

szałam, jak Zdziś do ojca zawołał: „Tola,“ ale wujaszek Adaś pociągnął go za ramię z pasyą i skręcił szybko w bok.

Bernard, który nie zna nawet z widzenia wuja ani wujenki, nie zauważył tego i zaniepokoił się tylko wyrazem mojéj twarzy; musiałam skłamać przed nim, że mi się słabo zrobiło, aby zataić prawdziwy powód mego zmieszania. Chciałam oszczędzić mu upokorzenia, którego sama doznałam.

Piszę do cioci, trzęsąc się jeszcze cała pod wrażeniem tego spotkania.

Tak, odgadłam dobrze, iż wujowstwo dali mi do zrozumienia, że nie życzą sobie zbliżenia ze mną, a raczéj z nami. Jako pani Sandstein przestałam dla nich istniéć, przestałam należéć do ich rodziny, ubliżam ich błękitnéj krwi!... Dali mi to do poznania w sposób tak dotkliwy, że gdybym była mężczyzną, nie puściłabym tego płazem.

Mogło się wujowi nie podobać moje małżeństwo; nic go nie zmusza do utrzymywania z nami bliższych stosunków, ale swoją rodową dumę mógł poświęcić na tyle, aby uczynić zadość prostéj przyzwoitości i skinąć mi głową, jako swojéj siostrzenicy, a mężowi memu podać rękę przy poznaniu.

Koronaby mu z głowy nie spadła!...

Mam ciągle jakieś gorzkie, gryzące łzy w oczach i w sercu, a wstydzę się płakać głośno. Bernardowi mówię, żem niezdrowa, ale zdaje mi się, że mi nie wierzy i Bóg wie, co sobie myśli, a to teraz właśnie naszego stosunku nie ułatwia, ani nie naprawia.

Nie wyobrażałam sobie, że tak głęboko będę dotknięta takim wypadkiem. Ale czyż ja się tego spodziewać mogłam!...“

I tego listu tém bardziéj nie wypadało pokazać nikomu z rodziny Sandsteinów.

Łaniecka czuła się dotkniętą nie mniéj od Toli postąpieniem hr. Adama i byłaby do niego napisała z wyrzutami, chociaż, znając brata, mogła wiedzieć z góry, że list żadnegoby skutku nie odniósł.

Nie chodziło w gruncie rzeczy tyle o przykrość, wyrządzoną siostrzenicy, ale obeszło ją to, jako pośrednio interesowaną; była przecież także w znacznéj części swatką w tém małżeństwie, które tak obeszło wuja Toli, strzegącego jedynie rodowego honoru i nazwiska Zabiełowskich.

Pobiegła też natychmiast z listem Toli do męża, aby się przed nim wyżalić.

Łaniecki list przeczytał, skrzywił się, przetarł sobie oczy, że mu aż poczerwieniały, i wbrew jéj spodziewaniu rzekł:

— No cóż, ma racyę!...

— Jasiu!—wyrwało się z ust żony, która ze zgrozą spojrzała na niego urażona; — ma racyę, powiadasz?...

— A naturalnie.

— Jakto?...

— Ma racyę, że się nie chce poznawać z Sandsteinami; to nie dla niego znajomość. Czy my mamy udawać z sobą, we cztery oczy!?... od żydów najlepiéj zdaleka. Zawsze miałem to samo przekonanie i do końca życia nie będę mógł odżałować, żem wlazł w tę sferę. Dużo mi z tego przy-

szło?... oszukali, wyzyskali, narazili mnie wobec wszystkich, żeby chociaż było za co!... Tak, tak, nie patrz się na mnie takiemi dużemi oczyma, bo sama to dobrze rozumiesz.

Łaniecka od pewnego czasu nie poznawała męża.

— Co się z tobą stało, Jasiu!... — powtarzała teraz za każdym razem, podnosząc swoje okrągłe, szerokie, tłuste ramiona w górę. — Mówisz podrażniony, kostyczny, zły jakiś, chyba wbrew własnemu przekonaniu.

— Et!... ty wiesz swoje, a ja swoje, moja Helenko,—zbywał ją tonem opryskliwym.—Straciliśmy przez nich wszystko, opuścili nas w najważniejszéj chwili, kiedy mieli psi obowiązek mnie ratować, dopuścili do licytacyi, odkupili nasz majątek i zarobili na nim, a dzisiaj śmieją się jeszcze w oczy, i ja mam ich w sercu nosić, mam być dla nich słodki i grzeczny. *O, jamais de la vie!*... Między panem Sandsteinem a mną wszystko raz na zawsze skończone. Politykować—politykuję, bo tego nie okażę, że mu ten zaszczyt robię... i... i...

Nie wiedział sam dobrze, na czém właściwie ów zaszczyt polega, więc urwał, machnąwszy ręką i pogroziwszy całą pięścią „podłemu mechesowi:“

— *Il aura encore un quart d'heure désagréable avec moi!*—zakończył,—zobaczysz.

— Jasiu, Jasiu, hamuj się, jak mnie kochasz!—mitygowała go żona niepotrzebnie, bo ten siarczysty animusz opuszczał jéj Jasia zawsze w obecności Sandsteina, przy którym „politykował“ tak zręcznie, iż trudno się było domyśléć nawet owéj

bezdennéj urazy, zwłaszcza gdy chodziło o nową zaliczkę na rachunek tantyemy w „Tanim kredycie.“

Jakkolwiek posada dyrektora wydawała mu się ubliżeniem, ofiarą, którą z siebie robi, degradacyą, na jaką go naraził los, „Bóg wie, za jakie grzechy,“ starał się ten krzyż Pański na swoich obywatelskich barkach nosić najwygodniéj i najkorzystniéj.

Od chwili mianowania na tym urzędzie, przybrał jakiś ton wyniosłéj powagi i godności, zadzierał nos do góry, miał minę dygnitarza wielkiéj instytucyi, która jemu jednemu zawdzięczała swoje istnienie.

Wymówił sobie z samego początku, że musi godnie reprezentować swoje dyrektorstwo, bo inaczéj nie mógłby przyjąć tego tytułu i stanowiska, zażądał osobnéj kancelaryi, umeblowanéj niby biuro jakiego ministra, osobnego woźnego do wyłącznych usług i kogoś do pomocy, któryby w nawale pracy był „prawą ręką“ pana dyrektora.

Sandstein z uśmiechem zgadzał się na te wszystkie warunki, powtarzając tylko:

— Dobrze, dobrze, bądźcie spokojni, wszystko będzie w porządku, kochany dyrektorze.

Brzmiała w tych ostatnich wyrazach jakby nuta lekkiéj ironii, na któréj wujaszek-synekurzysta udawał, że się nie poznaje, choć uśmiech Sandsteina i ton protekcyonalny, z jakim go od dłuższego już czasu traktował, bywał powodem niemałéj jego irytacyi.

Stary hrabia nie chciał się za nic w świecie

zgodzić na wprowadzenie zięcia do „Taniego kredytu," robił Sandsteinowi nawet wymówki, że proteguje Łanieckiego na posadę tak wybitną.

— Mój drogi, mój drogi, po co się angażować z człowiekiem, któremu zaufać nie można? — mówił zirytowany,—przecież to darmozjad, leniuch, nieużyty wałkoń, chociaż mój zięć. Co nam z niego!... „Tani kredyt" nie jest przytułkiem dla bankrutów; to wprawdzie instytucya filantropijna, jak powiadasz, ale nie dobroczynność. Mój drogi panie Sandstein, wybierz kogoś solidniejszego, bo pożałujesz, pożałujesz, jak cię poważam!

— Niech się dziadzio nie obawia—ze śmiechem uspokajał go twórca filantropijnéj instytucyi, która miała przynieść co najmniéj 20% dywidendy,— nasz Jaś spisze się dobrze; nie będzie miał i tak nic do roboty; przecież to dyrektorstwo, to tylko ładny tytuł.

— To po co w takim razie taka duża pensya?... po co obciążać etat?...

— Po co?... po to właśnie, aby zięć pana hrabiego nie sprawiał swojemu teściowi kłopotu. Od tego przecież są rady zarządzające.

— Aj, ten Łaniecki, ten Łaniecki!.. — biadał hrabia swoim zwyczajem, — proszę cię przynajmniéj, weź go całkiem na swoją odpowiedzialność, niech ja nawet o nim nie słyszę!...

— No, dobrze, dobrze, już ja go wezmę na własną odpowiedzialność, żeby tylko dziadzio był spokojniejszy.

Stary spojrzał z niedowierzaniem na Sandsteina.

— Ty jesteś bardzo poczciwy, mój drogi, bardzo! — rzekł, kiwając głową jakby ze wzruszeniem, a po chwili zmienił temat rozmowy i spytał:

— Cóż tam słychać z twoimi wojażerami?... gdzie teraz bawią?... piszą do was często?... Tola zdrowa?...

Niewiadomo zkąd mu się zebrało na tę troskliwość, która Sandsteinowi zrobiła niespodziankę.

— Zawsze jeszcze siedzą w Gmunden — odrzekł, — bo im się tam najlepiéj podobało, a piszą nie wiele, bo to jeszcze miodowe miesiące.

— W Gmunden są?...

— Tak.

— Aa?... to się musieli spotkać z moim synem. Ty, panie Sandstein, nie znasz mojego Adasia?...

— Nie miałem zaszczytu do téj pory, ale mam nadzieję...

Stary hrabia zaciął usta pokrył jakiś grymas, który na nie wystąpił.

— To bardzo porządny człowiek — rzekł po chwili, —aleby ci się nie podobał. Trochę dziwak, nieprzystępny, trudno go osiodłać; ma swoje muchy w nosie. Nawet ja nie umiem sobie na pewnych punktach z nim poradzić... Więc nie wspominali ci, że go spotkali?... — zagadnął powtórnie Sandsteina, — miał być w Gmunden z rodziną swoją...

— Nic nie słyszałem.

— Patrzaj, patrzaj!...

Zamyślił się i mruknął, jakby do siebie:

— Tak, tak, to dziwak ten mój Adaś.

Potém, nagle podnosząc głowę i przybrawszy minę jowialnie dobroduszną, rzekł:

— Wiesz co?... nie licz na niego wcale.

Sandstein, nieprzygotowany na taki zwrot, spytał ze zdziwieniem:

— Pod jakim względem?...

— Pod jakimkolwiek. Nic ci z niego nie przyjdzie. Arystokrata!...—dodał z pewnym naciskiem na ten wyraz, jak gdyby chciał nim powiedzieć wiele rzeczy, zostawionych domyślności finansisty.

Sandstein uśmiechnął się jakoś dwuznacznie i odparł:

— Chyba nie większy od swojego ojca?...

— O, większy!... jak cię kocham, większy! — śmiejąc się także, zapewniał hrabia — nic z nim nie wskórasz.

Wstał i o lasce zaczął się przechadzać po swoim gabinecie.

— To człowiek średniowieczny jeszcze, — mówił w dalszym ciągu—w nim płynie błękitniejsza krew, niż w nas wszystkich. Ja się z nim spieram bardzo często i lubię go irytować, bo mnie to bawi, ale nie próbuję go nawet przekonywać. Toby się zresztą na nic nie zdało. W niektórych punktach ja jestem młodszy od niego i bardziéj postępowy; bo ja jestem postępowy, prawda mój drogi?... ja nie mam przesądów, a on ma, o ma!... i jakie jeszcze! To bieda, ale cóż robić?... Każdy ma prawo mieć swoje poglądy i przekonania. Ja będę miał z nim jeszcze dużo kłopotu, gdy wróci. Ale, ale... mój drogi, prosiłem cię już, abyś mnie,

broń Boże, nie zdradził, że mam tam jakiś udział w twoim Kredycie. Pamiętaj!... Co jest między nami, to nikomu nic do tego. Przed Adasiem nie przyznam się nawet, że z tobą szachruję i miewamy konszachty jakieś, bo onby mi zmył głowę okrutnie i pogniewał się śmiertelnie. Dałeś mi słowo, że będziesz milczał, prawda?... Za to ja mam do ciebie jednego teraz zaufanie. Pfu!... jak mi od pewnego czasu zatyka czegoś w piersiach, ale to pewnie dla tego, że upał, a tu duszno. Duszno?... co?... czy mi się tylko zdaje?...

Odetchnął ciężko, jakby go coś dławiło.

— Czemu pan hrabia nie każesz otwierać okien?...

— Bo przeciągi, cugi mi szkodzą, boję się zaziębić; zresztą z ulicy kurz idzie do pokojów, a tu i tak niéma komu sprzątać.

Zaczęli rozmawiać o rzeczach obojętnych, ale Sandstein był czegoś urażony i przeżuwał coś w myślach; ubodła go ta zapowiedź hrabiego i jakby ostrzeżenie, aby nie liczył na stosunek z jego synem arystokratą.

— Cóż to, on się mnie wstydzi?—myślał—pieniądze swoje mi zawierza, a nazwiska nie chce?...

Z tych półsłówek, maskowanych tonem niby żartobliwym, dorozumiał się, że mu chciano dać do poznania, iż są nawet w téj saméj rodzinie pewne granice, poza które nie powinien się cisnąć i że nie wszystko potrafi okupić swemi pieniędzmi.

Odezwała się w nim drażliwa buta dorobkiewicza.

Gdyby był wiedział, iż ten sam hr. Adaś, na

którego nie miał wcale liczyć, według wyznania jego ojca, uniknął już spotkania z Tolą i Bernardem i po prostu odwrócił się od nich, jakby z odrazą, byłby jeszcze bardziéj dotkniętym.

Na drugi dzień hrabstwo Zabiełowscy opuścili Gmunden i pomimo pierwotnego zamiaru spędzenia tam kilku tygodni, wyjechali do Ischl, aby nie narażać się na powtórne zetknięcie z młodém małżeństwem.

Tola omal nie przechorowała tego wypadku; trawiła ją tém więcéj odczuta obelga, że nie mogła zwierzyć się przed mężem i powiedziéć mu:

— Czy wiesz, że mój wuj, rodzony brat mojéj matki, znać mnie nie chce dlatego tylko, iż poślubiłam ciebie, bo nosisz pospolite nazwisko: Sandstein, które mówi zbyt wyraźnie o twojém pochodzeniu, boś wyszedł ze sfery, którą on — pan i arystokrata, pogardza!...

Bernard spoglądał na żonę badawczo, ale pytać nie śmiał o powód téj wewnętrznéj rozterki, którą odgadywał.

— Czy nie nuży cię już pobyt w jedném miejscu? — zagadnął ją któregoś dnia. Może mamy pojechać daléj?... może wolałaby pani moja morze zamiast gór?... Proszę otwarcie powiedziéć.

Nie podniosła na niego oczu i zasępiona siedziała na balkonie hotelowym, patrząc na jezioro.

— Wszystko mi jedno,—odrzekła.

Przez kilka dni, pod pozorem niedyspozycyi, nie chciała wcale wychodzić z domu, unikała spotkania się z wujem, nie wiedząc, że on wcześniéj usunął się z Gmunden, aby nie narazić się

na widok, sprawiający mu tyle irytacyi i przykrości.

Po całych godzinach siadywała z książką na kolanach, zapatrzona w jedną stronnicę; udając, że czyta—rozmyślała nad czémś nieustannie.

W tych zadumach swoich miała wyraz głęboki, surowy, który niepokoił Bernarda; najbardziéj dokuczało jéj to duchowe odosobnienie, ten brak kogoś drugiego, przed kim mogłaby się zwierzyć, wywnętrzyć, wyspowiadać ze swoich myśli, uczuć, utrapień.

Była samą, zostawioną tylko sobie, jakby wśród pustki, jakby zbłąkana, nie mając żadnéj drogi przed sobą.

Wieczorami, wśród ciszy górskiéj, wiatr przynosił jéj dźwięki cytry z góralskich domków, z których rozbrzmiewały melancholijne laendlery i ludowe piosenki. Wtedy cisnęły się jéj do oczu łzy, ale szybko zcierała je powiekami, aby nawet na rzęsy się nie dostały.

Bernard siadywał w pokoju przy oknie, paląc cygaro i nie odzywając się do niéj, również zatopiony w swych myślach; o ile nie uważała tego, przypatrywał się jéj przez szczelinę między oknem a framugą, badając tylko w milczeniu zagadkowy wyraz jéj twarzy.

Pewnego wieczoru, zdziwił się, kiedy zobaczył żonę podchodzącą do niego pierwszą z jakimś smutnym uśmiechem na ustach.

— Nudzisz się—rzekła,—musiało ci się sprzykrzyć już Gmunden?...

Zerwał się szybko i stanął przed nią wyprostowany.

— Mnie? — spytał, — o mnie mniejsza!... ale... zdaje mi się, że ten pobyt dla ciebie stał się już mało zajmującym. Czy nie chcesz, abyśmy pojechali do Nizzy, a może wolałabyś do Szwajcaryi?

Zatrzymała się chwilkę i odpowiedziała:

— Wolałabym wrócić do domu.

— Do Warszawy?

— Tak.

— A zdrowie twoje?

— Czuję się już dobrze, o wiele lepiéj, niż wyjeżdżając.

— Jeżeli każesz...

— Proszę.

Bernard skłonił głowę, zadzwonił na kelnera i nie usiłując namawiać żony do pozostania, kazał wszystko na jutro przygotować do wyjazdu.

Zgodził się na powrót do Warszawy z widocznem zadowoleniem; to życie sam-na-sam, we dwoje, które bywa marzeniem par zakochanych i najwdzięczniejszym początkiem każdego małżeństwa, sprawiało na nim wrażenie czegoś przygnębiającego.

Czuł się zawsze dziwnie skrępowanym i niezaradnym wobec téj niedostępnéj kobiety, która była jego żoną, a z którą ani razu dotąd nie porozmawiał szczerze i otwarcie, nie wymówił do niéj słowa: „kocham“ i nie usłyszał go z jéj ust nawzajem.

W jakiéjś książce z czasów studenckich czytał przygodę pewnego podróżnika, który wpadł do

dołu, a przypadek strącił następnie w tę samą jamę młodą tygrysicę; siedzieli tak naprzeciwko siebie kilka godzin, które się jemu całemi wiekami wydały, mierzyli się badawczo oczyma, nie śmiąc się zbliżyć i poruszyć, jak zahypnotyzowani oboje.

Los sprawił sobie podobną igraszkę, łowiąc w małżeński samotrzask jego i tę drugą ofiarę; przestawał się łudzić, że potrafi oswoić tę oporną, dızynajmniéj względem niego naturę, że pozyska jéj zaufanie tak łatwo i usunie tę jakąś niewidzialną zaporę, która ich rozdzielała.

Więc to się nazywało małżeństwem, to miało być szczęściem, które mu obiecywano, do którego go jakby z zawiązanemi oczyma prowadzono?... Wiedział, że w świecie nie wszystkie pary kojarzą się przez miłość, że istnieją związki z konwenansu, ale poznał teraz, że do nich potrzeba odpowiednio usposobionych lub przygotowanych natur, pewnych koniecznych ustępstw, z jednéj chociażby strony.

Sobie nie miał nic do wyrzucenia.

Nie chciał brutalnie zdobywać praw, do których pozyskał tytuł, zaślubiając przed ołtarzem Tolę — ale które potrzebowałyby jeszcze jéj zatwierdzenia, a ona odwołała się do jego szlachetności i delikatności uczuć, żądając, aby z niéj nie czynił—niewolnicy małżeńskich obowiązków.

I skutkiem tego z owéj pierwszéj nocy poślubnéj pozostała między nimi tajemnica, któraby była oburzeniem przejęła ciocię Voss, gdyby się była dowiedziała, że synowiec jéj, nie zdejmując

nawet fraka i białego krawatu, spędził owych kilka godzin do przyszłego ranka na fotelu w salonie, sam ze swemi myślami, po pierwszéj rozmowie z żoną, prowadzonéj bez świadków.

Nie byłaby téż nigdy zrozumiała tego pani Emilia, ani wiele kobiet jéj podobnych, iż to młode małżeństwo, tak dobrane z pozoru, mogło stanowić anomalię swego rodzaju i istniéć jedynie pozorami związku małżeńskiego, w którym mężczyzna zdobywał się nawet na przesadny dowód szacunku i abnegacyi względem kobiety, domagającéj się takiéj po nim ofiary.

Natura jéj nie umiała od razu pogodzić się z konsekwencyami uczynionego kroku; przy wrodzoném poczuciu niepodległości, ale przy braku dosyć hartownéj woli narażała się na zawikłania i kolizye, których następstw logicznie nie rozbierała wcale.

— Mogłabym znienawidziéć człowieka, któryby chciał mnie posiąść wbrew mojéj woli—powiedziała Bernardowi stanowczo ze złowrogim błyskiem oczu, który go niemal przeraził. — Jestem żoną pańską, wiem o tém, ale zaklinam pana na spokój i szczęście naszéj przyszłości wspólnéj, pozostaw mi do czasu jeszcze moją wolność. Kiedyś wytłómaczę się panu jaśniéj, a tymczasem wierzaj mi, że wdzięczność moja więcéj panu zapewni korzyści, niż bez niéj wszystkie prawa, jakie nabyłeś dziś do mnie przy ołtarzu.

Nie umiała mu powiedziéć, że dopóki nie pokocha go i nie przywyknie do więzów, które włożyła na siebie, dopóty nie potrafi należéć do niego

całkowicie, bez wszelkich zastrzeżeń; nie przypuszczała sama, iż do tego stopnia nie będzie mogła się przemódz i wbrew téj dziwacznéj, nerwowéj, drażliwéj naturze nie zdoła spełnić wszystkich konsekwencyi, jakie pociągało za sobą małżeństwo—bez miłości.

Natrafiła szczęśliwie na wyjątkową wyrozumiałość i uległość Bernarda, który jakby instynktownie przeczuwał, czém należy mu najskuteczniéj zdobywać ją; pozostał nadal jako mąż w téj pełnéj szacunku i delikatności rezerwie, którą dawniéj zachowywał jako narzeczony.

Czekał i zdobywał tę „wdzięczność,“ którą mu zapowiedziała żona po ślubie, ale czas mijał, a stosunek z Tolą nie zmieniał się na lepsze; okres próby przedłużał się coraz bardziéj.

Samotny pobyt we dwoje za granicą nie zaprowadził upragnionych zmian; obecność kobiety młodéj, pięknéj, ponętnéj tyloma urokami, a zawsze jednako niedostępnéj i niezdobytéj największém nawet poświęceniem z jego strony, drażniła go; sytuacya tak niezdecydowana wyczerpywała powoli jego cierpliwość.

Doznawał dziwnego uczucia zawodu i znużenia.

Od chwili zwłaszcza, gdy spotkanie Toli z wujem Adamem jéj wrażliwą, jak mimoza, naturę tak bardzo dotknęło i znowu cofnęło dokonywającą się już przemianę w jéj wnętrzu, stosunek między młodymi małżonkami nabrał jeszcze więcéj tego cichego rozdźwięku, który istniał od początku.

Można było temu zaradzić, ale środek tak pro-

sty, jak porozumienie się w jednéj szczeréj, poufnéj, niekrępowanéj niczém rozmowie, nie nastręczał się ani Toli, ani Bernardowi, bo obojgu brakło tego pierwszego słowa, któreby jak iskra elektryczna przeskoczyło z serca do serca.

Każde tonęło w trawiącéj sferze swych własnych myśli i uczuć, odosobnione od siebie i pozbawione wspólnych punktów zetknięcia, na których porozumienie wzajemne byłoby możliwém.

W umyśle Toli jednak widok męża zasępionego coraz bardziéj, odsuwającego się od niéj coraz daléj, niżeli sama z początku pragnęła, zaczął budzić refleksye i przez tę sprzeczność, tak częstą w naturach kobiecych, nawet bardzo niepospolitych, rozpoczynała się w niéj reakcya.

Bernard cichy, potulny, posłuszny, jak niewolnik, Bernard zrezygnowany, wyrzekający się dobrowolnie wszystkiego, przemawiał mniéj do jéj istoty, nie zajmował jéj głębiéj, istniał, jak cień jakiś bezcielesny, któremu odmówiła racyi bytu przy sobie.

Ale z chwilą, gdy na uczynioną propozycyę wyjazdu z Gmunden dostrzegła w jego twarzy błysk nagły zadowolenia, jakby radości, że powróci do Warszawy i wyswobodzi się z téj jakiéjś niewolniczéj sytuacyi, tknęło ją coś, z czego na razie nie mogła sobie zdać sprawy.

— Jesteś zadowolony, że już wracamy?—spytała go.

Nie odwrócił się do niéj wcale i głosem zimnym odparł:

— Jestem.

Dźwięk tego głosu dziwnie zabrzmiał w jéj uszach; mimowoli wyrwało się jéj z ust zapytanie:

— Dlaczego?...

Przez chwilę długą czekała na odpowiedź, ale mąż jéj nie dawał; zbył ją milczeniem, jak gdyby pytania tego wcale nie zauważył.

Po raz wtóry nie śmiała go jednak w téj kwestyi zagadnąć.

Pod pozorem załatwienia rachunków hotelowych wyszedł z pokoju i zostawił ją samą; widziała jednak z balkonu, że z cygarem w ustach poszedł w stronę jeziora i w zapadającym zmroku wieczornym zginął jéj z oczu.

Wrócił dopiero po upływie całéj godziny i jak zwykle usiadł przy oknie swojéj sypialni, nie przemówiwszy do niéj ani słowa.

Zdawało się jéj, że na twarzy jego dostrzega wyraz zniecierpliwienia, jakiego dotąd nigdy jeszcze nie zauważyła.

Siedziała przy stoliku, na którym płonęła lampa i przeglądała angielskie ilustracye.

Nie wiadomo dla czego, cisza i milczenie, które co wieczór przecież zalegały ich mieszkanie, draźniły ją dzisiaj.

Podparła głowę i westchnęła głęboko i tak głośno, że sama zwróciła na to uwagę.

Bernard nie ruszył się z miejsca.

— Czy jedziemy jutro rannym pociągiem?— spytała go po chwili z drugiego pokoju.

— Tak, rannym.

— Do Gracu?

— Do Gracu.

— A potém do Wiednia?

— Uhm.

Zakrawało to, jakby próbowała rozpocząć obojętną rozmowę, ale mruknięcie Bernarda odjęło jéj ochotę do dalszych zapytań.

Wstała i splotła palce u rąk, zwiesiwszy głowę w zamyśleniu, a potém, jakby się ocknęła, jeszcze raz spróbowała szczęścia.

— O któréj wychodzi pociąg ranny?

— O piątéj, minut dziesięć.

— O piątéj?... tak wcześnie?

Brwi jéj zadrgały i zciągnęły się z wyrazem niezadowolenia, które odnosiło się więcéj do tonu, w jakim jéj mąż odpowiadał, niż do tak wczesnéj godziny wyjazdu.

— Czy zadzwonić na Marie?—spytał z kolei Bernard.

— Po co?

— Aby ci pomogła rozebrać się...

— Dziękuję, obejdę się bez niéj.

Podeszła ku drzwiom, przedzielającym oba pokoje i zamykając je, jak codziennie, rzekła:

— Zatém dobranoc.

Powiedziała to jednak jakoś ciszéj i inaczéj, niż zwykle; brzmiało w tym głosie coś smutnego.

Na drugi dzień powóz hotelowy odwoził przed piątą na dworzec poblizkiéj stacyi młode małżeństwo, wracające z poślubnéj podróży.

Tola była niewyspaną i wyglądała blado, Bernard spoglądał po górach i zdawał się żegnać je ostatniém spojrzeniem.

Nie przemówili jednak do siebie ani słowa.

Od jeziora płynął świeży, wilgotny powiew, ale dzień zapowiadał się upalny.

W wagonie pierwszéj klasy było duszno; siedzieli sami w przedziale, do którego posługacz kolejowy wniósł podręczne walizki i kwity na bagaż.

— *Wünsch' Euer Gnaden glückliche Reise!* — rzekł, zatrzaskując drzwiczki i uśmiechając się do młodéj pani.

Obok jakieś liczniejsze towarzystwo żegnało smukłą blondynkę z bukietem białych róż w ręce i przystojnego rotmistrza od huzarów; na peronie stała widocznie rodzina i prowadziła głośną rozmowę, z któréj łatwo było wywnioskować, że odprowadza parę szczęśliwych nowożeńców, którzy się wczoraj dopiero pobrali, a dzisiaj odjeżdżają do siebie na własne gospodarstwo.

— A piszcie zaraz! — upominała nieustannie z troskliwém zaniepokojeniem matka, dama o arystokratycznych rysach, wpatrująca się wilgotnemi od łez oczyma w delikatną twarzyczkę córki, którą z pod jéj skrzydeł uprowadzał w świat uszczęśliwiony zięć w mundurze oficerskim.

— *Du, sei artig!*—półgłosem przestrzegał ojciec o sumiastym wąsie i szpakowatych bokobrodach, z miną byłego wojskowego, zmrużając jedno oko ku zięciowi, jakby mu po koleżeńsku polecał w drodze szczególniejsze względy dla jego towarzyszki życia i podróży.

— Nie bójcie się tylko, Liza będzie zadowoloną i dojedzie zdrowiutenieczką na miejsce,—zapewniał dziarski rotmistrz, obejmując z czułością

w pół swą smukłą żonkę, którą jakiś kuzyn z naciskiem nazywał: *baronesse*, jakby tym nowym tytułem chciał jéj szczególniejszą sprawić przyjemność.

— Dzieci, pocałujcież się przy nas jeszcze raz!—wołał jowialny papa zachęcająco, utrzymując umyślnie dobry humor przy rozstaniu.

— O, z największą przyjemnością! — odpowiadał, śmiejąc się głośno zięć i bez ceremonii wyciskał na świeżych ustach swojéj Lizy gorący pocałunek;—będziemy to czynili na waszą pamiątkę przez całą drogę. Daję wam na to najświętsze słowo honoru.

— *Du, sei nur hübsch artig!* — upominał wszelako z palcem podniesionym do góry teść pana rotmistrza.

Trzeci dzwonek się odezwał, lokomotywa gwizdnęła, młode małżeństwo wychylone przez okno ćwierkało, jak para odlatujących wróbli, a z peronu wiano ku nim kapeluszami i chustkami na pożegnanie.

Tola, wciśnięta w sam kąt wagonu, przez szybę przypatrywała się téj scenie z pod oka; obok stał Bernard i że smutkiem spoglądał na szczęśliwe fizyognomie swoich sąsiadów.

Przypomniał mu się prawdopodobnie jego własny wyjazd w podróż poślubną z Tolą i ta różnica nastroju, w jakim uwoził żonę z pod skrzydeł swojéj rodziny.

Pomimo łoskotu kół, z poza przedziału dochodziły pojedyncze wyrazy głośnéj rozmowy, jaką zostawszy sami, prowadzili nowożeńcy, szczęśliwi,

zadowoleni, weseli, zapominający o całym świecie w tych ciasnych ścianach aksamitnéj klatki wagonu, mieszczącego pod jednym dachem dwie tak różne pary małżeńskie.

Tola ze spuszczonemi oczyma siedziała naprzeciw męża, oparłszy końce swych pantofelków na przeciwległéj ławce.

Odgłos śmiechów, rozmowy i pocałunków za przegrodą, wyrazy czułości powtarzane to ciszéj, to głośniéj, milknące frazesy, jakby szeptane do ucha przez szczęśliwego męża ukochanéj towarzyszce, sprawiały na Toli wrażenie czegoś, co ją mieszało i upajało, wstydziło i rozciekawiało zarazem.

Tak wygląda prawdziwe szczęście małżeńskie, tak przemawia miłość i rozkosz pierwszych dni poślubnych, takie upojenie daje wzajemność uczuć...

A ona?... czyż zaznała tego?...

Na twarzy jéj przykry i bolesny zarazem wyraz zmienił jéj rysy.

Rzuciła spojrzenie na Bernarda i spotkała się z jego oczyma, wpatrzonemi w nią dziwnie jakoś badawczo, a jakby ze smutkiem i wyrzutem niemego żalu.

Zarumieniła się i wstrząsnęła nerwowo.

Pociąg pędził daléj po szynach wśród górzystéj okolicy, wpadał w tunele z hałasem i łoskotem, staczał się w doliny i dysząc ciężko wspinał się po krawędziach stoków porosłych gąszczem i lasami.

Słońce ciekawie i natarczywie wciskało się przez szyby do wnętrza wagonu, złotemi blaskami ćmiąc oczy Toli i Bernarda.

Oboje podnieśli się, aby zapuścić zieloną storę; ręce ich spotkały się przypadkiem i przez chwilę dotknięcie to, jakiémś dziwném, przejmującém odbiło się w nich wrażeniem.

W drugim przedziale zadźwięczał srebrny śmiech młodziutkiéj baronowéj i słowa:

— Nie, Karolu, nie!... nie całuj mnie nigdy za uszkiem, bo ja tego nie znoszę; proszę cię, bądź posłusznym!... *hübsch artig sein*, pamiętaj, co ci papa nakazywał!...

X.

Dwa telegramy otworzyły w domu państwa Sandsteinów pole do domysłów, które jednak nie trafiły na właściwą przyczynę tak nagłéj zmiany postanowienia co do powrotu młodéj pary.

Pierwsza depesza wysłana z Gmunden brzmiała krótko:

„Wyjeżdżamy ztąd jutro rano, będziemy w Warszawie około niedzieli.“

Zamiast przyjazdu zapowiedzianego telegraficznie, nadeszła wszakże druga depesza z Wiednia:

„Zmieniamy projekt, wracamy w Alpy.“

Pierwszy raz na podpisie połączyły się imiona Bernarda i Toli.

— Oboje razem już telegrafują, — zauważyła Sandsteinowa.

— Cóż w tém dziwnego?—spytał mąż, nie zrozumiawszy téj uwagi, która nasunęła się jedynie przenikliwości macierzyńskiéj i kobiecéj.

— No nic, ale dotychczas Bernard sam tylko telegrafował i pisał, on osobno, ona osobno, a dzisiaj odezwali się we dwoje.

— Co to znaczy, że nie wracają, skoro mieli przyjechać?... może jéj się gorzéj zrobiło?

— Dlaczego miało się jéj gorzéj zrobić?... Przecież źle dotąd nie było. W ostatnim liście Bernard wspomniał wyraźnie o jéj zdrowiu. Nic jéj nie jest. Za mało mieli miodowych miesięcy i chcą je pewnie przedłużyć.

— W każdym razie taka nagła decyzya...

— Z pewnością nie z winy Bernarda, tylko jéj — wtrąciła gorliwie pani Eleonora, jakby w obronie syna.

— Młode mężatki miewają swoje kaprysy w tym czasie,—rzekł Sandstein, stając po stronie synowéj, i spojrzał na żonę, która wzruszyła ramionami, zmarszczyła czoło i z jakimś grymasem na ustach szepnęła:

— No, na to się jakoś nie zanosiło do téj chwili.

— Wiesz, Lorcia, ty to takim tonem mówisz, jakbyś miała pretensyę, żeś nie została jeszcze babką, — zawołał mąż ze śmiechem; — poczekaj, dopiero kilka miesięcy, odkąd się pobrali. Ja ci powiem, że nawet kontent jestem z tego, że nie wracają. W Grzędach jeszcze roboty nie skończone, dopiero wytapetowali pokoje od frontu, meble nie zmienione, oranżerya zaledwie oszklona. Niech wrócą, gdy wszystko będzie zrestaurowane; urządzimy im uroczystą instalacyę z obiadem, poświęceniem domu, zabawą ludową etc., etc. Zobaczysz!... ja już o tém myślę. Chłopy muszą wyjść na spotkanie z chlebem i solą, proboszcz powie kazanie, Bernard, jako dziedzic, zrobi w kościele fundacyę na nowy dzwon, — to nie drogo kosztu-

je, — pojedzie z wizytami w sąsiedztwo i będzie z niego obywatel ziemski w ciągu tygodnia, jakby się na wsi urodził. Zobaczysz!...

W kilka dni późniéj przyszedł list z Interlacken od Bernarda, donoszący, że bawią w Szwajcaryi, któréj Tola dotąd nie znała, że zamierzają zwiedzić najpiękniejsze okolice nad jeziorami, pojechać do Szafuzy, następnie Renem zrobić wycieczkę do Kolonii, a ztamtąd może do Paryża na dni kilka, a może do Warszawy z powrotem.

Pisał to wszystko w tonie swobodnym, wesołym, nawet humorystycznym, dowcipkował na temat zrujnowania ojca podróżami po świecie i odgrażał się, że kto wie, czy w Paryżu nie przyjdzie im ochota pojechać w podróż na około ziemi, bo — jak się wyrażał,—oboje z Tolą mają teraz tyle do mówienia, że się boją, aby im w Warszawie nie przeszkadzano.

Łaniecka zrobiła ogromne oczy, gdy jéj list ten dano do odczytania; spodziewała się czego innego po pierwszych zwierzeniach siostrzenicy. Od pewnego czasu zaś nie otrzymywała od niéj żadnéj korespondencyi i nie wiedziała, co mogło być powodem tak korzystnéj i niespodziewanéj zmiany w pożyciu i usposobieniu młodéj pary.

— Chyba między Gmunden a Wiedniem ktoś nam Tolę odmienił,—mówiła do męża, opowiadając mu o liście młodego Sandsteina.

Vossowéj nadzwyczajnie podobał się projekt zwiedzenia Paryża.

— Ależ powinni koniecznie pojechać! — wołała!—jakże to można być tak blizko i nie korzystać

ze sposobności? Jabym im tego nigdy nie darowała!... To się przecież rozumie, że zagranica to tylko Paryż i nic innego. Wiecie co?... mam świetny pomysł!... zjedźmy się tam wszyscy z nimi. Co?... to dobra myśl?... Louis, jak ci się ten projekt podoba?

— Bierzesz nas na własny koszt?—spytał żartobliwie Sandstein,—jeśli płacisz koszta podróży, to ja dla ciebie gotów jestem pojechać nawet drugą klasą.

— Mój drogi, nie udawaj większego Harpagona, niż jesteś—przerwała mu siostra.—Żeś skąpy na swój sposób, to wiemy wszyscy, ale żeby ci to robiło różnicę, tego nawet na żarty nie przypuszczam. Zresztą, jak chcecie—tak róbcie; ja wracam do domu i zapowiadam Michasiowi, że jadę. Wielka rzecz!.. sprawię sobie jedną toaletę mniéj na zimę w Warszawie.

— A ile kupisz przy sposobności w Paryżu?—zagadnął ją Sandstein złośliwie.

Odwróciła się od niego ze swoją minką zadąsanéj pensyonarki i rzekła:

— E! nieznośny jesteś!...

— To familijne,—odciął się brat i śmiać się zaczął z własnego dowcipu.

Pani Emilia dała za wygraną i bez pożegnania wyszła z pokoju, ale za drzwiami przypomniawszy sobie nowinę, z którą biegła do Sandsteinów, wróciła, wołając od progu:

— Ale, ale... czy wiecie już, kto dzisiaj umarł rano?... stara Feingussowa! Spotkałem Traubsohnową u Hersego, jak sobie obstalowywała żałobę.

— Umarła?..—powtórzyli nie bez zajęcia Sandsteinowie,—a cóż jéj było?...

— Starość i astma; przecież ona musiała być dobrze po siódmym krzyżyku.

Sandstein miał dzisiaj skłonność do dowcipkowania, bo zauważył:

— Zkądże znowu?... nawet po pierwszym jeszcze nie była, chyba przed samą śmiercią. Nie wiesz, ochrzciła się, czy nie, w ostatniéj chwili?...

Vossowéj twarz się ożywiła, zamknęła drzwi, i zapominając urazy do brata, podeszła do niego szybko, usiadła na poręczy jego fotelu i z miną ważną zaczęła mówić:

— Wyobraź sobie, że wszystkie Feingussówki z tego powodu są w rozpaczy; nie chciała zmienić wiary! została żydówką i chować ją będą na żydowskim cmentarzu. Traubsohnowa poczerwieniała, jak piwonia, gdy ją spytałam: kiedy pogrzeb i o któréj godzinie?... widocznie nie chcą, aby o tém wiedziano w mieście. Odpowiedziała mi, że jeszcze nic nie wie, bo babka zostawiła co do tego jakieś rozporządzenia, i familia musi się do nich zastosować. Zobaczysz, że ją jeszcze gotowi wywieźć cichaczem do Pińczowa — bo stara była z Pińczowa,—i tam pochować, aby tylko tutaj nie robić pogrzebu!

Sandstein wydął usta i zaczął bębnić palcami po papierach.

— Tak, to casus paskudeus dla Feingussówek—rzekł;—ale głupie są, jeżeli myślą, że o tém nikt nie pamięta, jak ich babka w bindzie na głowie chodziła.

— Wy pojedziecie na pogrzeb?...—spytała pani Emilia ciekawie,—bo ja nie myślę.

— Dlaczego?...

— Po co mam ich żenować?...

— A cóż to za wstyd, że im babka umarła? — to smutek, nie wstyd.

Vossowa wstała z poręczy i zwracając się do bratowéj, rzekła:

— Czy on udaje, że nie rozumie o co mi chodzi?...

Sandsteinowa brwi podniosła do góry i spuściła je szybko, nie odpowiedziawszy; ten temat wydawał się jéj drażliwym nawet w poufnéj rozmowie familijnéj przy drzwiach zamkniętych.

Wpadło jéj na myśl, że podobna kolizya czeka ich również jeszcze, gdy jéj rodzony brat, Płocki, zechce się kiedyś przenieść do wieczności i gdy nie będą mogli wymówić się od udziału w pogrzebie jego, jak się wymówili od uczestniczenia w weselu synowicy.

Przed oczyma jéj mignął czarny, zamknięty karawan z brodatym woźnicą w okrągłym kapeluszu i długiéj bekieszy, otoczony strażą żałobną, zdążający ku cmentarzowi izraelickiemu, gdzie rabin i służba kahalna czekają z ostatnią dla nieboszczyka przysługą

Za tym wozem musiałaby iść ona, w żałobie, oparta na ramieniu męża, przez całe miasto, a ludzie po ulicach stawaliby i mówili:

— Patrzajcie, patrzajcie, Sandsteinowie idą za żydowskim pogrzebem!... Któż to umarł!?..

— Płocki.

— Co za Płocki?

— No, brat rodzony Sandsteinowéj.

— To ona także z naszych?...

To „z naszych“ brzmiało jéj w uszach, jak obelga.

Miała do brata żal, że ją swoją śmiercią mógłby narazić ewentualnie na taką kompromitacyę; myślała zatém:

— Niechże sobie żyje jeszcze sto lat, albo niech zmieni wiarę!

Postanowiła sobie rozpocząć jeszcze raz rokowania ze starym Płockim, aby uratować siebie, świekrę urodzonéj hrabianki i rodzinę swoją od podobnie kłopotliwéj sytuacyi, w jakiéj znaleźli się Feingussowie po śmierci babki.

Ta śmierć przyszła im bardzo nie w porę.

Przedewszystkiém psuła im piękne plany na lato i na sezon zimowy nałożeniem obowiązkowéj żałoby, a na razie zmuszała do publicznego występu w charakterze, który udawało się dotąd pokrywać pozorami, i to w czasie, gdy jakby na złość, Leosia zrobiła znajomość z jakimś baronem przystojnym i podobno bogatym, pragnącym się ożenić w Warszawie.

Na trzeci dzień właśnie po złożeniu pierwszéj wizyty przez pana barona Oswalda von Rabschytz zdarzył się ten smutny wypadek z babką; piła najspokojniéj swoją kawę z porcelanowego kubka w niebieskie kwiatki, który sobie przywiozła sama z Ciechocinka przed kilku laty, kiedy chcąc powiedziéć coś do służącéj, zachłysnęła się nagle, dostała spazmatycznego kaszlu, posiniała, oczy

jéj na wierzch wylazły, i nim zdołano posłać po lekarza, umarła.

Było to około godziny siódméj z rana.

U Feingussów na dole wszyscy spali jeszcze, gdy przestraszona służąca wpadła z krzykiem do kuchni, wołając:

— Starsza pani się dusi!... dusi się!... niech kto przyjdzie na górę!... ona się pewnie już udusiła.

Nie dawszy żadnych bliższych objaśnień i narobiwszy popłochu, pobiegła z powrotem na drugie piętro; płacząc i zawodząc na cały głos, wpadła do pokoju, a zobaczywszy w ostatniéj agonii staruszkę, zaczęła nią potrząsać i prawie bezprzytomnie z przestrachu wołała:

— Pani, pani, niech pani nie umiera, dopóki nie przyjdą z dołu!... Słyszy pani?... no, co to jest?... ona już nic nie gada, ona pewnie umarła!...

Darła się za swoje rozczochrane włosy i wyła jakimś nieludzkim głosem u stóp nieboszczki, która siedziała w swoim skórzanym fotelu, owinięta pledem, z głową na dół zwieszoną, z rękoma kurczowo przyciśniętemi do wyschłych, zapadłych piersi, z wyrazem gwałtownego bólu na twarzy, wykrzywionéj konaniem.

Na kolanach miała jeszcze porcelanowy kubek i kawałek bułki od śniadania, na podłogę ściekała wylana kawa.

W mieszkaniu wszystkie drzwi stały otworem; rozlegał się tylko płacz służącéj i ćwierkanie kanarków w klatkach u każdego okna.

Pierwszy na miejscu stawił się w pantoflach i szlafroku, wyrwany dopiero z łóżka Feinguss; za

nim pośpieszył w większym jeszcze negliżu Józio, ulubieniec babki, a na końcu odważyła się wejść Leosia, zarzuciwszy na siebie przez roztargnienie tylko jedwabną narzutkę na nocną bieliznę; bose nóżki obuła w złote pantofelki, nie mając czasu wciągnąć pończoch i uzupełnić tak nagle zaimprowizowanéj toalety.

Zastała ojca i brata nachylonych nad ciałem babki, które podnosili właśnie z fotelu, aby je przenieść na łóżko.

Ratunek wszelki był już zbytecznym.

Stary Feinguss, przekonawszy się o śmierci matki, słowa nie przemówił; biegł na schody, przesadzając po dwa stopnie, spodziewał się zastać ją jeszcze przy życiu.

Przez chwilę zasłonił sobie instynktownie oczy, gdy ujrzał jéj kurczowo wygięte rysy, ale dotknąwszy jéj pulsu i przekonawszy się, że nie żyje, spoważniał nagle bardzo i zamilkł zupełnie, powiedziawszy tylko do syna szeptem:

— Babcia umarła.

Podczas kiedy służąca bezładnie opowiadała mu, szlochając, ostatnie chwile nieboszczki, pękiem kluczów, wyjętych z kieszeni szlafroka zmarłéj, zamykał wszystkie szafy, szuflady, biurka i walizy z uroczystą miną notaryusza, mającego opieczętować mieszkanie przed spisaniem inwentarza i otwarciem testamentu.

Traubsohnowa przyszła dopiero około dziesiątéj; do Fiołkiewiczowéj i Mozesowéj wysłano telegramy.

U Leosi w pokoju odbywała się narada familijna co do pogrzebu i żałoby.

We wszystkich więcéj zakłopotania, niż żalu, znać było po śmierci babki.

— Sądzę—mówiła Traubsohnowa do ojca,—że nie będziemy czekali na Terenię; zanim ona z Hamburga przyjedzie, to za długo.... Mania powinna być tu dziś wieczorem. Możnaby pogrzeb zrobić jutro rano.

— Dlaczego zaraz jutro?... a jeśli Terenia zechce przyjechać; na pojutrze mogłaby jeszcze zdążyć.

— Już niech tylko papa nie odkłada; takie upały, ciało się psuć zacznie.

— Zaproszenia będziemy rozsyłali? — spytał Józio.

Traubsohnowa mrugnęła na niego znacząco, aby się nie odzywał.

— A to na co?... wiesz przecie, że babka nie lubiła wszelkiéj parady—rzekła,—będzie przecież w ogłoszeniach jutro rano.

— Jakto jutro rano?... jutro chcesz zrobić pogrzeb i ogłoszenia?—zagadnęła siostrę Leosia.

— Dlaczegożby nie?... pogrzeb może być o dziewiątéj, a „Kuryery“ wychodzą wcześniéj.

— Ależ tego nikt nie przeczyta, chyba dopiero po pogrzebie!—odezwał się znowu Józio, nie mogąc się połapać, że w téj niepraktyczności siostry było właśnie dyplomatyczne wyrachowanie.

— Mój kochany, nie wtrącaj się!—przerwała mu krótko i opryskliwie. — Babcia sobie życzyła, aby ją pochowano rano, jak najraniéj, bez osten-

tacyi. Ja nawet proponowałabym ósmą, zamiast dziewiątéj. Na ten cmentarz, to podobno kawał drogi; nigdy tam jeszcze nie byłam.

Józio ramiona podniósł do góry i roześmiał się jéj w oczy.

— Cóż ty znowu wygadujesz!... — zawołał,— a przecież byłaś na pogrzebie mamy; zapomniałaś chyba, że mama leży na tym samym cmentarzu.

— Ach, prawda—z niechęcią odparła siostra,— ale to już tak dawno temu. Zresztą, róbcie, jak chcecie, byleście usłuchali mojéj rady. Ja teraz idę do Hersego; trzeba pomyśléć o żałobie dla mnie i dla Leosi. Czarny kolor na takie gorąco!— szepnęła do siostry ze zgrozą na samą myśl o poświęceniu, jakie będą musiały zrobić.

— Więc jutro o ósméj?... prawda?... — spytała, zbliżając się do ojca, — niechże papa wszystko przygotuje na jutro rano. Tylko nie róbcie niepotrzebnych komedyi, aby znowu nie mówili po mieście, że się rozbijamy. Papa wie, że babcia chciała być zawsze pochowaną jak najskromniéj.

Papa Feinguss nic o tém nie wiedział, bo staruszka obawiała się mówić o śmierci z kimkolwiek za życia, ale skinął głową potakująco, odgadując właściwe intencye swéj córki.

Wieczorem przyjechała Fiołkiewiczowa, zadowolona wielce z tego, że się jéj nadarzył powód spędzenia paru tygodni w Warszawie, do któréj jéj mąż puszczać nie chciał, wymawiając, że więcéj czasu spędza za domem, niż w domu.

Od Mosesowéj nadszedł telegram z ubolewa-

niem, że przybyć nie może i z poleceniem złożenia wieńca na trumnie babki.

Stary Feinguss z synem cały dzień załatwiali rozmaite formalności, byle wydążyć i przyśpieszyć pogrzeb wedle rady Traubsohnowéj.

Śpieszyło im się złożyć na wieczny spoczynek nieboszczkę, jak gdyby się obawiali, że zmartwychwstanie i jeszcze więcej kłopotu im sprawi potém swoją powtórną śmiercią.

Leosia poszła spać do Barberiny, bo za nic w świecie nie chciała pozostać pod jednym dachem z nieboszczką.

— Jeszcze gotowa przyjść do mnie—mówiła ze strachem,—ja się boję, nie mogłabym oka zmrużyć sama w pokoju!...

Pomimo wszelkich starań uniknienia rozgłosu i ostentacyi, pogrzeb odbył się przy dość licznym udziale krewnych i znajomych, zaskoczonych niespodzianie nagłą śmiercią nieboszczki; wysypało się najwięcéj biedoty, wspomaganéj przez nią za życia, ubogich kuzynek i kuzynów, utrzymujących z nią jedną jeszcze stosunki w rodzinie.

Przed karawanem szły sierotki z jakiegoś przytułku, którego mąż jéj był fundatorem i dobroczyńcą. Przełożony w imieniu zarządu przyszedł złożyć rodzinie kondolencyę i oznajmić, iż nabożeństwo żałobne za duszę zmarłéj dobrodziejki zakładu odbędzie się w domu modlitwy przy cmentarzu starozakonnych dnia następnego.

Podziękowano mu z miną dosyć kwaśną, nadmieniając stereotypowo, że „babcia nie życzyła

sobie żadnéj ostentacyi i chciała być pochowaną jak najskromniéj."

Feinguss, podmówiony przez córki, złożył na ręce przełożonego pewną kwotę na ubogich i oświadczył, że rodzina sama zajmie się urządzeniem nabożeństwa; upraszał tedy, aby zarząd nie trudził się wcale.

Wszystkie trzy wnuczki szły zakwefione, jak na maskaradę za trumną, z obawy, aby nie były poznane przypadkiem na ulicy w orszaku pogrzebowym; nawet na cmentarzu nie odsłoniły twarzy, a po skończonéj ceremonii, nie żegnając się z nikim, wsiadły pośpiesznie do karety i odjechały do domu, zostawiwszy ojca jeszcze przy grobie.

Odetchnęły swobodniéj dopiero, jak gdyby im ciężki kamień spadł z serca, gdy się znalazły u siebie i zasiadły do śniadania.

— Wiecie, że jestem tak głodna—przyznawała się Fiołkiewiczowa, z apetytem zagryzając tartynkę z kawałkiem pasztetu, — jak gdybym trzy dni nic w ustach nie miała. Taki kawał drogi zrobiłam pieszo, to można się zmęczyć porządnie!

— A ja muszę się wpierw umyć, bo mi się zdaje, że całą mnie karbolem, czy smołą, czy czémś takiém czuć—mówiła Barberine, wąchając swoje białe rączki, na których znać było odciśnięte ślady żałobnych rękawiczek. — Leosia, dajno mi jakich perfum. Pfe!... ten karawan tak nie pachnie, że omal nie zemdlałam po drodze. Nalejcie mi trochę madery do kieliszka. Mam w ustach jakiś niesmak obrzydliwy, nałykałam się kurzu. Pfe!... Nie, stanowczo jestem za paleniem ciał; to i este-

tyczniejsze, i mniéj zachodu dla żywych. Pamiętajcie, żebyście mnie kazały spalić po śmierci, jeżeli kiedy umrę.

Leosia przyniosła siostrze całe puzderko z flakonikami, opatrzone firmą Atkinsona.

— Ale wiecie, o czémeśmy zapomnieli wszyscy?—spytała, klaszcząc w ręce.

— No, o czém?...

— Zapomnieliśmy uwiadomić twojego męża o śmierci babki! — zawołała, zwracając się do Traubsohnowej.

Barberine wydęła usta łekceważąco i wzruszyła ramionami.

— Nic nie szkodzi—rzekła,—i takbym nie wiedziała, dokąd telegrafować, bo onegdaj miał wyjechać z Odessy. Zresztą, ja mam z nim na pieńku!... niech tylko wróci do Warszawy!...

— Cóż ci znowu zrobił?...

— Wyobraźcie sobie, w zeszłym tygodniu spotkał się gdzieś po drodze z Sandsteinem i pyta go: „Nie wiesz pan, z kim tam moja żona teraz romansuje?..." No, jak wam się to podoba?... Cztery tygodnie nie było go w domu, jeszcze się tak głupio pyta obcych ludzi, zamiast się dowiedzieć, czy jestem zdrowa i co z dziećmi słychać.

— A cóż ty do niego nie pisujesz?...

— Nie, bo w tych ciągłych rozjazdach żaden list go dojść nie może; my telegrafujemy tylko do siebie. To łatwiejsze i wygodniejsze. Mamy z sobą romansować i pisywać do siebie czułości?... ho, ho! *tempi passati*. A cóż twój Piesio?... zwróciła się do Fiołkiewiczowéj,—zawsze kwęka na swoje

kamienie?... wyszlijże go już raz do tego Karlsbadu, będziesz miała choć trochę więcéj wolnego czasu.

— A pojedzie przecież, pojedzie, tylko mu się polepszy! — z ciężkiém westchnieniem odparła starsza siostra, robiąc minę utrapionéj męczennicy obowiązków małżeńskich!

Przypomnienie chorego męża omal jéj apetytu nie zepsuło.

— Moja droga, dajże mi zjeść spokojnie—rzekła nagle zmienionym tonem, — kontenta jestem, żem się choć na kilka dni z mojego szpitala wyrwała. To nie dom, to lazaret!... Pies stęka w jedném łóżku, dzieciska piszczą w drugiém, bo się pozaziębiały, jeszcze do kompletu bona moja dostała takiéj fluksyi, że spuchła, jak poduszka. Myślałam, że zwaryuję w ostatnich dniach!... Daję słowo, poczciwie ta babka zrobiła, że umarła właśnie w tym czasie. Niech jéj tam za to światłość wiekuista świeci!

Traubsohnowa wybuchnęła pustym śmiechem; Leosia, jako najmłodsza, uważała za stosowne obruszyć się na starszą siostrę.

— Co też ty wygadujesz, Mania!... poczekaj, poczekaj, jeszcze gotowa babka przyjść do ciebie dziś w nocy.

Fiołkiewiczowa zrobiła widelcem ruch w powietrzu lekceważący.

— Gdzieżby jéj się tam chciało!... a zresztą, niech przyjdzie, to mi powie może, co tam jest na tym drugim świecie. Wiedziałabym raz, czego się trzymać.

Barberine, stojąc na środku pokoju, rozłożyła szeroko ramiona i z niezręcznym patosem odrzekła:

— *Das ewige Nichts!...*

— Zkądżeś ty teraz taka pesymistka? — zagadnęła ją Leosia.

— Czytam Schopenhauera i Hartmanna.

— Aby się przypodobać swojemu doktorowi? — spytała złośliwie z uśmiechem Fiołkiewiczowa, spoglądając na siostrę z pod oka.

— Jakiemu doktorowi? co wy znów wpieracie we mnie jakiegoś doktora!... Wy i mój mąż zawsze musicie kogoś dla mnie wynaleźć.

Zarumieniła się jednak, mówiąc to, i odwróciła na pięcie, aby nie patrzéć im w oczy.

— No, no, nie zapieraj się moja droga; słyszałam już o twojéj najnowszéj konkiecie—odezwała się starsza siostra.—Podobno rozkochałaś na zabój tego małego Folberga, który z pozytywisty stanie się idealistą na punkcie miłości.

— Ee! nie zrobi tego...

— Dlaczego?

— Bo wie, żeby stał się nudnym. Widzisz, pozytywista może być idealnym kochankiem, ale idealista rzadko bywa kochankiem pozytywnym. Leosia, zapamiętaj to sobie.

— Po co?... wpierw muszę zostać baronową de Rabschytz.

— Masz do tego wielką ochotę?

Leosia skrzywiła usteczka z grymasem i odrzekła:

— No, nie bardzo, wolałabym pójść za Cieszyń-

skiego, ale mi go nie dadzą. Przedwczoraj w Łazienkach robiłam mu takie oko, że inny byłby z konia spadł, a on sobie jeździł najspokojniéj na swoim Kainie i udawał, że go jego ogier więcéj zajmuje, niż najpiękniejsza panna w Warszawie.

Fiołkiewiczowa śmiać się zaczęła i mrugając do Barberiny, zawołała:

— Uważasz, jakie ta mała ma szczegółowe wiadomości; ona już wie, że to ogier i że się Kain nazywa.

— Tegobym jeszcze nie wiedziała! wiem nawet, dlaczego go Staś tak nazwał...

Obie siostry zaczęły sobie dawać znaki i szeptać niby to ze zdziwieniem:

— Staś!... uważasz, jaka konfidencya!...

— A Staś, wszystkie go tak nazywają; mam może mówić: pan mecenas Cieszyński?... Opowiadał mi, że koń jego, bijąc się ze swoim bratem z Lady Esther, kopnął go tak, iż tamten zdechł, więc go dla tego nazwał Kainem, jako bratobójcę.

Traubsohnowa zapaliła papierosa i puszczając dym nosem, rzekła:

— Ten Staś miał u mnie swoją fazę, ale krótko; nie lubię takich mądralów. Zdaje mu się, że wszystkie rozumy pozjadał, a na kobiety patrzy z tak wysoka, jakby był szachem perskim. Zresztą papa, surowy purytanin, pilnuje go na każdym kroku, aby się przypadkiem nie zaplątał w jaką spódniczkę. Zawsze jeszcze studencikiem czuć pana adwokata. A przytém nudny w salo-

nie!... Nie rozumiem, co ci się tak bardzo w nim podobało?

Leosia uśmiechnęła się złośliwie i odparła:

— No, no, nie lubisz go, bo ci nie chciał robić podwórka; tobie, jak tylko kto nie nadskakuje, zaraz się nie podoba.

Traubsohnowéj oczy się zaiskrzyły; ubodła ją uwaga młodszéj siostry.

— A na ciebie niech tylko okiem rzuci, toś gotowa już pójść za niego; przylepiłabyś się, jak smoła, do każdego, kto ci kurę robi. Nie każda taka głupia!...

— Głupia?...

— A głupia.

— Moja droga, z takiemi wyrazami mogłabyś wyjść do przedpokoju — odezwała się urażona Leosia,—tam sobie znajdziesz Antosię do towarzystwa...

— To przecież twoja powiernica...

— Ja jeszcze powiernic nie potrzebuję, ale twoja młodsza...

— No, no!... tylko bardzo proszę.

— Ja przecież nie zaczęłam...

Sprzeczka między siostrami przybrała ton ostry; zaczęły sobie przymawiać słowo po słowie, ząb za ząb, a z wytwornością panieńskiego buduaru, w którym się ta scena rozgrywała, nie licowały wcale wyrażenia i cały sposób traktowania téj językowéj szermierki.

Doszło do tego, że panna Leosia, nie mogąc pohamować oburzenia, drażniona przymówkami Barberiny i uwagami Fiołkiewiczowéj, rzuciła na

stół srebrną łyżeczkę od kawy z takim impetem, że przewróciła kieliszek i poplamiła obrus czerwoném winem.

— Widzicie ją, co za osa! — przedrzeźniała Traubsohnowa.—Myślałby kto, że to takie niewiniątko, co trzech zliczyć nie umie, a to jędza wierutna!... ślicznie, ślicznie, pozwól sobie. Poczekaj, powiem ja ojcu, jakiego sobie wyhodował gagatka!...

— Wielkie rzeczy!... myślisz, że się ojca boję! W skórę mi da!...

W téj chwili drzwi się otworzyły i weszła Sammetówna, która za progiem już słyszała podniesione głosy i piskliwy dyszkant Fiołkiewiczowéj, mitygującéj zwaśnione strony.

— Co się tu dzieje?... — spytała, wodząc zdziwionemi oczyma po przyjaciółkach. — Ja myślałam, że wy tu we łzach toniecie, a wy sobie wymyślacie, że aż na schodach słychać. O co chodzi?... Kłócicie się tak o spadek po babce?... dałybyście sobie spokój. *Silentium!*... jak się macie, piękne gracye?... uciekłyście z pogrzebu, jakbyście co ukradły. Baron się o was pytał...

— Który baron?—zawołały naraz głosy.

— No, który,—Rabschytz.

— Rabschytz był na pogrzebie?

— Przyjechał pod sam koniec na cmentarz i zabrał nawet waszego ojca do powozu.

Wiadomość ta podziałała, jak strumień zimnéj wody na trójcę sióstr zaperzonych.

Baron był na pogrzebie, przyjechał na cmentarz, widział wszystko, mimo to, że przed nim

najbardziéj chciano przenieść w tajemnicy starą babkę na łono Abrahama!...

Nie pomogły zatém spóźnione umyślnie ogłoszenia, ani wczesna godzina pogrzebu, ani tajemnica, w jakiéj usiłowano utrzymać ten smutny wypadek w rodzinie.

Istna fatalność!...

Przez trzy dni w domu Feingussów panowała gnębiąca niepewność co do wrażenia, jakie na arystokratycznéj naturze pana barona sprawił pogrzeb babki, chowanéj według starego zakonu, ale po trzech dniach promień światła rozpogodził dusze i oblicza, kiedy służący wszedł niespodzianie i zameldował pierwszego gościa.

Rabschytz z kurtuazyą człowieka dobrze wychowanego przychodził z kondolencyą.

Zastał miny nastrojone do okoliczności, usposobienia minorowe, pozory żałoby po najukochańszéj babuni, któréj nagła śmierć w głębokim smutku pogrążyła całą rodzinę; nie przeszkadzało to, że pod koniec wizyty śmiano się już i dowcipkowano na temat ostatnich ploteczek i układano *partie à quatre* konno na przyszły tydzień, jeżeli pogoda dopisze.

Leosia pragnęła pokazać się nowemu adoratorowi koniecznie w swéj obcisłéj amazonce, licząc na to, że mu na téj wycieczce do reszty głowę zawróci.

— Jeżeli zobaczę, że się ma ku oświadczynom na seryo, pojadę do Częstochowy i ochrzczę się już raz,—mówiła do sióstr, z któremi od dawna przywrócony został zgodny stosunek po ostatniéj

sprzeczce. — Trzeba to zrobić koniecznie. Baronowstwo warte tych kilku kropel wody święconéj—dodała,—i tak wszyscy już myślą, że nie jestem żydówką. Zresztą za żadnego Mośka nie poszłabym, choćby miał miliony. Niech sobie to ojciec wyperswaduje.

Nie przypuszczała nawet, jaka z jego strony czekała ją i całe rodzeństwo niespodzianka. Kiedy w jakiś czas potém zdobyła się na poufną rozmowę z ojcem i objawiła mu stanowczo, że według jéj zdania nadeszła pora, aby zmienić wiarę, stary Feinguss pogłaskał ją pod brodę, włożył obie ręce do kieszeni i wytrzymawszy córkę w niepewności przez długą chwilę, odezwał się w końcu:

— Naturalnie, że powinnaś to zrobić; czemu nie?

— Więc się ojciec zgadza?

— Dlaczego nie mam się zgodzić?... przecież ja sam nie jestem więcéj żydem.

Leosia wpatrzyła się w niego i stanęła, jak wryta.

— Ojciec nie jest więcéj żydem?—spytała,—a czémże?

— Czém mam być? katolikiem, — odparł najspokojniéj w świecie, jakby jéj oznajmiał wiadomość powszechnie znaną.

— Jak?... kiedy?... dlaczego?...

— O, już od zeszłego roku.

— Ojciec się ochrzcił?... to być nie może!

— A ochrzciłem się; co to trudnego?... nie byłbym się inaczéj utrzymał przy petroholskich kopalniach, które wziąłem w dzierżawę.

To był za dobry interes, aby go puścić, moje dziecko!

— A czemuż ojciec nie mówił o tém ani słówka?

Feinguss oczy zamknął i głową pokiwał.

— Co miałem mówić!... wiesz, że babka była zawsze temu przeciwną. Po co jéj miałem za życia sprawiać taką przykrość?... ona umarła i była przekonaną, że ja wiary nigdy nie zmienię. Czy to nie lepiéj?.. dla czego miałem ją martwić na te ostatnie lata?

Leosia nie mogła wyjść z podziwienia i patrzała na ojca zawsze jeszcze z niedowierzaniem; wydawało jéj się to nieprawdopodobném.

— Ale teraz, skoro babki już niéma — zaczęła po chwili,—to nie potrzeba więcéj ukrywać tego, prawda?...

Feinguss zrobił ruch szybki, jakby chciał zamknąć córce usta.

— Psst! po co zaraz rozgadywać? — rzekł,— co to kogo obchodzi?... Niech to zostanie daléj tajemnicą. Ja mam jeszcze dużo interesów z moimi żydkami, a oniby się krzywili i krzyczeli zaraz: „Gwałt, Feinguss goj!..." i straciliby do mnie zaufanie. Poczekajmy jeszcze, to się zrobi. Tymczasem ty się ochrzcij, kiedy ci to potrzebne, to jest, kiedy chcesz koniecznie, a potém, kiedyś, czy ja wiem kiedy—może za rok, może za dwa, może za dziesięć, a może aż po mojéj śmierci, wyda się, że i twój papa był ochrzczony. Co ja tobie mam tłómaczyć takie rzeczy?... ja wiem swoje, ty swoje.

Pogłaskał ją jeszcze raz po twarzy i dodał:

— Wy kobiety nie znacie się na interesach.

No, idź i poszukaj sobie rodziców chrzestnych; najlepiéjby było, aby Barberine, albo Mania Fiołkiewiczowa z mężem trzymali ciebie do chrztu. Niech to zostanie w rodzinie, po co obcych ludzi w takie rzeczy mieszać. No, adieu, moja Leosiu!...

W godzinę późniéj, pomimo zastrzeżenia ojca, Leosia wielką tajemnicę rodzinną zdradziła siostrom, nie zważając na obecność Józia, który jako najmłodszy, nie miał jeszcze prawa do takiéj konfidencyi.

— Ale wiecie, ten nasz stary to tęgi kawalarz!—zawołał spadkobierca firmy Feingussów;—dobrze, że ja wiem o tém, będę miał teraz ojca w ręku. Babka umarła, nie miałbym kogo naciągać, a tak powiem staremu: „Panie Feinguss, sto fajglów, albo będzie bieda; rozgłoszę po Nalewkach, że z pana oddawna już goj i będzie klapa.“ Jestem pewny, że się stary da wziąć na to... .

— Bój się Boga, jakim ty językiem mówisz!—ze zgrozą przerwała mu Fiołkiewiczowa, dbająca zawsze o pozory dystynkcyi,—kawalarz, fajgle, klapa!... wyrażasz się, jak prosty kantorowicz. Gdzie ty się chłopcze tego nauczyłeś?...

— Ee, potrzebujesz pani nie zawracać głowy!—odpowiedział jéj, przybierając umyślnie akcent żargonowy, którym chciał siostrę jeszcze bardziéj podrażnić.—Proszę nie zapominać, że ja jeden teraz zostałem starozakonnym w całéj rodzinie i że mam prawo mówić tak, jak mówili moi dziadkowie i moje babcie. Jak mi będziecie dokuczały, to przyjdę kiedy na wasze rauty i zamiast gadać po francusku, odezwę się najczyściéj—po żydow-

sku. Toby dopiero była kompromitacya! U pani Traubsohnowéj nie podają nigdy nic z cebulą, aby się nie przypominała kuchnia koszerna, a tu brat gada, jak prosty szajgiec. *Geschaedigt sollst di werdn!*... co?...

Tercet piskliwych głosów i podniesione parasolki zmusiły go do rejterowania z pokoju.

— Józiek!... Józiek!... zaraz przestań, bo cię położymy, jak smarkacza i w skórę damy! — wołały z oburzeniem, nie na żarty rozgniewane tą sceną, za daleko posuniętą.

— To spróbujcie,—drażnił je umyślnie jeszcze bardziéj brat, pokładając się od śmiechu,—a ja na złość wam będę krzyczał: *Gewałt! wus y dues?*... rozbój na gładkiéj drodze!... *aj waj mir!*.. no, chcecie tego?...

Wypchnęły go za drzwi, niby żartem, niby na seryo, ale ostatecznie musiały z nim wejść w układy pokojowe.

Traubsohnowa przyrzekła mu spinki z brylancikami, jeżeli będzie rozsądny i zaprzestanie takich głupich żartów; Fiołkiewiczowa pożyczyła mu dziesięć rubli, a Leosia darowała mu na brelok złotą świnkę, która wisiała u jéj bransoletki, jako porte-bonheur.

— Widzicie, jak kto ze mną rozsądnie umie pogadać, to ja umiem być zaraz *un galanthomme*, *comme il faut*, — mówił do nich, obejmując wpół zamężne siostry. — Wam się zdaje, że ja jestem taki głupi Józiek, co się na niczém nie zna, a ja jestem *chuchem!*

— Znów zaczynasz?...

— Broń Boże!... *chuchem*, to nic złego, nie bójcie się; to znaczy łepak, tęga głowa!... Wiecie, z tém naszém pochodzeniem, to znów tak bardzo ukrywać się nie można. Ja już myślałem nad tém, daję wam słowo, czy nie da się na to co zaradzić, ale niepodobna. No, weźcie tylko taki nos, jak mój; przecież to na dziesięć kroków poznać z niego Feingussów. Albo takie uszy! czyście wy widziały kiedy takie uszy odstające u kogo innego?... to rassa, co tu gadać! No, a nazwisko?... *echter Feinguss!...* Wam dobrze jeszcze, żeście powychodziły za mąż, ale ja do śmierci muszę nosić tego Feingussa, po którym ludzie zaraz zwąchają, żem żyd, choćbym sobie dał nos obciąć i uszy przystrzydz.

Barberine śmiała się już, wprowadzona w dobry humor jego rezonem.

— Słyszycie wy, jak on po adwokacku dowodzi!—wołała do sióstr.—No, co jeszcze? gadaj daléj, bo ty jesteś zabawniejszy, gdy pleciesz seryo, niż kiedy błaznujesz.

Józio się poklepał po twarzy.

— Caca Józio!... a widzisz, ja ci mówię, że ja jestem *chuchem*.

Siostry opadły go do koła i zaczęły nagabywać, aby im opowiedział co nowego.

— Nie słyszałeś na mieście czego pikantnego?..

— Nie; ja od trzech dni chodzę spać z kurami, bom goły, jak turecki święty; dzisiaj dopiero z łaski Mani zadam szyku i puszczę całą dziesiątkę w świat.

— Biedaczek!!.. dziesiątkami już rzuca na jeden wieczór!... oddaj zaraz pieniądze.

— Co, to wam się dużo wydaje?... syn samego pana Feingussa, Feinguss *junior*, Józio Feinguss nie może puścić dziesięciu rubli?... dobreście sobie!... Ja w ogóle jestem pod straszną kuratelą w moim wieku! Przecież to, co mi ojciec daje miesięcznie, to na jedną kolacyę w gabinecie z fortepianem nie wystarczyłoby, gdybym się chciał *honette* postawić. Gdybym nie miał długów, dalibóg nie wiem, coby się stało.

— Co?... ty masz długi?...—zawołały trzy siostry razem.

— Rozumie się, że mam. A od czegoż są weksle na świecie, jeśli nie od tego, żeby na nie pożyczać?...

— Bój się Boga, Józiek, to być nie może!...

Traubsohnowa dała mu zlekka klapsa w policzek.

— Et, blagujesz!...

— Tegoby tylko potrzeba było, aby taki młokos weksle już wystawiał—wtrąciła z lekceważeniem Flołkiewiczowa,—któżby ci zawierzył choć sto rubli?

— E, dadzą więcéj,—bądź spokojna.

— A z czegoż ty to spłacisz?

— Z czego?... z moich oszczędności, a jak nie, to ze spadku po babce. Cóż to nie wiecie, że mi stara zapisała dwadzieścia pięć tysięcy?... Bodaj się na kamieniu takie babki rodziły.

— Tak, ale z tego nie dostaniesz grosza do ręki, dopóki nie będziesz pełnoletnim.

— No, to téż moi wierzyciele są cierpliwi.

Leosia patrzyła na niego z zadowoleniem; podobał się jéj taki rezolutny braciszek, który umiał już długi zaciągać, jak jaki dorosły kawaler.

— I dużoś już winien?...

Józio zrobił minę skłopotaną i z westchnieniem odrzekł:

— Otóż to, że jeszcze nie wiele!... nie mogę się rozmachać porządnie. Taki Steinberg podpisał weksli na piętnaście tysięcy i to na pierwszy raz. Stary jego płacił już kilka razy i teraz znowu układa się z wierzycielami. To widzicie, są skutki, kiedy się synów krótko trzyma! Ja muszę z ojcem pomówić raz szczerze i otwarcie, żeby mi od pierwszego podniósł pensyę, bo inaczéj będzie źle. Ale co tam o tém gadać!... słyszałyście o najnowszéj hecy z br. Timbalem?... nie?... to paradne!...

— Cóż takiego, cóż takiego?...

Przysunęły się do niego bliżéj, aby lepiéj słyszéć, a Barberine z Manią oparły się łokciami na jego ramionach.

— Wyobraźcie sobie, że stára Dolska — wiecie?... ta hr. Dolska, miała jakiś interes do Timbala i wysłała do niego list, adresując: „Wielmożny Marceli Bechermann.“ Lokaj list odnosi nierozpieczętowany i powiada, że pan baron się tak już nie nazywa, więc listu przyjąć nie chce. A jak wiecie, Bechermannowie zmienili za granicą nazwisko, odkąd zaczęli jeździć do Paryża i kupili sobie tytuł baronowski, żeby nie można było poznać, co „uni także“ z żydów pochodzą...

— No, no, opowiadaj po ludzku.

— Przecież nie ryczę, ani kwiczę, ani szczekam, tylko mówię; tobie to jeszcze nie po ludzku?... — odciął się Fiołkiewiczowéj i ciągnął daléj: — Ale taka Dolska nie chce o tém nic wiedziéć, więc po staremu Bechermanna Bechermanem nazywa. Kiedy jéj list odesłał z taką nauczką, baba kuta wzięła drugą kopertę i zaadresowała: „Wielmożny Marceli z Bechermannów br. Timbale.“ To go palnęła, co?... dobrze mu tak!... po co z nią zadzierał?... Otóż widzicie, dlaczego ja nie mam ochoty mojego „Feingussa“ zamieniać na jakiego innego. Potém mi palnie kto, jak Sandsteinowi, przed ślubem: „ty żydzie“ i awantura gotowa.

— A tybyś się bił o to?—spytała go Leosia.

Józio ramionami wzruszył.

— Po co zaraz się bić?... ty myślisz, że już jesteś baronową—rzekł,—bo u baronów, to się zaraz o byle co rąbią albo strzelają, a potém idą na śniadanie. Jabym wolał od razu od śniadania zacząć.

Rozmowę rodzeństwa przerwała pokojówka, która weszła z oznajmieniem, że panna Sammetówna przyjechała powozem i zapytuje, czy panna Leonia nie chce z nią pojechać w Aleje.

— Powiedz, że pojedziemy wszystkie razem, to dobra myśl!—zawołała Traubsohnowa.

— A kiedy panna Malcia jest z panną Miller,— zauważyła subretka.

— To panią Miller zostawimy w domu; wielka rzecz!... może sobie szwabica pójść pieszo.

Józio wysunął się za pokojówką z buduaru sio-

stry i uszczypnął ją w podbródek; dziewczyna przyzwyczajona snadź do takich karesów, pogroziła mu palcem i uśmiechając się do niego konfidencyonalnie, szepnęła:

— Tylko bardzo proszę, bez takiéj poufałości... Kto nie dotrzymuje słowa, z tym ja się nie zadaję. Gdzież te kolczyki?...

— Będą, będą, zobaczysz!

— Aha, tak zobaczę, jak moje ucho; już ja panicza znam. Pan Józef jest krętacz!

Powiedział jéj coś do ucha po cichu, obejrzawszy się, czy która z sióstr go nie śledzi.

— A jakże!... zaraz taki!... jak rak świśnie! — odpowiadała mu, zalotnie spoglądając na niego.

— Antosia, Antosia! — zawołał głos z głębi buduaru; dziewczyna pokazała mu palcami figę i uciekła.

Młodzieniec przyjrzał się w lustrze, wiszącém w przedpokoju, założył kapelusz na głowę, nasuwając go umyślnie na oczy, wziął laseczkę ze srebrną gałką z kąta i wyszedł, trzaskając drzwiami, z miną tak zadowoloną i rozpromienioną, jakgdyby wracał ze schadzki co najmniéj z jaką księżniczką.

Przed bramą zatrzymał się przy powozie Sammetówny i powiedział jéj kilka komplimentów.

— Wygląda pani dziś, nie jak róża, ale jak cały bukiet.

— Doprawdy?...

— Jak panią kocham.

— Cóż toznowu za żarty?

— Żadne żarty; pani wie przecież, że ja się kocham w pani.

— Ee, panie Józefie, prosiłam pana, abyś w ten sposób do mnie nie mówił; to nie uchodzi.

— Ileż to rzeczy nie uchodzi, a robi się.

— Przestań pan.

— Więc pani nie chce, abym się w pani kochał? dobrze, przestanę, ale mi pani musisz dać jeden kwiatek ze swoich goździków.

— A będziesz pan rozsądniejszy?

— Jeszcze jak!... zaraz się przerzucę do pani Miller. *Frau Miller wollen Sie mich heiraten?...*

Niemka siedząca obok w powozie zrobiła duże oczy i zesznurowała wązkie usta, dotknięta tém obcesowém zapytaniem.

— Poczekam, aż panu wąsy urosną,—odrzekła po niemiecku.

— A ja poczekam, aż pani swoje zgoli,—odciął się młodzieniaszek, spoglądając ze złośliwym uśmiechem na meszek, porastający nad ustami pergaminowo-żółtéj pani Miller.

Był to jego zwykły sposób przekomarzania się z przyjaciółką Leosi i jéj towarzyszką; zachowywał względem nich ten ton swobodny, trochę bagatelizujący, na który sobie pozwalał przez stosunek zażyłości, w jakim Sammetówna pozostawała z jego siostrami i jakiego się nauczył w ich otoczeniu.

Malcia była zresztą dziś bardziéj pobłażliwą, niż kiedykolwiek; twarz jéj promieniała rzeczywiście zadowoleniem i radością, głowę zajmowała

jedna jedyna myśl, która od rana powtarzała jéj uparcie jedne i te same słowa:

— Za tydzień Bernard wraca do Warszawy...

O wiadomości téj dowiedziała się od swojego ojca, który na giełdzie podsłuchał rozmowę starego Sandsteina.

Bernard wracal... brzmiało to w jéj uszach, jak muzyka i jak rój pszczół zarazem.

Za każdym razem, gdy o tém pomyślała, uśmiechała się do siebie, jak na wspomnienie czegoś bardzo miłego a wyczekiwanego oddawna.

Nie widziała go od ślubu i tęskniła choćby do jego widoku; wiedziała przecież, że teraz jest dla niéj na zawsze stracony, ale—rzecz szczególna—stawał się dla niéj przez to jeszcze bardziéj upragnionym.

Jakiś rozkoszny ból i bolesna rozkosz napełniały ją całą, gdy rozmyślała o Bernardzie i jego małżeństwie; jednak pozbyć się myśli o nim, wymazać go ze swéj pamięci, wyrwać ze swego serca nie mogła żadną miarą.

Przestali dla niéj istnieć wszyscy inni mężczyźni; Feingussówny dlatego tak chętnie dopuszczały ją jedną do swego towarzystwa, że nie miały w niéj rywalki, któraby się ubiegała o wielbicieli wraz z niemi.

Jéj myśli, jéj uczucia, jéj nerwy i zmysły zajmował tylko ukochany przez nią całą namiętnością młodego ciała i świeżéj, naiwnéj jeszcze duszy—mąż Toli.

Trawiąc się w tajoném ogniu tego uczucia, na-

tura jéj uszlachetniała się nawet, jak kruszec w płomieniach.

Miewała teraz chwile poetyzowania i romantyzmu; siadała do fortepianu i swym metalicznym, altowym głosem śpiewała najczęściéj dwie ulubione pieśni: *„Ich grolle nicht“* Schumana i drugą do słów Heinego, którą kończyła z jakimś dziwnie głębokim liryzmem słowami:

— *„Und ich bin vom Stamme Asra, welche sterben, wenn sie lieben...“*

Powtarzała to po kilka razy, jakby w rozmowie z samą sobą.

Stary Sammet, który przysłuchywał się często z drugiego pokoju jéj śpiewowi, drapał się w głowę i wołał z grymasem wielkiego niezadowolenia:

— Malcia, co ty wybierasz same takie smutne kawałki!... to się można rozchorować przy takiém śpiewaniu. Czy ty nie możesz zagrać co z „Fledermausa,“ albo z jakiéj innéj opery?.. Kto to widział śpiewać, jak na pogrzebie?... Szkoda moich pieniędzy, com cię kazał uczyć na fortepianie.

Wstawała wtedy podrażniona i gniewna, że jéj przerywano chwile melancholii, zamykała z trzaskiem klawiaturę i porwana swym nieokiełznanym temperamentem odpowiadała szorstko:

— Co ty się znasz na tém!... po co ty się wtrącasz do mego śpiewu? ja się nie uczyłam na szansonistkę ani do operetki.

Uciekała do swego pokoju i rzuciwszy się na swoją nizką, miękką, sprężynową otomanę, tonęła w niéj, z rękoma założonemi pod głowę, z oczyma wlepionemi w sufit, z brwią chmurnie zmarszczoną.

Mogła tak godziuami leżéć bezczynnie i rozmyślać.

Był to jakiś stan wyczekiwania i zadumy zarazem; myślała o Bernardzie i czekała jego powrotu, sama nie wiedząc właściwie, co jéj z tego przyjdzie.

Nareszcie zadrgały w niéj wszystkie fibry, każda kropla krwi zapłonęła iskierką w jéj żyłach, gdy ojciec powróciwszy z giełdy, przyniósł jéj podsłuchaną wiadomość.

— No, wiesz ty, że młody Sandstein za tydzień już wraca?..

XI.

Na wieży kościelnéj w Grzędach zawieszono nowy dzwon z fundacyi młodego dziedzica, a gromada z chlebem i solą oczekiwała przede dworem „swojéj panienki,“ przybywającéj z mężem na instalacyę do majątku, który przez długie lata należał do rodziny Zabiełowskich, a obecnie przeszedł w ręce Sandsteinów.

Wszystko odbyło się według programu, ułożonego z góry; ojciec Bernarda przewidział naprzód, jakie wrażenie sprawi ten wjazd uroczysty i urządził go wystawnie.

Ksiądz proboszcz w komży, z relikwiarzykiem w ręku, powitał młodą parę, wracającą z poślubnéj podróży, u progu odnowionego pałacu, pokropił potém wszystkie kąty, przemówił następnie do ludu, polecając im kochać, szanować i oszczędzać mienie nowych dziedziców, skoro z łaski Opatrzności - jak się wyraził,—„wnuczka ich dawnych panów wraca znowu do rodzinnej siedziby Zabiełowskich i to nie sama, ale we dwoje, z małżonkiem swoim, który na początek ozdobił świątynię

Pańską tak cennym darem, jak nowy dzwon, aby codziennie rano, w południe i wieczór wzywał całą wieś do modlitwy, w któréj prosić należy Przedwiecznego o zdrowie i pomyślność dla hojnego fundatora..."

Stary Sandstein, który słuchał z uwagą mowy proboszcza, spoglądając z pałacowéj werendy na zwartą gromadę włościan i badając wrażenie, jakie scena ta na nich robi, na wspomnienie Opatrzności skrzywił się niechętnie, bo mu się ten zwrot nie podobał.

— Co ten ksiądz wygaduje! — szepnął z niezadowoleniem na ucho żonie — Opatrzność... łaska Opatrzności!... jaka Opatrzność?... żebym nie był odkupił Grzędów, to Opatrzność nie byłaby grosza na to dała. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ten konfesyjny zwrot na końcu. Chłopy sobie pomyślą, że Pan Bóg stawał do licytacyi. Muszę ja proboszczowi powiedziéć, aby na kazaniu jutrzejszém z ambony sprostował ten ustęp; jak uważasz Lorciu?...

Zjazd familijny trwał dni kilka; brakowało tylko Łanieckich, bo Jan Chryzostom za nic w świecie nie chciał przyjechać do Grzędów, aby sobie serca na nowo nie rozraniać widokiem majątku, z którego ustąpić musiał.

— Jabym tego nie przeżył! — zapewniał żonę z przesadną afektacyą, — mnieby serce albo żółć pękła!... ja siebie znam. Niech się tam Sandsteinowie sami panoszą, skoro nam pozwolili pójść z torbami. O, moja noga więcéj w tych miejscach

nie postanie; powiedz to Toli!.. *Finis,* raz na zawsze!... Urągać samemu sobie?... *jamais!*

Nie byłby poznał odrapanych ścian swego dawnego dworu, który kosztem Sandsteina zamienił się w pałac z wystawną werendą od ogrodu, zewnątrz odświeżony, ozdobiony nową ornamentacyą, wśród któréj jaśniały rzeźbione w kamieniu herby Zabiełowskich z hrabiowską koroną i inicyałami Toli i Bernarda.

Wewnątrz zmieniono całe urządzenie, pozostawiwszy tylko w kilku pokojach staroświeckie meble, aby przypominały pamiątkowe zabytki dawnéj rezydencyi i dawnych właścicieli; na ścianach pokrytych tapetami drogiemi, zawieszonych staremi gobelinami, w świeżo odzłoconych ramach, spoglądały jakby z mroków wywabione, poczerniałe od starości, fizyognomie rozmaitych praszczurów rodzinnych, milczące, jeszcze bardziéj zesztywniałe na pozór i nadęte w swych deljach, robronach i kornetach.

Było im jakoś nieswojsko w tém nowém otoczeniu, zbytkowném, błyszczącém, urządzoném jakby na pokaz, rzucającém się w oczy przepychem, nie licującém z charakterem wiejskiego dworu.

Sandstein nie skąpił pieniędzy na tę gruntowną renowacyę; obok pałacu stanęły nowe budynki w oficynie; stajnie, wozownie przybrały wygląd imponujący, służba dostała liberyę, na któréj zdaleka błyszczały nowiusieńkie guziki srebrne z koroną hrabiowską.

— A co?... szyk?... prawda? — powtarzał co chwila Sandstein, oprowadzając syna i synowę

po całym domu i pokazując im wszystkie kąty w obrębie pałacu.

Chwalił się sam przed nimi, a dla spotęgowania efektu od czasu do czasu dodawał niby od niechcenia, półgłosem, jakby w nawiasie, informacyę:

— Patrzcie-no, ten *lavoir* — siedmdziesiąt pięć rubli. Śliczny, co?... drogi, ale śliczny!... A to lustro w salonie?... dwieście. Także drogo, ale warte swoje pieniądze. Za tę lampę na postumencie dałem... zgadnij Bernard, co kosztowała?... No, powiedz najwyższą cenę, jak ci się zdaje?... sześćdziesiąt ośm rubli!... i to z targiem. Szalenie drogo, tylko że to teraz w modę wchodzi. Tu macie stół mahoniowy, cały massiv, majstersztyk, jak was kocham!... zobaczno, te inkrustacye!... o!... przecudowne!... to wam na sto lat wystarczy.

W ten sposób odbywał się przegląd całego umeblowania, szczegółowy, długi, nużący, z opowiaeniem bez końca o wszystkich kłopotach ze stolarzami, tapicerami, malarzami, z wyliczaniem nadzwyczajnych zalet każdego sprzętu, z parweniuszowską manią przeceniania wartości.

Tolę niecierpliwiło więcéj, niż zajmowało to oglądanie domu: z większą radością rozpoznawała stare stołki, fotele i drobiazgi, pozostałe z dawnego urządzenia od zbytkownych i kosztownych garniturów, bo tamte jéj przypominały dawne lata, spędzone w starym dworze, zaranie i wiosnę życia, które jéj upłynęły wśród tych samych drzew gęsto sadzonych w ogrodzie, wśród tych zielonych pól i łanów, do których wracała dziś inaczéj niestety, niż niegdyś pragnęła...

Teść niechcący sprawił jéj przykrość, zamiast miłéj niespodzianki; przy przebudowie lewego skrzydła pałacu, kazał zburzyć dawny jéj pokoik panieński i w tém miejscu postawić schody, prowadzące na małą wieżyczkę z gloryetką, z któréj roztaczał się widok na gościniec, rozwinięty białą wstęgą wśród smukłych topoli, przerzynający grunta dworskie i ginące daleko, daleko wąziutką linią prostą na horyzoncie.

Obiecywała sobie, że w tym pokoiku urządzi dla siebie najmilsze zacisze i kącik do dumań o szaréj godzinie, gdzie zamykać się będzie ze swemi wspomnieniami sam-na sam, a tymczasem spotkał ją zawód.

Z paniéńskiéj jéj komnatki i śladu nie zostało.

— Będzie wam tutaj, jak w raju! — powtarzał ze śmiechem i wielce zadowoloną miną stary Sandstein, klepiąc syna po plecach i poufale ujmując pod ramię synową, do któréj wdzięczył się przy lada sposobności, jakby ją sobie gwałtem ująć pragnął.

Nie uważał jednak, że te usiłowania wręcz przeciwny zdawały się odnosić skutek.

W zachowaniu się Toli, w jéj twarzy, w uprzejmości, z jaką odpowiadała na jego zapytania znać było zawsze pokrywany odcień przymusu, który swobodę jéj robił jakąś sztuczną, nienaturalną, dość niezręcznie nawet udawaną.

Nie umiała, a raczéj nie mogła nawiązać bliższego, szczerego, cieplejszego stosunku z rodzicami męża; coś ją zawsze raziło i powstrzymy-

wało od nich zdaleka—teraz jeszcze bardziéj, niż przed ślubem.

Nie chciał jéj się przez usta przecisnąć ten „papa,“ którym powinnaby nazywać starego Sandsteina; z matką milczącą i zamyśloną wiecznie nie miała tyle kłopotu, z ciocią Vossową politykowała, ale jéj ciągła paplanina po francusku, jéj słodkie czułości, jéj narzucająca się troskliwość i opieka na każdym kroku stawały się nieznośne.

Najwięcéj jeszcze pociągu i sympatyi czuła do spokojnego, z taktem trzymającego się na uboczu męża pani Emilii; w jego sprytnych oczach i ironicznym uśmiechu, z jakim spoglądał na całą rodzinę, w jego ciętych półsłówkach, któremi powstrzymywał zapędy żony, zdawało się Toli spostrzegać w tém otoczeniu jedynego sprzymierzeńca.

Czasami odzywał się tak, jakby jéj umyślnie zrobić chciał przyjemność, podkreślając pewne aluzye.

— Mój Ludwiku — mówił np. ze złośliwą miną do szwagra, w tonie niby żartobliwym, — czybyś ty nie wolał w każdym pokoju wywiesić cennika i spisu inwentarza, zamiast wyliczać Bernardowi szczegółowo, co to wszystko kosztuje?... gdzież on to tak spamiętał...

Innym razem podając Toli śliczną różę, zerwaną z krzaku pod oknami pałacu, rzekł:

— Niech pani przyjmie, to nic nie kosztuje pani teścia.

Sandstein, który dosłyszał te słowa i dorozu-

miał się przytyku, udając, że się śmieje z dowcipu tego poczciwego Vossa, zawołał:

— O przepraszam cię bardzo, to kosztuje sto kilkadziesiąt tysięcy gotówką!... inaczéj nie mógłbyś zrywać tych róż tutaj w Grzędach.

Tola zacięła usta i ściągnęła niechętnie brwi; przypomnienie majątkowych stosunków i ruiny jéj posagu, uratowanego z łaski teścia, dotknęło ją przykro swoją niedelikatnością.

Takich drobnych, na pozór nic nie znaczących zadraśnięć zdarzało się więcéj; ostudzały one najlepsze chęci i intencye Toli ku przystosowaniu się do nowéj rodziny.

Z każdą godziną niemal raziło ją coraz więcéj to otoczenie teścia, nieodstępne towarzystwo Vossowéj, badawcze wpatrywania się w nią świekry, naiwne pytania Resi, która starała się we wszystkiém naśladować bratowę, przyjmować jéj ton, jéj pozy, jéj gusta, jéj toaletę.

Uwzięła się kopiować ją w najdrobniejszych szczegółach.

— Czy oni sobie ztąd nigdy nie wyjadą?—myślała zniecierpliwiona, znudzona, umęczona Tola po tygodniu tych familijnych rozkoszy.

Próbowała wymykać się im pod rozmaitemi pozorami, aby choć kilka chwil miéć wyłącznie dla siebie i wytchnąć swobodnie, zrzuciwszy przybraną maskę uprzejmości i zadowolenia z twarzy. Nadarmo; tropiono ją natychmiast po całym domu, wysełano służbę z poleceniem odszukania „jaśnie pani,“ wołano na rozmaite głosy po ogrodzie: „Tola!... *chère* Tola!... hop, hop...“

Musiała wracać na łono rodziny, która obmotywała ją, jak złowioną muchę pajęczą siecią.

Vossowa, dając folgę swoim arystokratycznym aspiracyom, przyzwyczajała służbę do tytułów, które choć jéj się nie należały, pochlebiały jednak wielce jéj familijnéj dumie; pracowała nad tém, aby Tolę w całym dworze nauczono się nazywać „panią hrabiną.“ Brała się do tego dyplomatycznie, po sto razy na dzień wypytując subretkę, klucznicę, lokajów, stangretów:

— Czy pani hrabina jest w ogrodzie?.. czy pani hrabinie podano herbatę?.. czy konie dla pani hrabiny założone?...

Nie pomijała nawet służby folwarcznéj, aby i wśród niéj spopularyzować ten tytuł, który tak pieścił jéj uszy.

Spotkawszy na drodze przez pola parobka, lub pastuszkę od gęsi, nie darowała sobie, ażeby ich nie zatrzymać i nie zagadnąć niby dobrodusznie:

— Nie widzieliście, czy pani hrabina przechodziła tędy?...

Z początku spoglądano na nią dużemi oczyma i nie rozumiano o kogo pyta.

— Nijakiéj hrabiny proszę jaśnie pani nie widziołem.

— Jakto być może — rozpoczynała swą lekcyę dyplomatyczną, — nie widzieliście żony jaśnie pana?

— A którego?...

— No młodego pana dziedzica?

— A!... panienki naszéj?...

— No tak, dawnéj panienki waszéj, pani hrabiny?...

Parobek lub dziewka wiejska kłaniali się do kolan z miną zakłopotaną i myśleli sobie:

— Patrzaj, a to musi ten młody Zansztaj wierutny hrabia, kiedy tak nazywają po nim dziedziczkę; a tak ci na żyda patrzał!...

Suggestya robiła swoje.

Tolę w ciągu tygodnia zaczęli w całéj wsi nazywać „hrabiną,“ a pani Emilia uśmiechała się tryumfująco, widząc skutki swéj zręcznéj agitacyi.

Za czasów Łanieckich nie dbano jakoś o taką dokładność tytułów.

Nadszedł wreszcie upragniony dzień, kiedy w jakieś dwa tygodnie po instalacyi, rodzina Bernarda zaczęła się rozjeżdżać; młodzi małżonkowie mieli pozostać sami.

Sandstein przed wyjazdem z Grzędów wziął syna do osobnego gabinetu i wręczając mu kartkę, wydartą z notatnika, rzekł:

— Zrobiłem ci tu spis wszystkich twoich bliższych i dalszych sąsiadów, którym musisz zrobić wizytę i to jak najprędzéj; masz sam wybór!.. dom w dom, co się nazywa.... trzeba się pośpieszyć, dopóki tu siedzieć będziesz, bo czasu już nie dużo na znajomości. W październiku przeniesiecie się do Warszawy.

Bernard rzucił okiem na długą listę nazwisk i obojętnie zwinął kartkę w palcach, odrzekłszy:

— Na to jeszcze czas; nie śpieszy nam się.

— Co to jest, nie śpieszy?—ofuknął go stary,—

z ludźmi trzeba żyć. Teraz, kiedyś został obywatelem ziemskim, musisz się starać o stosunki; to daje pozycyę. Tego lekceważyć nie można. Staraj się wejść w towarzystwa, daj się poznać, bywaj, zapraszaj, urządź kilka polowań, chociaż nie jesteś żaden myśliwy, ale skoro masz wieś, to bądź szlagonem, jak wszyscy inni. Dlaczego nie masz nim być?... Cóż ty myślisz, że Grzędy warto było kupować dla samego gospodarstwa, dla tego, żebyś siał, orał i zbożem handlował?... To najmniejsze. Ty wchodź w nową sferę i wyrabiaj sobie w niéj stosunki. Sandstein na Grzędach, to coś więcéj, niż ci się teraz wydaje. Mam nadzieję, że ty to zrozumiesz sam; czy ja tobie mam może łopatą kłaść do głowy, co ty masz robić?... ty masz swój dobry rozum. No, ale ojca słuchaj i jedź z wizytami.

Bernard się uśmiechnął.

— To będzie od żony zależało.

— A naturalnie, że tylko z nią, nigdy bez niéj! — z ważną miną przerwał stary, podnosząc do góry aż dwa wskazujące palce.

Uśmiech znikł z twarzy Bernarda; spojrzał na ojca, jakby z urazą za to polecenie, które brzmiało, niby niedomówiona przestroga: „bo mogą cię nie przyjąć!...“

Z własnych ust ojca usłyszał jakby przypomnienie:

— Pamiętaj, żeś ty sam jeszcze tylko prosty Sandstein, syn zbogaconego przechrzty, a świat ma swoje przesądy do krwi, do rasy, do majątków nabytych, nie odziedziczonych, do nazwisk pospo-

litych; pamiętaj zręcznie pokrywać to wszystko żoną hrabianką, Zabiełowską z rodu, dla któréj wybaczą ci choć przez połowę, żeś z żydów i parweniuszów!...

Myśl ta przemknęła mu przez głowę, jak cień i jak zimny, wilgotny powiew wiatru dreszczem przejęła zwoje jego mózgu.

Stał z pochyloną głową i słuchał dalszych rad i wskazówek ojca, rozmyślając wszelako o czém innem...

Nie zdały się jednak na nic wszelkie nauki i polecenia. Państwo Bernardowie nie skorzystali z nich wcale, krokiem nie ruszyli się z domu, z wyjątkiem w niedziele i święta do kościoła, gdzie w kolatorskiéj ławce zajmowali miejsca, a po nabożeństwie wracali natychmiast do domu.

Na listowne zapytania ojca, czy porobili już zalecone znajomości w sąsiedztwie, Bernard odpowiedział:

„Nie byliśmy dotąd nigdzie z wizytami i zdaje się, że w tym roku nie będziemy robili ich wcale; Tola czuje się niedysponowaną, potrzebuje spokoju i nie chce wyjeżdżać, bo się boi utrudzenia. W jéj stanie dzisiejszym mogłaby sobie na zdrowiu zaszkodzić.“

Sandsteinowa aż rumieńców dostała, przeczytawszy ten ustęp w liście syna; między wierszami znalazła w nim upragnioną zapowiedź, że zostanie nareszcie babką.

Pani Emilia chciała telegraficznie powinszować obojgu spodziewanéj pociechy, ale jéj wytłómaczono, iż nie wypada uprzedzać wypadków i cze-

kać należy wyraźniejszego zawiadomienia w tym względzie.

— Wszystko jedno; od jutra zacznę robić dla tego maleństwa czepeczki i śliniaczki, — wołała uradowana.

I rzeczywiście, od téj chwili zaczęto panią Emilię widywać u niéj w salonie, i na mniéj ceremonialnych herbatkach u bliższych znajomych, zajętą zawsze nader gorliwie rozmaitemi robótkami; sprawiła sobie nawet umyślnie bardzo ładną pluszową torbę z eleganckim neseserem, w któréj nosiła zaczęte czepeczki, wstawki, kołnierzyki miniaturowe i z tajemniczo uśmiechniętą minką dziergała zawzięcie w towarzystwie, odpowiadając na wszelkie w tym względzie zapytania, co robi, dla kogo:

— To jeszcze sekret; poczekajcie, dowiecie się, takie rzeczy wychodzą na jaw w swoim czasie.

Mężczyźni uśmiechali się dwuznacznie i dla żartów udając, że w tę mistyfikacyą nie wierzą, prześladowali ją przejrzystemi dość aluzyami:

— No, no!... powinszować! zatém zacny ród Vossów nie zaginie?...

— Czy pani zaprasza już na chrzciny?

— Z cioci zostanie pani teraz mateczką; powinnibyście państwo przynajmniéj kaplicę jaką ufundować na podziękowanie Panu Bogu. Tak długo wyczekiwany wypadek w rodzinie...

Udawała, że się oburza i gniewa na śmiałków, ale w głębi była zadowoloną z tych fałszywych przypuszczeń; bawiło ją to i nastręczało sposobność do rozmowy półsłówkami, dwuznacznikami,

dowcipkami na temat, który nie bardzo nadawał się do żartów.

Postanowiła sobie jak najdłużéj być dyskretną, bo „dobry ton“ nakazywał jéj utrzymywać tajemnicę familijną do czasu, w którymby mogła pochwalić się pół-krwi hrabiątkiem ze szczepu Sandsteinów.

Bernard, który na jeden dzień przyjechał z Grzędów do Warszawy, poddać się musiał natarczywéj indagacyi całéj rodziny, odnośnie do tego wypadku; matka uradowana po raz pierwszy od ślubu, ucałowała go w głowę i dała mu sznurek pereł dla Toli ze słowami:

— Powiedz jéj, że dopiero teraz jestem prawdziwie szczęśliwą. Przyjedziemy tam do was na przyszły tydzień — dodała, — zatelegrafujemy po konie, a z powrotem to może się już z nami razem zabierzecie?... bo chyba już dosyć macie téj wsi!..

— Przeciwnie, ani myślimy się ruszać.

— Jakto?... chcielibyście zimować w Grzędach?—spytała zaniepokojona.

— A dlaczegożby nie?... alboż nam tam źle będzie?

— Daj pokój takim żartom!...

— Nie żartuję wcale; jużeśmy tak z żoną postanowili.

— To szaleństwo!...

— Tola nie ma ochoty powracać do Warszawy i do życia towarzyskiego, tém bardziéj teraz.

— No, ale ty jesteś tu ojcu potrzebny!... przecież tu nie może stać dom pustkami. To są grymasy, nic więcéj. Teraz właśnie powinieneś ją

koniecznie przywieźć ze wsi, niech się rozrywa, niech bywa w świecie, niech przyjmuje, dopóki może. Na wsi bez towarzystwa można się rozchorować!... Kto to widział siedzieć tam teraz, jak na pokucie?...

Bardzo się wszystkim ten projekt nie podobał; chcieli mieć tuż przy sobie, jak najbliżéj, swoją ofiarę.

Czyż oni na to ożenili Bernarda i weszli w koligacyę z domem hrabiów Zabiełowskich, aby tam gdzieś daleko, w ukryciu chowała się taka synowa?...

— Ani myślcie sobie o tém — wołała ciotka Emilia, — sprowadzimy was przemocą!... tu macie rodzinę, tu macie obowiązki.

Stary Sandstein słuchać nie chciał o takiém po stanowieniu.

— Co to jest, żebyś ty tam siedział i czas marnował?... tam i tak żadnych znajomości nie robisz, a tutaj ja ciebie potrzebuję. Interesa coraz większe, ja nie mam nikogo do pomocy; przecież chyba już czas, abyś wrócił na swoje miejsce?... „Tani kredyt“ rośnie, jak na drożdżach, ja mam ciągłe wyjazdy i tysiące spraw na głowie, trzeba pilnować ludzi i interesów, ty powinieneś tu być na każde zawołanie. Powiedz to swojéj żonie, albo na co?... ja jéj to sam wytłómaczę, jak do was przyjedziemy.

Z dość kwaśną miną słuchał Bernard tych wszystkich perswazyj; on sam w głębi duszy podzielał zdanie żony i instynktownie czegoś bał się tego powrotu ze wsi, gdzie życie we dwoje płynę-

ło im jakoś równiéj, ciszéj, spokojniéj, w tém oddaleniu od zgiełkliwych towarzystw, konwenansów nużących, wizyt nudnych, salonów rojnych, proszonych obiadów, rautów i obowiązkowych jour-fixów familijnych.

Od owéj pamiętnéj podróży z Gmunden do Wiednia ustalił się jakoś między nimi najniespodziewaniéj stosunek małżeński w chwili, w któréj stawał się już ciężkim nie do zniesienia.

Ale mimo wszystko, dziś jeszcze, kiedy z pozorów przynajmniéj zewnętrznych, tak trudna do zestrojenia się harmonia między nimi nastała, kiedy faktycznie poczuli się małżeństwem, które miało przed sobą nawet najsilniéj zbliżający je cel, ów silny węzeł zadzierżgnięty na całą przyszłość, jeśli nie między mężem a żoną, to między ojcem a matką wspólnego dziecka, dziś jeszcze stosunek ich nie był ze wszystkiém takim, aby mógł być rękojmią prawdziwego i trwałego szczęścia dwojga ludzi połączonych z sobą nie samym związkiem ciał, ale i całą istotą duchową.

Zaskoczyła ich chwila pokuszeń na widok cudzego szczęścia, pieszczot i pocałunków młodéj, jak oni pary nowożeńców i do téj nietkniętéj biesiady życia i rozkoszy sięgnęli instynktownie po słodki owoc, którego niestety miłość dla nich nie zrywała...

Zmrużyli oczy i porwani znienacka zdradliwą falą płynęli obok siebie, z prądem życia, który ich unosił z dnia na dzień.

Ale nie pokochali się, nie przylgnęli sercami,

nie ztopili z sobą w jedno jestestwo, pomimo największego zbliżenia do siebie.

Wspólne pożycie w Grzędach miało przynajmniéj tyle dobrego, że nie mąciło niczém téj sztucznéj równowagi, jaka zapanowała między Tolą a jéj mężem; mogło było to życie równe, spokojne, jakby zrezygnowane trwać lata całe i zamienić się w jakiś rodzaj wegetacyi coraz cichszéj i coraz mniéj wymagającéj, w jakiś stan cierpliwego wyczekiwania czegoś nieokreślonego.

Dnie upływały im dziwnie monotonnie, podobne do siebie jak ziarnka piasku przesypywane samą siłą ciężkości w klepsydrze.

Między codzienném „dzień dobry" i „dobranoc," jakiém się witali i żegnali, miarowo, jakby według szablonu układały się wszystkie godziny, w których jednako powtarzały się spotkania przy herbacie rano, przy śniadaniu w południe, przy obiedzie nad wieczorem; tak samo, jak swego czasu nad Trauneńskiém jeziorem, siadywali teraz na werendzie swego pałacu, ona z rękoma wsuniętemi głęboko w rękawy szerokie pluszowego szlafroczka, obszytego suto koronkami kremowego koloru, z głową opartą na poręczy fotelu o biegunach, wpatrzona w wełniste obłoczki, kłębiące się po niebie, — on z papierosem w ustach, z dziennikiem lub książką w ręku, leżac na wyplatanym szezlongu.

Cicho, jak usłużne duchy, bez szelestu, w filcowych pantoflach, aby nie stukać butami, przesuwali się od czasu do czasu lokaje, odgadując prawie myśli i żądania jaśnie państwa, bardzo

rzadko szeptem zadając pytania lub przynosząc oznajmienia.

W paradnych apartamentach tego wiejskiego ustronia panowała przez większą część dnia głucha cisza; do umówionych znaków na migi prawie zredukowała się tam mowa ludzka.

Kamerdyner w białym krawacie, z serwetą na ramieniu stawał wyprostowany we drzwiach i poruszał niemo ustami, co miało oznaczać:

— Podano do stołu.

Inny służący w liberyi z kapeluszem ceratą obciągniętym ukazywał się w przyzwoitéj odległości na ścieżce ogrodowéj i odsłaniał w milczeniu głowę, a ten ruch zastępował słowa:

— Wolant dla jaśnie państwa już zajechał.

Tola czuła się rozdrażnioną, wszelki głos obcy raził jéj nerwy; mąż musiał przemawiać do niéj przyciszonym głosem, troskliwie dopytując się tylko półsłówkami, czy nie życzy sobie czego, lub nie ma czego do rozkazania.

W chwilach szczególniéj dobrego usposobienia uśmiechała się do niego i mówiła:

— Proszę mi co przeczytać.

Brał skwapliwie dziennik albo książkę, siadał naprzeciw niéj na fotelu z ruchomym pultem i czytał, dopóki nie usłyszał znowu zwykle sakramentalnych słów:

— Dziękuję... dosyć.

Wieczorami przed herbatą siadała niekiedy sama do fortepianu i przegrywała sprowadzane nowości z miasta; ale nie była to muzyka z zamiło-

wania, tylko jakieś oschłe, zimne, obojętne odczytywanie nót dla zabicia czasu.

— To ładne, prawda?...—pytała, nie zwracając wcale głowy w stronę męża, albo tym samym tonem lakonicznie wygłaszała wyrok:

— To brzydkie,—i odkładała nóty z niechęcią, aby ich drugi raz już nie wziąć więcéj do ręki.

Każdą przysługę ze strony męża nagradzała spojrzeniem i uśmiechem dziękczynnym, ale robiła to, jak rzetelna i sumienna dłużniczka, wypłacająca się swojemu wierzycielowi.

— Dziękuję ci, jesteś bardzo uprzejmy, - mówiła mu zwykle jakimś cieplejszym tonem, ilekroć przystawał na jéj życzenia.

Niekiedy, bardzo rzadko, podawała mu ramię, aby się przejść po ogrodzie, zasłanym zwiędłemi liśćmi, które jak rdzawe plamy wśród śniedzi leżały na ścieżkach i spłowiałych trawnikach.

Melancholia jesienna udzielała się jéj w takich chwilach i szłá obok niego ze spuszczoną głową, najczęściéj milcząca, tłómacząc się rozstrojem, znużeniem, migreną, albo tą nieokreśloną wymówką:

— Nie wiem, co mi jest dzisiaj.

Widząc ją bledszą i zmizerowaną którego dnia, pytał, czy nie życzy sobie, aby sprowadzić doktora.

— O nie, nie chcę nikogo z miasta!... nie trzeba... to przejdzie.

— Może chciałabyś pojechać do Warszawy na kilka dni?—proponował.

Wzruszyła apatycznie ramionami i odpowiadała:

— Po co?... czy mi tu źle?...

Przez cały ciąg dwóch miesięcy, które spędzili w Grzędach, raz jedyny widział ją Bernard bardziéj ożywioną, rozmowną, uśmiechniętą; było to wówczas, gdy zaproszony Kulisz przyjechał na dwa dni w odwiedziny z Warszawy.

Wyciągnęła do niego na powitanie obie ręce z taką radością, jak gdyby był jedyną żywą duszą spotkaną wśród pustki bez wyjścia.

— Jakiś pan dobry, jaki poczciwy, żeś przyjechał!—powtarzała.—Dawno pan w Grzędach nie byłeś, prawda?... lata całe. Tu się dużo zmieniło od tego czasu. Nie poznasz pan ani domu, ani ogrodu; wszystko inaczéj teraz, niż było za wujostwa.

Oprowadzała go wszędzie sama, nie aby pokazywać nowe zmiany i urządzenia, ale aby przypominać mu rzeczy dawne, które znał z czasów pobytu swego na guwernerce w Grzędach.

— Pamiętasz pan, tu stała altana, gdzie ten kiosk—mówiła mu,—uczyłeś mnie pan w niéj grać w szachy, a tam odbywały się nasze lekcye literatury pod tą lipą. Tuśmy jadali obiady na werendzie w pogodne dnie; wujaszek zasypiał na fotelu a ciocia wachlarzem oganiała przy nim muchy—pamiętasz pan?... jakie to były zabawne sceny!... Patrz pan, poznajesz tę grabową aleję?... to przecież nasza Akademia!... chodziliśmy po niéj tam i napowrót całemi godzinami, pan wykładałeś mi rozmaite poważne rzeczy a ja słuchałam i dziubałam najczęściéj maliny. Pamiętam, jakeś się pan często gniewał na mnie, kiedy z tém mojém,

„zaraz, zaraz,“ odchodziłam od pana i w najbardziéj zajmującém miejscu przerywałam wykład, aby zerwać kilka najdorzalszych malin i podać je panu na dłoni. Ja byłam nieznośną dziewczyną, prawda?... powiedz pan szczerze. Teraz za to jestem bardzo stateczna. Nie poznałbyś pan we mnie dawnéj Toli, ani pan, ani nikt!...

Bernard z początku z obowiązku gospodarza chodził z nimi i choć nie wiele udziału przyjmował w ich rozmowie, towarzyszył żonie i gościowi, ale potém się cofnął, zostawiając ich samych we dwoje.

Nie zauważyli nawet tego, tak byli zajęci wspomnieniami dawnych czasów.

Chodzili po wszystkich ścieżkach ogrodu, wyszli w pole, ku młynowi i na wzgórza brzozami zarosłe, gdzie stał żelazny krzyż, pochylony i zardzewiały z blaszanym Chrystusem, który obluzował się z gwoździ i drżał przy każdym silniejszym podmuchu wiatru, skrzypiąc, jak gdyby wydawał bolesne jęki.

Kilka zeschłych wianków z kwiatów polnych chwiało się na ramionach krzyża; u podstawy znać było na pół zatarty napis: ,,Bądź wola Twoja!..,“

Ojciec Bernarda odnawiając dawną rezydencyę Zabiełowskich byłby go kazał zapewne wyzłocić, gdyby był wiedział, że postawił to godło męki i zbawienia dziadek Toli, kiedy przed laty opuszczony przez żonę schronił się tutaj i zamknął ze swoją boleścią.

Z pod krzyża tego na wzgórzu roztaczał się widok szeroki na całą wieś rozrzuconą wśród sza-

chownicy pól różnobarwnych, na stary ogród dworski i pałac, połyskujący jeszcze świeżemi barwami po dokonanéj restauracyi i przebudowie.

— Czy uwierzysz pan — odezwała się Tola,— że nie byłam tu jeszcze ani razu, po naszém przybyciu do Grzędów?... nie miałam z kim, — dodała jąkby na swoje usprawiedliwienie.

— A mąż?—spytał Kulisz, bez wszelkiego nacisku, lecz mimo to wywołał lekki rumieniec na twarzy swéj byłéj uczennicy.

Spuściła szybko oczy w ziemię i westchnęła.

— Nie, z mężem nie odbywamy takich spacerów—rzekła,—chodzimy czasem po ogrodzie, lub wyjeżdżamy wolantem na leśniczówkę; zresztą... nie przyszło mi to nigdy na myśl.

— To źle, — krótko, ale z dziwnym jakimś akcentem wtrącił Kulisz.

Spojrzała na niego przez chwilę i spytała:

— Dlaczego źle?...

— Dlatego—odrzekł,—że mąż pani jest jedynym tutaj towarzyszem, z którym mogłabyś i powinnaś dzielić wszystko, od myśli do przechadzek; inaczéj te piękne Grzędy byłyby straszną pustką dla każdego z państwa osobno, a jeszcze większą dla obojga razem.

— A któż panu powiedział, że nie są!—wyrwał się nagle z ust Toli wykrzyknik mimowolny, który był wymowniejszym od najszczerszych wyznań, a którym po raz pierwszy od swego zamążpójścia zdradziła się tak otwarcie.

Trudno było cofnąć wyrazy, co odsłoniły przed Kuliszem tajoną prawdę i brzmiały jakby skargą

i wyrzutem, i bólem, i wstydem, i zniecierpliwieniem zarazem.

Spostrzegła się, że powiedziała więcéj, niżby chciała, i urwała nagle, spuszczając głowę, aby ukryć rumieniec, który jéj twarz oblał.

Nastała chwila przykrego milczenia, podczas któréj dawny nauczyciel przypatrywał się badawczo swéj byłéj uczennicy i śledził w niéj tę krótką, ale gwałtowną walkę, jaką ze swemi uczuciami stoczyła, aby je na nowo spętać i pokonać.

— Ależ to byłoby nieszczęściem, pani Tolo — odezwał się po chwili głosem zniżonym, powoli, jakby z ubolewaniem;—cóż to za życie takie!...

Otrząsnęła się nerwowo, wyprostowała i szybko z nagłą ale wymuszoną rezygnacyą szepnęła:

— Ha, cóż robić!... tak jest i tak być musi; niéma o czém rozprawiać.

Oparła się o piedestał żelaznego krzyża i z jakimś dziwnie dwuznacznym uśmiechem powtórzyła wyryte na nim słowa:

— „Bądź wola Twoja!..."

Kulisz, który zauważył ten wyraz na twarzy młodéj kobiety i ton jéj głosu, dotknął zlekka jéj ramienia i rzekł z łagodnym wyrzutem:

— Bluźnisz pani w głębi swéj duszy.

— Ja?... bluźnię?...

— Tak, bo w téj pozornéj pokorze jest nie dobrowolne poddanie się swemu losowi i Bogu, ale uległość słabszego, który protestuje; w takiéj pokorze kryje się zawsze zarodek buntu. Czy pani chcesz, abym mówił z panią otwarcie, jak dawny, stary, zaufany przyjaciel?...

Spojrzała mu wprost w oczy i zapytała niespokojnie:

— Powiesz mi pan co przykrego?...

— Zapewne; powiem pani prawd kilka, a każda prawda bywa gorzką...

Przerwała mu nagłym ruchem ręki:

— To nie chcę!... nic mi pan nie mów, jestem i tak dość rozdrażnioną a trzymać się muszę, aby nie wybuchnąć. Zresztą, co mi pan możesz powiedzieć takiego, czegobym dobrze sama nie wiedziała?... powiesz mi pan, że w życiu trzeba być konsekwentną, że skoro się z otwartemi oczyma, z całą przytomnością i samowiedzą coś zrobiło, to należy zgodzić się z następstwami tego?.. Ach, to łatwo wyrozumować i udowodnić, od tego jest przecież logika, ale zastosować się do tego, to inna rzecz!... Z moją naturą połowiczną, słabą i silną na przemian, uległą i rogatą, wrażliwą i drażliwą, chwilami chorobliwie waryacką, jednem słowem i tak niekonsekwentną, ach jak!... nie można być nigdy odpowiedzialną całkowicie za siebie. Widzisz pan, ja się znam dobrze, znam wszystkie moje wady, ale co to pomoże!... Czy pan sądzisz, że ja — kiedy tu tak w samotności siaduję całemi godzinami i jak jedwabnik osnuwam się nicią bez końca mojemi myślami, nie powiedziałam sobie wszystkiego na rozum, nie mówiłam sobie: „Czego ty chcesz?... poświęciłaś się, pozwoliłaś się wydać za mąż bez miłości, to prawda, ale zostałaś żoną człowieka, któremu nic zarzucić nie możesz; masz dostatek, wygody, zbytek i nie jesteś zadowoloną?... uważasz się ciągle

za ofiarę?... ciągle za pokrzywdzoną?... przecież wiedziałaś, że będziesz tylko panią Sandstein, że wejdziesz w sferę cioci Voss, że będziesz musiała zgodzić się z tém wszystkiém, co cię drażniło, śmieszyło, męczyło od pierwszego wejścia w ten świat!... a jeśli to wszystko wiedziałaś, czego chcesz?... czemu zatruwasz sobie życie i człowiekowi, który ma tylko tę jedną winę, że się z tobą ożenić pozwolił wyswatany?...“ I cóż mi z tego, ja sobie to wszystko powtarzam, przekładam, tłumaczę a jednak nie umiem się zmienić, nie umiem dopasować do mego położenia, do moich stosunków, do mojéj atmosfery!... Pan widziałeś, jak się dusiłam w salonie moich dzisiejszych teściów, gdym była jeszcze panną, jak się tam czułam zawsze obcą,—dzisiaj duszę się tak samo. Jesteśmy ludzie z dwóch różnych światów, nie rozumiemy się, nie mamy z sobą nic wspólnego; we mnie są jakieś instynktowe, czy ja wiem — bezwiedne uprzedzenia, jakaś idyosynkrazya moralna, któréj przezwyciężyć nie mogę, a z którą męczę się niewypowiedzianie, tém bardziéj, że téj męczarni okazywać nie chcę. Nie uwierzyłbyś pan, jakie drobne, nic nie znaczące rysy wchodzą tu w grę. Przecież to wstyd przyznać się, że mnie drażnią i szarpią mi nerwy takie drobiazgi np. jak to, że ojciec mego męża mlaska przy jedzeniu, albo że moja świekra wpatruje się we mnie z temi podniesionemi brwiami i milczy, bo nie wie, jak do mnie przemówić i o czém porozmawiać... Czasami mi się zdaje, że ona się mnie dotknąć obawia i dlatego całuje mnie tylko w powietrzu z obu

stron przy powitaniu i przy pożegnaniu. Jest jakiś nieszczery, sztuczny konwenans z pozorami czułości pomiędzy mną a całą rodziną mego męża, ale niéma tego prawdziwego uczucia i ciepła, które powinna miéć atmosfera rodzinna. Zimno mi jest pomiędzy nimi; ja dreszczów dostaję, gdy muszę dłużéj przesiedziéć w ich towarzystwie i to jest powodem, że mi tak trudno przylgnąć nawet do Bernarda, bo poza nim widzę, czuję zaraz całą jego rodzinę, całą tę sferę, w któréj nigdy nie potrafię być swobodną i szczęśliwą. Ach, mój drogi panie, jak ja się boję tego powrotu do Warszawy i tego życia, które mnie tam czeka... tych nowych stosunków, jakie mi narzucą, tych obowiązków, których odemnie wymagać będą!... tu siedziałabym już do końca życia, aby tylko zdala od tego wszystkiego. Czy ja wiem, może ja ich dobrze nie poznałam, może ja ich osądzam niesprawiedliwie, może nie umiem przejrzéć głębiéj, ale to wszystko rzeczy nie zmienia i nie poprawia...

Zapalała się coraz bardziéj, porywana potokiem słów, które, przerwawszy raz tamę milczenia, wzbierały w jéj ustach jak powódź; chciała w nich wylać wszystko, czém było serce jéj przepełnione.

Kulisz usiadł na kamieniu pod brzozą i nie przerywając jéj, słuchał z zajęciem.

— Pan znasz ten świat - mówiła daléj—co ja mam panu tłómaczyć, dlaczego mi w nim źle!... Sam mi pan opowiadałeś, że te panie w domu mojego teścia zaczęły książki czytać dopiero, odkąd pan tam bywać zacząłeś i dowiedziały się, iż

oprócz francuskich romansów istnieje jakiś Kraszewski, bo przedtém bardzo nie były pewne, czy „Grażynę“ napisał Mickiewicz czy Słowacki. Żebyś pan wiedział, jak często przypominałam sobie pańskie zdanie o téj roli, płytko zoranéj pod świeży zasiew a zachwaszczonéj zielskami tylu wieków, gdym próbowała poważniéj rozmawiać w cztery oczy z ciotką, albo siostrą mojego męża!... Miałeś pan słuszność, że kobiety w téj sferze bywają wrażliwe, ale nie głębokie, przynajmniéj te, które mają stanowić dla mnie towarzystwo najbliższe. Banalność i banalność, pod rozmaitą formą, nawet tam, gdzie są pozory czegoś innego... Ach, z tém można wytrzymać jeden dzień, choćby kilka wieczorów, choćby przez jeden sezon, ale żyć wśród tego całe lata, ciągle, zawsze, nieustannie—nie, niepodobna!

Burzyło się w niéj wszystko, drgało, jakby kłute i drażnione cieniutkiemi szpilkami; znać było, że wszystkich myśli, bezładnie rojących się jéj po głowie, nie może naraz zmieścić w słowach i wyrzucić z siebie, tak, jakby tego pragnęła.

— Ach, panie!... ach, panie!—powtarzała tylko z wyrazem bolesnego niesmaku i zniecierpliwienia—przeceniłam moje siły, przerachowałam się...

Kulisz głowę smutnie zwiesił i patrzał w ziemię pogrążony w myślach, jakie mu ta spowiedź Toli, nasuwała.

— A ja przypuszczałem —zaczął po chwili,—że pani inaczéj pojmiesz swoją rolę w téj sferze.

— Inaczéj?... jakże ją miałam pojąć?...

— Wnosząc tam pierwiastek innéj rasy, innéj

kultury, innych tradycyi, trzeba było korzystać ze swego wpływu,—bo miałabyś go pani niezawodnie, gdybyś zechciała. W najciaśniejszym zakresie można mićć swoją misyę i spełniać ją, tylko nie trzeba uprzedzać się i zrażać od samego początku, tak—jak pani.

— Chciałbyś pan, inaczéj mówiąc, bym grała rolę jakiéjś społeczno-towarzyskiéj reformatorki?—spytała,—o, to rola nie dla mnie! Nie mam cierpliwości, ani powołania do tego. A zresztą, dlaczegoż pan wycofałeś się sam z takiego apostolstwa?...

— Ja nie miałem tych warunków, co pani, nie byłem kobietą, nie należałem do rodziny, nie byłem żoną pana Bernarda Sandsteina i nie miałem uroku arystokratycznego pochodzenia. Ja mogłem tylko z dołu podawać pewne rzeczy, którebyś pani z góry dobrym przykładem mogła narzucać. Czyś pani nie uważała w téj sferze pewnéj skłonności do naśladownictwa, więcéj może w złém, ale i w dobrém?... tak samo, jak przyjmą od pani krój sukni, fason nowego kapelusza, piękną pozę w salonie, przyjęliby i pewne obyczaje, i pewne pojęcia, idee, zamiłowania, poglądy...

— Ee, pozornie—wtrąciła z lekceważeniem.

— Z początku—tak, ale z czasem przywykliby do tego i przejęli się głębiéj. Tymczasem pani zrezygnowałaś z góry ze swojego zadania, więcéj dbając o swoje nerwy i uprzedzenia, o tę idyosynkrazyą—jak trafnie powiedziałaś, aniżeli o poważniejsze cele; skurczyłaś się sama w sobie, schowałaś się w swoim domku, jak żółw, i skar-

żysz się, że ci w nim ciasno, zimno, niewygodnie. Trzeba umiéć przystosowywać się w życiu do wszystkiego...

— A jeśli kto nie może,—nie może, słyszysz pan?—spytała go niemal z boleścią.

— Dużo ten może, co chce i co musi — odparł z naciskiem.—Z tém wszystkiém nie wesoło przedstawia mi się teraźniejszość i przyszłość pani, jeżeli się to nie zmieni, — dodał głosem lekarza po zbadaniu pacyenta.

— O zmieni! — zawołała z błyskiem ożywienia w oczach;—musi się zmienić!... Przestanę być tak samotną, będę miała istotę, która mi wypełni dzisiejszą pustkę.

Kulisz spojrzał na nią z zajęciem; jakaś podejrzliwa myśl przemknęła mu po głowie.

— Będziesz pani szukała... pociechy?—spytał z niedowierzaniem.

— Pan Bóg mi ją sam zeszle w mojém dziecku,—odrzekła z prostotą, nie zauważywszy w jego słowach ukrytéj aluzyi.

— A!... tak?...

Zawahał się i jakby ją chciał przeprosić za swoje chwilowe posądzenie, ujął jéj rękę i przycisnął ze współczuciem do ust.

— To jednak nie wszystko stracone,—odezwał się swobodniejszym już tonem.

— O nie wszystko, i to całe moje szczęście!...

Uścisnęła mu rękę silnie i uśmiechnęła się do niego, jakby z wdzięcznością.

— Ach, żebyś pan wiedział, jak mi ta rozmowa ulżyła!—rzekła, biorąc go pod ramię,—ale teraz

chodźmy już, bo gdy się ciocia Voss dowie, żeśmy z sobą godzinę całą rozmawiali na osobności, to mnie zaraz zacznie prześladować panem i uroi sobie, żeśmy sobą zajęci powyżéj uszu. Ona nie rozumie przyjaźni między mężczyzną i kobietą, tylko albo flirt, albo romans; poza tém nic!...

Kulisz roześmiał się głośno, mówiąc:

— Wiem ja coś o tem!... panią Emilię znam przecież nie od wczoraj. To także moja ex-uczennica.

— Co?... ciocia Emilka?... ależ to niepodobna!... Kiedyż miała czas na to? —zawołała Tola z niedowierzaniem.

— Wzięła u mnie trzy lekcye literatury, ale dlatego tylko, bo sobie uroiła, że jéj powłóczyste spojrzenia zawrócą mi głowę i będę do niéj deklamował całe poematy przy świetle księżyca. Kiedy się przekonała, że nic z tego, dała pokój i mnie, i literaturze.

— Ale przecież to uczciwa kobieta i wierna żona?

— Najwierniejsza, ale pasyami lubi udawać, że nią nie jest.

— I dlaczegoż to?...

— Aby być bardziéj interesującą, a nie być gorszą od tych wszystkich pań, z których każda „ma kogoś“ faktycznie, a jest otaczaną nieustannie. Widziałaś pani przecież na rautach i wieczorach w każdym salonie rozmaite parki, gruchające z sobą na kozetkach, w kącikach, w zagłębieniach okien, szepcące z sobą wszystkimi językami po cichu z takiém przejęciem, z jakiém

Romeo z Julią, a Abelard z Heloizą nie szeptali. A wszystko to odbywa się w oczach żon i w oczach mężów, otwarcie, na widoku, bez wszelkiéj dyskrecyi. Ba! o to właśnie chodzi, aby wszyscy widzieli, że pan X. zajmuje się panią Y, nie panią Z., ani X. na odwrót wetuje to sobie na panu Q. i udaje, że nie jest wcale o męża zazdrosną. Te *amba* salonowe trwają nieraz przez jeden wieczór tylko, ale potém jest o czém rozprawiać przez cały tydzień i jest się czém chwalić! .. Co na to mówi moralność? spytasz pani. Moralność siedzi za piecem w każdym takim salonie, kiwa miłosiernie głową i tém więcéj sobie oczy zasłania, im bardziéj się te panie dekoltują, aby podbić do reszty jakiego Parysa we fraku.

— No widzisz pan, widzisz pan—przerwała mu Tola z wyrzutem, — i pan chcesz, abym ja się w takich salonach dobrze czuła i bawiła tak samo, jak one?.. Ależ ja nie mam jeszcze z kim szeptać, ani dla kogo się dekoltować!

— A któż pani zabrania pójść tam zapiętą pod samą szyję, mówić głośno i zająć miejsce na środku salonu, a zachowywać się tak, jak każe dobry ton i przyzwoitość w sferze, która ma do tego wielkie pretensye.

— Mylisz się pan, jeżeli myślisz, żeby to dużo pomogło. Ogłoszonoby mnie za dziwaczkę i zostawiono na środku salonu sama, albo zrobionoby mi miejsce za piecem razem z moralnością.

Rozmawiając w tym tonie, doszli do werendy pałacowéj, na któréj zastali Bernarda, czytającego listy.

— Czy jest co do mnie? — spytała Tola męża, rzuciwszy okiem na koperty.

— Jest bilecik od cioci Łanieckiéj, zapewne w téj saméj sprawie, w któréj ojciec mi pisze...

— O cóż chodzi?

— Będziemy musieli choć na kilka dni pojechać koniecznie do Warszawy.

Ściągnęła brwi niechętnie i zagryzła dolną wargę.

— Koniecznie?...

— Tak, — dziadek twój zachorował i pragnie się widziéć z tobą.

— Ze mną?...

Wzięła szybko list Łanieckiéj i przebiegła go oczyma.

„Trzeba drogo Tolo—pisała ciotka,—abyś koniecznie przyjechała jak najśpieszniéj do Warszawy. Dziadzio miał w ostatnich dniach kilka swoich ataków i czuje się bardzo osłabiony. Nie przyjmuje nikogo, oprócz p. Sandsteina i wyraził życzenie, abyś go odwiedziła. Wczoraj telegrafowaliśmy do wuja Adasia. Nie zwlekaj moje dziecko, bo kto wie, co Bóg postanowił...“

XII.

Od czasu zamążpójścia swego Tola raz jedyny widziała dziadka, kiedy po ślubie razem z Bernardem poszła do niego po błogosławieństwo; przyjął ich wtedy dość uprzejmie, chociaż swoim zwyczajem utyskiwał na wszystko, a najbardziéj na zdrowie.

— Ci lekarze teraźniejsi, to się na niczém nie znają — wyrzekał, — to prawdziwe nieszczęście chorować teraz przy takich doktorach!... gdybym się sam nie trzymał i nie dawał, to oniby mi ani na tyle nie pomogli. Szkoda tylko moich pieniędzy!... Oj, szkoda!...

Tracił coraz bardziéj wiarę w medycynę; zaczął używać jakichś środków sympatycznych, chciał się koniecznie radzić jakiegoś słynnego owczarza, o którym wyczytał w „Kuryerze;" utrzymywał, że mu najlepiéj robi słonina świeża, którą sobie kolana i nogi w stawach teraz smaruje.

— Widzisz moja droga, babski środek a pomaga, o!... juz mogę nogę podnosić tak wysoko, patrzajno!... — przechwalał się przed Tolą, — a tydzień temu, to ani rusz, ani tyle!...

O małżeństwie jéj ani słowem nie wspomniał, jak gdyby o niém nawet nie wiedział; zajęty był tylko sobą i swemi dolegliwościami.

— A pomódl się tam za moje zdrowie, moja droga!—rzekł przy pożegnaniu głosem tak rzewnym, jak gdyby nie o modlitwę, lecz o jałmużnę wnuczkę swoją upraszał. — Pomódl się, to mi dobrze zrobi, — powtarzał z miną przesądnego maniaka raczéj, niż z prawdziwą wiarą człowieka nabożnego.

Teraz, gdy po przyjeździe z Grzędów na wezwanie Łanieckiéj i teścia, poszła do niego, zastała go zmienionego do niepoznania.

Leżał w tym samym dusznym, zaciemnionym gabinecie, tylko sobie łóżko kazał postawić bliżéj biurka, między oknami; dozorował go jedynie stary kamerdyner, na którego gderał i skarżył się cały dzień, niekontent ze wszystkiego i każdéj posłudze mając coś do zarzucenia.

Ale nikogo innego nie chciał dopuścić do siebie, do nikogo nie miał zaufania. Całemi godzinami leżał na wznak i mruczał nawet przez sen, zapadając w drzemkę, z któréj budził się nagle i jakby nieprzytomny, wodząc błędnemi oczyma dokoła, jakby nie poznawał swojego otoczenia.

W takiéj właśnie chwili drzemki odwiedziła go po raz pierwszy Tola z Łaniecką, która zatrzymała się w stołowym pokoju, dla wybadania służącego.

Hrabia miał oczy zamknięte, ale poruszał ustami machinalnie, niby coś szeptał, niby coś przeżuwał przednimi zębami; niegolona od kilku dni broda

zarosła siwym, twardym włosem, z pod pomarszczonéj skóry rysowały się ostre kości, że niemal szwy na skroniach znać było.

Wychudły, pożółkły, z zapadniętemi w doły oczyma, z temi zaostrzonymi konturami twarzy, sprawiał wrażenie mumii wysuszonéj, nie człowieka śpiącego.

Tola usiadła przy łóżku i z zajęciem, ale i przestrachem przypatrywała się dziadkowi; wydawał się jéj już trupem, a ów nerwowy ruch w ustach i szczękach starca jeszcze większą przejmował ją grozą.

Poruszyła się, aby powstać i szelest sukni obudził hrabiego.

Rozerwał nagle drżące powieki i łypiąc niemi niespokojnie, wpatrywał się we wnuczkę z wyrazem zdziwienia i niepewności; w ustach mu zaschło, nadarmo silił się przełknąć ślinę i odwilżyć gardło, z którego wydobywało się nieprzyjemne syczenie przy każdym głębszym oddechu.

— Kto to?...—wybełkotał nareszcie, próbując unieść się nieco na posłaniu, — kto tu?... *C'est toi Marie?...*

Oczy wlepił w Tolę i nieprzytomny patrzał w nią z wyrazem jakiegoś męczącego wysiłku, hypnotyzując ją tym wzrokiem, jakby obłąkanym.

Podniosła się, chcąc uciec, ale ją szybki ruch starca powstrzymał na miejscu.

— Nie, nie... zostań!...

Ręką wychudłą, obnażoną z rękawa koszuli, dawał jéj znaki, aby się nie ruszała.

— *C'est toi Marie?... Marie?*—szeptał, porusza-

jąc blademi wargami i kurczowo ściągając powichrzone brwi.

Nie poznawał jéj; to uderzające podobieństwo z żoną, które zawsze upatrywał w Toli, teraz jeszcze bardziéj się uwydatniło, odkąd została mężatką.

— Ależ dziadziu, to ja... Tola; dziadzio mnie nie poznaje? — odważyła się wreszcie przemówić, i ująwszy jego rękę, dotknęła ją zlekka ustami.

— To ty?... Tola?...—powtarzał szeptem, wracając do przytomności, ale nie przestając podejrzliwie i badawczo wpatrywać się we wnuczkę, która przejęta do głębi tą sceną, drżała, jak w febrze.

— Tak, to ja dziadziu—zapewniała go, nachylając się nad nim;—przyszłam dziadzię odwiedzić. Jakże się dziadzio czuje?...

Smuga światła, wciskającego się do pokoju szczeliną między storą a oknem, oświecała całą jéj postać w zacienionym pokoju.

Ujął jéj rękę i przyciągnął bliżéj ku sobie.

— To ty?... Tola? — pytał, jakby mu było trudno uwierzyć jéj zapewnieniu. —Przyszłaś?.. sama przyszłaś?... dziękuję ci, siadaj. Tu siadaj, na łóżku... bliżéj!... Ja... ja, widzisz, nie mogę mówić głośno... męczy mnie.

Nie puścił jéj ręki i nie przestawał patrzéć w nią. To podobieństwo mieszało go i mąciło mu myśli; znać było, że mówi co innego, a co innego chodzi mu po głowie.

— Dziadzio pragnął podobno widziéć się ze mną?—zaczęła po chwili.

— Ja?... pragnąłem się z tobą widzieć? — powtarzał, jakby usiłując sobie przypomnieć, — a może, może... nie pamiętam. Dobrze, żeś przyszła. Cóż tam słychać?... poszłaś za mąż, prawda?... już dawno, rok?... dwa?... za kogo to ty za mąż wyszłaś? poczekaj... ah, wiem, wiem! Przecież pamiętam! Sandstein... Ludwik Sandstein...

— Ależ Bernard, dziadziu,—poprawiła go.

— Bernard?... może Bernard. To z żydów, wiem,—szepnął, jakby do siebie, nieco ciszéj.

Drgnęła, usłyszawszy ten wyraz z ust nieprzytomnego na poły starca i instynktownie chciała cofnąć rękę, którą trzymał w swéj dłoni, ściskając ją co kilka chwil tym uściskiem kurczowym, bezwiednym, jakby odruchem nerwów chorego paralityka.

— Zostań... nie idź... dokąd chcesz już iść?...— pytał ją lękliwie dziadek, — czy ci tu źle?... a ja tak całe dnie i całe noce tu leżę!..

Powiedział to głosem tak smutnym i bolesnym, że się ulitowała nad nim.

Zwrócił oczy na nią powoli i próbował się uśmiechnąć.

— Lubię patrzéć na ciebie — szeptał, — dawniéj nie lubiłem... nie, moja, droga... bolało!... bolało!...

Zaczął mrugać powiekami, które mu poczerwieniały, jakby się łza pod niemi zbierała.

— Proszę cię... tam, tam na stoliku... chustka do nosa... podaj, — przerwał sobie nagle i puścił rękę Toli, która korzystając z tego, oswobodziła

się z przymusu i podeszła do drzwi, by przywołać do towarzystwa ciotkę.

Stary hrabia na widok córki wchodzącéj, skrzywił się niechętnie, spojrzał jakby z wyrzutem na Tolę i schmurzony odwrócił się.

— Nic nie dam — zamruczał, rzucając z pod oka gniewne spojrzenia na Łaniecką, — nic nie mam!.. Łazarz jestem!... przychodzicie mnie obdzierać, do naga obdzierać!... nie dam ani grosza, nie dam nic; wszystko oddałem. Czego więcéj chcecie?...

Nie mógł się uspokoić; przymknął oczy i ustami ciągle poruszał, mówiąc do siebie nieustannie, potém zaczaił się i udał, że zasypia, aby się pozbyć niemiłych odwiedzin córki, ale gdy Łaniecka z Tolą wyszły na palcach, podniósł jedną powiekę i z pod kołdry spoglądał za niemi, a dopiero gdy usłyszał w przedpokoju skrzypnięcie drzwi, odwrócił się znowu i odetchnął ciężko, jakby się pozbył zmory, która go gniotła.

Pomimo przykrego wrażenia, jakie na Toli sprawiły te odwiedziny u dziadka, w kilka dni późniéj znów musiała pójść do niego; kazał ją usilnie prosić o to przez starego Sandsteina.

Chciał ją widzieć, miał jéj coś do powiedzenia, „ale tylko jéj saméj“—powtórzył kilka razy z naciskiem.

Posłuszna temu wezwaniu, poszła; stary był przytomniejszy i przyjął ją z pewnym objawem czułości.

Kazał jéj usiąść przy sobie i zawsze tylko patrzał na nią.

— Kiedyż znów przyjdziesz? — pytał przy pożegnaniu,—jutro?... dobrze?...

Musiała mu przyrzec, że go odwiedzać będzie jak najczęściéj; upominał się o to, jak rozkapryszone dziecko, doktorowi zapowiedział, że żadnych lękarstw przyjmować nie będzie, jeżeli mu ich Tola nie poda.

Sandstein widząc ten rosnący wpływ synowéj nad starym dziwakiem, uśmiechał się jakoś z zadowoleniem i drapał w swój zarośnięty podbródek, powtarzając:

— To dobrze, to bardzo dobrze; to jest ostatnia miłość hrabiego dziadzi. To może być więcéj warte, niż się komu wydaje!...

Zmrużał przy tém tajemniczo jedno oko i mrugał znacząco na żonę, jak gdyby mówił do niéj:

— Zobaczysz, że stanie na mojém i stary jéj wszystko zapisze.

Hr. Adam wezwany w początkach choroby telegraficznie, przybył do Warszawy natychmiast, ale rozmówiwszy się z doktorem, po jakimś tygodniu wyjechał napowrót na wieś; polecił tylko, aby mu stale codziennie wysyłano biuletyny.

Ostatniego dnia spotkał się przypadkiem przy łóżku ojca z Tolą; w pierwszéj chwili chciał się cofnąć, zobaczywszy siostrzenicę, ale było już zapóźno. Wszedł do pokoju i nie zwracając wcale uwagi na jéj obecność, rzucił jéj na powitanie obojętne: „witam,“ porozmawiał z ojcem, a potém tak samo kiwnął na pożegnanie głową i z lakonicznem: „żegnam“ wyszedł z pokoju.

Oprócz tych dwóch wyrazów, nie przemówił

ani słowa więcéj do pani Bernardowéj Sandstein, nie spojrzał nawet na nią, nie zaszczycił jéj podaniem choćby dwóch palców.

Rodowa duma arystokraty była nieprzejednaną.

Raz pozwoliwszy się ściągnąć do Warszawy, nie mogła Tola z téj zasadzki wymknąć się więcéj.

To, czego się najbardziéj obawiała, czego pragnęła uniknąć, spadło na nią, jak fatalność; musiała uledz.

Nie miała jednego dnia wolnego odtąd, jednego wieczoru zostawionego dla siebie saméj; dwa razy w tygodniu obowiązkowo musiała, dławiąc się, zjadać sute, wystawne obiady u rodziców męża, bywać na wszystkich zebraniach wieczornych, chodzić z nimi do teatru na operę, przyjmować ich u siebie, poświęcać się i coraz cięższe dźwigać jarzmo konwenansów.

— Ależ mnie potrzeba spokoju, wypoczynku!— broniła się prawie ze łzami w oczach.

Brali to za kaprys, zbywali ją żartami, śmiechami, a kiedy obstawała przy swojém, szturmowali póty natrętnie, dopóki znudzona śmiertelnie, zmęczona, nie ustąpiła.

Drobiazgowość codziennego życia przygnębiała ją.

Sto razy miała ochotę zacisnąć pięście i podniósłszy je w górę, zawołać:

— Nie męczcie mnie, odczepcie się, dajcie mi pokój z waszą czułością, z waszemi obiadami, wizytami, wieczorami!.. powietrza mi trzeba, innych ludzi, innych twarzy, innych rozmów, innego życia!...

Doszło do tego, że najswobodniejszą czuła się przy łóżku chorego dziadka, do którego ją wysełano codziennie bez względu na stan zdrowia i usposobienie.

— Trzeba pójść, trzeba koniecznie, - przypominano jéj, pod pozorem troskliwości o starego, ale ta troskliwość miała swe źródło dość podejrzane. Sandstein „z dziadzią" miewał i teraz rozmaite konszachty, z których nikomu się nie zwierzał; zanosił mu co tydzień jakieś rachunki i wykazy, zamykał się z nim i naradzał.

Zdawało się, że w takich chwilach, gasnąca coraz więcéj inteligencya i przytomność umysłu starego hrabiego, rozbudzały się na nowo; po każdéj wizycie Sandsteina bywał ożywiony przez kilka godzin i nabierał dobrego humoru.

Choroba się przewlekała, ale ustąpić zupełnie nie chciała.

Tak minęła cała zima i część wiosny.

Nareszcie pewnego dnia wyczekiwany od dawna w rodzinie Sandsteinów wypadek zaalarmował cały dom.

Z samego rana lokaj od młodych państwa przybiegł z wiadomością, że jaśnie pani dziś w nocy powiła syna, ale czuje się bardzo osłabioną — doktor nocował przy jaśnie pani i z początku bardzo kręcił głową, lecz teraz powiada, że niebezpieczeństwo minęło i wszystko będzie dobrze.

Pani Łaniecka siedziała także z doktorem przez cały czas i właśnie pojechała po mamkę, bo chłopak się drze, aż miło.

Za tę relacyę lokaj dostał trzy ruble od starego

Sandsteina, który go sobie kazał przyprowadzić do sypialnego pokoju i wypytywał po kilka razy o rozmaite szczegóły.

— Słyszysz Lorcia?—wołał z dumą szczęśliwego dziadka - ten mały się z włosami już urodził!... Franciszek mówi, że ma czarne oczy, — co ty na to?... a bardzo jest duży?

— O spory, — zapewniał służący, chociaż na oczy nie widział jeszcze dziecka.

— No przecież, jak duży?... będzie taki?—rozkładając na miarę ręce, z zajęciem dopytywał się Sandstein.

— O będzie!

— A do kogo podobny, nie wiesz?

— Mówią, że do jaśnie pana.

— Do ojca?

— Nie, do jaśnie pana niby...

— Do mnie?...

— A tak.

— Lorcia słyszałaś?... ten mały jest do mnie podobny, jak dwie krople wody!...

Zerwał się z łóżka i zapominając o względach przyzwoitości, pobiegł w bieliźnie nocnéj do żony w drugim pokoju; panią Leonorę czesała właśnie młodsza przy toalecie i aż grzebień upuściła z wielkiego zgorszenia.

— Czy ty słyszałaś wszystko, Lorcia?... i syn, i do mnie podobny, i taki duży, - to dopiero niespodzianka z samego rana! - wołał uszczęśliwiony dziadek, biegając w roztargnieniu po garderobie, przytykającéj do sypialnego pokoju;—trzeba tam jechać natychmiast. Gdzie są moje rzeczy?...

Smiał się i w ręce klaskał, raz nawet rzucił się żonie na szyję i ucałował ją tak głośno, że słychać było w całém mieszkaniu; jak się nie miał radować z tego pierwszego wnuka, w którym do połowy płynęła już błękitna krew Zabiełowskich!...

Ale natura jakby umyślnie zażartować chciała z wszelkich rodowych ambicyi Sandsteinów i zrobić im na przekór tajemniczém prawem atawizmu, pierwszemu dziecku Toli i Bernarda wycisnęła tak znamienne rasowe cechy jego pochodzenia, że uwydatniały się one już nawet w delikatnych rysach dziecięcéj fizyognomii i z każdym dniem nabierać miały coraz więcéj tego wyrazistego charakteru.

W pokoju młodéj matki wstrzymywano się z tą uwagą, cisnącą się na usta wszystkim, którzy spojrzeli tylko na twarzyczkę dziecięcia, złożonego we wspaniałą kolebkę pod muślinową osłoną, ale już w kredensie i kuchni, służba z tą niedyskrecyą i bezwzględnością prostaczą, z jaką obrabiać zwykła sprawy państwa, podglądane w salonie, dowcipkowała sobie głośno na ten temat.

— No, chłopak to chłopak—mówiła z lekceważącym uśmiechem młodsza do kucharki, krzywiąc się, jakby z odrazą,—ale taki żydziak z niego, że już więcéj być nie może.

— Ale uważała panna Agnieszka, jak jemu te uszyska odstają?... jeszczem nigdy u małego dziecka takich dużych uszów nie widziała.

— A kędzierzawe to, jak pudel.

— I nosek ma, wypisz, wymaluj, taki sam, jak stary Sandstein; istny Mosiek!

— Żeby chociaż był z czego bądź podobny do naszego pana albo pani!... ale to nic a nic.

— No, ślipia ma takie czarne, okrągłe.

— Cóż z tego, kiedy jakieś zaczerwienione, jakby po skrofułach.

— E, z tego może wyrośnie.

— Chyba, ale co się nie udał, to nie udał.

Za każdym powrotem z pokojów panna Agnieszka przynosiła jakiś nowy szczegół w tym rodzaju do charakterystyki pierworodnego syna jaśnie państwa.

Jakaś niewytłómaczona niechęć zrodziła się w całéj służbie do tego biednego niemowlęcia, które przyniosło na świat jakby piętno swéj fatalności w rysach, naznaczonych charakterystycznóm znamieniem semickiéj rasy.

Wbrew uczuciu, które każde dziecko budzić zwykło, spoglądano na nie z odcieniem urazy i jakiéjś tajonéj irytacyi.

— Ja powiadam, że z tym małym Mośkiem trudno będzie wytrzymać!--obruszała się najbardziéj zawzięta panna Agnieszka, któréj zbyt uciążliwą wydawała się krzątanina około najważniejszéj, choć i najmniejszéj osoby w całym domu.— Wrzeszczy to i drze się bez ustanku, tylko lataj ciągle to po rumianek, to po pieluszki, to po to, to po owo. Sądny dzień z takim bachorem. Jak wezmę kiedy, to go tam gdzie przyduszę w téj poduszce.

— A cóż to on swojéj mamki nie ma?—wtrącał

lokaj, — któż pannie Agnieszce każe przy nim nadskakiwać?

— Mamka?... także ziółko! Przecież pan Franciszek widzi, co to za marmuzela. Ani jéj się chce ruszyć, i nie dziwota; starsza pani ją psuje, pakuje w nią to jedzenie i picie, jakby ją na Wielkanoc zarżnąć mieli, dogadza, pochlebia i na pierwszém miejscu sadza. Niedarmo to powiadają, że mamka żydowska jedwabne ma życie. Boją się, żeby im tego bachora nie porzuciła!...

„Mały Mosiek" albo spał, albo krzyczał, nie wiele dbając o to, co o nim mówią w kuchni i w kredensie; nie obchodził go jeszcze świat cały ze swemi przesądami i uprzedzeniami, nie wiele sobie robił z ludzkich sympatyi i antypatyi, nie raczył nawet okiem rzucić na swoje najbliższe otoczenie, z którém go zbliżał i łączył jedynie wrodzony instynkt zachowawczy.

Krzyczał i płakał, kiedy był głodny, krzyczał i płakał, kiedy mu się jeść chciało, kiedy go przewijali, a najbardziéj kiedy go do kąpieli kładli; wody zdawał się antypatycznie nie znosić, co nie uszło bystréj uwagi panny Agnieszki, która skorzystała natychmiast z okazyi, ażeby jeszcze jeden rys więcéj napiętnować w tym „małym żydziaku."

— Bobyś panna nie wydziwiała tak ciągiem — reflektował ją bardziéj tolerowany Franciszek, którego trzy ruble Sandsteina usposobiły bardziéj pojednawczo;—tak sobie panna temi żydami gębę wycierasz, a jednak u nich służysz?...

— O, wypraszam sobie tylko takie uwagi—od-

cinała się młodsza z urażoną godnością,—naprzód służę u pani, nie u pana, zgodziłam się do panny hrabianki jeszcze, nie do żadnych Sandsteinów, a potém trzeba Franciszkowi wiedzieć, że jeszcze na dwoje babka wróżyła, czy w takiém miejscu pozostanę. Ja tam żydowskich dzieci nie kołysałam i kołysać nie będę. Także!... toby mi się podobało!...

Mówiła to z obrażoną dumą nie pokojówki, ale co najmniéj hiszpańskiéj damy dworu.

Na szczęście, odgłosy tych rozmów nie dochodziły do salonu i do buduaru Toli, która blada, mizerna, wyczerpana siadywała już na szezlągu i z jakimś cichym, ponurym niemal smutkiem spoglądała w stronę kolebki swego pierwszego dziecięcia.

Panna Agnieszka nie domyślała się nawet, jak te dotkliwe i dosadne uwagi przychodziły do głowy i jéj pani, gdy patrzała na dziecko swoje i porównywała je z tym idealnym obrazkiem małego Cherubina, który nosiła w swych macierzyńskich marzeniach i pieściła się jego widokiem póty, dopóki rzeczywistość nie rozwiała jéj snów na jawie.

Toż to było to jéj upragnione, wyczekiwane, wymarzone kochanie, jéj duma i nadzieja, jéj ucieczka i pociecha?.., to był ten syn, który swém spojrzeniem, swoim uśmiechem miał rozpraszać wszystkie smutki i dawać jéj chwile zapomnienia o całym świecie?...

Uczucie, jakiego doznała, spojrzawszy raz pierw-

szy na swoje dziecię, zawstydziło ją niemal i upokorzyło w najtajniejszéj głębi jéj serca.

Nie, to nie jéj dziecko, nie jéj synek, którego sobie wyobrażała, którego chciała kochać, wpatrując się w jasną, płowych włosów aureolą otoczoną główkę, w pogodne oczki koloru świeżych habrów, w delikatne rysy aniołka z Murillowskich obrazów, w twarzyczkę, któraby jéj przypominała choćby dalekiém podobieństwem ukochane oblicza ze starych wizerunków rodzinnych!...

Nie, to nie to, o czém marzyła w swéj macierzyńskiéj dumie; to coś wręcz przeciwnego, coś, jakby złośliwą było karykaturą tamtego uroczego widzenia.

Zdawało się jéj chwilami, że miała dwoje dzieci i że to pierwsze jéj zabrano brutalnie, a zostawiono tylko to drugie, jakieś obce dla niéj, jakieś odmienne całkowicie od tego, które sobie w wyobraźni utworzyła, które sobie jéj stęsknione serce wybrało.

I oczy zachodziły jéj łzami, do których wstyd było przyznać się jéj, matce, żonie tegoż samego ojca, co nad tą kołyską stawał uśmiechnięty swobodnie i widział tylko, że „ten mały tak zabawnie się krzywi i takie śmieszne stroi miny.“

Jego i nikogo oprócz niéj jednéj, nic innego nie raziło, nic innego nie zwracało uwagi; dla nich, dla mamy Sandstein, dla cioci Voss, dla dziadzia, to był „słodki aniołek,“ „cukierek,“ „cudo,“ oni nie krytykowali jego drobnych rysów, nie rozbierali szczegółów téj twarzyczki, która przy bliższém wpatrywaniu wydawać się mogła rzeczywiś-

cie, jakby jakąś w pomniejszeniu idealném zciągniętą maską ze starego Sandsteina.

Dla nich wystarczał sam fakt istnienia tego potomka ze skrzyżowania się dwóch ras, dwóch pokoleń, dwóch rodzin.

Ktoby tam dbał o resztę!...

Tych wszystkich myśli, które przewalały się przez głowę Toli od czasu, gdy została matką, tych wszystkich dziwnych, sprzecznych, przykrych a buntowniczych nieraz uczuć, które jéj sercem wstrząsały, nie byłby zrozumiał nikt z jéj najbliższego otoczenia i ona sama nie byłaby się z niemi zwierzyła nikomu, chyba księdzu na spowiedzi.

I to nie, bo samemu Bogu w modlitwach nie śmiała powiedziéć tego wszystkiego, co czuła i myślała.

— A może to kara umyślna — mówiła sobie — za twoją odrazę, za twoje uprzedzenia, za przesądy twych przodków, za niechęć i dumę twych krewnych, jak wujaszek Adaś, za potajemne konszachty i żydowską chciwość twojego dziadka, za spekulacyą i obłudy takich Łanieckich, którzy własną krew przehandlowali?... może dlatego Pan Bóg twojemu własnemu dziecku dał taką twarz, aby gdy dorośnie, ludzie z niéj czytali historyą małżeństwa jego matki, i tak samo odpłacili mu złośliwością, odrazą, upokorzeniem, niechęcią i szyderstwem, wszystkiém tém, czém ty i twoi najbliżsi grzeszyli przeciw rasie, do któréj syn twój tylko przez połowę należéć już będzie?... Wszystko mi jedno, wiem, że boleję nad tém głę-

boko, jako matka; że jeśli to kara, to sroga,—jeśli igraszka natury, to zbyt swywolna, jeżeli jéj prawo—to okrutne w swojéj logiczności.

Doszło do tego, że nie mogła spojrzéć na dziecko, ażeby przez jakąś asocyacyą wrażeń, nie zobaczyła w nim tych samych rysów, tego samego wyrazu, jakie jéj przypominały starego Sandsteina, to samo oblicze, jeszcze badziéj skarykaturowane dziecięcym grymasem, który w płaczu i śmiechu jednako szpecił jego twarzyczkę.

— Proszę jaśnie pani, zdaje się, że maleńki dostaje ognipiór,— doniosła jéj jeszcze pewnego poranku piastunka dziecka, z miną zakłopotaną;— dalibóg, już nie wiem z czegoby, bo przecież pokarm zdrowy, a już co do krwi, to mam taką czystą, że daj Boże nie jednemu księciu takiéj saméj!...

Tola rozdrażniona wewnętrzną rozterką, wybuchnęła nerwowym płaczem na wiadomość o tak nieznacznéj chorobie dziecięcéj; łzy ją dławiły zbyt długo a w domu wzięto je za objaw macierzyńskiéj troskliwości i niepokoju.

Nie poznano się na nich...

W chwili, kiedy cała rodzina Sandsteinów zajętą była ważną kwestyą wyboru rodziców chrzestnych dla małego Sewerka (przeznaczono mu to imię ze względu na dziadka Toli), zdarzył się wypadek przewidywany wprawdzie, ale nie spodziewany tak rychło.

Stary Zabiełowski dostał jeszcze jednego ataku artretycznego, który niestety—miał być już ostatnim w jego życiu.

Napadło gó to znienacka w nocy, po dniu wcale znośnie spędzonym, kiedy sobie obiecywał, że właśnie jutro spróbuje wstać, bo—jak mówił—ma do pisania dużo, a leżąco niewygodnie mu litery stawiać, zwłaszcza, że drżącą ręką sięgając do kałamarza, poplamił już kilka razy pościel atramentem.

Około pierwszéj po północy musiano jednak na gwałt posyłać po lekarza, sprowadzać Sandsteina, który miał u siebie kilka osób na kartach, a między niemi na szczęście dra Cieszyńskiego.

Zaniepokojony zerwał się od stolika, gdy mu lokaj na ucho szepnął o groźnym stanie Zabiełowskiego i składając karty pośpiesznie rzekł do swoich partnerów:

— Przepraszam panów, ale téj partyi nie skończymy dzisiaj. Hrabia mi zachorował nagle!...

— Który hrabia? — spytał ktoś mniéj domyślny.

— Stary Zabiełowski! — objaśnił, pomimo zaniepokojenia rzuciwszy wyniosłe spojrzenie na pytającego, jakgdyby mu się dziwił, że takiéj prostéj rzeczy nie jest świadomy. —Mój konsyliarzu — zwrócił się do Cieszyńskiego — proszę cię, pójdź ze mną, bo będziesz tam bardzo potrzebny. Podobno jest źle ze starym, mowę mu odjęło. Powóz! prędzéj,—albo nie, pojedziemy dorożką, aby nie czekać.

— Weźcie moją karetę!—zaproponowała Vossowa, udając jeszcze bardziéj przestraszoną, niż była, w przeczuciu groźnego wypadku.

Wypadało jéj przejąć się głęboko troskliwością

o zdrowie hrabiego-dziadzi, którego mimo gorących pragnień, nie miała dotąd sposobności poznać osobiście.

Mógł umrzéć, nie zamieniwszy z nią ani jednego słowa za życia; to byłaby prawdziwa fatalność!...

Ta myśl przemknęła jéj właśnie przez głowę, gdy brat jéj wychodził do przedpokoju po kapelusz i laskę; jakby sprężyną popchnięta, wybiegła za nim.

— Jadę z wami,—szepnęła krótko i stanowczo.

— Do chorego?...

— A rozumie się; tam kobieca ręka będzie potrzebną. To przecież obowiązek mój...

Sandstein się zatrzymał w progu.

— Może nie wypada?...

— Dlaczego nie wypada!

— Jakoś tak ni ztąd, ni zowąd; nigdy tam przecież nie byłaś... nie zna cię...

— No, to cóż?... czyż nie należymy dziś do rodziny?... mój kochany, w takiéj chwili konwenanse na bok. Człowiek stary, opuszczony, może umierający... jadę!... niéma co się namyślać. Gdzie moja okrywka?...

I pojechała, aby pod pozorem troskliwości skorzystać z ostatniéj okazyi zbliżenia się do hrabiego dziadka jeszcze za życia.

Przy łóżku jego zastali tylko starego kamerdynera i doktora, który stawiał właśnie synopizma choremu; przykry zapach gorczycy i eteru czuć było już w przedpokoju, w którym jednak zatrzy-

mała się pani Emilia, zaglądając przeze drzwi ciekawie a niedyskretnie do gabinetu.

Hrabia leżał z oczyma zamkniętemi i dyszał ciężko, jakby miał piersi kamieniem przywalone; od czasu do czasu podnosił powieki i miłosierne jakieś, bolesne spojrzenia posełał w górę, a usta w kącikach drgały mu wtedy i krzywiły się, odsłaniając zaciśnięte zęby.

Znać było, że cierpi strasznie i to cierpi przytomnie, chociaż słowa jednego przemówić nie może.

Sandstein nachylił się nad nim i prawie tuż nad samém uchem podniesionym głosem zaczął go pytać natarczywie:

— Czy hrabia mnie poznaje jeszcze?... czy hrabia widzi, kto ja jestem?...

Chory z wysiłkiem poruszył ustami i ledwie dosłyszalnym szeptem odpowiedział:

— Tak.

Po drugiéj stronie łóżka stanął Cieszyński i z młodszym kolegą porozumiał się kilkoma słowy; zbadał puls, przyłożył ucho do serca hrabiego, palcem dotknął obrzękłych kolan, dygoczących w dreszczach nieustannych i po krótkiéj auskultacyi odstąpił z miną poważną i pochmurną.

Sandstein, który to dostrzegł, podszedł ku niemu żywo i w roztargnieniu spytał głośno, nie zważając, że go chory może usłyszéć:

— Cóż?... źle?... bardzo źle?... niema nadziei?...

Cieszyński w milczeniu skinął głową i z rezygnacyą odpowiedział jedném z tych charakterystycznych westchnień, jakie obowiązkowo wydają

lekarze przy łożu pacyentów, na śmierć niechybną skazanych.

Twarz Sandsteina zadrgała kurczowo; odwrócił się szybko i dając znaki siostrze, stojącéj we drzwiach, aby nie wchodziła, nalegająco dał jéj polecenie:

— Jedź... jedź po Tolę i Bernarda!... śpiesz się! on jest umierający!...

— Może po Łaniecką posłać?...—spytała.

— Jedź po Tolę!... prędzéj!...—powtórzył opryskliwie, popychając panią Emilią ku drzwiom.

W kwadrans późniéj gabinet, w którym stary hrabia konał na łóżku, walcząc ze śmiercią, zapełnił się jeszcze kilkoma osobami.

Blask lampy bez klosza i kilka świec w bronzowym świeczniku oświecało ten pokój, pogrążony zwykle w półzmroku; rozstawione w nieładzie meble, łóżko prawie na sam środek gabinetu wysunięte, cisza przerywana tylko jakiémś głośniejszém słowem lekarzy, lub szeptem niespokojnym obecnych, nadawały całéj téj scenie charakter zgrozy, jaką sprowadza śmierć za sobą.

Nie płakał nikt, nawet Łaniecka, skłonna do łez w chwilach mniéj wzruszających.

Tola stała przy łóżku dziadka z rękoma splecionemi i wpatrywała się blada i milcząca w jego twarz kurczowemi drgnieniami poruszaną.

Nagle zdawało się, że konającemu przytomność powraca zupełna, że odzyskuje resztkę sił gasnącego życia i przemówi.

Szeroko otwarł oczy i jak wówczas przy pierwszém zobaczeniu wnuczki u swego łóżka,

wpatrzył się w nią uważnie i głęboko; wyraz cierpienia i bólu fizycznego ustąpił prawie z jego twarzy.

Sandstein, który to zauważył, zbliżył się natychmiast do hrabiego i nachylił nad nim swoje ucho, dając znaki Toli, aby zrobiła tak samo.

— On coś mówi—zawołał,—o!... porusza ustami. Mówi z pewnością... Może go podnieść, panie konsyliarzu?... to ważne pewnie, co chce powiedziéć w takiéj chwili!... bardzo ważne!...

Tola instynktownie pociągnięta wzrokiem dziadka, zbliżyła się i uklękła przy nim, ująwszy jego rękę.

Nie spuszczał z niéj oczu...

Usta jego poruszały się rzeczywiście jakiemiś wyrazami, ale głosu nie wydawały żadnego.

Zdawało się, jakby pytał o to, albo dawał ostatnie polecenia i silił się z głębi szarpanéj bólem piersi wydobyć resztkę głosu, — napróżno.

Wszyscy dokoła patrzyli z wytężoną uwagą na te wysiłki mowy konającego starca i nie śmieli poruszyć się z miejsca; jeden Sandstein tylko wzburzony i niespokojny, z jakąś rozpaczliwą ciekawością starał się pochwytywać te ostatnie tchnienia hrabiego i z drżenia jego ust domyślać się słów, które nie miały być już przez nikogo więcéj dosłyszane.

— On ciągle coś mówi! — powtarzał każdemu, wodząc okiem po zgromadzonych—mówi do Toli, to przecież widać... ale ja nic nie mogę zrozu-

mieć!... Aj, Boże, Boże!... czyż pan, panie konsyliarzu, nie masz już żadnego środka, aby go wzmocnić choć na kilka sekund?... to nie może być, aby medycyna...

W téj chwili dreszcz przeszedł wszystkich obecnych; instynktownie wszystkie głowy zwróciły się ku drzwiom, przez które słyszéć się dał nagle głos dzwonka i słowa kapłana:

— *Laudetur Jesus Christus!*

To z ostatnią pociechą przybywał ksiądz do konającego, którego sprowadził stary kamerdyner z własnéj inicyatywy, bo nikomu nie przyszło w ogólném zamieszaniu do głowy, że patryarcha rodziny Zabiełowskich powinien się przed śmiercią pojednać z Bogiem.

Vossowa z taką gorliwością rzuciła się na kolana i pochyliła głowę, jak gdyby właściwie ją, nie starego hrabiego miano dysponować na śmierć; przejmowała się wszystkiém głęboko i starała się okazywać to na zewnątrz, jakby jéj gwałtownie chodziło o opinią kobiety bardzo uczuciowéj i wrażliwéj.

Widząc, że w chwili tak wzruszającéj, nikt jakoś łez nie roni, postanowiła sama jedna uratować sytuacyę i zaczęła wycierać sobie oczy, aby nie śmiano powiedziéć kiedyś, że hrabia-dziadzio umierał nieopłakiwany przez—rodzinę.

Łaniecki jedną ręką podtrzymywał pod ramię żonę, a u drugiéj nerwowo ogryzał paznogcie i skrzywiony, jak zwykle, wpatrywał się w konającego teścia, do którego całe życie miał urazę.

Sandstein niespokojnym wzrokiem badał obu lekarzy, jak gdyby spodziewał się, że jednak potrafią rozdmuchać w gasnącym starcu ostatnią iskierkę życia i przytomności, o którą mu tak bardzo chodziło w téj chwili.

W dwóch wyrazach bowiem można było rozstrzygnąć kwestyą, któréj nikt nie śmiał poruszyć głośno, ale która, jakby na zasadzie suggestyi, udzielała się z wyjątkiem Toli i Bernarda wszystkim zgromadzonym przy łóżku umierającego.

Kwestya ta była nie małéj wagi,—bo dotyczyła spadku, który po starym Harpagonie pozostawał.

Tajemnica nieodgadniona pokrywała ostatnią wolę hrabiego.

I tak pozostać miało jeszcze długo, aż do przeprowadzenia wszystkich formalności prawnych, aż do rozwiązania zagadki, co może zawierać testament nieboszczyka.

Najmniéj nadziei pokładał w nim Łaniecki; wiedział, że mu się nic więcéj nie dostanie, jeżeli teść rozporządził majątkiem, i że głównym spadkobiercą najpewniéj będzie szwagier, hr. Adaś, ukochany syn nieboszczyka.

— Pech, pech na każdym kroku!—mówił sobie w duchu, — *rien ne va plus!* całe życie do końca trzeba będzie pozostać na żydowskim chlebie.

Płakać mu się chciało, ale ze złości i żalu nad sobą samym.

Nachylił się do żony i omdlewającym głosem szepnął jéj do ucha:

— Helusiu, ja muszę wyjść ztąd, tutaj tak duszno, że oddychać trudno... Usuńmy się moje życie; możesz sobie zaszkodzić...

Łaniecka potrząsnęła głową przecząco i odpowiedziała szeptem z rezygnacyą:

— Zostanę.

Uważała to za ostatni obowiązek córki.

Kamerdyner otworzył zawieszone wojłokiem drzwi do dalszych apartamentów, nieodwiedzanych nigdy za życia hrabiego, i wniósł świecznik dwuramienny do przybocznego salonu, w którym panowała atmosfera lamusu i składu mebli, nieprzewietrzanego od dawna.

Vossowa, wiedziona ciekawością, weszła tam pierwsza i zaczęła rozglądać się, jak w jakiém muzeum osobliwości; za nią Bernard wprowadził Tolę, a Sandstein zaciągnął Cieszyńskiego we framugę okna i tam mu coś natarczywie kładł do ucha.

Z drugiego pokoju dochodził głos księdza odmawiającego litanią za konających i od czasu do czasu rzężenie hrabiego, w którém słyszéć się zdawało śmierć, wypruwającą już ostatki duszy z tego wyschłego ciała.

W godzinę późniéj, ciało to martwe, żółte, jak z wosku, rysujące się ostremi liniami szkieletu pod prześcieradłem, którém je nakryto, leżało wyciągnięte na łóżku w opróżnionym gabinecie; w głowach łoża paliły się dwie świece na krzesłach i stał krucyfiks zdjęty ze ściany.

Oprócz starego kamerdynera nikt nie pozostał przy trupie hrabiego-dziadzi.

Sandstein przezorny i przytomny, jak zawsze, kazał przenieść biurko, w którém najważniejsze musiały się znajdować dokumenta i papiery nieboszczyka do przyległego salonu, własną ręką drzwi zamknął i przy świadkach je opieczętował.

XIII.

O śmierci i pogrzebie „patryarchy jednego ze znanych i szeroko w arystokratycznym świecie spokrewnionych rodów“ rozpisały się nawet dzienniki; przy trumnie odprawiano po trzy mszy dziennie.

Kondukt pogrzebowy miał prowadzić bawiący przypadkowo w mieście ksiądz infułat Zabiełowski, blizki kuzyn nieboszczyka, w asystencyi licznego duchowieństwa.

U bramy stał w żałobnéj liberyi szwajcar i zdejmował swój stosowany kapelusz przed każdym powozem, który się przed domem zatrzymywał.

Na górze, w zaimprowizowanéj kaplicy pogrzebowéj, wybitéj kirem, obstawionéj kwiatami, na katafalku stała metalowa trumna, pokryta wieńcami, wśród których rozmiarami wyróżniał się szczególniéj jeden z róż i niezapominajek z napisem: „Dobroczyńcy ubogich.“

Za pieniądze Sandsteina złożył go w ostatnim dniu woźny w liberyi „Taniego kredytu;“ była to tajemnicza aluzya do udziału nieboszczyka w instytucyi, uważanéj w pojęciu jéj założyciela za

wysoce filantropijną, a zarazem bezimienny hołd, złożony głównemu wspólnikowi i akcyonaryuszowi.

Łaniecki nie mógł ukryć złośliwego grymasu na widok wieńca z takim zagadkowym napisem, a hr. Adam, który z całą rodziną swoją zjechał na pogrzeb ojca, kilkakrotnie dowiadywał się, od kogo mógł pochodzić ten objaw uznania dla cnót i zasług, których nigdy nie miał sposobności zauważyć we własnym rodzicu?

Hołd ten był dla niego prawdziwą niespodzianką, zakrawającą nawet na złośliwość wobec znanego skąpstwa nieboszczyka.

W sprawozdaniu z pogrzebu gorliwa reporterya zanotowała liczny udział magnackich rodzin, z dawnych czasów związanych stosunkami zażyłemi ze zmarłym hrabią, który niegdyś należał do osobistości wielce znanych i popularnych w high-lifie miejscowym, ale w kwiecie wieku usunął się po stracie ubóstwianéj małżonki zupełnie w pustelnicze niemal zacisze.

„Ze świata naszéj plutokracyi widzieliśmy w grubéj żałobie postępujących za trumną świeżym związkiem skoligaconą z nieboszczykiem rodzinę znanego finansisty Sandsteina i innych.“

Ten przypisek powtarzał się prawie w jednobrzmiącéj stylizacyi wszędzie, jakgdyby podsunięty został w autografowanych kopiach wszystkim sprawozdawcom z wyraźną intencyą przypomnienia światu koligacyi Sandsteinów z Zabiełowskimi.

Hr. Adam posiniał z irytacyi, gdy to przeczytał.

Unikając tak długo zetknięcia z nową „rodziną,“ którą zawdzięczał „mezaliansowi“ siostrzenicy, musiał jednak dla saméj przyzwoitości u trumny ojca zbliżyć się do siostry, szwagra i Toli, a tém samém do ich najbliższego obecnie otoczenia.

Miał nadzieję wycofać się co prędzéj z téj sfery, do któréj tyle żywił uprzedzeń i niechęci, ale nie domyślał się nawet, jak poważne czekają go niespodzianki, które go zmuszą do dłuższego z nią obcowania.

Niespodzianką tą, spadłą mu jak grom z jasnego nieba na głowę, były interesa majątkowe nieboszczyka ojca.

W papierach pozostałych po nim nie znalazł się pomimo pilnych poszukiwań żaden testament, żaden zapis, żaden ślad nawet ostatniéj woli zmarłego, ale znalazły się na pojedynczych świstkach, w osobnéj książce, w kwitach, rewersach, w spisanych aktach, dowody znacznego udziału jego w „Tanim kredycie“ i spólnictwa w innych przedsiębiorstwach i spekulacyach finansowych z Sandsteinem.

Obawiając się śmierci, stary hrabia z przesądem właściwym naturom małodusznym i samolubnym, unikał nawet myśli o sporządzeniu testamentu.

Pozostawiał to zawsze na późniéj, na ostatnią, najostatniejszą chwilę.

Natomiast ze szczególniejszą lubością i zamiłowaniem prowadził w swoim notatniku rachunki i wykazy gotówki, prawie każdodziennéj, z istném

maniactwem Harpagona, obliczającego przy krociowym majątku różnice niemal groszowe w wydatkach i zyskach.

Obok tych cyfr i obliczeń, prowadzonych na zasadzie jakiéjś dziwacznéj, dla swego tylko użytku wynalezionéj buchhalteryi, znajdowała się osobna, najciekawsza i najbardziéj charakterystyczna rubryka, w któréj stary skąpiec i oryginał zapisywał swoje uwagi.

Czerwonym atramentem, albo ołówkiem tylko, w krótkich, lakonicznych zdaniach streszczał wrażenia swe, myśli i uczucia, dla których jedynie jeszcze w zupełném odosobnieniu od świata był dostępny.

„Bóg mi zesłał Sandsteina—pisał np. w jedném miejscu, — żyd, ale sprytna głowa; obiecuje dać 30% dywidendy od tych 100,000 z któremi na początek przystąpię z nim do spółki. Niech tam!... zaryzykuję, chociaż to żadne ryzyko, tylko złoty interes.“

„W imię Ojca i Syna i Ducha świętego!...—pisał w dniu otwarcia „Taniego kredytu,“ — rozpoczęła się dzisiaj kampania. Trafiliśmy na minę złota!“

Szczegółowo były odtąd notowane obroty pieniężne w lombardzie z każdego dnia, według wykazów, dostarczanych mu przez wspólnika.

„Sandstein zuch!—cacy chłopiec!“—powtarzały się dość często pochwały na marginesie przy znaczniejszych pozycyach, wpisywanych w rubrykę zysków.

Raz wszelako przy jakiéjś nieznacznéj stracie, jako dowód złego usposobienia i niestałych względów dla wspólnika stał wyraz: „Parszywiec,“ którym się zemścić chciał za doznany zawód.

W ogólności wszelako bilans uznania i zaufania wypadał bardzo korzystnie dla „tego sprytnego hycla,“ w którym hrabia coraz bardziéj podziwiał „genialny łeb do interesów.“

„Będziemy budowali z sobą magazyny zbożowe — brzmiała któregoś dnia krótka notatka, — krociowy geszeft. Dałby Bóg przenajświętszy!“

Charakterystycznym szczegółem w tych wykazach i notatkach było coraz większe uszczuplanie sobie niezbędnych wydatków i rosnąca w miarę zysków zachłanność w gromadzeniu pieniędzy.

Na kilka tygodni przed śmiercią drżącą ręką zapisał np. uwagę:

„Gdyby nie doktor, dzień dzisiejszy kosztowałby mnie tylko pięć złotych, groszy jedenaście. I to dużo, bom prawie nic nie jadł; dyeta przykazana surowo. Trzeba słuchać.“

W kilka dni późniéj wydatek całodzienny streszczał się w jednéj tylko pozycyi:

„Syfon wody sodowéj—15 groszy.“

Tego dnia właśnie na przychód wpisał jednocześnie w jakichś zygzakach tajemniczych, zrozumiałych widocznie tylko dla niego samego:

Procent za III-ci k. od X. X. 420 rs... n. g. pp. 27.“

Pod spodem mieścił się ołówkiem dopisek: „Niezły dzień.“

Hr. Adam, zamknięty w swoim gabinecie,

z głową opartą na rękach, z wypiekami na policzkach siedział przy biurku i stronnica po stronnicy odczytywał ten szczególny memoryał ojca.

Krew mu uderzała do skroni, ocierał raz po raz spotniałe czoło i popijał wodę, jakby się trzeźwił z omdlenia.

Z każdéj karty, z każdéj pozycyi, z każdéj cyfry biło nań upokorzenie i wstyd, jakby go jakaś niewidzialna ręka policzkowała nieustannie.

Żal, wstyd, gniew, upokorzenie szarpały jego serce synowskie, jego dumę arystokraty, jego naturę ambitną i tak draźliwą.

Samo dotknięcie tego kajetu wymiętego, jakby od ciągłego przeglądania i noszenia przy sobie, pokreślonego rozmaitemi cyframi i znakami, zapisanego dwoma gatunkami atramentu i ołówkiem, tego dziwacznego notatnika, w którym między krociowe pozycye mieszały się groszowe wydatki codzienne i świadczyły o rosnącéj chorobliwie chciwości starego maniaka, sam widok tych zeszytych kart poplamionych i kreślonych ręką od starości i wzruszenia drżącą, sprawiał nad wyraz przykre, bolesne, przygnębiające na synu wrażenie, bo one odsłaniały mu tajemnice nieboszczyka i ukazywały tego ojca, jako lichwiarza, pożyczającego na fanty, jako spekulanta, grającego na giełdzie, jako aferzystę, polującego na największe zyski, dotkniętego manią, szałem, obłędem pomnażania majątku dla miłości samych pieniędzy.

I postać ojca w potwornych jakichś konturach stanęła teraz przed oczyma hr. Adama; pod pierw-

szém, świeżém wrażeniem sądził nawet surowiéj, bezwzględniéj, niż należało, domyślał się więcéj, niż było, przypuszczał stokroć gorsze winy i czuł się śmiertelnie ugodzony tém odkryciem.

— Ależ to hańba, to wstyd, to hańba!—powtarzał z boleścią,—taka plama na rodzie Zabiełowskich!...

Uderzył pięścią w czoło, jakby je rozłupać chciał z rozpaczy.

Wtém usłyszał za sobą szelest i lekkie pukanie do drzwi; drgnął, pochwycił szybko memoryał ojca i wsunął do szuflady, jakby się obawiał, by sam widok tych kart nie zdradził hańbiącéj go tajemnicy rodzinnéj.

Siłą woli zapanował nad sobą i głosem podniesionym zawołał:

— Kto tam?...

Do gabinetu wszedł lokaj i zameldował:

— Pan Sandstein; czy jaśnie pan hrabia przyjmuje?

— Nie—zabrzmiała krótka, nagła, stanowcza odpowiedź;—powiedz, że nie przyjmuję!... rozumiesz?... nie przyjmuję! - powtórzył z naciskiem, a po wyjściu lokaja zatrząsł się cały z oburzenia i szepnął:

— Co za bezczelność!... nachodzić mnie aż tutaj!...

Otworzył okno, bo mu się duszno zrobiło.

Samo nazwisko Sandsteina w takiéj chwili wstrętem i obrzydzeniem go napełniało. Jeżeli miał całe życie uprzedzenia i niechęć do ludzi

z jego sfery i jego pochodzenia, teraz po prostu zaczął ich nienawidzieć.

Po głębokiém wstrząśnieniu przyszła jednak chwila rozwagi; rzucił się na fotel przy oknie i zaczął spokojniéj rozmyślać, co daléj uczynić należało. Pozostawał po ojcu majątek krociowy, po większéj części w gotówce, lokowany głównie w przedsiębierstwach i banku Sandsteina.

Spuścizna ta nie należała jednak w całości do niego samego, rozpadała się na trzy części, do których oprócz niego po przeprowadzeniu działów miała prawo Łaniecka i Tola.

One obie niespodzianie zyskiwały majątek, który stary hrabia, schodząc bez testamentu ze świata, zostawił dzieciom i wnuczce.

Zamiast jego ostatniéj woli, rozstrzygać miało teraz prawo spadkowe.

Hr. Adam wstał nagle i uderzony jakąś myślą zbliżył się szybko do biurka.

Wyjął z dużéj safianowéj teki ze złoconymi herbami papier listowy, wziął pióro i od jednego rozmachu skreślił tych słów kilka:

„Kochana Helenko! w sprawie bardzo ważnéj muszę się z tobą samą rozmówić natychmiast. Nie zwlekaj i odwiedź mnie, choćby zaraz, ale sama.

Twój brat.

Adam.“

Zadzwonił na lokaja; oddając mu list zapieczętowany, zawołał:

— Do pani Łanieckiéj, szybko!...

W tym samym czasie, kiedy hr. Adam zamknięty w swoim gabinecie z siostrą, miał w pół godzi-

ny po wysłaniu listu długą i ważną naradę w kwestyi spadku pozostałego po ojcu, stary Sandstein siedział u syna, kwaśny, chmurny i zamyślony, prowadząc z nim w téj samej sprawie rozmowę przy drzwiach zamkniętych.

Odprawiony ode drzwi Zabiełowskiego, tak samo, jak niegdyś odprawiony był przy pierwszéj wizycie przez kamerdynera jego ojca, czuł się dotkniętym i urażonym ze strony „familianta."

Stary hrabia przynajmniéj szybko się rozmyślił i kazał go prosić do siebie z ulicy w chwili, gdy już wsiadł do powozu; młody nie uczynił tego.

Lokaj zatrzasnął mu drzwi prawie przed nosem i nie wyszedł więcéj na schody, po których on umyślnie zstępował powoli, krok za krokiem, zatrzymując się i nasłuchując co kilka stopni, w nadziei, że go przecież „jaśnie pan przyjmie," bo mu wyraźnie powiedziano na dwukrotne zapytanie:

— Jaśnie pan jest w domu, ale nie przyjmuje.

Powiedziano mu to z jakimś szczególniejszym naciskiem przez fagasa, który miał przy tém minę dającą wiele do myślenia.

„Nie przyjmuje!.."—powtarzał kilka razy, kręcąc głową i spoglądając teraz na syna takim wzrokiem, jak gdyby go pytał:

— Bernard, no a cóż ty na to?...

Tego się już doprawdy nie spodziewał po tém wszystkiém, co zaszło.

Miałże każde drzwi w tym świecie, z którego dostał synowę, zdobywać osobno?... czyż małżeństwo syna nie dawało raz na zawsze wszystkim Sandsteinom pewnego passe-par-tout w sferze,

w któréj „dobra krew“ i wielkie nazwiska zaczęły przecież równoważyć się milionami?

— Co to jest?... to afront, to skandal, to głupstwo!... Jak można „nie przyjmować“ jego, który się nazywa tylko Sandstein, ale jest teściem hrabianki, prawdziwéj, dokumentnéj hrabianki z krwi Zabiełowskich!...

Tego tytułu tacy, jak on, Sandsteinowie za darmo nie dostają; to go kosztowało drogo, on za ten tytuł zapłacił krociami całemi, a z nim kupił prawa i miejsce w tych salonach, gdzie ojca jego jeszcze zaledwie przyjmowano w przedpokoju.

Niech się krzywią, niech szemrzą, niech wzruszają ramionami — mniejsza o to, ale niech przyjmują, bo mu się to należy, jako temu, który za wstęp zapłacił.

Co to jest, — kto słyszał, aby za swoje drogie pieniądze można być za drzwi wyrzuconym?...

To mu się w głowie pomieścić nie mogło.

Siedział na kanapce w gabinecie syna, ubrany— rzec można wystrojony w swój berliński od Jean Jacque'a garnitur na tę pierwszą wizytę, nogę założył na nogę, cylinder trzymał w ręku i kiwał się cały, jak pagoda; był tą odprawą zmartwiony i dotknięty w najdrażliwszą stronę.

— Co ty myślisz, mój Bernardzie—odezwał się po chwilowéj przerwie w rozmowie, - czy ja mam znowu pójść do niego, czy czekać, aż on do mnie przyjdzie?...

— Zostawił ojciec swą kartę?

— Rozumie się, że zostawiłem, — nawet dwie, panu i pani. Ja to traktowałem, jak wizytę.

— W takim razie będzie ojca rewizytował.

Stary wydął dolną wargę z grymasem niezadowolenia.

— Jakoś mi się zdaje, że nie,—rzekł.

— Kartę rzuci z pewnością.

Sandstein żachnął się i przełożył nogę na nogę.

— Co mi z tego!... ja się muszę z nim zobaczyć osobiście. My mamy duże interesa do załatwienia. Stary umarł bez testamentu. Trzeba coś zrobić z majątkiem, trzeba przeprowadzić działy, trzeba nową spisać umowę,—to nie bagatela. Twoja żona po matce weźmie trzecią część, Łaniecka także, większa część kapitałów jest zaangażowana w spekulacyach, w przedsiębierstwach, w „Tanim kredycie.“ To wszystko trzeba uregulować. Ja byłem pewny, że Łanieckim nic się już nigdy nie dostanie, i że twoja żona weźmie połowę. Na to się zanosiło, a teraz...

Cmoknął językiem, jakby czuł niesmak w ustach.

— Nie masz tu gdzie sodowéj wody?—przerwał sobie.

Bernard zadzwonił i kazał ojcu podać syfon i wina czerwonego!

— Z tego może być kram, — dorzucił stary po wyjściu służącego i zaczął się przechadzać po gabinecie z głową spuszczoną, z czołem pomarszczoném, z wargami wydętemi.

Znać było, że go obsiadły kłopotliwe jakieś myśli, z których nie wszystkie zwierzył synowi.

Trapiły go złe przeczucia, że będzie miał ciężkie przejścia z tym „jaśnie panem wujaszkiem,“

który od razu dawał do poznania, iż z resztą rodziny nie myśli się solidaryzować.

W téj sytuacyi jedyną pośredniczką mogła być tylko Tola.

Teść liczył na nią i układał plany, do których wykonania postanowił użyć jéj pomocy. Od czegoż była jego synową?!...

Nie przypuszczał wszelako, że go wypadki zaskoczą tak rychło i wytworzą kolizyę niespodziewaną.

Od kilku dni Łaniecki przestał przychodzić do biura, lekceważąc widocznie swoje obowiązki, które nie były wprawdzie ciężkie, ale dla zachowania przynajmniéj pozorów, wymagały codziennéj, choćby jak najkrótszéj obecności „pana dyrektora.“

Było to bezpośredniém następstwem familijnéj narady, jaką u siebie urządził hr. Adam, dopuściwszy na prośbę siostry i szwagra do pamiętnéj konferencyi w sprawie pozostałego spadku.

Od razu urosły mu rogi, odkąd poczuł znowu grunt pod nogami i pozyskał nadzieję zbogacenia się powtórnie schedą, przypadającą na część najdroższéj Helenki.

— Jednak Pan Bóg jest sprawiedliwy—powtarzał teraz, — bo nie pozwolił nas pokrzywdzić przez upór i uprzedzenia twego ojca. Świeć Panie nad jego duszą!... ale gdyby był zostawił testament, bylibyśmy dostali figę, a tak wygrzebiemy się jakoś znowu...

Z każdym dniem rosła jego buta; zachodził do szwagra teraz kilka razy dziennie i choć go tam-

ten traktował z góry i nie oszczędzał jego miłości własnéj, znosił to wszystko z obłudną pokorą skruszonego grzesznika, oskarżając się sam, byle tylko pozyskać zaufanie i względy brata żony.

— Adasiu mój, bij, wal, dyscyplinę ci sam przyniosę, abyś chłostał do krwi — mówił do niego z komedyancką emfazą, — zasłużyłem na to. Spodliłem się, jak pies, nie jak Łaniecki!... dałem się opętać złemu duchowi, zaprzedałem żydom w niewolę, ale teraz ho, ho!.. zobaczysz, no zobaczysz, co zrobię!... Mój drogi, ja przecież zawsze byłem antisemitą do szpiku kości, jak cię poważam, a że mnie oślepiło chwilowo—to prawda, ale Bóg widzi, jakie cięgi przeszedłem.

Cała tłumiona gorycz i wszystkie pretensye do Sandsteina, wszystkie zawody i upokorzenia, odżyły i rozpętały się w nim nagle.

— No, ja teraz temu żydowi pokażę, co to jest Łaniecki! Za to, że mnie wyrzucił z majątku, że mnie naraził na kompromitacyą, że mi śmiał ofiarować taką podłą synekurę — ja mu to odpłacę z procentem!...

— Ależ Jasiu, Jasiu! — mitygowała go żona, jak zwykle — *il faut sauver les apparences* przynajmniéj na początek. Nie zapominaj przecież, że nie możemy narażać Toli...

— Tola?... Tola?... wołał z oburzeniem, wkładając ręce do kieszeni i podnosząc w górę ramiona, jak puchacz.—Tylko mi daj pokój, tylko mnie ty za język nie ciągnij!... Wychowaliśmy ją od dziecka, jak własną córkę, byliśmy dla niéj więcéj

niż rodzicami, — i za to pięknie się nam odwdzięczyła!... niéma co mówić.

— Jasiu, ależ Jasiu!... — łzawym tonem próbowała bronić siostrzenicę Łaniecka — zapominasz, że się poświęciła dla nas.

— Poświęciła?... i co nam z tego przyszło?... zamiast bronić swoich wobec takich żydów, oddała nas im na pastwę!... Pewnie, że mogła się poświęcić i mogła coś zrobić dla nas, bo widziałaś, jak przy niéj skakali wszyscy, a ona pozwoliła ciotkę i wuja wyrzucić z ich rodzinnego majątku na bruk.

— Ależ Jasiu!...

— Nie, nie Helenko, ty mi tylko Toli nie broń, moje życie. Ja myślałem, że ona Sandsteinów za łeb weźmie i rządzić nimi będzie, inaczéj—Bóg mi świadkiem, nie byłbym nigdy—*jamais!*—pozwolił na związek z takim mechesem. *Oh jamais!...* jak mnie żywego tu widzisz. Pamiętasz, ich wesele?...

— Ach, pamiętam.

— Pamiętasz, jak się łzami zalałem przy kolacyi?...

— Pamiętam, duszko.

— A wiesz dlaczego?

— Nie wiem, kochanie.

— Oto dlatego, że mnie dławił wstyd i boleść, że nasza, poczciwa, zacna krew zmieszać się miała z taką żydowską juchą. O, Heleno—to była chwila okrutna w mojém życiu!...

Zamknął oczy, zacisnął zęby i jakby sam wierzył własnéj obłudzie, omal nie rozpłakał się na to wspomnienie.

Helenka ocierała swoje pełne policzki, czoło, tłusty kark i powieki z potu i łez zarazem.

Oboje przejmowali się komedyą uczucia, które w siebie wmawiali wzajemnie...

Powoli ale nieustannie zbierała się burza na horyzoncie familijnym.

Hr. Adam przejęty na wskróś zadaniem rehabilitacyi ojcowskich win, które splamiły w jego przekonaniu rodową tarczę Zabiełowskich, pracował teraz tylko nad tém, aby jak najprędzéj przeciąć tę nić, jaka wiązała jeszcze fortunę nieboszczyka z całą siecią spekulacyi, wstrętnych dla niego i hańbiących w jego oczach to opłakane dziedzictwo.

Pewnego dnia stary Sandstein żółty, jak cytryna, zdyszany i zchmurzony, wpadł do syna właśnie podczas drugiego śniadania i odwoławszy Tolę z Bernardem od stołu, przeraził ich samym wyrazem twarzy.

— Co to jest?... co to ma znaczyć? — zaczął, chodząc po salonie i siląc się mówić przyciszonym głosem—to jakaś zmowa na mnie!... aby mnie zniszczyć, podstawiają mi nogę, kopią mi grób!.. i to rodzina tak robi?... tego najgorszeby wrogi nie zrobili!...

Tola wystraszona spoglądała, nie mogąc zrozumiéć ani słowa z tego zagadkowego wstępu; raził ją podniecony, skrzeczący głos teścia i jego fizyognomia, wyrażająca głębokie wzburzenie.

Bernard spokojniéj wyczekiwał wyjaśnień.

— O co chodzi?... cóż się stało?—spytał ojca.

— Jakto, co się stało?...—odparł Sandstein, za-

trzymując się nagle na środka salonu, jak wryty w ziemię—ty nie wiesz, co się stało, bo ty nic nie wiesz, co się mnie teraz tycze. Ty przestałeś być moim synem, odkąd się ożeniłeś. Ja z ciebie nie mam żadnéj pociechy, ani pomocy. Chcesz wiedzióć, co się stało?.. stało się to, że rodzina twojéj żony wycofać chce od razu cały kapitał, który dziadzio umieścił w „Tanim kredycie“ i w moich przedsiębiorstwach rozpoczętych z nim do spółki, że zrywa ze mną wszelkie stosunki finansowe, że mnie chce zrujnować i w jednéj chwili porzucić!... czy ty wiesz, co to znaczy w interesach taki atak?.. I to się nazywa rodzina?... to jest wuj, to jest taka ciocia?... kiedy byli bez chleba na bruku, to się do mnie przyznawali i żyli z mojéj łaski, a teraz, kiedy im z nieba spadły pieniądze, to mnie znać nie chcą?.. Kto to widział tak robić?.. Łanieckimi wymyśla od lichwiarzy; ten drugi—no, ten drugi przynajmniéj pan, magnat, arystokrata, znać mnie nie chce i przez swojego adwokata tylko ze mną rozmawia, jakbym ja miał dżumę. Wypowiedzieli mi wczoraj rejentalnie wszystkie kapitały. Czy oni chcą, żebym ja zrobił krach?... czy oni powaryowali?... ja krachu nie zrobię, ale to dla mnie będzie kryzys. Dlaczego oni się tak na mnie uwzięli?... co ja im złego zrobiłem?... z mojéj łaski mają duży procent i duże zyski w perspektywie. Nieboszczyk mnie po rękach chciał całować, że mu nastręczyłem taką lokacyę kapitałów!...

Mówił w ten sposób dalej, przeskakując ciągle do tego najgłówniejszego tematu:

— Co to jest?... co to znaczy?... dlaczego oni

chcą zrywać ze mną stosunki?... ja znajdę kredyt gdzieindziéj, ja im zwrócę ich pieniądze, nawet tobie także—wskazał głową na Tolę — bo może i ty, moja synowa, przyłączysz się do swoich wujaszków; czemu nie?... ojoj!... dzisiaj na nikogo liczyć nie można, nawet na własne dzieci.

Tola zmarszczyła brwi i słuchała tego potoku słów w milczeniu, rozumiejąc tylko to jedno, że się do niéj zwracano z gorzkimi wyrzutami za postępowanie jéj rodziny.

Na interesach nie znała się wcale; od śmierci dziadka nie widywała prawie Łanieckich, hr. Adama bała się spotkać, aby jéj nowéj nie zrobił impertynencyi, jak tyle innych dotychczas. O finansowych stosunkach nieboszczyka hrabiego z Sandsteinem wiedziała mało i nie troszczyła się tém wcale.

Czego chciano od niéj?... czemu rzucano jéj w oczy pretensye, których dobrze nawet nie rozumiała?... czemu upokarzano jéj dumę osobistą, obwiniając ją o pośrednią przyczynę jakichś zaburzeń moralnych i materyalnych w rodzinie, do któréj weszła?...

— Ty przestałeś być moim synem, odkąd się ożeniłeś! — powiedział przecież wyraźnie w jéj obecności ojciec Bernarda, nie licząc się ze słowami; brzmiało to, jak wyrzut, jak oskarżenie dla niéj.

Siedziała ze splecionemi na kolanach rękoma i patrzała na teścia, z którego zapienionych ust spadały słowa, jak krople wody na rozpaloną blachę, sycząc i skwiercząc jakoś w jéj uszach.

Bernard z głową spuszczoną stał przy oknie i zdawał się namyślać nad tém, co usłyszał:

— Zdaje mi się—rzekł głosem zawsze jednako spokojnym,—że ojciec trochę za gorąco bierze tę sprawę. Wypowiedzenie kapitałów nie jest jeszcze ich wycofaniem, a zresztą każdemu wolno ze swemi pieniędzmi zrobić to, co mu się podoba i co uważa za najkorzystniejsze dla siebie.

Sandstein rzucił się gniewnie i niecierpliwie.

— Ty jesteś głupi!—przerwał mu,—nie rozumiesz o co mi chodzi, czy co takiego?... tu chodzi o to, że się mnie wyrzekają publicznie, że umywają ręce ode mnie.

— Zkądże publicznie?—wtrącił syn,—przecież publicznie nie było wiadomém, że nieboszczyk należał do spółki z ojcem.

— Było i nie było; sam pieniądz znaczy dużo, ale pieniądz z dobrą firmą jeszcze więcéj. Ty powinieneś o tém wiedzieć. Ja nie potrzebowałem robić z tego tajemnicy, że kapitał Zabiełowskich, hrabski kapitał spekuluje z moim bankierskim kapitałem do spółki. Dla mnie to nie był wstyd, ale dlaczego się teraz wstydzi hrabia wujaszek, skoro hrabia dziadzio nie wstydził się brać 30% dywidendy?

Tola zacięła usta i podniosła się z siedzenia.

Scena ta stawała się dla niéj nad wyraz przykrą; chciała wyjść z salonu i zostawić ojca z synem na dalszéj rozmowie, w któréj i tak udziału nie brała.

— Proszę ciebie, droga Tolo, nie odchodź—zatrzymał ją teść głosem nieco ułagodzonym, — ty

musisz przecie w téj sprawie głównie zaradzić sama jedna.

— Ja?—szepnęła, otworzywszy jeszcze szerzéj swoje zdziwione oczy.

— A któżby?,.. dobra sobie!... cha, cha, cha! — zaśmiał się szyderczo Sandstein,—przecież ja nie jestem siostrzenicą hr. Adama, ani pani Łanieckiéj. Ja się spodziewam, że moja synowa wmiesza się teraz w tę sprawę i rozumne słówko powie swojemu wujaszkowi i swojéj cioci. Ja tobie moje dziecko wszystko to wpierw dobrze wytłómaczę, a potém ty już resztę sama zrobisz.

Chciał zbliżyć się do niéj z karesem bardzo niezręcznym i pogłaskać ją po twarzy, ale instynktownie cofnęła się od tego i spuszczając oczy, blada i pomieszana rzekła:

— Ja... ja nic nie zrobię.

Sandstein usta otworzył: zdawało mu się, że źle usłyszał odpowiedź synowéj.

— Co ty mówisz?—spytał po chwili, nachylając się ku niéj jakimś zwierzęcym ruchem.

— Mówię, że ja nic nie zrobię, — powtórzyła cichym ale stanowczym głosem.

— Nic nie zrobisz?... dlaczego ty miałabyś nic nie zrobić?...

Przybliżył prawie swą pomarszczoną, drgającą kurczowo twarz do jéj twarzy pobladłéj i powtarzał:

— Nic nie zrobisz?... ty nic nie zrobisz?... ty chyba nie chcesz nic zrobić dla ojca twego męża?...

Mówiąc to, przeszywał ją niemal spojrzeniem, które sprawiało jéj niewymowną przykrość; cofnę-

ła się o krok od niego i odpowiedziała zawsze tym samym suchym, spokojnym na pozór tonem:

— Nie zrobię nic, bo nie mogę; nie mam żadnego wpływu na moją rodzinę.

Sandstein ujął ją za rękę, jak w kleszcze; sprawiło jéj to fizyczny ból i sama nie wiedząc czemu, odezwała się do niego po francusku:

— *Pardon monsieur, vous me pressez la main...*

— Nie masz wpływu?... dlaczego nie masz wpływu?—pytał, nie zważając na jéj syknięcie,—spróbój tylko, zobacz się z wujaszkiem, powiedz mu, żeby... żeby się ze mną osobiście widział i porozumiał: żeby się tak nie śpieszył, żeby nie był tak zawziętym... żeby mi nogi nie podstawiał!... Ja ciebie o to proszę, moja Tolo, proszę—rozumiesz?... Ty możesz wszystko, jeżeli zechcesz.

— Ja... ja nic nie mogę—powtarzała, hamując pomieszanie swoje,—to się na nic nie przyda, to daremne. Ja zresztą do interesów mieszać się nie chcę...

Sandstein drgnął nagle i wyprostował się tryumfująco.

— A, nie chcesz!...—zawołał,—tak mów, to ja zrozumiem. Nie chcesz, nie chcesz, to jasne!... widzisz—zwrócił się do syna,—to twoja żona tak mówi, twoja żona!... przypatrz się jéj!... przekonaj się, jak cię kocha i jak jéj dużo na nas zależy!

Założył ręce na piersiach i obrzucał synową wzrokiem pełnym wyrzutu i niechęci; zdawało się, że ją w jednéj chwili znienawidził i za tę odmowę gotów był pastwić się nad nią.

Bernard zaciął usta, głowę zwiesił i swój czarny, kruczy wąs motał na palcu.

— Ależ ojcze—odezwał się wreszcie w obronie żony,—unosisz się zanadto i nie masz racyi. Tola może mieć swoje powody, dla których nie chce się mieszać w tę sprawę.

— Naturalnie, broń ją jeszcze, tłómacz, perswaduj!—przerwał mu ojciec gniewnie, — ja nie mam racyi, ja nie wiem, czego chcę!... ja się unoszę tylko!...

Chwycił za kapelusz i bez pożegnania skierował się ku drzwiom; na progu zatrzymał się jednak i zwrócił raz jeszcze ku synowéj.

— Więc nie pójdziesz, nie zrobisz nic!... to twoje ostatnie słowo?... dobrze!... ja sobie to zanotuję. Adieu!...

Wyszedł śpiesznie, trzasnąwszy mocno drzwiami za sobą.

Tola drgnęła nerwowo; pierwszy raz w życiu obszedł się z nią ktoś tak gwałtownie i bezwzględnie,—ta cała scena z teściem wzburzyła ją do głębi, podrażniła i dotknęła jéj dumę.

Oczy jéj błysnęły złowrogo na pogróżkę teścia, podniosła głowę i z urażoną godnością rzekła do męża:

— Mógłbyś pan powiedzieć swemu ojcu, aby drzwiami trzaskał tylko w swoim domu, jeżeli mu to przyjemność sprawia.

Bernard zwrócił nagle ku niéj oczy, uderzony tonem i treścią tych słów; uwaga ta zadrasnęła go.

— Tak,—odrzekł, hamując pierwsze poruszenie swoje — wyszedł zirytowany i postąpił nie-

grzecznie,—przepraszam za niego; ale mi się zdaje, że dom mój jest także domem mojego ojca,— dodał z pewnym naciskiem.

Zrozumiała nauczkę delikatną ale wymowną i to ją jeszcze bardziéj podrażniło.

— Nie przeczę—rzekła, chmurząc brwi nad pałającemi oczyma,—jednak w tym domu nie wszyscy muszą znosić zły humor pańskiego ojca; mógłby to lepiéj pamiętać.

— Zapewne, tylko trudno mi będzie przypominać mu o tém i robić mu uwagi na starość.

— Obejdzie się bez tego — bo na przyszłość zejdę mu z oczu i nie narażę się więcéj na jego impertynencye...

— Przyznaj przynajmniéj, że cię one dziś wyjątkowo po raz pierwszy spotkały.

Powiedział to głosem drżącym, usiłując zachować zawsze jeszcze równowagę i spokój; znać było jednak zmianę, jaka w nim od kilku chwil zaszła.

— Szczególny masz pan sposób przekonywania—rzekła z przekąsem;—może mi jeszcze udowodnisz, że ojciec pański miał słuszność, zwracając się do mnie z wyrzutami za postępowanie mojego wuja i żądając, abym przyjęła na siebie rolę adwokata, czy faktora w jego finansowych interesach?...

Nie odpowiedział na to wprost, ale zbliżając się do niéj powoli i badając ją oczyma, spytał:

— Dlaczego mnie nazywasz panem?... jestem przecież twoim mężem?

— Ach, tak!... — wyrwało się z jéj ust, jakby gwałtowném, ale w jednéj chwili stłumionėm

łkaniem; przycisnęła dłonie rozpalone do oczu, jak gdyby rozgnieść chciała w nich piekące łzy, które poczuła pod powieką i nagłym ruchem zwróciła się ku wyjściu, ale mąż uprzedził ją i zagrodził jéj drogę sobą.

Wyprostowała się dumnie i spytała go:

— Co to znaczy?...

— To znaczy—rzekł, ujmując jéj rękę i odprowadzając łagodnie ode drzwi, — że powinniśmy skończyć z sobą zaczętą rozmowę.

Jego dziwny spokój i stanowczość zapowiadały jakiś moment ważny i niezwykły.

Posadził ją na fotelu i nie puszczając jéj dłoni, stanął przed nią, przygotowując się widocznie do wypowiedzenia czegoś bardzo trudnego, co mu w myślach ciążyło.

— Trzeba, abyśmy raz pomówili z sobą otwarcie — odezwał się po chwili,—to, co usłyszysz z ust moich, zadziwi cię zapewne, ale wyjaśni a przynajmniéj zdecyduje między nami sytuacyą.

Spojrzała na niego zaskoczona tą niespodzianką.

— Nie odpowiedziałaś mi na moje zapytanie: czy jestem mężem twoim?—zaczął znowu po krótkiéj przerwie, podczas któréj zdawał się porządkować swoje myśli:—nie dziwię się i nie mam ci tego za złe. Jestem nim i nie jestem: nosimy oboje ślubne obrączki, nosimy wspólne nazwisko, żyjemy pod jednym dachem, jak mąż i żona, mamy nawet dziecko, a jednak—powiedz sama, czy jesteśmy małżeństwem w tém znaczeniu, nie jakie świat do tego wyrazu przywiązuje, ale jakie jest jego rzeczywistą istotą?... Posłuchaj mnie,

nie przerywaj; ja może wypowiem i twoje własne myśli, wypowiadając moje... Pobraliśmy się półtora roku temu, a przez ten cały czas byliśmy choć na chwilę jedną czémś więcéj, jak dwojgiem ludzi sprzęgniętych ze sobą w jedném jarzmie?... Bądź szczerą i powiedz, czy miałaś mi dotąd cokolwiek do zarzucenia?...

Patrzał jéj prosto w oczy i czekał odpowiedzi.

— Do czego to wszystko zmierza?—spytała zmieszana.

— Do wyjaśnienia naszego stosunku.

— Dzisiaj?... teraz?... — rzuciła się nerwowo i odsunęła razem z fotelem od niego. — Po niewczasie!...

— Zawsze jest czas do poznania prawdy, a lepiéj poznać ją późno, niż nigdy. Zatém zapytuję cię powtórnie: co mi masz do zarzucenia?... Twój świat, twoja rodzina związek nasz nazwała mezaliansem. Wiem o tém; za głośno to powtarzano, abym tego nie dosłyszał. Twój świat nie mógł wybaczyć mi jednego tylko, że się nazywam Sandstein i że pochodzę z żydów, ale nie raczył nigdy przekonać się, czy jestem jako człowiek mniéj wart od twoich jaśnie wielmożnych rówieśników. A i ty nie wiele dbałaś o to, przyznaj sama; czyż nie tak?... Przezemnie odsunęła się od ciebie twoja rodzina, twoi krewni, znajomi, twoje towarzystwo, a ci, co pozostali, nie robili sobie wiele ceremonii z tém, aby mi dawać do poznania, że raczą mnie tylko znosić u siebie ze względu—na ciebie. Pozostałem dla twego świata zawsze tym samym żydem, którym przez całe wieki pogardza-

no, tym śmiesznym mechesem, synem zbogaconego dorobkiewicza, któremu w dziesiątém pokoleniu nie wybaczą jego garbatego nosa i jego pochodzenia, mimo to, że go ze wszystkich stron popychano do zerwania z jego wiarą, z jego plemieniem, z jego przeszłością. Gdzież ta logiczna i uczciwa konsekwencya twojego świata?... Mniejsza zresztą w téj chwili o nią, to kwestya inna. Ale ty, ty moja żona, która patrzałaś na mnie najbliżéj przez półtora roku, żyłaś ze mną pod jednym dachem, miałaś być towarzyszką, wspólniczką moją, miałaś ze mną razem pracować na wspólnéj drodze, jakież jest twoje o mnie przekonanie?... czy ty mnie znasz?... czyś starała się poznać, co myślę, co czuję, com wart, co we mnie zostało z téj przeklętéj rasy paryasów waszych, a co przybyło szlachetniejszego?... ile we mnie jest wad żydowskich, a ile przymiotów ludzkich?... Nie, Tolo, tego nie zrobiłaś!.. Ten przesąd, który zaślepia całe warstwy, zaślepił ciebie nawet, jako moją żonę, jako matkę nawet mojego dziecka! Czekałem na to cierpliwy i uległy, jak niewolnik twój, nie jak mąż, że zechcesz zbliżyć się do mnie nareszcie, przełamiesz uprzedzenia i odrazę, otworzysz oczy i spróbujesz rozróżniać, spojrzysz głębiéj, ocenisz; co złego jeszcze we mnie, zmienisz na dobre, nauczysz mnie kochać według twojéj religii i tradycyi, mnie — mechesa, żyda, Sandsteina—ty jaśnie wielmożna córka tylu pokoleń szlacheckich, arystokratycznych, dobrze urodzonych!... I cóż?... czekałem pokornie napróżno. Widziałem pod przymusem zawsze tylko ukrytą odrazę, wi-

działem w tobie tę głuchą walkę, jaką staczałaś z sobą, ażeby choć pozory zachować, czułem to wszystko i trawiłem się całym szeregiem upokorzeń, które mnie i mojéj rodzinie wyrządzałaś instynktownie, bez złéj woli, o którą cię nie posądzam. Nie w tém nieszczęście naszego małżeństwa, że świat twój nazwał je mezaliansem, ale żeś ty sama je za takie uważała dotychczas!... Oto najsmutniejsza prawda, któréj dłużej nie umiem w sobie ukrywać i tłumić!...

W miarę, jak mówił, głos jego podnosił się, nabrzmiewał jakąś siłą i smutkiem zarazem.

Przegarnął włosy i blade czoło tarł ręką, stojąc zawsze w téj saméj pozycyi przed żoną, oparty o stół, na którym drżała duża lampa porcelanowa, tak, że z głosem jego w chwilach głębszego przejęcia się i ożywienia, mieszał się brzęk szkiełka i klosza.

Tola słuchała go z głową spuszczoną, rzucając na niego od czasu do czasu przelotne spojrzenia z pod zciągniętych brwi, a nie śmiąc popatrzéć mu wprost w oczy.

Pierwszy raz przemawiał do niéj w taki sposób ten cichy, spokojny, pokorny, jakby zalękniony Bernard; wierzyć nie mogła własnym uszom.

Nie śmiała poruszyć się z miejsca, nie mogła na razie zebrać myśli i zdobyć się na odpowiedź.

Ta niespodzianka przygniotła ją i obezwładniła moralnie.

— Dziś, kiedy między nami czas coraz większy robi przedział, zamiast zbliżać nas ku sobie—zaczął po chwili ciszéj i spokojniéj,—kiedy się prze-

konać musiałem, że między nami odwieczny przesąd stoi i że się nie porozumiemy, że tylko coraz więcéj rozdrażniać się będzie nasz stosunek, i że cię ani zdobyć całkowicie, ani przekonać do siebie nie zdołam, powiedziałem sobie: co warto takie życie, które musi być męczarnią, albo zgorszeniem,—w którém szczęścia żadne z nas nie zazna?... Jako ludzie uczciwi i rozumni, zanadto dobrze znamy oboje nasze położenie i wiemy, czego się po niém na przyszłość spodziewać należy. Zawiniliśmy wspólnie, pozwalając się złączyć z sobą... Małżeństwa z rozsądku czy z interesu w naszéj sferze, przepraszam cię — poprawił się szybko,—w mojéj sferze, nie są rzeczą nadzwyczajną, ale do tego trzeba innych pokazuje się natur i usposobień—nie takich, jak nasze. Gdybym cię zapytał wprost, otwarcie i szczerze: czy mnie kochasz?... musiałabyś odpowiedziéć: nie. O, bądź spokojną, téj przykréj prawdy oszczędzę tobie i sobie: samo milczenie zresztą z twéj strony mi wystarczy. Co do mnie, wszelkie uczucie— oprócz szacunku, byłoby ci zapewne obojętne. Kobieta, która nie kocha, sama nie dba o miłość, jeżeli nie jest kokietką. Masz za wiele dumy w swojéj naturze, ażeby podlegać téj słabości. Zresztą, nie starałaś się nigdy o to, abym cię pokochał; widziałem, że jest ci to obojętném. Mam więc dla ciebie to tylko uczucie, o które ci najbardziéj chodziło — szacunek i przez ten szacunek właśnie mówię z tobą tak otwarcie...

Zatrzymał się chwilę i jakby miał najcięższą

jeszcze do poruszenia kwestyę, zasłonił sobie dłonią oczy, zbierając myśli, a potém rzekł:

— Przez czas naszego pożycia miałem dużo sposobności do rozmyślania nad naszém małżeństwem i przez te półtora roku nauczyłem się i zrozumiałem więcéj, niż całe dziesiątki lat mogłyby mnie nauczyć. W tych warunkach, w jakich żyjemy, w jakich pobraliśmy się, w tém otoczeniu odrębnych sfer, w tym jawnym i cichym antagonizmie dwóch ras, dwóch warstw, dwóch światów — bez wielkiéj miłości, która wszelką sprzeczność jedynie godzić umie i wszelkie różnice wyrównywa—niéma dla nas szczęścia w dalszém pożyciu wspólném, a zatém...

Zatrzymał się i po chwili spokojnie, ale poważnie i z godnością dokończył:

— Nie pozostaje nam nic innego, jak... rozejść się.

Po tych słowach nastało dłuższe milczenie.

Tola z głową zwieszoną zawsze na piersi, z rękoma splecionemi, zapatrzona w ziemię i zdająca się głęboko rozważać wszystko, co usłyszała z ust męża, miała wyraz surowéj powagi w twarzy.

On, skończywszy swoją przemowę, odstąpił kilka kroków i zostawiwszy żonie czas do rozwagi, jak człowiek, który spełnił ciężki obowiązek, stanął w pewném oddaleniu i czekał jéj odpowiedzi.

Milczenie było tą odpowiedzią.

Na czole jéj zbierały się coraz cięższe chmury, a między zciągniętemi brwiami żłobiła się coraz głębsza, pionowa zmarszczka, która nadawała téj bladéj twarzy wyraz dumnéj Junony.

W salonie zapanowała cisza.

I znowu Bernard nie doczekawszy się ani słowa z ust żony, zabrał głos po raz ostatni:

— Widzę, że argumenta moje trafiły do twego przekonania; zatém porozumieliśmy się w rzeczy najważniejszéj?... nieprawdaż?...

Brzmienie jego głosu ocuciło ją nagle z tego stanu bezwładności i zadumy, w jakim pozostawała dotąd; podniosła się szybko z fotelu i odzyskując równowagę, rzekła prawie szeptem:

— Postąpiłeś pan, jak człowiek honoru.

Skłonił głowę, jakby z podzięką za ten wyraz uznania, a jakiś lekki, ledwie widoczny, lecz dziwnie bolesny uśmiech przemknął mu przez usta.

Ona zaś zrobiła ruch instynktowny, jak gdyby wahała się, czy ma mu podać rękę na pożegnanie, lecz skrępowana sprzecznemi uczuciami, szepnęła tylko:

— Dziękuję panu.

Skłonił się przed nią raz jeszcze i wyszedł powoli, zostawiwszy ją samą w salonie.

Nie mieli sobie nic więcéj do powiedzenia.

XIV.

Przez jakie dwa tygodnie ważna tajemnica familijna w domu państwa Sandsteinów o rozejściu się młodego małżeństwa nurtowała tylko najbliższą sferę, otaczającą Tolę i Bernarda, nie przenikając na zewnątrz.

Zachowano szczęśliwie do czasu pozory wobec świata.

Tola po ostatniéj rozmowie z mężem wyjechała do siebie na wieś, jak gdyby między nimi nic ważnego nie zaszło, a ztamtąd napisała krótki list do ciotki z oznajmieniem, że więcéj do Warszawy nie wróci i w Grzędach zamierza pozostać aż do pozyskania rozwodu lub w najgorszym razie separacyi.

Uregulowanie interesów majątkowych pozostawiała swemu adwokatowi.

„Zdaje mi się—pisała,—że część przypadająca mi po dziadku wystarczy dla wyrównania kosztów nabycia i wyrestaurowania Grzędów; pragnę je odkupić na własność i przypuszczam, że p. Sandstein (ojciec) nie zechce mi tego odmówić, chybaby

mu koniecznie zależało na zrobieniu mi największéj przykrości.“

List był krótki, suchy, oficyalny, jakby umyślnie unikała w nim wszelkich przed ciotką wynurzeń i pragnęła ominąć każdą drażliwość, która przy bliższych wyjaśnieniach musiała jéj się pod pióro nasunąć.

Łaniecki bardziéj od żony dotknięty się wydawał tą niespodzianką; twarz mu się przeciągnęła i pomarszczyła okrutnie. Ubodło go, że w takiéj chwili wychowanica nie powróciła pod opiekuńcze skrzydła rodziny, ale postąpiła samodzielnie, na własną rękę; było to jakby votum nieufności, dane jemu i jego małżonce, którzy przecież „wychowali ją, jak własną córkę, dbali o jéj szczęście, etc., etc.“

— No, no, no!... — z przekąsem mruczał, ogryzając wąs z jednéj strony, - nasza Tola myśli się emancypować. Czy uważasz, że wcale nas do siebie nie zaprasza?... widocznie pragnie się obejść bez nas. No, no, no!... to prawdziwa awantura. Trzeba dać znać Adasiowi; co on na to powie!...

Wujaszek Adaś tę wiadomość najmniéj spodziewaną, przyjął tryumfującym okrzykiem.

— Patrzaj!...—zawołał głośno, porwawszy się z siedzenia,—odezwała się w niéj krew Zabiełowskich. Trochę zapóźno, ale to nic. O, teraz pojadę do niéj!... zwracam jéj mój szacunek. Czy tylko obyło się bez skandalu?... jakiż powód podaje tego rozstania?...

— A kto ją tam wie! — z grymasem odparł Łaniecki. —Zawsze była trochę postrzelona. Porwa-

ła się za mąż, jak spłoszona kraska, porzuciła męża, jak waryatka.

Hr. Adam zatkał mu usta dłonią.

— Dajże pokój!... przynajmniéj przedemną nie udawaj. Poszła za mąż, boście ją wyswatali, przehandlowali, — ot, cała prawda. Zamiast ją obwiniać, sami uderzcie się w piersi.

Szwagier zrobił minę urażoną.

— Ależ Adasiu!... to bolesne, co mi w oczy zarzucasz... gdybym wiedział, że nie żartujesz...

— Wyzwałbyś mnie na pistolety—wiem o tém, ale jabym ci nie stanął, dopóki nie złożyłbyś rachunków z opieki,—przerwał mu z lekceważącym uśmiechem Adaś i poklepał go poufale po ramieniu.

— No, dajmy temu pokój, nie odgrzebujmy téj sprawy.

Jan Chryzostom próbował jeszcze zaperzyć się i wyprostowany z godnością, zaczął:

— Daję ci słowo honoru uczciwego szlachcica...—ale hrabia nie pozwolił mu dokończyć, przechodząc do innego tematu.

— Że to wszystko podła kalumnia, prawda?..—dokończył za niego, — wierzę ci tak samo, jak ty w to wierzysz, ale tymczasem, jakże stoi kwestya naszych kapitałów z Sandsteinem?... mnie śpieszno uregulować raz tę sprawę, bo chcę wyjechać do żony. Teraz, gdy nam jeszcze i Tola ułatwiła sytuacyą...

— Proponuje nam układy, chce podnieść procent, prosi o zwłokę...

— Nie możemy, nie możemy, nie możemy!—po-

wtarzał hrabia z zaciekłym uporem raczéj, niż z stanowczością,—wycofujemy wszystko co do grosza, bezwzględnie, jak najśpieszniéj!...

— Naturalnie — przywtórzał mu udobruchany już Łaniecki, — ja bez pardonu żyda dusić będę. Niech się skręci, ale niech odda wszystko. Nie zapomnę mu do śmierci, jak musiałem przy nim tańcować, gdy chodziło o ratowanie Grzędów!...

Poprawił binokle na nosie i z odcieniem cynizmu dodał:

— Wiesz, jak cię poważam, gdy pomyślę, że ja z takim podłym mechesem omal się tykać nie zacząłem i traktowałem go, jak familianta, przypuszczając blizko do siebie, to mam ochotę dzisiaj dać sobie sam w papę własną ręką.

— Pozwól sobie, ja nie bronię,—drwiącym tonem zachęcał go szwagier, nie przestając traktować z góry męża swéj siostry, którego znał na wylot i oceniał należycie.

Dla Sandsteina wypowiedzenie dalszéj spółki ze strony spadkobierców hrabiego dziadzi i rozejście się Bernarda z żoną, było jakby podwójnym gromem z jasnego nieba.

W ciągu kilku tygodni schudł, zmizerniał, pożółkł, zestarzał się, chory był na żółć, po Cieszyńskiego posyłał co drugi dzień, skarżąc się na wątrobę i bezsenność; unikał widoku żony i syna, nie rozmawiał z nimi przy spotkaniu, spoglądając na Bernarda ponuro, jakby z głęboką urazą i wyrzutem.

— Potrzebował się tak porządzić własnym rozumem!—powtarzał tylko i spluwał, bo od pewne-

go czasu dziwny niesmak czuł w ustach, chociaż go doktór trzymał ciągle na dyecie.

Wobec obcych wszelako starał się zachowywać pozory i przybierał minę człowieka, zajętego bardzo ważnymi interesami, aby go tylko nie posądzono, że się czuje przygnębionym katastrofą familijną i kłopotami finansowymi.

Nie długo udało mu się pokrywać właściwy stan rzeczy; na giełdzie zaczęto szeptać coś i dawać sobie znaki za jego plecami.

Sammet swoim zwyczajem chodził teraz za nim jeszcze gorliwiéj i nadstawiał uszu na wszystkie strony; śledził każdy gest jego, każdy rzut oka i wyraz twarzy.

Kilka razy zabierał się jakby do rozpoczęcia z nim rozmowy w przejściu, ale Sandstein zajęty był czém innémi nie widział nawet byłego wspólnika.

Nie potrzebował teraz udawać, jak dawniéj, że nie dostrzega jego małéj, niepozornéj figurki; roztargniony był na prawdę, snując nieustannie rwące się w myślach pasmo kombinacyi, które miały na celu zgromadzenie jak największéj ilości gotówki, bez zwrócenia uwagi na zbytnie wyzyskanie kredytu.

Niekiedy nadrabiał umyślnie fantazyą, wydawał się bardzo ożywiony, mówił głośno o świetnych interesach, które robi z Berlinem, dowcipkował nawet i śmiał się, aby to słyszano dokoła niego, ale bystrzejsze oko łatwo mogło było poznać się na téj komedyi.

— Czyście widzieli kiedy takiego Sandsteina?—

mówiono sobie na giełdzie, — co on za breweryе wyprawia!

— On wygląda, jakby potrzebował wyjechać na hydropatyczną kuracyę.

— Możeby jemu lepiéj zrobiła likwidacya, — odezwał się ktoś dowcipny a złośliwy.

Sammet milczał, słuchał i rozważał coś głęboko, spoglądając na współzawodnika, ale — rzecz dziwna—nie korzystał ze sposobności przypinania mu łatek i ulewania sobie żółci jego kosztem.

Raz nawet stanął w jego obronie, gdy go próbowano szamerować złośliwymi językami.

— Po co to robić z niego już nieboszczyka!— odezwał się z poważną miną,—zanim on klapnie, to wielu innych jeszcze gotowi zrobić krach. Czy to nie można być chwilowo w kłopocie?... To się nawet Rotschildom może przytrafić. Niby ja o tém nie wiem!...

Przyjęto tę obronę ironicznym śmiechem.

— Panie Sammet, czy pan się nie myśli żenić z jego córką?—pytano z przekąsem.

— Dlaczego?

— Bo pan tak broni jego firmy, jakby pan został już jego zięciem albo prokurentem.

— Dziękować Bogu, jeszcze tego nie potrzebuję.

Któregoś dnia przy wyjściu z giełdy, w pobliżu bramy Ogrodu Saskiego, wracając powolnym krokiem z teką pod pachą ku domowi, usłyszał Sandstein za sobą nagle głos Sammeta, który po kilku latach zaczepił go po raz pierwszy:

— Słuchajno Ludwik, jabym z tobą miał słówko do pogadania...

Powiedział to półgłosem, idąc prawie krok w krok za dawnym wspólnikiem, z rękoma w kieszeniach rozpiętéj okrywki, u któréj zawinął mu się kołnierz na karku przy pośpieszném wdziewaniu.

Bez powitania, bez wstępów, z tym lakonizmem człowieka interesu, przystąpił wprost do niego, jakby w upatrzonéj chwili był pewnym dobrego przyjęcia.

Sandstein zatrzymał się i wyrwany tak niespodzianie z zamyślenia, spojrzał zdziwiony na Sammeta.

— Ty ze mną? — zapytał niedowierzająco, ale w téj saméj chwili przemknął mu po twarzy jakby błysk sprytu i domyślności.

— No, słucham, — rzekł powoli, przypatrując się z pod oka swemu towarzyszowi.

Sammet podrzucił nerwowo jedném ramieniem i obejrzawszy się pozornie, czy za nimi nie patrzą, spokojnie na pozór, ale z wyraźnem drżeniem w głosie zauważył:

— Przecież o interesach nie będziemy rozmawiali na ulicy.

— Możemy przejść przez ogród, — zwolna cedząc wyrazy, odparł Sandstein.

— Chodźmy przez ogród,—z determinacyą nie bardzo chętną zgodził się mały spekulant, któremu z pod okularów błyszczały oczy jakiémś niezwykłém ożywieniem.

Skierowali się ku jednéj z bocznych alei, nie przyśpieszając kroku i idąc obok siebie z głowami

spuszczonemi, jakgdyby chcieli zachować obaj jak najbardziéj obojętne pozory.

— No, jakże ci tam idzie? — zaczął po chwili Sammet, zajęty niby więcéj trawą, którą właśnie ogrodnik przystrzygał nożycami w jednym z klą-bów, aniżeli fizyognomią swego towarzysza.

— Jak ma iść?... idzie, jak zawsze, brzmiała obojętna odpowiedź.

Sammet przystanął na chwilę i zmrużył jedno oko, przechylając głowę na ramię.

— Tak?... po co ty masz ze mną blagować? — odezwał się ze zgłuszonym śmiechem — jak tobie idzie, ja to wiem tak dobrze, jak ty sam. Kiepsko idzie!... Zrobili ci ładny pasztet, prawda?...

Sandstein się skrzywił nieznacznie.

— O czém ty mówisz?... — spytał, zachowując zimną krew i równowagę.

— Ty wiesz dobrze o czém ja mówię; na co tobie udawać?... szkoda czasu. Z ciebie dobra głowa, choć ci się z hrabiami nie udało. Co my będziemy sobie napróżno gębę psuli. Ja tobie powiem prosto z mostu: potrzebujesz pieniędzy, prawda?... ciężko ci idzie wyrwać nagle?... no to ja ci dam.

Stanął i nagle spojrzał w oczy wspólnikowi, jakby chciał się przekonać o wrażeniu swéj propozycyi.

Sandstein bystrym wzrokiem wytrzymał tę indagacyą. Przez chwilę zdawał się rozważać coś i decydować, a potém zamiast odpowiedzi, spytał tylko:

— A ty masz tyle?...

Sammet głową podrzucił.

— Kiedy mówię, że dam, to muszę mieć,—rzekł z coraz większą pewnością siebie.— Ja wiem, żeś ty zaangażowany grubo w „Tanim kredycie,“ i w kolejach uralskich, i w dostawach, ja wiem, że to wszystko bardzo dobry interes i żeś w to wsadził świeże pieniądze, których bez straty dużéj nie będziesz mógł wycofać od razu, a nie jesteś głupi, spuścić to komu drugiemu. Potrzebna ci duża forsa, albo wszystko dyabli wezmą. Prawda?... No, ja chcę przy tém także coś zarobić. Dopuść mnie znów do spółki na miejsce Zabiełowskich a damy sobie radę we dwóch. To ci chciałem powiedzieć. Między nami nie trzeba dużo gadania. *A Wort a Mann!*... po co my się mamy gryźć, jak dwa psy dzikie?... Ty mnie zrobiłeś po prostu świństwo, kiedyś się ze mną rozszedł; jabym się nie powinien patrzéć więcéj na ciebie, ale ja ci to teraz przebaczam. Sandstein, ty słuchaj dobrze, co ja tobie mówię!... Ja ci cały mój majątek oddam, chcesz?.. podpiszemy umowę i zawiążemy nową spółkę. My się zgodzimy z sobą lepiéj, niż... niż... niż ty ze swoją arystokracyą. Dużo ci z tego przyszło, co?... potrzeba tobie było pchać się do nich?... No, nie rób tylko zagniewanéj miny. Ja ci to mówię, jak Sammet, twój dawny przyjaciel; przecież tego nikt nie słyszy oprócz nas dwóch. Co my się mamy wstydzić za prawdę?... ale jak ty tego nie lubisz słuchać, to ja mogę i o tém nie mówić więcéj. Co mnie to zresztą obchodzi!... Ja tobie proponuję tylko sam interes i nic więcéj. No, cóż ty na to?...

Włożył ręce w kieszenie od spodni, nogi rozstawił i wyzywająco niemal z zadartą głową patrzał w twarz Sandsteinowi; czuł się teraz panem sytuacyi.

— Proszę cię Sandstein, ty nie udawaj, że tobie się moja propozycya nie podoba,—ciągnął daléj, nie zniechęcony milczeniem, z jakąś ironiczną jowialnością uśmiechając się przytém;—ty wiesz, że ja mogę odkupić udział i Zabiełowskich, i Łanieckich, i twojéj synowéj nawet; — tak, ja i od niéj wykręcę ten spadek, a wtedy co?... wtedy będę ciebie dusił inaczéj, niż oni wszyscy razem. Ale ja nie chcę z tobą zadzierać, ja wolę po dobremu pójść ręka w rękę; to lepszy interes dla nas obu. Ty masz szczęście, ja mam nos, nam znowu będzie dobrze razem. Jak ty myślisz?...

Poklepał go poufale po ramieniu, mówiąc:

— Sandstein, słuchaj!—ja tobie dobrze radzę.

Jakaś ubogo ubrana kobieta zatrzymała się o kilka kroków od nich i miłosiernėm spojrzeniem dopraszała się wsparcia.

Sammetowi czy przyszła myśl, że jałmużna w takiéj chwili może być skuteczną ofiarą, złożoną Panu Bogu na intencyą dobrego interesu, czy téż chciał się pozbyć świadka, aby nie być podsłuchiwanym, sięgnął szybko ręką do kieszeni i wyjąwszy cztery grosze, podał je kobiecie z opryskliwym dodatkiem:

— Proszę sobie iść, proszę nam dać pokój!...— potém wracając do Sandsteina, milczącego zawsze, jak sfinks, spytał go obcesowo, jakby nie wątpił więcéj o skuteczności swojéj wymowy:

— No, kiedy mam przyjść do ciebie?...

Sandstein obrzucił go jedném spojrzeniem i jakby rozpatrzywszy się ostatecznie w sytuacyi, odpowiedział tym samym obojętnym i spokojnym tonem, po którym nic nie można było poznać:

— Przyjdź jutro.

— O dziewiątéj rano?...

— O dziewiątéj.

Sammet wyglądał w téj chwili, jakby urósł o trzy głowy.

— No, daj rękę stary! — zawołał z jakąś przybraną brawurą i po latach wielu rozłączone dłonie dawnych wspólników, a dotychczasowych antagonistów, spotkały się ze sobą znowu w uścisku przyjacielskim...

W trzy dni późniéj na giełdzie i w całym świecie finansowym powtarzano sobie najświeższą nowinę, któréj nikt z początku uwierzyć nie chciał:

— Sandstein pogodził się z Sammetem i przypuścił go do spółki.

Pogłoska potwierdziła się dnia następnego, kiedy obaj wspólnicy zajechali jednym powozem przed gmach giełdowy; kilku bliższych znajomych, stojących na kamiennych schodach pod kolumnadą dla żartu przyjęło ich oklaskami.

Zrobiono im przy wejściu owacyą, uśmiechając się złośliwie za plecami pogodzonych przeciwników.

Pani Emilia, która po kilku nerwowych atakach, odchorowała familijną katastrofę i rozejście się Bernarda z żoną, bawiła właśnie w Ostendzie, kiedy jéj o téj zgodzie doniesiono.

Stosunki jéj z Sandsteinami zerwały się po gwałtownéj scenie, jaką miała z bratem; nazwał ją w rozdrażnieniu wbrew wszelkiéj dystynkcyi, najordynarniéj w świecie „głupią gęsią,“ obsypując wyrzutami, że wszystkiemu była winną, bo nieproszona wmieszała się w to nieszczęsne małżeństwo i ożeniła Bernarda, protegując Łanieckich, którzy jéj teraz znać nie chcieli.

– Moja noga więcéj w waszym domu nie postanie, jak sobie i memu Michasiowi szczęścia życzę! — wołała, wychodząc. — Jesteście ludzie niewdzięczni i źle wychowani. Pfui!...

Z Ostendy napisała do męża:

„Proszę cię i zaklinam na wszystko w świecie, żebyś Sandsteinom przestał się kłaniać. Znać ich nie chcę więcéj po takiéj kompromitacyi!!!...

„Żeby dopuszczać do siebie takiego Sammeta!.. to okropne.

„Nie mam więcéj brata; jest tylko jakiś prosty handełes Sandstein w Warszawie, ale ten nie należy do mojéj rodziny. Pamiętaj o tém mój Michasiu, jeżeli mi co dobrego życzysz!!...“

Miała zamiar ubierać się czarno na znak żałoby, ale odstąpiła od tego dziwacznego zamiaru, przekonawszy się w lustrze, że przy czarnéj sukni płeć jéj wydawała się żółtą.

Mąż jéj przeczytawszy ten list do końca, wzruszył ramionami i napisawszy u spodu czerwonym ołówkiem kilka słów, odesłał go żonie do Ostendy.

Omal spazmów z irytacyi nie dostała, rzuciwszy okiem na dopisek, który brzmiał krótko, ale wymownie:

— „Czyś ty tam do reszty nie sfiksowała, moja Emilko?“

Przez trzy dni czuła się tak nieszczęśliwą, że nawet znajomość z jakąś francuską margrabiną nie mogła jéj pocieszyć.

Nowo nawiązany stosunek z Sammetem, który pani Vossówa z takiém oburzeniem kompromitacyą nazywała, miał charakter wyłącznie spółki finansowéj, ograniczał się na samym kantorze, obracał jedynie w sferze interesów; zeszły się z sobą tylko dwie firmy, nie dwa domy, dwie rodziny, jak było dawniéj, niegdyś, w początkach, gdy się obaj wspólnicy dopiero dorabiali majątku.

Sandsteinowa powiedziała wprost mężowi:

— Tylko proszę cię, abyś mi tu Sammeta do domu nie sprowadzał: obejdzie się bez przyjaźni i zażyłości.

Jéj także nie podobał się ten Sammet, z którym wracała choć w części przeszłość tak odmienna od teraźniejszości; miała urazę do męża, że się rozporządził i pośpieszył sam, nie zasięgnąwszy jéj rady poprzednio, ale od czasu rozejścia się syna z żoną, Sandstein w domu stał się opryskliwym, nieprzystępnym, jakby miał pretensyę do wszystkich, którzy to nieszczęsne małżeństwo kojarzyli.

Ojciec wszelako zdawał się w nim mniéj dotkniętym, niż naczelnik firmy i człowiek interesu; jeżeli był przygnębiony, to bardziéj przesileniem majatkowém, wywołaném przez rodzinę Toli, aniżeli całym wypadkiem z synową.

Bernard prowadził teraz życie odosobnione; w swoim dużym wytwornym apartamencie, który

dwa lata temu urządzał dla dwojga, mieszkał teraz sam jeden.

Z początku chciał dziecko zatrzymać przy sobie, ale Sandsteinowa uparła się, aby wnuka do niéj przeniesiono ze wszystkiém.

— Nie można przecież dziecka zostawiać na opiece służących—mówiła,—bądź spokojny, już ja ci go podchowam lepiéj, niż rodzona matka.

Imienia Toli nie wymawiała teraz nigdy, przestała istniéć dla niéj; zacięła się i jedném słowem nie wspominała więcéj synowéj, jakby się bała, że samo wspomnienie przyniesie jéj nieszczęście.

Żywiła jednak głuchą zawiść i żal do niéj ukryty lecz głęboki, żal matki.

Od czasu opuszczenia męża Tola zamknęła się w Grzędach, jak w klasztorze; znaku życia długi czas nie dawała nikomu.

Rozbitek, zmęczony śmiertelnie gwałtowną burzą i walką z falami, wyrzucony nagle na brzeg, bezwładny i ogłuszony leży z dyszącą piersią, z zamkniętemi oczyma, bez czucia i bez myśli, czekając, aż mu siły powrócą i aż się oswoi z nową swą sytuacyą.

W takim stanie i w takiém usposobieniu znajdowała się i ona: nie pragnęła niczego, tylko spokoju i wytchnienia.

Zdawało jéj się, że mogłaby tak zdala od świata, od ludzi, od wszystkiego, co poza nią zostało, żyć już całą wieczność, aby tylko nie odzywano się do niéj, nie kazano powracać, nie budzono z tego półsnu, w jaki popadła.

Cisza wiejska swym błogim wpływem koiła jéj wzburzone nerwy.

Nie wychodziła prawie ze swego pokoju całymi dniami; z werendy pałacowéj patrzała w ogród i dumała.

W tych długich, samotnych rozmyślaniach przesuwała się przed jéj oczyma cała przeszłość, całe to życie jej spaczone, smutne, jak zdziczałe i skarłowaciałe drzewo, którém nie było komu zająć się poważnie i umiejętnie, aby wyrosło proste.

Pewnego dnia przyszła jéj ochota przejść się po raz pierwszy po ogrodzie i kierując mimowoli kroki w stronę pagórka z żelaznym krzyżem między drzewami, zaszła w to miejsce pamiętne dla niéj ostatnią rozmową z Kuliszem.

Z krzyża wiatr oderwał figurę Zbawiciela i tylko gwoździe rdzą okryte sterczały w miejscach, gdzie były przytwierdzone ręce i nogi.

U stóp pomnika, rozciągnięty na murawie leżał blaszany Chrystus z otwartemi ramiony, jakby omdlały z bólu pod godłem swojéj męki, a nad Nim, na kamiennéj podstawie czerniły się zawsze jeszcze widoczne słowa: „Bądź wola Twoja!...“

Ten niespodziany widok nad wyraz przykre sprawił na niéj wrażenie; instynktownie schyliła się szybko, aby podnieść z takiéj poniewierki postać Ukrzyżowanego, kolana się jéj ugięły i przyklękła, niby przy żywym człowieku.

Dziwna jakaś żałość owładnęła nagle jéj serce, oczy napełniły się łzami i łkanie głębokie, gorące szarpać zaczęło jéj piersią.

Rozpłakała się rzewnie i głośno, jakby naraz wszystkie smutki, wszystkie troski jéj życia odezwały się w sercu i jakby poczuła się tak nieszczęśliwą, tak samotną, tak zbiedzoną, jak nigdy.

Oparła głowę na ręce i pozwoliła spływać dużym łzom po twarzy, wpatrując się w zczerniałe oblicze Chrystusa, a usta jéj niby w modlitwie poruszały się jakąś niemą, serdeczną skargą.

— Boże, mój Boże—szeptała w płaczu,—czemuś mi takie życie przeznaczył!... czemuś mi nie dał nikogo, nikogo, nikogo!..

Nagle zdało jéj się, że ów martwy, sponiewierany, rdzą pokryty Chrystus otworzył oczy i z wyrzutem spojrzał na nią zamiast odpowiedzi, — i zdawało jéj się, że to spojrzenie zrozumiała i że ono rumieńcem wstydu twarz jéj oblewa.

— Moje dziecko!.. — zawołała, — mam przecie dziecko!... jestem matką!...

I nagłym ruchem zakryła sobie twarz oblaną łzami.

— Dziecko... dziecko...—powtarzała do siebie, a płacz jéj milknął, jak burza ginąca w oddali.

Splotła ręce i nie odrywając oczu od Chrystusa, rozmyślała nad czémś głęboko z pochmurnym smutkiem, który twarz jéj coraz większym cieniem pokrywał.

Gdy wróciła dnia tego do siebie, cały wieczór spędziła na pisaniu listu do jedynego przyjaciela, który jéj w życiu pozostał, spowiadając się przed nim ze wszystkiego, czém serce jéj było przepełnione...

W trzy dni późniéj Bernard zdziwił się wielce,

gdy mu służący nad wieczorem zameldował wizytę Kulisza.

— Jakże mam pana powitać —zagadnął swego gościa z jakimś smutnym uśmiechem na ustach,— na naszym horyzoncie zjawiasz się pan tylko, jak meteor. Zawsze zagrzebany w swoich książkach, zawsze zapracowany...

— Nie mam czasu na próżniactwo, inaczéj byłbym może takim samym leniuchem, jak tysiące innych.

Bernard uścisnął serdecznie jego rękę i zawiódł go do swego gabinetu.

— Nie wierzę temu — mówił, prowadząc w dalszym ciągu rozpoczętą rozmowę,—leniuchem trzeba się urodzić, tak samo, jak artystą—dodał żartobliwie,—a panu brak na to wrodzonych kwalifikacyi.

— Komplementa mi pan prawisz, jak jakiéj salonowéj papudze?...

— Pamiętam przecież, ile razy nam pan powtarzałeś: „Życie jest tak krótkie, a tyle w niém do roboty!...“

— Z tego wypada, że szkoda każdéj straconéj chwili — podchwycił Kulisz, — więc pozwoli pan, że od razu przystąpię do rzeczy.

— Tak panu śpieszno?... w takim razie słucham.

— Pisała do mnie żona pańska...

Na wspomnienie Toli znikł nagle uśmiech z twarzy Bernarda; spoważniał i z zajęciem spojrzał na swego gościa.

Kulisz dostrzegł tę zmianę wyrazu, zatrzymał

się chwilę, jak gdyby dyskretnie czekał zezwolenia, by mówić daléj, a potém zaczął na nowo:

— Pisała i poleciła mi drażliwą misyę, z którą właśnie przychodzę do pana, nie jak do męża, ale jak do ojca. Pani Tola życzy sobie miéć dziecko swoje przy sobie.

Na usta Bernarda powrócił znowu uśmiech, lecz z odcieniem ironii, od któréj powstrzymać się nie mógł.

— A!... przypomniała je sobie?—spytał, jakby ze zdziwieniem.

Kulisz rękę mu położył na kolanie.

— Nie bądź pan złośliwym, panie Bernardzie—rzekł tonem łagodnym i przyjacielskim;—poczucie się do macierzyństwa w kobiecie jest zawsze godne szacunku, choćby nawet było spóźnioném. Otóż żona pańska ochłonąwszy trochę na wsi, upomina się teraz o swoje prawa, które się jéj należą, jako matce. Zapytuje przeto pana przezemnie, czy zechcesz zadość uczynić jéj żądaniu i czy odeszlesz jéj dziecko do Grzędów?... I cóż pan na to?...

Bernard zamyślił się, motając swoim zwyczajem w chwilach zadumy czarny, jedwabisty swój wąs na palcu i milczał; rozważał, co ma odpowiedzieć Kuliszowi, który spoglądał na niego wyczekująco.

— Tak—odezwał się po chwili,—praw matki niepodobna zaprzeczać, — zwłaszcza komuś, kto się o nie upomina choć po niewczasie. Gdyby moja żona opuściła była nasz dom od razu z dzieckiem, nie śmiałbym brutalnie żądać jego zwrotu;

dzisiaj o tyle ta rzecz się komplikuje, że Sewerka niéma teraz u mnie.

— A gdzież jest?...

— U mojéj matki.

— No, to położenia nie zmienia.

— Zdaje się panu; odkąd babka zastąpiła mu matkę z konieczności — odrzekł z lekkim, ledwie znacznym naciskiem na ostatnie wyrazy—nabyła pewnych praw wyjątkowych do niego i dzisiaj od niéj głównie zależéć będzie, czy zechce pozbyć się swego wnuka. Co do mnie, trudności stawiać nie mogę, chociaż to syn i jako ojciec miałbym prawo wychowywać go sam, ale zanim moje ojcowskie obowiązki względem niego nabiorą jakiegoś poważniejszego wpływu i znaczenia, dużo lat jeszcze potrzeba. Oto moja odpowiedź, którą zechciéj pan przesłać... do Grzędów.

Nie chciał widocznie wypowiedziéć tych drażliwych słów: „mojéj żonie."

— A czy nie podjąłbyś się pan sam tego pośrednictwa?—spytał go Kulisz,—wszakże to panu z łatwością przyjdzie, widujesz się z matką swoją zapewne codziennie, powiedz jéj i przemów dobre słowo w téj sprawie.

Bernard zlekka brwi zsunął, ale godząc się i na to ustępstwo, rzekł:

— Mogę... jednak możeby właściwszą była droga bezpośrednia...

— Kiedyż mi pan każesz zgłosić się po odpowiedź stanowczą?

— O nie chciałbym pana trudzić nadarmo i dlatego sam ją panu przyniosę, jeżeli pan pozwolisz.

— Bardzo chętnie.

— Bywa pan wieczorami codziennie w domu?

— Nie ruszam się wcale z pomiędzy moich książek i samowaru już od godziny szóstéj. Bardzo proszę, zajdź pan któregokolwiek dnia. Zastaniesz chyba jednego tylko Montaga, który odwiedza mnie dość często o téj porze i na mojém rozklekotaném pianinie grywa mi, jak Dawid na harfie. Zatém do widzenia, kochany panie. Oczekuję od jutra!...

Wstał i podał mu rękę na pożegnanie.

Bernard przeprowadził go przez wszystkie pokoje.

— Ja już kilkakrotnie wybierałem się i tak do pana—mówił, — miałbym o wielu rzeczach pogawędzić z panem, zwłaszcza teraz, gdy sam nie wiem, co z sobą i z czasem moim robić. Chciałbym, abyś mi pan dał znowu kilka lekcyi i nauczył...

Kulisz zatrzymał się i spojrzał z zajęciem na niego.

— Nauczył?...—czego?—spytał zdziwiony.

— Pracować,—dokończył z westchnieniem młody Sandstein i w serdecznym uścisku dopowiedział reszty.

— No, no!... zdaje mi się, że miałbym pojętnego w panu ucznia,—uśmiechając się z zadowoleniem, odparł Kulisz już przy samych drzwiach. — Owszem, pomówimy i o tém; czekam pana tedy z podwójną niecierpliwością. Do widzenia!

— Do miłego.

Missya, któréj się podjął Bernard w sprawie

oddania dziecka żonie nie była łatwą; znał usposobienie swéj matki względem Toli i przeczuwał, że natrafi na silną opozycyę.

Mimo to, postanowił wystąpić w roli rzecznika, broniącego sprawiedliwości.

Jakkolwiek to pośrednictwo nader drażliwém było dla niego, wybrał się tego samego wieczoru jeszcze do rodziców, aby pomówić z matką.

Los wszelako pokrzyżował mu plany.

Wyszedłszy z domu, natrafił prawie tuż pod swoją bramą na Traubsohnową, która go sama zaczepiła i zatrzymała na ulicy. W pierwszéj chwili nie poznał jéj; szła otulona w fałdzistą rotondę, głowę miała osłonioną fularem, z pod którego widać było tylko fryzowaną grzywkę rudego koloru (w ostatnich czasach przyszła jéj fantazya ufarbować sobie włosy na kolor świeżéj miedzi a brwi na czarno).

— San Pan Bóg mi pana zsélał! — zawołała, chwytając Bernarda za rękę i odciągając go z chodnika pod latarnię, o którą oparła się bez ceremonii, nie zważając na niewłaściwość takiéj pozy i takiego tête-à-tête na ulicy.

— Gdzież się pan u licha ukrywasz, że cię nigdzie teraz złapać nie można? — zaczęła paplać po francusku, mizdrząc się do niego i zaglądając mu w oczy nieustannie—przecież my na pana robimy formalną obławę od kilku tygodni.

— Jak na niedźwiedzia?...

— Nie, jak na dzika. Co się z panem dzieje?... po mieście opowiadają, żeś pan wstąpił do klasztoru trapistów, a pańska żona do bosych karme-

litanek. Ale żart na stronę, mam do pana ważny interes i to od kobiety. Nie jesteś pan ciekawy?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo mam głowę teraz czém inném zajętą.

— To nie o głowę chodzi, tylko o serce.

— Ach, tak?.... w takim razie odrazu żegnam panią.

Zchwyciła go mocniéj jeszcze za rękę i przytrzymała przy sobie.

— Ani myślę!... Kiedy pana złapałam, biorę w niewolę na cały wieczór. Musisz pan pójść do nas.

— Do pani?...

— Nie do nas; ojca mego niémà w Warszawie, więc chodzimy codziennie z Manią matkować Leosi. Musisz jéj pan pójść powinszować.

— Czego?

— Jakto czego?... nie słyszałeś pan, że wychodzi za mąż.

— Tak... i za kogo?

— Za barona Rabschytza; całe miasto przecież o tém mówi. Nie znasz go pan?... musiałeś z nim grywać w karty w Resursie.

— Nie grywam w karty.

— Nie grywasz pan w karty?... a jakież pan masz namiętności?...

— Nie mam żadnych.

Wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Już?... to idź pan do domu inwalidów. Żal mi pana... *Mais assez de badinage!* ja mam z pa-

nem na seryo do pogadania. Podaj mi pan ramię i chodźmy.

— Kiedy jestem zajęty,—wymawiał się—mam ważny interes do załatwienia. Daję słowo, nie mogę...

Nie dozwoliła mu dokończyć, przyciskając się do niego z tą wprawą kobiet, które wiele nachodziły się pod ramię z mężczyznami.

— Cóż to pan nie wiesz, że ja jestem *une femme collante* i że się odemnie odczepić trudno, gdy się do kogo przylepię? — mówiła, śmiejąc się zalotnie, — przecież mi się pan brutalnie nie będziesz wyrywał na ulicy, jak Józef od Putyfary!... niéma rady; musisz pan pójść do nas, choćby na pięć minut.

Ta natarczywość zaczęła go niecierpliwić.

— Kiedy ja teraz nie bywam w żadnych towarzystwach!—tłómaczył się.

— U nas nie będzie nikogo, *parole!*... sami swoi malutkie kółeczko, zobaczysz pan!... *eine kleine, aber honette Gesellschaft.*

Poprawiła na sobie rotondę, z pod któréj zaleciał go silny zapach Heliotropu.

— Zresztą — ciągnęła daléj — przyrzekłam im dostawić pana żywego czy umarłego i dostawię.

— Co za im?...

— Zobaczysz pan i nie pożałujesz.

Papląc w ten sposób i przytulając się do jego ramienia, prowadziła go, jak swą zdobycz do saméj bramy ojcowskiéj kamienicy i choć się z nią targował i wypraszał, pociągnęła go prawie gwałtem na górę.

U drzwi zaczęła szarpać dzwonek, jak na alarm, robiąc umyślnie hałas w całém mieszkaniu, aby zapowiedziéć przybycie nadzwyczajnego gościa.

Do przedpokoju zbiegła się służba a z nią Leosia, Fiołkiewiczowa i dwóch czy czterech panów zwabionych z salonu tak gwałtowném dzwonieniem.

— Zobaczcie, kogo prowadzę! —wołała z tryumfem Barberine, wpychając niemal Bernarda przez drzwi otwarte.—No, i cóż wy na to?...

Towarzystwo było już widocznie rozbawione i w doskonałym humorze; wejście Sandsteina powitał pisk kobiecych głosów i hałaśliwe wykrzyki mężczyzn, pomiędzy którymi Bernard rozpoznał pana Ksawerego, Montaga, Rabschytza i Józia Feingussa.

We drzwiach do salonu mignęła mu się tylko wspaniała postać Malci Sammetówny.

Zobaczywszy go wchodzącego, stanęła przez chwilę nagle jak wryta na samym progu, zbladła, drgnęła, a potém oblana szkarłatem rumieńca cofnęła się szybko i uciekła aż do trzeciego pokoju.

— Bernard!... pan Bernard!.. vivat!... mamy Bernarda!..—odzywały się razem i pojedynczo okrzyki, napełniające cały przedpokój zgiełkiem, który się aż na schody przedostawał.

— W górę Barberinę! — wołał dyszkant Fiołkiewiczowéj, — ślicznie się spisała. Dostaniesz order za ratowanie tonących. Gdzieś ty wyłowiła tego odludka?...

Nie pozwolono mu się z nikim powitać, tylko wprowadzono do salonu z hałasem, który od-

zwyczajonego potroszę od takich zebrań, raził i drażnił.

W salonie paliła się tylko jedna lampa na konsoli, pokryta ogromnym abażurem z czerwonego jedwabiu i koronek; przez otwarte drzwi w amfiladzie widać było jaśniejsze światło dopiero w pokoju stołowym, reszta apartamentu pozostawała w ciemności.

Na małe zebrania zwykle tego rodzaju oświetlenie, *claire-obscure*, ulubione przez wszystkie Feingussówny, zapełniało raczéj mrokiem niż blaskiem pokoje.

Utrzymywano bowiem, że się przyjemniéj rozmawia w takim dyskretnym półcieniu.

Podczas kiedy Leosia witała się z tak rzadkim a od dawna wyglądanym gościem i zapoznawała go z narzeczonym, Traubsohnowa zbliżyła się do Fiołkiewiczowéj i poprawiając sobie włosy przed lustrem, spytała ją poufnie:

— Pipy jeszcze niéma?...

— Powinien nadejść lada chwila. Przyniosłaś mi ostatniego „Gil-Blasa?..."

— Mam go w kieszeni.

— Jest tam znów podobno znowu coś świetnego Catule Mendèza czy Colombiny; czytałaś?...

— Ach, pyszne!... „Inachevé..." Doskonale!...— mówię ci, niemożliwe. *Noch nicht da gewesen!...*

— Dawajże!

— A odniosłaś mi „Mefistofelę?"

— Leosia ją zabrała, dzisiaj skończy.

— Pipa mi przyrzekł przynieść coś jeszcze lepszego.

— No to już chyba...

Nachyliła się jéj do ucha i dokończyła szeptem, poczém obie zaczęły się śmiać tak głośno, że aż zwróciły uwagę reszty towarzystwa.

Pan Xawery, jak pudel służący na dwóch łapkach z wysuniętym ozorem, skakał pomiędzy dwiema siostrami i dopraszał się, aby mu koniecznie powiedziały, co je tak rozśmieszyło; przyrzekał być dyskretnym i nie powtórzyć tego nikomu.

— Królowa wie—mówił do Barberiny,—że ze mną można być bez ceremonii. Ja jestem studnia. Największe tajemnice już w niéj utonęły.

Nazywał ją „królową," ale nie znać było w całym tonie i zachowaniu się starego pieczeniarza i cynika uszanowania, jakie należałoby się choćby subretce.

— A ja dla królowéj mam coś bardzo ciekawego, — zaczął nagle, mrużąc jedno oko znacząco i sięgając ręką w zanadrze;—coś... coś... najświeższego... coś *extra-fein!*... jak Bozię kocham...

— No, dawaj pan!

— Cóż takiego?...—z zajęciem spytała Fiołkiewiczowa.

— Fotografią Flory Perler.

— Tę na grobie męża?

— A tak.

— W żałobie i z wieńcem w ręku.

— A tak.

— I pokażesz nam pan?...

— A nie, chyba mnie każda z pań pocałuje.

Pokazał im zdaleka fotografią w gabinetowym formacie i ukrył znowu na piersiach, nadstawia

jąc swoje zwiędłe, pomarszczone policzki, z miną wyczekującą.

— No, Ksawcio jest grzeczny chłopaczek—mówił, mizdrząc się i przybierając ton małego dziecka,—Ksawcio chce buzi, bo inaczéj nic nie pokaże. Obie siostry schwyciły go z dwóch stron pod ramię i dotknąwszy lekko ustami jego twarzy pociągnęły go ku lampie.

— No, teraz niech Ksawcio pokazuje.

Wyrwały mu fotografią, która taką ciekawość w nich wzbudziła i zaczęły się jéj przypatrywać; wszyscy, z wyjątkiem Bernarda i Rabschytza, zajętych rozmową, skupili się około Traubsohnowéj, aby na własne oczy przekonać się o ekscentrycznym pomyśle młodéj wdowy, która dała fotografować się na cmentarzu w grubéj żałobie, klęcząc na grobie nieboszczyka męża.

Zwabiona krzykami i śmiechami w salonie, zdecydowała się nareszcie wejść i Sammetówna ze swego ukrycia: od dawna już z poza portyery w ciemnym gabinecie przypatrywała się pałającemi oczyma Bernardowi, ale podejść do niego nie śmiała. Teraz zaś weszła, udając, że go nie widzi, i unikając jego spojrzenia.

Podszedł do niéj pierwszy i podał jéj rękę na powitanie ze słowami:

— Jakże się pani miewa?...

Drgnęła, jakby zaskoczona znienacka i zmieszana nie umiała nic na to pytanie odpowiedziéć.

Wśród chaosu głosów i śmiechu słychać było właśnie Montaga, który z bardzo poważną miną, przypatrując się fotografii, mówił:

— Powiadam państwo, że jest to sacrilegium. Cmentarz, to nie jest miejsce na zrobienie komedyj!... Z czego tu jest się naśmiać?...—pytał, wodząc zdumionym wzrokiem po obecnych.—Przecież tu jest grób, a grób to jest miejsce naświęcone!—dodał sentymentalnie z uroczystą powagą, ale nie będąc pewny, czy nie zrobił jakiego językowego błędu, instynktownie zwrócił głowę, jak żóraw w stronę Bernarda i przez ramię spytał go ciszéj:

— Czy ja to dobrze powiedział?...

Do salonu weszło w téj chwili dwóch młodych ludzi, krępy brunet w marynarkowym garniturze, jasnym krawacie i bardzo wyciętym kołnierzyku i łysawy blondyn z monoklem, chudy, smukły, we fraku z szapoklakiem pod pachą, z wąsikami cieniutkiemi, jak szydła pod nosem, o twarzy ściągłéj, bladéj i fizyognomii typowego „faceta." zapraszanego co wieczór dla ozdoby jakiegoś salonu.

— Pipa! — zawołała z radosném ożywieniem Traubsohnowa, podchodząc ku blondynowi, podczas gdy Fiołkiewiczowa z jakimś widocznym dąsem podawała jeden palec tylko jego towarzyszowi, szepcąc tonem jakby wyrzutu:

— Czemuż tak późno?... Pewnie się jeszcze balet nie skończył, prawda?... można było już wcale nie przychodzić.

Zamienili ze sobą spojrzenia dwojga ludzi, którzy przywykli porozumiewać się ze sobą oczyma.

— Cóż to za Pipa?—spytał Bernard półgłosem Montaga, spoglądającego z jakimś ironicznym uśmiechem na obu przybyszów.

— Pan nie wiesz?...

Pokręcił głową, wydął pogardliwie usta i odrzekł:

— To się pan spytaj pani Barberiny; ona z nim teraz flirt robi. To jéj najnowsza flamma.

— A ten drugi?

— Ten drugi?... to znów inna Pipa od pani Fiołkiewiczowéj. *Ambo meliores;* pan rozumie, co ja chciał powiedziéć?...

Spojrzał na niego z pod oka i podniósł swoje dwa, jak szparagi długie palce, do góry.

Leosia, która w nieobecności ojca robiła honory domu, zbliżyła się do Sandsteina, aby go zapoznać z nowymi gośćmi:

— *Monsieur* de Pipczyński!... *Monsieur* de Hajducki!... *Monsieur* de Sandstein!...

To *de* wyrwało się jéj z ust jakby z przyzwyczajenia.

Panowie podali sobie ręce, mruknąwszy między zębami stereotypowe:

— *Charmé...*

Rabschytz przegarniał palcami swoje grube, krzaczaste bokobrody, które wyglądały, jak nalepiona na woskowéj masce krepina i uśmiechał się, wodząc oczyma za narzeczoną; w uśmiechu odsłaniał duże, białe, zdrowe zęby. Leosia wciśnięta w jasno-niebieski, przylegający całkiem do ciała *jersey*, robiła do pasa wrażenie Wenery Milońskiéj, któréj odrosły ramiona; z świadomą zalotnością względem barona uwydatniała umyślnie w ten sposób piękne kształty, aby go coraz bardziéj podbijać zmysłowym urokiem. Zwracała się do niego nieustannie, rozmawiając z innymi i posyłała mu

jakieś omdlewające spojrzenia z rozmaitych punktów salonu, na które on odpowiadał uśmiechem, poruszając zlekka ustami, jak gdyby jéj w zamian posyłał pocałunki.

Do salonu na srebrnéj tacy wniósł herbatę służący, przystojny chłopak z małym zarostem, silną brwią i sprytnemi oczyma; na czoło miał kokieteryjnie naczesany kosmyk włosów, jakby wiedział, że mu z tém było do twarzy.

Traubsohnowa, która bez ceremonii zapaliła pierwsza papierosa w drzwiach salonu i oparta o futrynę rozmawiała po francuzku z panem Xawerym, stojącym za jéj plecami tak, by mógł jéj szeptać coś do samego ucha, zawołała:

— Ignacy, herbaty!...

Służący zręcznym ruchem wykręcił się w jéj stronę i ze słowami: „Służę jaśnie pani" — stanął przed nią. Przypatrywała mu się przez lornetkę, a biorąc filiżankę, tonem znawczyni, podziwiającéj w galeryach piękny obraz, szepnęła do swego towarzysza:

— *Regardez, comme il est beau ce garçon!...*

Ignacy, jakby zrozumiał pochwałę, uśmiechnął się i błysnął oczyma, przechodząc daléj do któregoś z gości.

Pan Xawery skrzywił się z lekceważeniem i pogardliwie zauważył:

— Fagas.

Barberine spojrzała na niego przez ramię.

— Cóż z tego, ale przyznaj pan, że najpiękniejszy mężczyzna w tym salonie — rzekła uderzając

go zlekka po nosie swą szyldkretową lornetką.— Zresztą, co się pan tam znasz na tém!

— *De gustibus non est disputandum*. Jak na mnie, wolę już Sandsteina.

Z kolei skrzywiła się teraz ona i wzruszyła ramionami.

— Lala!... figurka z porcelany, nie mężczyzna!... Drewno!...

— Na seryo?...

Do rozmowy przyłączył się dystyngowany młodzieniec we fraku, nazywany poufale Pipą; wszystko troje cofnęli się do przyległego gabinetu, do którego skąpo wpadał tylko blask czerwonawy lampy z salonu i zasiedli na miękkich, gobelinowych meblach dokoła złoconego stoliczka z porcelanowym blatem.

Fiołkiewiczowa z Hajduckim w nyży jednego z okien ukryci za firanką szeptali z sobą po cichu; obecność ich zdradzały tylko od czasu do czasu pojedyncze słowa, głośniéj wymawiane, jak *non!... non!... jamais!*.

Sprzeczali się o coś oboje poirytowani: ona robiła mu wymówki, on się tłómaczył.

Montaga obrabiał Józio, przechadzając się z nim po salonie i wypytując go o balet w Berlinie; narzeczeni wcisnęli się w sam kąt za fortepianem i zasłonięci fotelem trzymali się za ręce, szeptając sobie na ucho rozmaite czułości.

Jeden Bernard stał blizko drzwi bez pary dla siebie, z wyrazem niesmaku i zniecierpliwienia spoglądając po salonie, w którym wszyscy zajęci sobą, zapomnieli o nim zupełnie; upatrywał swego

kapelusza, aby się wymknąć niepostrzeżenie z tego salonu, który przypominał „Ogród miłości“ Rubensa. Nieswojsko czuł się w téj atmosferze, w tém oświetleniu, w tém towarzystwie, które mu nigdy nie smakowało i zły był na siebie, że się dał wciągnąć Traubsohnowéj na górę.

Nagle usłyszał za sobą drżący i nieśmiały głos Malci:

— Dlaczego pan nie siada?...

Odwrócił się i przez drzwi do sąsiedniego gabinetu dojrzał poza sobą Sammetównę.

W gabinecie panował zmrok, dozwalający tylko po ciemniejszych konturach rozpoznawać rozstawione meble; na ścianie przeciwległéj odkrawała się podługowata plama, ograniczona połyskującą ramą lustra, w którém odbijała się część salonu.

Przez cały czas ukryta w ciemności stała przed tém zwierciadłem Malcia i obserwowała Bernarda, o ile obraz jego przez otwarte drzwi odbity w lustrze widziéć mogła.

Odważyła się wreszcie podejść bliżéj i przemówić do niego; sposobność takiego sam-na-sam po raz pierwszy jéj się nadarzała.

Nie mogła oprzéć się pokusie; nie wiedziała, o czém i jak z nim mówić będzie, chciała go tylko miéć przy sobie, dotknąć się jego ręki i czuć choćby obecność ukochanego blizko siebie.

Gdy wszedł do gabinetu, zwabiony jéj zapytaniem, cofnęła się w pierwszéj chwili, kolana pod nią zadrżały, myśli naraz odbiegły wszystkie i lęk ją jakiś zdjął.

— Co pani robi tutaj sama?—zaczął on, aby czémkolwiek nawiązać rozmowę.

Nie mogła mu od razu odpowiedziéć; w gardle jéj zaschło, połykała ślinę z trudnością i zmieszana jąkała:

— Ja?... ja?... ja czekałam na pana,—wykrztusiła wreszcie głosem złamanym.

— Na mnie? — spytał ze zdziwieniem — dlaczego?...

Słychać było tylko jéj oddech przyśpieszony, gorączkowy i jakieś mruczenie niewyraźne, zgłuszone, zamiast odpowiedzi, aż nagle, tracąc do reszty siłę panowania nad sobą, jakby znienacka popchnięta ku niemu, bezprzytomna, szalona, zarzuciła mu ramiona na szyję i uczuł na swoich ustach pocałunek jéj dziki jakiś, namiętny, palący, w którym zdradziła się jéj rozkiełznana natura i całe piekło uczucia, tajone przez lat tyle w jéj sercu.

Oszołomiony przez chwilę i zaskoczony taką niespodzianką, zrozumiał jedno tylko, że jest na prawdę kochany i że ten pocałunek jest wyznaniem szalonéj, gwałtownéj, nie dającéj się pohamować miłości, która zerwała wszystkie tamy i oddała mu się na łaskę i niełaskę.

Czuł przy swojéj piersi kołatanie jéj serca, czuł przy swych licach jéj twarz rozpaloną i na szyi ramiona, jakby wężowym splotem cisnące go namiętnie; tchu mu brakło, krew uderzała do głowy, zachwiał się i otrząsnął, jakby zrzucić chciał z siebie tę rozkoszną jakąś zmorę, która nań spadła.

Usta jéj odczepiły się od jego ust nareszcie, ra-

miona rozplotły, jakaś bezwładność ogarnęła ją nagle i z jękiem cichym zsunęła się u jego stóp na dywan, zakrywając twarz rękoma.

Pochylił się nad nią, aby ją podtrzymać i posadzić na kozetce.

Z dala dochodziły go śmiechy Traubsohnowéj, chychotania Leosi i szepty w salonie.

— Uspokój się, uspokój się pani!—mówił zmieszany, biorąc jéj głowę w obie dłonie z jakiémś uczuciem litości i współczucia.

To dotknięcie wróciło jéj znowu energię i przytomność; schwyciła jego rękę i przycisnęła ją do ust, zanim mógł temu przeszkodzić.

Z pocałunkiem uczuł na niéj i łzy gorące.

Wyjął szybko chustkę i zaczął ocierać jéj twarz i oczy zalane łzami, uspakajając ją, jak duże spłakane dziecko:

— No już.... no dość... może kto nadejść...

Przytuliła głowę do jego piersi i z cichém łkaniem siedziała tak zmęczona i wyczerpana poprzednim wybuchem; nareszcie po długiéj chwili szepnęła głosem rzewnym:

— Ach, co ty sobie pomyślisz o mnie, Bernardziel... ja przecież zwaryowałam. Tak się nie robi, prawda?...

Odsunęła się od niego i zasłoniła sobie oczy zawstydzona.

On stał i myślał; po długiéj chwili odezwał się pierwszy:

— Więc ty mnie kochasz, tak bardzo?...

Ocknęła się i żywo, jakby z wyrzutem odparła:

— Alboż ty nie wiesz o tém?... przecież to już tak dawno!... jeszcze jakeśmy się dziećmi bawili z sobą, pamiętasz?... O, tyś wiedział dobrze!...

Westchnęła ciężko i boleśnie tak, że aż mu się jéj żal zrobiło.

Zadumał się znowu i rzekł:

— Ale ja przecież nie jestem jeszcze wolny.

— Ja wiem,—odpowiedziała—ale będziesz.

Zwiesił głowę i posmutniał.

— Kto to wie! — szepnął tak cicho, że go nie dosłyszała.

Z salonu znowu doleciały ich śmiechy, które go wstrętem przejęły; otrząsnął się i z odrazą jakąś rzekł do Sammetówny:

— Jak pani możesz bywać w tym domu!...

— Dlaczego?...—spytała go naiwnie,—one mnie lubią, a zresztą gdzież mam bywać?... do was mnie nie proszą, nawet teraz. Czy to źle, że ja tu bywam?...

— Bardzo, odparł krótko.

— Na prawdę?

— To nie jest dom dla pani.

— A pan tu jesteś?...

— Przypadkiem: zaraz wychodzę.

Poruszyła się niespokojnie.

— I nie zobaczymy się znowu?... — spytała zalękniona.

— W każdym razie nie tutaj.

— A gdzie?...

Zawahał się, co ma odpowiedziéć.

— Będę u was.

— Jutro?... koniecznie!—jutro!—dorzuciła błagalnym niemal tonem.—My mamy z sobą tyle do pomówienia!... Zaklinam cię, przyjdź jutro.

Podał jéj rękę na pożegnanie i rzekł:

— Niech będzie jutro.

Potém, jakby go gnało co z tego miejsca, przeszedł na palcach nie do salonu, ale do pokoju stołowego i ztamtąd wymknął się niespostrzeżony nawet przez służącego.

Na ulicy odetchnął dopiero swobodnie, jakby się wyrwał z niewoli.

To wszystko, co widział, co słyszał i co doświadczył dzisiejszego wieczoru mieszało się w istny chaos w jego głowie i burzyło mu myśli.

Po raz pierwszy w życiu czuł się kochanym miłością prawdziwą a szaloną, od któréj wionął na niego jakiś gorący żar i upajała go nieznana rozkosz; ale zarazem, jak po ciężkich skaleczeniach, odzywał się w nim ból przykry.

Życie stawiało go wobec nowych kolizyj i zagadnień; próbował rozumować na zimno i głosem rozsądku przemawiać do podrażnionych nerwów, falującéj krwi, upojonego serca, ale usta zamykało mu wspomnienie pocałunku, który na nich wycisnęła Sammetówna...

I milknął, z zajęciem coraz większém przypatrując się w myślach téj pięknéj, o bujnych wdziękach dziewczynie, która chciała mu dać szczęście w miłości.

— Czy nie lepiejby było, gdybym się był od razu z nią ożenił! — powtarzał sobie.

Nocy téj oka nie mógł zmróżyć, mimo to wstał

wcześniéj, niż zwykle, ale zamiast pójść do rodziców, by porozmawiać z matką w drażliwéj sprawie zwrócenia dziecka Toli, poszedł do Kulisza z samego rana.

Zastał go już ubranego przy pracy.

Na stoliku stał jeszcze gorący samowar i szklanka z niedopitą herbatą.

— Pośpieszyłem się bardziéj z odpowiedzią — rzekł po przywitaniu,—niż się pan spodziewałeś.

Kulisz badawczo spojrzał mu w oczy.

— No i cóż?—spytał.

— Rozmyśliłem się; chcę skorzystać sam z moich praw ojcowskich.

I zatrzymujesz dziecka przy sobie?

— Nie, ale ominę instancyą mojéj matki. Za dużo korowodów, a za mało widoków wygranéj. Natrafiłbym na opór, któryby się tylko powiększał pod naciskiem.

— Zatém, co będzie?

— Każę sobie którego dnia przynieść do domu mojego syna i odwiozę go osobiście koleją do Grzędów, a ze stacyi może go odebrać ktoś wysłany ze dworu. *Post factum* łatwiéj mi będzie przekonać matkę.

Kulisz podejrzliwie popatrzył na swego gościa i głową potrząsnął.

— No, no, no!.. ależ to całe wykradzenie!. Jak pan uważasz zresztą — dodał po chwili, — jesteś ojcem i wolno ci decydować samemu w téj sprawie. Ale to pańskie stanowcze słowo?...

— Jak najbardziéj.

— W takim razie sprawa skończona; dziękuję panu w imieniu pańskiéj żony.

Rozmowa się urwała; na szczęście, u drzwi dało się słyszéć pukanie i głos Montaga za progiem:

— Można?...

— Rozumie się, że można—poznawszy gościa, zawołał Kulisz.—Wejdź pan, znajdziesz tu znajomego.

Montag szeroko oczy otworzył, zobaczywszy Bernarda.

— A pan co tu robisz tak rano?... dopierośmy się widzieli na wieczór a już tu pana spotkam?... No, jak się panu spało po tym wieczorze?.. Ładne ludzie, co? — spytał, zmrużając jedno oko i krzywiąc się w sardonicznym uśmiechu, który mu nadawał wyraz drwiącego satyra.

— Ale pan wczoraj jak w ziemię wpadłeś—mówił daléj,—a ja musiałem wysiadywać do kolacyi i odwozić Sammetównę... to jest pannę Sammetównę do domu, bo nikogo innego nie chciała się powierzyć.

— Gdzież to było?—zagadnął ich Kulisz.

— Ach, nie pytaj się pan!... u Feingussów.

— Ho, ho!... musieliście się wesoło bawić?... tam się nudzić nie lubią..

Montag zaczął opowiadać swoje spostrzeżenia i szczegóły wczorajszego wieczoru.

Kulisz słuchając tego, uśmiechał się cierpko a Bernard siedział, zagryzając usta, w dużym, skórzanym fotelu, z łokciami opartemi o wysokie poręcze i zapatrzony w ziemię, dumał.

— Oni myślą, że Montag to taki kiepski żydek, co tylko umie grać trochę na fortepianu — wpadł-

szy w doskonały humor, mówił artysta,- a Montag ma dobre oko i dobry nos; wszystko widzi i wszystko zwącha. Wiesz pan, jak pana szanuję, pan masz rozum, że się wycofnąłeś z téj sfery. Mówię panu, że to wszystko bardzo nie pachnie. Pfui!..

— A po cóż pan tam bywasz?

— No, ja jestem artysta, ja bywam wszędzie ale ja nie wszędzie siadam do fortepiana, rozumie pan, bo ja mój talent szanuję. Ja zagram i takim mechesom, jak Feingussy, jak mi zapłacą; czemu nie? ja z tego żyję, ale za darmo to ja gram tylko takim, jak pan, co kochają sztukę i znają się. Pan już wie, co ja chciał powiedziéć.

Kulisz sobie uszy zasłonił.

— Gwałtu! jak pan ten język kaleczysz!—przerwał mu zgorszony, — powiedz mi pan, czy pan umiesz po żydowsku?...

— No, a jakże,—przecież jakimś językiem muszę umiéć dobrze mówić!—odrzekł całkiem seryo, przybierając poważną minę, z którą jednak wyglądał dziwnie komicznie w téj chwili; nawet Bernard uśmiechnął się, słysząc taką odpowiedź.

— Z czego się pan śmieje?—spytał go urażony Montag,—ja źle mówię, ale ja czuję dobrze.

Bernard wyciągnął do niego rękę.

— Nie chciałem pana dotknąć; obaj przecież należymy do téj nieszczęsnéj rasy, któréj fatalność mści się na nas przy lada sposobności.

Kulisz wstał nagle i zbliżył się do niego.

— A od kogoż zależy, jeśli nie od takich, jak pan, aby było inaczéj?—spytał.

— Jak ja?... a cóż ja mogę?..—wybuchnął z go-

ryczą,—ja jestem meches, przechrzta, żyd, z którego w siedmiu święconych wodach nie zmyją piętna jego pochodzenia!...

— A wiesz pan dlaczego?... dlatego, że sądzić cię będą z twojego otoczenia, z twojéj sfery, z tych którzy przenieśli z sobą wszystkie wady a ani jednéj cnoty swojéj rasy i przejęli od nas to, co w nas samych było złem a nie nauczyli się niczego dobrego!... dlatego, że pan i panu podobni padają ofiarą opinii i uprzedzeń, jaką wam wyrabiają parszywe owce z waszéj trzody, cisnąc się na front i zasłaniając was sobą; dlatego wreszcie, że nie dosyć miéć dobrą wolę, jak pan, ale trzeba ją stwierdzać czémś bardziéj przekonywającém, niż frazes. Czy pan sądzisz, że każdego przechrztę nazywają u nas mechesem?—mylisz się pan. Uważaj, że nazywają najczęściéj tak tylko tych, którzy nie umieli z nowém wyznaniem zdobyć sobie czci i zaufania. Psują i żydom, i przechrztom kredyt—mechesy, a psują tém właśnie, co pana samego w nich razi, oburza lub śmieszy w najlepszym razie. To fatalność, zapewne, ale trzeba umiéć się z pod niéj wyswobodzić... Rzecz trudna, lecz mógłbym panu przytoczyć nie mało przykładów, że możliwa.

Zapalił się, mówiąc w ten sposób; Montag schwycił jednę rękę a Bernard drugą.

— Wiesz pan, dalibóg, to jest gorzkie, co pan powiadasz—zawołał podniecony artysta—ale pan gadasz poczciwie.

— I słusznie,—dodał z smutném westchnieniem młody Sandstein; — będziemy jeszcze nieraz mó-

wili na ten temat, bo przecież pozwolisz mi pan częściéj siadywać w tym wygodnym fotelu?...

Spojrzał głęboko w oczy Kuliszowi i uścisnął go raz jeszcze, jakby na podziękowanie.

Rozmowa się urwała i autor urywa swą powieść, jako odłam życia, aby ją nawiązać znowu wkrótce i powrócić do tego samego tematu, w którym będzie mógł zużytkować resztę obfitego materyału i zebranych spostrzeżeń.

A zatém do widzenia cierpliwy czytelniku!..

K O N I E C.

[redacted]



